

# Kiwony



TADEUSZ DOŁĘGA-MOSTOWICZ

# Kiwony

## ROZDZIAŁ I

Ceremonia była skończona. Hałas rozsuwanych krzesel i wesoły gwar napelniły tak uroczystą jeszcze przed chwilą salę. Nauczycielstwo w galowych frakach zeszło z estrady, mieszając się z szumem granatowych mundurków i ich rodzin, na których tle jaskrawo połyskiwały białością długie rury grubego brystolu — świadectwa maturalne.

Na estradzie pod olbrzymim portretem cesarza Mikołaja II pozostał tylko w swym głębokim fotelu sam dyrektor Karawajew. Na jego bladej, przezroczystej twarzy rysował się ten sam ironiczny półuśmiech, spod siwych brwi patrzyły te same pełne zimnej apatii oczy.

Józef Domaszko, jak zahipnotyzowany, nie mógł oderwać wzroku od tej głowy. Stał pod piecem, rolując w rękach swój „atestat dojrzałości”, i walczył ze sobą.

Zrobi to, musi to zrobić. Powinien był dotrzymać danej sobie obietnicy i zrobić to w chwili odbierania świadectwa. Ale wtedy wywołałby wielką awanturę. Nie mógł się zmusić do tego.

Teraz dyrektor jest sam. Nikt nawet nie zauważy. Ci wszyscy jego koledzy tłoczą się tu teraz w „Familienbadzie”. Że też nie przyszła ciotka Michalina ani Natka... Właśnie, powinien cieszyć się z tego, stanowczo musi cieszyć się, przecie dzięki temu może podejść do Karawajewa i wypalić mu wszystko.

Zacisnął szczęki. Pójdzie i powie, zmiążdży go, wychłoszcze prawdą, zdepcze pogardą. Jego, jako reprezentanta tej ohydy, w której on, Józef Domaszko dusił się przez lat osiem, a teraz gdy jest wolnym, dorosłym człowiekiem...

Przemógł się wreszcie i ruszył na estradę.

Dyrektor odwrócił głowę:

— A, Domaszko? — powiedział z obojętnym zdziwieniem — *cztoż prikażetie*<sup>1</sup>?

Józefowi serce zabiło młotem:

— Panie dyrektorze — wykrztusił z zaciśniętego gardła, niespodziewanie dla samego siebie po polsku — panie dyrektorze, przyszedłem panu powiedzieć, że cieszę się, strasznie się cieszę z tego, że już skończyłem gimnazjum...

Zabrakło mu tchu.

— *Goworitie, požahujsta, ja ponimaju*<sup>2</sup> — z pobłażliwą ironią pomógł mu dyrektor — *nu, konieczno radujetieś, cztoż dalsze*<sup>3</sup>?

— Tak, panie dyrektorze, cieszę się, że już nie będę musiał chodzić do tego... moralnego więzienia, do tej... obrzydliwej garkuchni, gdzie tępe belfry przez osiem lat karmiły mnie fałszem i obłudą. Nie dlatego to mówię, że to gimnazjum jest rosyjskie, wcale nie o to mi chodzi, ale o tę wstrętą atmosferę. Pan miał mnie zawsze za wzorowego ucznia. Otóż nie. Zawsze nienawidziłem gimnazjum. I pana nienawidzę, i pogardzam wszystkimi nauczycielami. Waszym zadaniem było pogruchotać nasze charaktery, wykrzywić dusze, nauczyć pełzać, spodlić nas, zabić indywidualizm, wdusić pod strychulec<sup>4</sup> miernoty...

Uczeń, Szkoła

<sup>1</sup>*cztoż prikażetie* (ros.) — cóż pan powie. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>*goworitie, požahujsta, ja ponimaju* (ros.) — niech pan mówi, proszę, ja rozumiem. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>*nu, konieczno radujetieś, cztoż dalsze* — więc oczywiście cieszy się pan, cóż dalej. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>*strychulec* — deseczka służąca do zgarniania nadmiaru towarów sypkich z wierzchu naczynia do ich odmierzenia. [przypis edytorski]

— *Izwiniajus*<sup>5</sup> — przerwał dyrektor poważnym głosem — *ja skazał czto ponimaju, a wot, okazujajetsia czto nie usio. Wy, Domaszko, skazali „strychulec”, da?... Czto eto takoję*<sup>6</sup>?...

Józef zmieszał się. Na jego płomienne oskarżenie ten człowiek odpowiada zimnym pytaniem o znaczenie jednego wyrazu?... Nie wiedział, co zrobić.

— *Nu*<sup>7</sup>? — przynaglił dyrektor.

Jednak trzeba wyjaśnić, dlaczego nie miałby wyjaśnić?...

— *Urowień, cztoli*<sup>8</sup> — wybąkał cicho

— Aha? *Nu, prodolżajtie. Eto wieśma intiereso*<sup>9</sup>.

Józef błady jak płótno gniótł w wilgotnych dłoniach „atiestat”.

— Nic więcej, panie dyrektorze... Chciałem tylko powiedzieć, że oni tam wszyscy — ruchem głowy wskazał na salę — że oni okłamują się wzajemnie, mówią o jakichś więzach, jakichś ciepłych wspomnieniach, które mają łączyć przez całe życie nas, wychowanków tego gimnazjum, z tymi murami i z tymi nauczycielami. To jest nieprawda. Ja jeden przyszedłem panu prosto w oczy powiedzieć co myślę, ale tak samo myślą wszyscy. Teraz, kiedy jestem już człowiekiem wolnym, dorosłym, niezależnym, człowiekiem, który ma prawo mieć własne zdanie, własny pogląd, któremu wolno nareszcie być sobą, przyszedłem, żeby panu to wszystko powiedzieć.

Karawajew podniósł głowę i spojrzał mu prosto w oczy:

— *A zacziem*<sup>10</sup>? Po co?

— Uważałem to za mój obowiązek... etyczny...

— *Teks!*... *Posłuszajtie Domaszko, skolko wam let*<sup>11</sup>?

— Osiemnaście.

— Tak?... A mnie sześćdziesiąt i wot, Domaszko, ja myślał, że ty naprawdę mnie coś ciekawego powiesz, ale ty młokos jeszcze, nie zmadrzał nic nad swoje lata... Czy ty, Domaszko, pomyślał, że za twój postępek możesz ciężko odpowiedzieć? Że ja mogę i atiestat<sup>12</sup> odebrać, i wszystkie uniwersytety przed nosem tobie zamknąć, a i policję w to wmieszać... Co?...

Dyrektor wstał, przeszedł się wolnym krokiem po estradzie i położył mu rękę na ramieniu:

— Ale ja tego nie zrobię, Domaszko. *Nie potomu*<sup>13</sup> nie zrobię, żeby tobie pokazać *wielikodusze*<sup>14</sup> silniejszego, ale dlatego, że mam sześćdziesiąt lat, a wy, Domaszko, nie żaden dojrzały człowiek, młokos, Domaszko, he... he... he... *Smotri jego*<sup>15</sup>. Własne zdanie. Własny pogląd... *Durak* wy Domaszko, jeszcze *bolszój durak*<sup>16</sup>...

Założył ręce pod poły fraka i pokiwał głową:

— Wy przyszli, Domaszko, myśleli, że mnie obrazicie tym wszystkim, a udowodniliście tylko, że u was całkiem zielono w głowie. Ot co. Dużo by ja wam, Domaszko, powiedział, żeby wierzyli, że to wam coś pomoże. Sami musicie przechorować swój... obowiązek etyczny. A jeżeli nauczycie się *żyżń ponimat*<sup>17</sup> to będziecie wiedzieć, gdzie trzymać własne zdanie... *Nu, do swidania, proszczaj, mołodój czetowiek*<sup>18</sup>.

Poklepał go po ramieniu i swoim powolnym krokiem zszedł z estrady.

<sup>5</sup>*izwiniajus* (ros.) — przepraszam. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>*ja skazał (...)* *eto takoję* (ros.) — powiedziałem, że rozumiem, a oto okazuje się, że nie wszystko. Powiedział pan, Domaszko, „strychulec”, tak? Co to takiego. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>*nu* (ros.) — więc. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>*urowień, cztoli* (ros.) — poziom jakby. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>*Nu, prodolżajtie. Eto wieśma intiereso* (ros.) — Więc, proszę kontynuować. To bardzo ciekawe. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>*a zacziem* (ros.) — a po co. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>*posłuszajtie Domaszko, skolko wam let* (ros.) — niech pan posłucha, Domaszko, ile pan ma lat. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>*atiestat* (z ros.) — atest, świadectwo, matura. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>*potomu* (ros.) — dlatego. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>*wielikodusze* (ros.) — wspaniałomyślność, wielkoduszność. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>*smotri jego* (z ros.) — patrzcie go. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>*bolszój durak* (ros.) — wielki głupiec. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>*żyżń ponimat* (ros.) — rozumieć życie. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>*Nu, do swidania, proszczaj, mołodój czetowiek* — Więc do widzenia, żegnaj, młody człowieku. [przypis edytorski]

Józef nie zdążył mu się uklonić, kiedy już drzwi się za nim zamykały. Był zupełnie roztrzęsiony nerwowo.

Chciał, nie żegnając się z kolegami, wymknąć się do domu, lecz właśnie natknął się na Buszla i Malinowskiego.

— O czym gadałeś ze starym? — zaczepił go Buszel.

— A nie zapomnij — wziął go za guzik Malinowski — że o piątej spotykamy się w budzie i idziemy oblać maturę.

Józef wzruszył ramionami:

— Mówiłem ci już, że nie pójdę.

— To będziesz świnią.

— Nie mam pieniędzy do wyrzucenia — bronił się Domaszko.

Podszedł do nich Lipman, piegowaty jak indyjskie jajo i zawyrokował, że nieobecność na bibie Domaszki byłaby szczytem niesolidarności. Nawet taka rura, jak Kuczkowski, idzie.

— A przecież sam mówiłeś, że masz pięć rubli — przygwoździł go Buszel.

— Nie zapieram się — skrzywił się Józef — ale potrzebne mi są.

Malinowski zrobił złośliwą minę:

— Wiecie na co?... Józiek bierze gumy i jedzie z panną Stasią do Wilanowa.

— Głupi jesteś.

— Więc przyjdiesz?

— Zobaczę.

Szybko zbiegł ze schodów.

„Ba — myślał, szukając w szatni swojej czapki — gdyby tylko ona zechciała. Głupie jest życie”.

I ten cynizm dyrektora! W ogóle nie wiadomo, po co poszedł do niego i tylko się zbłąźnił.

Trzasnął drzwiami i wybiegł na ulicę.

Było słonecznie i gwarno. Środkiem jezdni pędziły lśniące lakierem powozy. Na drewnianym bruku szczęk kopyt, który tak lubił. Nie odwracając się, zawsze mógł rozpoznać czy to idzie para, czy dwie jednokonki. Z rzadka przemknął hałaśliwie warczący automobil, płosząc konie.

Na chodnikach też pełno było ludzi. Panowie postukiwali laseczkami. Koniecznie musi mieć laskę. Kobiety w sukniach wąziutkich w kostkach i z olbrzymimi kapeluszami na głowach wyglądały jak palmy. I posuwały się z konieczności małutkimi kroczkami. Natka marzy o takiej sukni, a ciocia Michalina ma wszystkie ze szcoteckami u dołu.

Nie pójdzie na bibę. Obiecał Natce, że nie pójdzie... Mają wieczór spędzić w domu, bo ciocia wybiera się do Skalkiewiczów na rocznicę ślubu. Zostaną sami, we dwoje.

Gdybyż tak ze Stasią!...

Westchnął. Cóż? Nawet spaceru jej nie mógł zaproponować. Jakby przy niej wyglądał! Wprawdzie ma teraz nowe buty, ale mundur jest bardzo poplamiony, srebro z guzików zlaźło, a spodnie błyszczą jak lustro. I tak zawsze: jak ma nowe spodnie, to buty są wyłataniane... I te wieczne pryszczki. Po prostu obrzydliwość. Żeby gdzie indziej, ale właśnie na twarzy.

Teraz zapuści sobie wąsiki.

Na Krakowskim Przedmieściu był jeszcze większy tłok niż na Nowym Świecie. Wszyscy załatwiają sprawunki przed wyjazdem na lato. Na rogu Królewskiej spotkał panią Leszczycową, matkę tego trzecioklasisty, któremu dawał korepetycje. Ukłonił się szarmancko i nagle przyszło mu na myśl, że mógłby zapalić papierosa.

Zupełnie inaczej się wygląda.

W gmachu hotelu „Europejskiego” jest sklep Noblessa. Wstąpił i kupił dziesięć sztuk renomy. Kosztowało dziesięć kopiejek, ale w dniu tak uroczystym można było sobie na taki luksus pozwolić.

Zaraz zapalił jednego i szedł ostentacyjnie środkiem chodnika, puszczając wielkie kłęby dymu. Na ulicy Freta wszyscy sąsiedzi i znajomi naocznie stwierdzą fakt jego emancypacji.

Dyrektor Karawajew jest zgorzkniałym cynikiem — Józef zarumienił się — diabli nadali, psiakrew, wyskoczył ze swoją przemową jak Filip z konopi. Teraz Karawajew będzie go miał za batwana.

Jednak w domu o tym ani słowa, nawet Natce. Bo Natka to niby taka przyjaciółka, niby siostra cioteczna, a gdy przyjdzie co do czego to zaraz wyjeżdża z morałami. Całej parady o pięć lat starsza. Wielka mi rzecz! Tylko wiecznie całowałyby się i ścisnęła, i wtedy to on jest „mój słodki Józek”, a tak to trzyma stronę ciotki.

Jak na złość papieros dopalił się, gdy właśnie wchodził na Freta. Oczywiście, natychmiast wyjął drugiego i to w samą porę, bo szła Małgosia państwa Lipkiewiczów, a tuż za nią obaj Kurkowscy, co to tak nosa drą, że są już studentami.

Uklonił się im, nie wyjmując papierosa z ust. Niech wiedzą.

Czy jednak nie pójść na oblewanie matury? Gotowi pomyśleć, że mnie ciotka nie puściła. A w ogóle niesolidarnie. Wszyscy zawsze oblewają maturę. Zwyczaj, nawet można powiedzieć — tradycja. I ma się wylać z niej dlatego, że Natka chce znowu ścisnąć się i całować. Właśnie dzisiaj, kiedy wszyscy idą na bibę. Niech sobie kogo innego znajdzie, choćby Kurkowskiego. Tylko że Kurkowski jej nie zechce, on chodzi z taką rudą chórzystką z operetki, a Natka nie jest wcale ładna...

Wbiegł po stromych drewnianych schodach i zastukał do drzwi. Po chwili usłyszał człapanie pantofli i głos ciotki Bulkowskiej.

— A kto tam?

— To ja — odpowiedział jak zwykle, wiedząc, że ciotka i tak nie czekając na to, otwierała drzwi.

W twarz buchnął odór kuchni: — dziś na obiad kalafiora i kotlety z cebulką — skonstatował w duchu Józef i przełknął ślinę. Był głodny.

W przedpokoju było ciemno. Ciotka cofnęła się jak zawsze do tak zwanego salonu i stamtąd zapytała swoim cieniutkim głosikiem:

— To ty Józieczku?

— No przecież ja. Ciocia otwiera drzwi, a gdyby to był bandyta?

— Złotko moje, po cóż ty takie rzeczy opowiadasz!

Wyszła do niego i wciągnęła go do salonu:

— A pokaże się! No patrzcie, to mi dorosły człowiek. Jessusss, Maryja! A to twoja matura?! Rozwińże kochanie i pokaż, bo ja ręce mam w maśle... Boże drogi!...

Józef z uśmiechem wyższości rozwinął „atestat”. Ciotka Michalina nabożnie przyglądała się wielkiemu dwugłowemu orłowi, bogatym złoceniom i potężnej czerwonej pieczęci.

— Może cioci przynieść okulary?

— I tak, kochanie, nie przeczytam, bo przecie rosyjskiego nie znam. Boże drogi! Pójdźże, niech cię uściskam! Niech ci powinszuję!...

Józef odłożył ostrożnie papier i pochylił się do rąk ciotki. Ta jednak objęła go za szyję i ucałowała w oba policzki. Uderzył go w nozdrza zapach octu. Ciotka miała głowę owiniętą ręcznikiem, z którego właśnie wydobywała się woń octu, najskuteczniejszego leku na migrenę. Spod tego turbanu wymykały się wilgotne kosmyki siwych włosów, nadając bladej a zaczerwienionej teraz od płyty kuchennej twarzy wygląd niemal komiczny.

Józef Domaszko nie zauważył tego. Kochał ciotkę za jej dobroć i tkliwość, jaką otaczała go na równi z Natką, która przecież była jej rodzoną córką.

— Boże drogi, tak żałowałyśmy, że nie mogłyśmy pójść na tę uroczystość do gimnazjum, ale może to i lepiej, bo tam pewno bardzo komfortowe towarzystwo było, a my cóż? Natka mogłaby pójść w tej sukience w paski z hafcikami, ale samej nie wypadało, a mnie jak chwyciła migrena, Boże drogi, to ani rusz.

— To może ciocia i do Skalkiewiczów nie pójdzie? — zapytał z nadzieją w głosie.

Gdyby nie poszła, mógłby wypuścić się z kolegami. Natka nie miałaby celu zatrzymywania go w domu.

Jednakże ciotka Michalina szybko rozwiała jego nadzieje:

— Gdzież tam, Boże drogi! Jakby to wyglądało! Ani mowy nie ma! Z migreną, czy nie z migreną, muszę iść. Nie dalej jak przed kwadransem była tu jeszcze Helka, żeby koniecznie na siódmą...

Z kuchni dobiegł ich uszu gwałtowny bulgot i syk.

— Jesssusss, Maryja! — załamała ręce ciotka Michalina — bulion wykypiał!

Drobnym krokiem poczłapała na miejsce katastrofy.

Józef zjrzał do pokoju sypialnego. Natki nie było. Oba łóżka, jej i ciotki, były już posłane. Jego pościel leżała zwinięta na kufrze.

Sypiał w salonie na kozetce. Trzeci pokój zajmowała panna Pęczkowska, stara nauczycielka, daleka krewna nieboszczyka wuja Bulkowskiego.

Właściwie teraz, kiedy panna Pęczkowska wyjechała na lato do Wielunia, mógłby sypiać w jej pokoju, ale ciotka Michalina uważała, że to nieładnie i nawet interwencja Natki nie pomogła.

Zresztą na te parę dni nie było warto. Pojutrze albo może nawet i jutro przyjedzie matka i wyjadą na wieś.

Zaczął systematycznie zdejmować z bambusowej etażerki swoje książki i zeszyty. Książki można będzie sprzedać na Świętokrzyskiej. Wyciągnie się z tego ze trzy i pół rubla, a może trzy siedemdziesiąt pięć. Więcej nie dadzą. Słownika niemieckiego nie sprzeda. Na politechnice może się przydać.

Nigdy nikomu o tym nie mówił, ale postanowił stanowczo pójść na politechnikę.

Już w siódmej klasie, gdy brat Buszla inżynier od „Lilpopa” zabrał ich do fabryki, postanowił zostać inżynierem.

To ma przed sobą przyszłość. Wciąż robią nowe wynalazki. Sam chciał nawet założyć w mieszkaniu dzwonki elektryczne, ale ciotka żałowała głupich dwóch rubli. Ludzie nie umieją iść z duchem czasu.

O trzeciej przyszła Natka. Przyniosła ciastka i jeszcze kilka paczek. Gdy otworzył jej drzwi, zaraz zapytała, czy mama idzie do Skalkiewiczów?

Nawet nie zainteresowała się jego maturą!

Dopiero, gdy wróciła z kuchni i zaczęła nakrywać do stołu, zapytała:

— No i cóż? Jakże tam było.

— Normalnie — wzruszył ramionami.

— Jesteś czegoś zły? — zauważyła.

— Nie... tak sobie.

Stanął przed oknem i odwrócony do niej tyłem dorzucił:

— A wiesz, spotkałem starszego Kurkowskiego z tą rudą chórzystką.

Nic nie odpowiedziała, więc dodał:

— Jechali gumami<sup>19</sup> w Aleje.

— Głupiec — zirytowała się nareszcie Natka.

Zerknął na nią i zobaczył, że zarumieniła się ze złości.

Chciał jej dopiec.

— Ta chórzystka jest bardzo ładna.

— Odczep się ode mnie z tą małpą! — zawołała, rzucając noże i widelce na stół.

Józef uśmiechnął się jadowniczo:

— Prawdopodobnie pójde na bibę z kolegami — zaczął lekko. — W gruncie rzeczy bardzo mnie namawiali.

Znieruchomiała:

— Jak to pójdziesz?

— Prawdopodobnie nogami.

— Przecież obiecałeś?

— I cóż z tego? Obiecałem, ale doszedłem do przekonania, że należy pójść. Matura raz w życiu się zdarza.

Nic nie powiedziała i dlatego odwrócił się.

Stała z talerzem w ręku, a w oczach miała łzy. Kąciki jej za grubych warg opuściły się ku dołowi, duży biust podciągnięty gorsetem zaczął drgać i w ogóle wyglądała tak bezradnie i nieszczęśliwie, że jeszcze gotowa się rozbeczeć.

Józef Domaszko, jako dorosły mężczyzna, miał dość poczucia rycerskości, by wiedzieć, jak należy postąpić.

Podszedł do Natki i pocałował ją w czoło:

— No, nie rozmazuj się, już dobrze, nie pójde.

<sup>19</sup> jechali gumami — tj. dorozką na kołach z gumowymi oponami. [przypis edytorski]

Oczekiwał wyrazu radości na jej twarzy, lecz Natka powiedziała obojętnie:

— Ja ciebie nie zatrzymuję, możesz iść. Jeżeli mnie nic nie kochasz, a wolisz wyrzucić pieniądze na hulankę, to idź. Proszę bardzo.

Nakryła do stołu i wyszła. Słyszał, że w kuchni sprzeczała się o coś z matką.

— A może jednak pójść? Skoro jej na tym nie zależy... Tylko że wówczas floty na laskę nie starczy, a wszyscy chodzą z laskami...

Ciotka Michalina przyniosła dymiącą wazę i postawiła na środku stołu.

— No, dzieci — zawołała — siadajcie do tego, co Bóg dał.

Natka spojrzała na Józefa spod oka i usiadła. On też zajął swoje miejsce. Przeżegnali się.

— Wie ciocia — odezwał się, podmuchując w talerz — nie pójde na oblewanie matury. Co tam! Obejdzie się cygańskie wesele bez marcepanów.

Ciotka pochwaliła to postanowienie i zaczęła wypytwać o gimnazjum, jak się odbyło rozdawanie świadectw, co mówili nauczyciele, czy dużo było gości.

Józef odpowiadał, nie wspominał jednak o swoim wybryku. Przy kotletach ciotka Michalina zrobiła wysoce tajemniczy wyraz twarzy i wydobyła z szafki dużą butelkę:

— No — uśmiechnęła się — w dniu tak uroczystym wypijemy sobie po kieliszeczku.

Było rzeczywiście nie więcej na dnie butelki bardzo słodkiego wiśniaku.

Po obiedzie obie z Natką musiały zabrać się do zmywania naczyń, bo przychodząca służąca Teofila dostała fluksji i przyszła tylko pokazać swoją obrzękłą twarz; pokrajała sobie cebulę w duże plastry i za radą ciotki Michaliny obłożyła tym policzek. Jeszcze ciotka musiała dać jej chustkę perkalową do obwiązania tego niezawodnego kompresu.

Józef siedział w salonie i rysował. Rysował plan od dawna wymyślonej przezeń wielkiej polewaczki do ogrodu w Terkaczach. Pomysł był zręczną kompilacją mechanicznej czerpaczki, jaką nieraz widział na Wiśle z ryciną z historii starożytnej, wyobrażającą egipskie żurawie do polewania pól wodą z Nilu.

Nowość polegała na samoczynnym przechylaniu się kubłów wprost do rynien. Jeżeli wuj Mieczysław zdecyduje się przedstawić ten projekt panu Hejbowskiemu, a pan Hejbowski pozwoli wziąć trochę żerdzi i desek, to Józef z łatwością skonstruuje tę maszynę.

Ustawi się na brzegu stawu, da się konia do kołowrotu i cały ogród będzie mógł być polany w przeciągu niespełna godziny. A jeżeli w rynnach zrobi się dziurki, to wystarczy do całej roboty jeden człowiek.

Dziurek tych jednak Józef nie był jeszcze zupełnie pewny. Trzeba by zrobić model i sprawdzić, czy będzie z nich sikało choćby na łokieć, czy nie. Bo na przykład te drzwi do wozowni, do których dorobił rolki, popsuły się w ciągu tygodnia i tylko pan Hejbowski śmiał się z niego. To będzie niezawodne, bo żadnego smaru nie potrzeba.

Ciotka Michalina zdjęła swój turban i zaczęła się przebierać w aksamitną czerwoną suknię. Natka przyszła i zajrzała mu przez ramię:

— Co ty rysujesz?

— Nic, tak sobie.

Nie lubił pokazywać swoich projektów i wsunął rysunek pod stary numer „Biesiady Literackiej”. Na pierwszej stronie był portret królowej greckiej. Józef kilkoma pociągnięciami ołówka dorobił jej wąsy i misterną hiszpańską bródkę, taką, jak u wuja Mieczysława.

Ciotka była gotowa.

— No, kochane dzieci — powiedziała, nakładając kremowe mitynki<sup>20</sup> — nie wiem, do której mnie tam zatrzymają. Od Skalkiewiczów zawsze trudno się wyrwać. W każdym razie herbatę wypijecie beze mnie... Nie będzie się wam nudzić? Co?...

— Broń Boże, mamusi — odpowiedziała z przekonaniem Natka.

— No to do widzenia, kochane dzieciaki, do widzenia, a może i dobranoc, bo pewno dość późno wrócę.

— Dobranoc cioci.

Odprowadzili staruszkę do drzwi i stali chwilę cicho, przysłuchując się jej krokom na schodach.

<sup>20</sup>mitynki — rękawiczki bez palców, zwykle koronkowe i ozdobne. [przypis edytorski]

Natka wyciągnęła w ciemności rękę i natrafiła na ramię Józka. Z wolna przyciągnęła go do siebie i przyłgnęła doń całym ciałem.

— Józek...

— Czekaj, Natka, ciocia może wrócić...

— Nie wróci — wyszeptala mu do samego ucha, ocierając policzek o jego nos.

— Czekaj, cicho! Przecie mogła zapomnieć coś i wróci.

— Więc zamknę drzwi na łańcuch.

Józef poszedł do salonu i usiadł na swojej kozetce. Natka nareszcie założyła łańcuch. Ulokowała się tuż przy chłopcu i zarzuciła mu rękę na szyję. Zawsze w takiej sytuacji był trochę zażenowany i nieruchawy, lecz Natka miała na to swój sposób: łaskotki. Te łamały niezawodnie tak zwane pierwsze lody.

Następnie nasunęły się obawy wygniecenia munduru. Niepotrzebny już, ale zawsze szkoda. Sukienka tym większej wymagała pieczołowitości, że była jeszcze niemal nowa, w gorszej zaś łatwo połamać fiszbiny. Tym większego poszanowania wymagał piękny czerwony plusz kozetki, o którym wiadomo, że najbardziej niszczy się od obuwia.

Ostatecznie firanki są gęste, a między sobą nie ma powodu wstydzić się oszczędzania ubioru i mebli, w czasach, kiedy o każdy grosz tak trudno.

Argumenty natury ekonomicznej mają tę zaletę, że natychmiast trafiają do przekonania ludziom rozsądnym. Toteż po usunięciu z terenu działań przedmiotów wartościowych, a mogących ulec uszkodzeniom, uznano z kolei, że flanelowa matinka<sup>21</sup> również nie jest wskazana już ze względów czysto higienicznych, bo: raz — na taki upał, i dwa — jest bardzo wyłuszczone.

Płótno i batyst nie zostały poddane programowi oszczędnościowemu, gdyż w niczym nie należy przesadzać, a tak łatwo przez zbędną dbałość o rzeczy mniej cenne przyczynić się do strat znacznie kosztowniejszych.

Na zegarze ściennym wybiła dziesiąta. Przez otwarte okno i rozsunięte firanki wpłynęła fala ożywczego wieczornego chłodu i smuga księżycy.

Do herbaty było dwanaście ciastek, nie licząc bułek i wędliny. Pomimo początkowo szczerych zamiarów zostawienia czegokolwiek ciotce, na wypadek gdyby wróciła od Skalkiewiczów głodna, sprzątnęły wszystko bez reszty, młodość bowiem ma swoje prawa.

## ROZDZIAŁ II

Od samego rana był straszny gwałt. Przyszła depesza od pani Domaszkowej, że przyjeżdża najbliższym pociągiem.

Natka biegła na Dworzec Wiedeński dowiedzieć się, kiedy przychodzi pociąg z Kuluszek. Ciotka Michalina nolens volens<sup>22</sup> zabrała się do przygotowania pokoju panny Pęczkowskiej dla matki Józefa.

— Jesssus, Maryja, jak ja sobie dam radę z tym wszystkim! — wołała co chwila, przerywając tym sobie opowiadanie o przyjęciu u Skalkiewiczów.

Józef słuchał tego jednym uchem, znowu zajęty swoim projektem mechanicznej polewaczki.

Przed południem przyszedł Buszel. Miał nerwowe oczy i strasznie ziewał.

— Popiliśmy się wczoraj — mówił — na glanc. Malinowski rozchorował się i co trzy kroki jechał nad morze.

— A gdzie byliście.

— Gdzieśmy nie byli! Zaczęło się od budy Grubego, później u Lija...

— Ooo! — zdziwił się Domaszko.

— Bracie — z miną starego hulaki zaśmiał się Buszel — po osiem rubli na twarz pękło.

— Po osiem rubli! Patrzcie no! A wszyscy byli?

— Gdzież tam! Jeziorkowski nie przyszedł, Lewandowicz, Jegorow, zaraz... Wasilkiewicz, Czubek... Ale!... Wszyscy frajerzy zostali w domu.

— Ja nie mogłem — usprawiedliwiał się Domaszko — matka dziś przyjeżdża.

<sup>21</sup>matinka (z fr. *matinée*: poranek) — daw. podomka; poranny strój kobiety; luźny, ozdobny kaftanik [przypis edytorski]

<sup>22</sup>nolens volens — chcąc nie chcąc. [przypis edytorski]



— Perkowski zwał, proszę ciebie, a w końcu zostaliśmy we trójkę: ja, Borkiewicz i Sulimczyk, i wiesz co?

— No?

Buszel dokończył tajemniczym szeptem:

— Pojechaliśmy dryndą na Stalową do Waksowej! Nie możesz sobie wyobrazić! Dziewczynki!... Fiu... Fiu... palce lizać.

Józef wzruszył ramionami:

— Sprzedajne kobiety.

— Więc co? Eee... nie rżnij moralisty, ksiądz prefekt ci się kłania.

Opowiadał jeszcze szczegółowo o wczorajszej bibie, a w końcu wyjaśnił, że przyszedł pożyczyć rubla.

— Jeżeli dziś nie oddam, będę zarżnięty honorowo. Ratuj mnie Józiek, bo sam rozumiesz.

Józef rozumiał i pożyczył mu pięćdziesiąt kopiejek.

— Jak babcię kocham więcej nie mogę. Może Malinowski będzie miał.

Natka wróciła, gdy właśnie Buszel wychodził. Przywitała się z nim — zdaniem Józefa — za uprzejmie.

— Wiesz Natka — odezwał się, gdy znaleźli się sami w salonie — że oni strasznie wczoraj hulali? I bardzo żalowali, że mnie nie było...

Natka zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała w same usta:

— Ale ty nie żałujesz? — zapytała szeptem.

— Nie żałuję — zaczerwienił się Józef.

— Józek... mój słodki Józek... Kochasz mnie?

— Kocham.

— Mój jedyny... Jak pomyślę, że tak zaraz musimy się rozstać, że dopiero w lipcu przyjadę do Terkacz...

— Jessusss, Maryja! Natka! Boże drogi — rozległ się głos ciotki Michaliny — czy aby zdążę z obiadem? A ty nic nie mówisz, o której pociąg z Kuluszek przychodzi... Polcia na amen już przyjechała...

— Niech się mama nie niepokoi — odpowiedziała Natka — o drugiej piętnaście, zdążymy.

Jeszcze przed drugą byli wszyscy na dworcu.

Wreszcie przyszedł pociąg. Józef pierwszy dostrzegł matkę, rozpaczliwie wymachując parasolem z okna wagonu trzeciej klasy.

Powitania trwały długo. Pani Domaszkowa ścisła syna i tak głośno akcentowała swoją radość z uzyskanej przez niego matury, że wszyscy pasażerowie oglądali się na nich.

— Cicho, mamó — mitygował ją Józef — po co mama tak krzyczy.

Trochę wstydził się jej prowincjonalnych manier i staroświeckiego stroju.

Pakunków było bez końca. Kuferek, dwa koszyki i torba siatkowa, z której na wszystkie strony sterczało pierze indyka.

Załadowali się do dorożki. Przez całą drogę pani Domaszkowa opowiadała o Terkach, o tym, że wuj Mieczysław spadł ze stodoły, bo dach naprawiają, że wyszły zapowiedzi panny Jankowskiej z kuzynem państwa Hejbowskich, Zaleskim z Pniewska, że w wagonie Żydzi mówili, że wojna będzie, ale to nic nie wiadomo, bo chociaż Żydzi wszystko wiedzą, ale Pan Bóg nie dopuści.

Ciocia Michalina słuchała z wielką uwagą, z rzadka tylko zerkając na torbę z indykiem, Józef rozglądał się po ulicy, a Natka lekko szczypała go w łokieć.

Rozpakowywanie rzeczy pani Domaszkowej, jak zawsze, obfitowało w miłe niespodzianki: tu się znalazła osełka masła, tam słoik z konfiturami, tam trzy kółka kielbas czy poleć słoniny.

Każdemu z tych wiktualów towarzyszył niezmiennie okrzyk ciotki Michaliny:

— Jessusss, Maryja!

Po obiedzie pani Domaszkowa oglądała ze wszystkich stron świadectwo maturalne syna. Kazała sobie przetłumaczyć każdy wyraz, po kilka razy wypytywała o stopnie i wyraziła wreszcie radość, iż świadectwo jest tak dobre, że zatem z przyjęciem Józefa na medycynę nie będzie żadnych trudności.

Józef zbladł i oświadczył:

— Ja nie mam zamiaru iść na medycynę, tylko na politechnikę.

Bomba pękła.

Pani Domaszkowa zacięła usta i stukając zgiętym palcem w stół, powiedziała tonem bezapelacyjnym:

— Jakie ty masz, moje dziecko, zamiary, to inna rzecz, a co ja postanowiłam, to inna rzecz. Pozwól, że o losie swoich dzieci ja, matka, będę decydować. Pójdiesz na medycynę...

— Ani myślę — wybuchnął Józef — dzięki Bogu jestem dorosły i sam się sobą będę rozporządzał! Ot, co!

— Józeczkule, Jesssusss, Maryja! Jakże można tak do matki mówić! — zgorszyła się ciotka Michalina.

— Pozwól, Michasiu, pozwól — przerwała pani Paulina — cóż ty sobie Józek myślisz, że ja ci źle życzę? Że ja twój dobra nie pragnę?

— Ja wiem, że mama mi dobrze życzy, ale ja też mam swój rozum...

— Żadnego rozumu nie masz! — tupnęła nogą pani Domaszkowa. — Patrzcie go! Doktorem nie chce zostać?! A jakież fach więcej daje? Co? Jajo mądrzejsze od kury! Kupiec może zbankrutować, obywatel ziemski jak nieurodzaj, to nie daj Boże, a doktor zawsze ma swoje, bo ludzie nigdy chorować nie przestaną!... Jak kto chory to na nic nie ogląda się, a ostatniego rubla w zębach do doktora zanieśie...

— Święta prawda — potwierdziła ciotka Michalina.

— Co to święta?! Najświętsza prawda — ciągnęła pani Domaszkowa — a co tobie tam politechnika? Śmiech powiedzieć! Mam syna na jakiegoś geometrę wychować...

— Mama sama nie wie, a mów! Nie na żadnego geometrę, tylko na inżyniera.

— Patrzcie go! Na inżyniera! Wielka mi różnica! Nawet wstyd żeby szlachcic takimi rzeczami się zajmował!

— Wstydu żadnego nie ma — wtrąciła Natka, lecz zaraz umilkła pod karcącym spojrzeniem pani Domaszkowej.

— Czy jest wstyd, czy nie — ponuro powiedział Józef — a ja właśnie pójdę na inżynierię i koniec.

— Któż to tobie takie mądre rzeczy w głowę wbił? Co?

— Nikt mi nie wbił. Sam tak postanowiłem i może się mama nie wysilać, bo to nic nie pomoże.

Pani Domaszkowa próbowała jeszcze prosić, namawiać, gniewać się, wreszcie rozplakała się, płacz przeszedł w spazmy, spazmy w omdlenie.

— Jesssusss, Maryja!... — pokrzykiwała przerażona ciotka Michalina, pędząc z mokrym ręcznikiem i z amoniakiem.

— Biedna ciocia Polcia — wzdychała Natka, rozsznurowując gorset nieszczęsnej matki.

Obie przy tym patrzyły na Józefa jak na zwykłego zbója.

W tych warunkach wyrodnemu synowi nie pozostawało nic innego jak przejść do sypialni i oddać się na pastwę wyrzutów sumienia.

Z saloniku dolatywały tu urywane słowa i zdania, z których jasno wynikało, że dzisiejsze dzieci to tylko obraza boska, że Boga w sercu nie mają, że po prostu wpędzają matkę rodzoną do grobu.

Józef wyobraził sobie wielki rozkopany grób i siebie z wielkim batem w ręku, wpędzającego zapłakane matczyisko do tegoż grobu.

Zrobiło mu się przykro. Zrobiło mu się boleśnie. Przed oczyma stanęła perspektywa najbliższych dni, wakacji i lata, cierpienia matki, tej kochanej matki, która sobie wymarzyła, że on, jej syn, zostanie lekarzem...

Tymczasem pani Domaszkowa ze spieczonym od amoniaku nosem odzyskała przytomność i znowu dostała spazmów.

Józef załamał z rozpaczony ręce:

— Nie mogę dłużej, nie mogę...

Wypadł z sypialni i z płaczem ukląkł przy kozetce:

— Uspokój się, mamusiu, uspokój się — błagał.

— Po cóż ja ciebie urodziłam!... Ach! Ach! Ach! Po co ja takiej chwili dożyłam! Ach! Ach! Ach!...

— Ależ mateczko...

— Własną piersią wykarmiłam! Ach! Ach! Ach!

— Uspokój się, droga, jedyna mateczko...

— Na stare lata moje... Ach! Ach! Ach! Po cóż ja tego dożyłam!...

Józef chwycił ją za ręce i okrywając je pocałunkami ślubował, że już dobrze, że pójdzie na medycynę.

Wszystkim kamień spadł z serca.

Józef z uścisków matki wpadł w ramiona rozczulonej ciotki, najdłużej jednak ścisnęła go Natka. Dowiedział się, że jest pocziwy, że ma złote serce, a choć to serce kurczyło mu się z żalu na wspomnienie warczących maszyn i ze smutku w przewidywaniu lancetów i zapachów lekarstw — uśmiechnął się przecie.

Nareszcie był znowu spokój i zgoda, i radość w rodzinie.

— Synku mój kochany — tuliła go ze wzruszeniem pani Domaszkowa — wiedziałam, że nie jesteś z kamienia i że masz swój rozsądek. Na pewno i pan Cezary twoje postanowienie pochwali i dalszej pomocy nie odmówi.

Na dźwięk imienia stryja Józef drgnął. Prawda, przecież stryjowi musi jeszcze pójść podziękować. Tylko nie wiadomo, czy stryj jest w Warszawie, czy już wyjechał za granicę. Gdybyż wyjechał!

Bał się stryja Cezarego jak ognia. Widział go zaledwie kilka razy w życiu, tego siwego surowego pana z długim nosem, którego wszyscy w rodzinie nie nazywali inaczej jak „panem Cezarym”, i którego wszyscy bali się tak, jak i sam Józef.

Wiedział o stryju dużo, bardzo dużo, że jest bez serca dla rodziny i bez sumienia, czego najlepszym dowodem było to, że płacił za Józefa gimnazjum, a mógłby przecie dawać i na jego utrzymanie, albo wziąć go na mieszkanie do siebie. Ale sknera ten sam zajmował aż dwanaście pokoi, będąc starym kawalerem, i ani myślał zająć się losem rodzzonego bratanka.

Wprawdzie od czasu do czasu dawał doraźnie po kilkadziesiąt rubli rodzinie na zażegnanie różnych klęsk, ale w swojej pysze nie chciał przyjmować nikogo, tylko kazał załatwiać prośby listownie, jak z jakimś urzędem.

W jednym tylko przejawiało się zainteresowanie pana Cezarego dla bratanka: — żądał, by ten dostarczał mu wszystkie wypracowania szkolne, jakie napisał. Toteż Józef cierpiał przy tych wypracowaniach podwójnie, wiedząc, że nie tylko nauczyciel będzie je czytał, ale i srogi stryj. Ileż pracy wkładał w każdą literkę, by była zgrabna i czytelna!

Co kwartał szedł na ulicę Mazowiecką i oddawał zapisane i obłożone papierem zeszyty do rąk pana Piotra, starego kamerdynera stryja.

W ogóle wszelka komunikacja z panem Cezarym odbywała się przez tegoż pana Piotra. On odbierał listy, on wyznaczał rzadkie audiencje, on wypłacał pieniądze, a czasem w chwili dobrego humoru pogawędził z panią Domaszkową czy z Józefem o tym i o owym, udzielając skąpych, a zawsze niezwykle interesujących wiadomości o swoim panu, jego przyzwyczajeniach, zamiarach, opiniach.

Józef wiedział, że pan Piotr jest doń życzliwie usposobiony, co było rzeczą cenną, gdyż kamerdyner wiele mógł.

Pod wrażeniem matury i niemniej epokowego zdarzenia z Natką Józef zapomniał o stryju i o tym, że przed wyjazdem do Terkacz trzeba mu złożyć wizytę i podziękować za pomoc.

To odciągnęło uwagę Józefa od świeżo poniesionej klęski. Zresztą i pani Domaszkowa postarała się ułatwić mu zapomnienie o nieszczęsnej politechnice, wyciągając na tapetę sprawę o wielkim, doraźnym znaczeniu:

— Trzeba ci, drogi chłopcze, zrobić ubranie cywilne, przecie nie możesz teraz chodzić w tym mundurku.

Naturalnie, że nie mógł!

— W Koluszkach u Icka byłoby taniej, ale już niech tam rubla czy dwa przeplacę, a za to będzie z szykiem.

Zaczęła się dyskusja.

Natka radziła brązowe, bo to będzie do twarzy, ciotka Michalina czarne, bo to najprzyzwoiciej, Józef chciał mieć popielate w paski, a pani Domaszkowa, wysłuchawszy wszystkich, orzekła:

— Macie rację, zrobię mu koloru „marengo”<sup>23</sup> z prawdziwego „diagonalu”<sup>24</sup>.

We czwórkę wyruszyli na miasto, by kupić materiał, podszewkę, guziki, bo to krawiec zawsze na tym nabija. Na Bielańskiej było strasznie drogo, ale na Franciszkańskiej dostali to, czego szukali. Wszystko razem kosztowało siedem rubli pięćdziesiąt sześć kopiejek.

Pan Hirsz, nadworny krawiec świętej pamięci pana Bulkowskiego, zaśpiewał 6 rubli za samą robotę i nie ustąpił ani grosza, bo i tak po starej znajomości, jak ma w trzy dni zrobić...

Pani Domaszkowa właśnie położyła się do łóżka w pokoju panny Pęczkowskiej i ciotka Michalina została z nią „na słoweczko”.

Zarówno Natka jak i Józef wiedzieli dobrze, że potrwa to słoweczko niejedną godzinę, toteż bez zbytnich ostrożności wyzyskali pozostawiony sobie czas w sposób należyty. Ich konwersacja nie była przesadnie urozmaicona. Natka co kilka chwil mówiła:

— Mój słodki Józku!...

Józef nic nie mówił, gdyż nie nasuwały mu się na myśl żadne głębsze refleksje.

Nazajutrz rano po starannym wyczyszczeniu munduru i butów, syn wraz z matką wybrali się na Mazowiecką.

Przed bramą stał wspaniały powóz, zaprzężony w parę kasztanów, ze stangretem i lokajem na koźle.

— Źle wybraliśmy godzinę — westchnęła pani Domaszkowa — pan Cezary pewno nie będzie miał czasu nas przyjąć.

— A może właśnie wrócił? — zauważył Józef.

Weszli na pierwsze piętro. Chłód marmurowej sieni i kolorowe szyby okien klatki schodowej robiły wrażenie dostojne, niemal kościelne. Wielkie białe posągi na podestach potęgowały je jeszcze bardziej.

Na pierwszym piętrze stanęli przed wysokimi lśniącoymi drzwiami. Pani Domaszkowa szeptem upominała syna, by bardzo dziękował, by pocałował stryja w rękę, by tylko Boże broń nie wspomniał o swoim ojcu, bo pan Cezary nie znosił nieboszczyka, nazywając go lekkoduchem i abnegatem.

Józef z nabożeństwem nacisnął wreszcie guzik dzwonka elektrycznego.

Po chwili drzwi uchyliły się i na progu stanął staruszek w liberii.

— Dzień dobry, dzień dobry, kochany panie Piotrze — zawołała pani Domaszkowa.

— A, to pani, a i kawaler? Proszę, proszę, moje uszanowanie.

Weszli do ogromnego przedpokoju. Otwarte drzwi odsłaniały niekończącą się amfiladę salonów.

— Mój kochany panie Piotrze, czy aby zastaliśmy pana Cezarego w domu, bo widziałam powóz czeka... A to chcieliśmy złożyć uszanowanie, bo to właśnie Józef maturę zdał, to i podziękować osobiście wypada...

— Aha? — uśmiechnął się dobrotliwie kamerdyner — no jakże, należy się, proszę dalej, proszę.

Wprowadził ich do niedużego pokoju tuż obok i wskazał krzesła:

— Proszę siadać i zaczekać łaskawie. To już kawaler dorosły! Mój Boże, jak ten czas leci! A niedawno jeszcze ot takim chłopaczkiem był!... No, to jakże, z takiej okazji na pewno jaśnie pan raczy przyjąć, tylko nie wiem czy teraz, bo właśnie jedzie na audiencję do Zamku, do samego generał-gubernatora!

— Boże kochany! Do samego generał-gubernatora!

— Tak, tak. Ordery wszystkie raczył jaśnie pan przypiąć i we fraku. Pewno nie byle jaka sprawa.

— To może my najlepiej innym razem — zaniepokoiła się pani Domaszkowa.

— Otóż właśnie — powiedział służący — tylko, że ja zapytam kiedy? Proszę tu sobie cichutko posiedzieć, a ja zaraz zapytam i wrócę.

<sup>23</sup>marengo — odcień ciemnoszarego, nieco jaśniejszy od grafitowego. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>diagonal — rodzaj tkaniny bawełnianej, półwełnianej a. wełnianej o splocie skośnym z bardzo dużym nachyleniem prążków. [przypis edytorski]

Józef rozglądał się z podziwem. Ile razy tu był, zawsze mieszkanie stryja wywierało nań przytłaczające wrażenie. Taki przepych widywał tylko z rzadka w teatrze, gdy przedstawiano sztukę z życia królów czy hrabiów. Skromny dworek ojca pozostał w jego pamięci jako mglisty obraz dzieciństwa, dwór państwa Hejbowskich był, oczywiście, pięknie i bogato urządzony, ale ani równać się mógł z mieszkaniem pana Cezarego.

Kamerdyner powrócił z miną uśmiechniętą, co było dobrym znakiem:

— Jasnie pan jest teraz zajęty, ale prosi przyjść o piątej. Tylko żeby się państwo nie spóźnili i żeby przynieśli tę... no... moturę.

— A widzisz! — triumfująco zawołała pani Domaszkowa. — Nie mówiłam: — weź Józek moturę, weź!

— No dobrze, teraz wezmę.

— Panie Piotrze kochany, a czy pan Cezary w dobrym, daj Boże, humorze? Bo to lepiej wiedzieć.

Piotr rozłożył ręce:

— Trudno wiedzieć, proszę pani, jasnie pan w różnych bywa humorach, z rana coś go nerwicowało, nawet proszki łykał, teraz siedzi przy biurku i jakieś papierzyska czyta, a co będzie o piątej, Bóg raczy wiedzieć.

Podziękowawszy za te informacje, wyszli na ulicę.

Pani Domaszkowa miała jeszcze dużo sprawunków do załatwienia i dla wuja Mieczysława i dla proboszcza, a nawet dla państwa Hejbowskich.

Do obiadu było jeszcze dość czasu, wstąpili tedy na przymiarkę do krawca, a później na lody do cukierni, bo upał był duży.

Józef obładowany paczkami, idąc obok matki, martwił się jej prowincjonalnym wyglądem i tylko wzdychał, by nie spotkać któregoś z kolegów.

Stało się jednak jeszcze gorzej. Gdy skręcili na Senatorską i znaleźli się tuż przed składem aptecznym pana Miernickiego, Józef poczerwieniał jak burak: — na progu stał pan Miernicki i żegnał się z córką, z boską panną Stasią, ubraną jak anioł i z niebieską parasolką.

Uklonił się niezdarnie i stawiając nogi sztywno czuł, że musi wyglądać śmiesznie, objuczony jak muł, w wytartym na łokciach mundurku, który z tyłu zwłaszcza musi wyglądać wręcz kompromitująco.

Jak na złość matka opowiadała coś przeraźliwie głośno i po prostu nieprzyzwoicie rozglądała się na wszystkie strony, jakby z nieba spadła.

Był okropnie zły i przez cały obiad siedział skwaszony. Na złość ciotce powiedział, że kartoflanka jest przydymiona, co wywołało długie wążania i mlaskania, a na złość Natce, że spotkał Stasię Miernicką, śliczną jak *Passiflora*<sup>25</sup>, co nie wywołało żadnego wrażenia poza zapytaniem ciotki Michaliny, kto to była ta *Passiflora*?

Józef sam nie wiedział, toteż odburknął wymijająco:

— Taka królowa egipska.

Po obiedzie panie zajęły się oglądaniem zakupów, Józef usiadł przy stole i wydobył swój plan mechanicznej polewaczki. Jego serce napełniła gorycz.

Tak marzył o tym, że zostanie sławnym inżynierem, że będzie budować ogromne maszyny, kierować jakąś wielką fabryką, gdzie wre praca wśród nieustannego hałasu... Może zrobiłby nawet jakiś wynalazek?...

I wszystko w gruzach. Znał nieustępliwość matki. Wprawdzie mógłby pójść na politechnikę, ale wówczas, już nie mówiąc o ustawicznych awanturach, musiałby chyba sam utrzymywać się z korepetycji. Matka grosza nie dałaby, stryj Cezary też prawdopodobnie, a z „korki” strasznie trudno utrzymać się. Na przykład kolega Wilkiewicz zawsze chodzi obdarty i głodny. A w ogóle z rodziną nie należy zadzierać.

Fach lekarza nie pociągał Józefa wcale, jednakże do wszystkiego można się przyzwyczaić, a z czasem i polubić. Byłe nie operacje, brrr...! Krajać ludzi za żadne skarby. Zresztą doktorzy zarabiają dobrze, a jeśli matka tak upiera się przy medycynie, pewno ma słuszne powody. Doświadczenia starszych nie należy lekceważyć.

<sup>25</sup>*passiflora* — gatunek rośliny ozdobnej o niezwykle, kolorowych kwiatach; męczennica. [przypis edytorski]

Jakoś to będzie — westchnął w końcu i przedał na pół projekt mechanicznej polewaczki.

Pani Domaszkowa spojrzała na zegarek:

— Boże kochany! Już wpół do piątej! Czy aby zdążymy?!

— Dlaczego mamy nie zdążyć, najwyżej dwadzieścia minut drogi.

— W razie czego — uspokajała ciotka Michalina — weźmiesz Polciu deróżkę. Za trzydzieści kopiejek zawiezie.

Rzeczywiście, nim się wybrali, było już tak późno, że musieli wsiąść do doróżki. Jednakże na rogu Mazowieckiej wysiedli.

— Tak lepiej, synku — powiedziała pani Domaszkowa — nie trzeba ludzi kłuć w oczy swoją rozrzutnością. Boże broń, pan Cezary zobaczyłby przez okno, że my tu deróżkami rozbijamy się!

— No więc cóż nadzwyczajnego — wzruszył ramionami Józef — a stryj to nie jeździ powozem?

— Taki już świat, synku. Ci co jeżdżą powozami oburzają się na tych, co raz na rok trzydzieści kopiejek na deróżkę wyrzucą. A może i słusznie, kto to może wiedzieć?

Drzwi otworzył teraz lokaj, ten sam co siedział przedtem na koźle. Widocznie od niedawna służył w tym domu, bo nie znał ani pani Domaszkowej, ani Józefa. Obrzucił ich krytycznym spojrzeniem i zapytał impertynencko:

— Państwo czego?

Józefowi krew uderzyła do twarzy. Jak ten slugus śmie tak odzywać się do nich! Na usta cisnęły się słowa wyniosłe i obelżywe. Zwymyślałby tego chama od ostatnich!

Na szczęście zdołał się pohamować, bo tylko niepotrzebnie narobiłby przykrości, a i tak nadszedł pan Piotr.

— Witam, witam państwa — zawołał poufale, odsuwając na bok lokaja — prosimy, prosimy.

Józef obrzucił służącego spojrzeniem pełnym pogardy, a pani Domaszkowa zapytała:

— Kochany panie Piotrze, to znaczy, że pan Cezary jest w domu? Bo tak bałam się, czy nie spóźnimy się! Zawszeć kawał drogi z ulicy Freta.

— Jest, jest, a jakże — dobrodusznie uśmiechnął się kamerdyner — zaraz zamelduję.

Usadowił ich w tymże pokoju i wyszedł.

Na jego powrót czekali krótko, lecz dowiedzieli się, że „jaśnie pan poprosi za parę minut”.

— A w jakimż humorze pan Cezary? — dopytywała się pani Domaszkowa.

— Dzięki Bogu wrócił z Zamku zadowolony. Widać powiodło się. O, ja to zaraz wrozumiem. Jak tylko jaśnie pan w dobrym humorze, to chodzi po gabinecie, mruczy pod nosem i te swoje kiwony w ruch puszcza.

Pani Domaszkowa nastawiła uszu:

— Że co puszcza?

— Te, no kiwony. Takie znaczy się figurki, co to taki chińczyk czy inszy japoniec zrobiony, że jak tylko palcem dotknąć, to on głową kiwa i kiwa bez końca.

— Aha — zdziwiła się pani Domaszkowa — patrzcie no państwo! I to pan Cezary zajmuje się tym?

— Eeee tam, zaraz zajmuje się! Ot, po prostu, chodzi, mruczy pod nosem, a przechodząc czy mimo kominka, czy koło biurka palcem mach!... i już kiwon głową, o tak... bez końca. Czasem to i dwie godziny kiwa się. Sprytnie tak zmajstrowany.

— Wiem, wiem, pamiętasz Józku, u państwa Łyczkowskich też były takie dwie figurki?

— Pamiętam.

— O, u jaśnie pana — machnął ręką kamerdyner — to tych kiwonków jest masa. I duże, i małe, i te w sypialni też.

Rozległy się dwa krótkie ostre dzwonki i Piotr poderwał się z miejsca:

— Jaśnie pan prosi.

Ogromny ciemnoczerwony gabinet pełen pozłocistych brązów i wielkie biurko w środku, wyglądające jak ołtarz, nie sprawiały jeszcze tak przytłaczającego wrażenia, jak siedzący w wielkim gotyckim fotelu siwy pan z szeroką brodą i z równie siwymi krzaczastymi brwiami, sterczącymi znad oprawy szkieł.

— Proszę — odezwał się, nie wstając.

Pani Domaszkowa drobnym kroczkiem, dygając raz po raz, przeszła przez pokój:

— Moje uszanowanie panu, moje najniższe uszanowanie.

Pan Cezary podał jej końce palców i wskazał krzesło stojące dość daleko od biurka.

Józef pocałował stryja w rękę, nie mogąc zdobyć się na powitanie. Pan Cezary poklepał go po ramieniu:

— No, wiesz ci chłopcze. Pokażę swoje świadectwo.

Rozwinął papier i przeczytał uważnie.

— Hm... dobrze — mruknął — siadaj tu. Cóż nic nie mówisz?

— Dziękuję stryjaskowi — bąknął Józef.

— Jakież masz zamiary? Czy chciałbyś kształcić się dalej?

— Tak jest, stryjaszku.

— No, a w jakim kierunku?

Pani Domaszkowa odezwała się najśłodszy glosem, na jaki zdobyć się umiała:

— Właśnie, proszę szanownego pana, Józek, sądzę, jeżeli szanowny pan nadal nam swojej łaski i dobroci nie odmówi, mógłby kształcić się na lekarza i takim sposobem na człowieka wyjść. Doktorzy dobrze zarabiają...

— Zaraz, zaraz — niecierpliwie przerwał pan Cezary, stukając palcem po szerokiej poręczy — pani bratowa nie oduczy się nigdy tej nieznośnej gadatliwości.

Pani Domaszkowa umilkła natychmiast.

— Więc chcesz iść na medycynę? — zwrócił się pan Cezary do Józefa.

— Tak jest, stryjaszku — kiwnął głową Józef.

Pan Cezary pogładził brodę, sięgnął do dużego pudła, wydobyl cygareto, systematycznie obciął koniec szczyrykiem, zapalił i puszczając kłąb dymu w górę, zaczął:

— Owszem. Pochwalilibym ten zamiar, gdybym nie miał względem ciebie innych. Jesteś już dość dorosły, bym mógł z tobą o tym mówić. Wiesz zapewne, że ród Domaszków słynął z tego, że wydał Mikołaja, znakomitego kronikarza, Bolesława, biskupa i autora kalendarza łowieckiego, wreszcie Dominika, który pisał fraszki. Słowem ród nasz służył kulturze naszego narodu piórem i umysłem. Otóż, mój chłopcze, dziad twój, a mój ojciec, świętej pamięci Ksawery, Panie świeć nad jego duszą, zwierzył mi się, że w swoim czasie, kiedy zaledwie był po ślubie ze swoją drugą żoną, a swoją babką, poznał w Paryżu naszego wieszczę Juliusza Słowackiego.

Pan Cezary odsapnął, poprawił szkła i mówił dalej:

— Twoja babka, a moja najdroższa matka, świętej pamięci Melania, była wówczas słynna z piękności, a nadto wykształcona i różnymi talentami obdarzona. Toteż poznawszy wielkiego poetę nie tylko uczuła do niego skłonność, lecz i jego uczucia wzbudziła.

Tu pan Cezary chrząknął i poprawił się w fotelu.

— Zaznaczyłem już, że uważam ciebie za dość dojrzałego, byś z powagą przyjął, co ci powiem i pojął doniosłość faktu odsłoniętego mi przez świętej pamięci Ksawerego. Tedy dziad twój powziął podejrzenie, że miłość twojej babki do naszego wieszczę nie pozostała bezowocną i że ojciec twój, a mój nieboszczyk brat Teodor, nie był synem jego, Ksawerego, lecz właśnie wielkiego poety Juliusza Słowackiego. Czy rozumiesz?

Józef poczerwieniał jak burak:

— Rozumiem, stryjaszku.

— Będąc człowiekiem mądrym, dziad twój nie tylko z tego powodu nie rozpaczał, lecz przeciwnie, cieszył się, że oto w jego rodzie przechowa się krew wieszczę, a chociaż babka twoja, jak to każda kobieta, zaprzeczała i nie przyznawała się, jednakże są podstawy do twierdzenia, że ojciec twój był synem... hm... naturalnym Juliusza Słowackiego.

Pan Cezary odsapnął i westchnął:

— Niestety, świętej pamięci mój brat tylko w młodości zdradzał większy pociąg do pióra. Pisał wiersze wielce udatne, a nawet piękne. Później, kiedy to masowe szaleństwo ogarnęło ludzi o zapalonych głowach, poszedł z nimi przeciw monarsze i władzom. Jak wiesz to zapewne, ojczyzna na tym awanturnictwie nic nie zyskała, natomiast winowajcy stracili niemal wszystko, co posiadali. Twój ojciec spędził długie lata na wygnaniu, a gdy powrócił był już niezdolny do odnalezienia w sobie odziedziczonych geniuszu jak i do rozsądnego życia. Wówczas to ożenił się z twoją matką.

Pani Domaszkowa stęknęła cicho i poruszyła się, lecz pan Cezary powstrzymał ją ruchem dłoni i mówił dalej:

— Wiesz, że nie mam dzieci i że ty jesteś jedynym, ostatnim potomkiem naszego rodu, jeżeli nie *de facto*, to w każdym razie z nazwiska. Otóż...

— Jest jeszcze Hanka — nieśmiało wtrącił Józef.

— Naucz się, mój chłopcze, nie przerywać starszym. Twoja siostra jest dziewczyną i z chwilą wyjścia za mąż zmieni nazwisko. Zatem baczna uwagę zwracałem na twoje nauki, chcąc sprawdzić, czy chociaż w drugim pokoleniu nie przejawily się talenty wieszczka.

Sięgnął do szuflady i wydobyl grubý plik zeszytów.

— Czytając te twoje wypracowania, doszedłem do poglądu, że masz zdolności literackie. O, tu na przykład, w opisie burzy jest zdanie — pan Cezary odszukał potrzebną stronę i przeczytał:

„Niebo grało jak organy, pioruny wybijały werbla na matce ziemi...”, albo tu o życiu Puszkina: — „*suzdzieno bylo stomat' etoj wielikoj duszie jeja archangielskija krylja*<sup>26</sup>...”.

Józef spłonął jak piwonia.

— Nie będę zresztą — ciągnął pan Cezary — przytaczał przykładów. Wystarczy jeżeli powiem, że dla sprawdzenia swego sądu pokazałem te kajety redaktorowi Szmigielskiemu, który na literaturze zna się jak mało kto, a on również był zdania, że masz zadatki na to, by stać się literatem, a może nawet, przy sumiennej i cierpliwej pracy, poetą. Wówczas postanowiłem tak pokierować twoim wykształceniem, byś mógł z czasem przyczynić się do opromienienia naszego nazwiska nowym laurem sławy.

Józef był wręcz przestraszony. Zamiary stryja Cezarego były dlań czymś tak niespodziewanym, tak przerażającym, że już chciał powiedzieć o tej burzy z organami, że naprawdę to ściągnął ją od Buszla, a Puszkina przepisał z przedmowy do *Jeugienija Oniegina*.

Jednakże stryj mówił dalej swoim równym, poważnym głosem, mówił o wielkiej roli piśmiennictwa, o zasługach rodu Domaszków, o potrzebie trzeźwego stosunku do rzeczywistości, o szkodliwej naiwności burzycieli spokoju...

Józef wodził oczyma po dostojnej postaci stryja, po złocistych brązach, po biurku, na którym z powagą kiwały głowami dwie porcelanowe figurki chińczyków, jakby przytakując temu, co mówił stryj Cezary. Spojrzał na siedzącą na brzeżku krzesła matkę, na swoje czerwone ręce i znowu na brodę pana Cezarego.

— Tedy, mój chłopcze, powiedz, czy przyjmujesz moją wolę i czy chcesz się do niej zastosować?

— Tak jest, stryjaszku, chcę.

— Bardzo, bardzo przepraszam — jęknęła pani Domaszkowa — ale jakże? To przecie Józef jest biednym chłopcem. Jeszcze póki mój brat żyje, ale, Boże kochany, niech oczy zamknie, to żyć nie będziemy mieli z czego. Pewno, że to bardzo pięknie być literatą, ale te mizeraki do gęby, za przeproszeniem, nie mają co włożyć. Jakże to...

Pan Cezary zmarszczył brwi i targnął brodą:

— Proszę panią bratową zachować spokój. Nie znoszę wrzasków i paplaniny. Gdy skończę, będzie pani na to dość miała czasu.

Poprawił się nerwowo w fotelu i powiedział:

— Otóż, Józefie, postanowiłem, że będziesz się kształcił w Paryżu, tym największym ognisku kultury. Zaraz na jesieni wyjedziesz tam i zamieszkas u państwa Parczewskich, moich znajomych. Zapiszesz się na wydział filozoficzny. Zresztą pan Parczewski zajmie się szczegółami, ja tu daję tylko ogólne wskazówki. Całkowite koszty twego utrzymania i wykształcenia poniosę ja. Tylko musisz żyć oszczędnie, skromnie, bez żadnych ekstrawagancji, no i systematycznie zapisywać wszystkie wydatki. Będziesz mi je przysyłać co kwartał.

Pan Cezary odwrócił głowę do bratowej i dodał:

— A o swoją przyszłość możesz się, chłopcze, nie martwić. Jestem dość bogaty by ci ją zabezpieczyć, naturalnie tylko w tym wypadku, jeżeli zadowolisz moje pokładane w tobie nadzieje.

---

<sup>26</sup>*suzdzieno bylo stomat' etoj wielikoj duszie jeja archangielskija krylja* (ros.) — przeznaczone było złamać tej wielkiej duszy jej archanielskie skrzydła. [przypis edytorski]



— Boże kochany! — klasnęła w ręce pani Domaszkowa. — Cóż za wielka łaska! Józef! A dziękujże najukochańszemu stryjaszkowi!

Józef zerwał się i cmoknął stryja w rękę.

— Siadaj! — niemal krzyknął pan Cezary. — Zatem w sierpniu pojedziesz do Paryża. Umiesz mówić po francusku?

— Nie bardzo, stryjaszku.

— Więc się ucz. Przed końcem sierpnia przyjedziesz tu do mnie, otrzymasz wskazówki i pieniądze na drogę. Jeszcze jedno. Czy pisałeś kiedy wiersze?

— Nie, stryjaszku...

— Więc spróbuj. No, a teraz do widzenia.

— Do widzenia stryjaszku, bardzo dziękuję za wszystko, bardzo dziękuję.

Gdy wyszedł na ulicę, kręciło mu się w głowie. Paryż, Słowacki, pieniądze, wiersze, babka, chińskie figurynki, tak śmiesznie przez Piotra nazywane kiwonami, siwa broda stryja i znowu Paryż, zagranica!...

Jakież to wszystko dalekie, nieprawdopodobne i przerażające!

Józef przez dwa dni żył jak w gorączce. Zachwyty matki. „Jessusss, Maryja!” ciotki Michaliny i przelotne pieszczoty z Natką, a nawet nowe cywilne ubranie, nie zdołały dłużej niż na kilka chwil zaabsorbować jego uwagi.

Dopiero w wagonie spostrzegł, że nie kupił laski i że Natka ma łzy w oczach.

Układała przecież sobie plany, jak to będzie, gdy Józef wstąpi na uniwersytet i, oczywiście, nie wyprowadzi się od nich, tylko jako dorosłemu trzeba będzie dać pokój panny Pęczkowskiej, a panna Pęczkowska może sobie poszukać innego.

Pociąg ruszył.

W wagonie był niesłychany tłok i szwargot Żydów. Pani Domaszkowa ulokowała się przy oknie, Józef mógł wprawdzie usiąść przy niej na kufeczek, ale umyślnie wyszedł, a raczej przecisnął się na korytarzyk. Matka zaraz zaczynała rozmowy z wszystkimi pasażerami, a on tego nie lubił.

Oparł się o framugę otwartego okna i bezmyślnie wodził oczyma po znajomym krajobrazie. Miarowy łomot kół i porykiwanie lokomotywy uprzytomniły mu naraz, że już wkrótce pojedzie sam, daleko, do obcych. Do Paryża to jedzie się chyba z tydzień?!...

Cóż dalby za to, żeby nie wyjeżdżać! Nie dlatego, że nie ciekawił go Paryż, ale dlatego, że nie lubił nagłych zmian i bał się ich.

Tak cieszył się na wakacje w Terkaczach. Cisza, spokój, opowiadania wuja Mieczysława o różnych wielkich panach i ich fantazjach. Pan Hejbowski ze swoją nieodstępną fajką i z wesołymi kpinkami, pani Hejbowska tak pięknie grająca na fortepianie i szumiąca jedwabiami, a rozmawiająca ze swoją Lusią i z boną po francusku. A bona podobno jest nowa, też Francuzka, tylko starsza i brzydsza od dawnej *mademoiselle* Pouch, którą wszyscy nazywali Puszetką.

Hanka po dawnemu szyje dla państwa Hejbowskich... Biedna Hanka jest starą panną i wuj Mieczysław powiada, że dlatego jest histeryczką. Józef bardzo kochał Hankę i zawsze próbował stawać w jej obronie, zawsze to siostra...

Najobrzydliwsza była Lusja. Dokuczała i Hance, i Józefowi. Taka smarkata. Obiłby ją z przyjemnością, ale przecież nie mógł. Ale nigdy jej nie powiedział „panienko”, wolał unikać spotkania z nią, co zresztą nie było trudne: park, ogrody, wreszcie las.

Zajrzał do przedziału. Pani Domaszkowa rozmawiała z jakimiś dwiema paniami i częstowała je kurczętami i jajami na twardo, które wydobyla z walizki.

Józef czym prędzej uciekł. Nie cierpiał kurcząt z walizki i jaj na twardo.

Trzeba uczyć się mówić po francusku. Gdyby nie ta obrzydliwa Lusja, może pani Hejbowska pozwoliłaby mu konwersować z boną?...

Wyobrażał sobie, jaką sensację wywoła w Terkaczach to, że on jedzie na uniwersytet do samego Paryża!

Pani Hejbowska tylko raz w życiu była w Paryżu, a pan Hejbowski ani razu. Przed paru laty jeździł wprawdzie do Berlina, ale co Berlin — to nie Paryż.

Tylko na miły Bóg, żeby mama nic nie mówiła państwu Hejbowskim o tym Słowackim i o tym, że on, Józef, ma kształcić się na literata!

To dopiero wyśmieliby go.

Pociąg zbliżał się do Koluszek. Pani Domaszkowa z wielkim rwetesem zaczęła się pakować i ledwie zdążyła na czas. Postój w Koluszkach trwał tylko dziesięć minut i można było przez nieuwagę przejechać dalej.

Już z daleka Józef dojrzał na peronie sumiaste wąsy wuja Mieczysława i jego granatową „maciejówkę”.

Podczas przywitania i przenoszenia rzeczy na bryczkę nie mógł wujowi nic powiedzieć, gdyż matka miała zbyt wiele informacji do natychmiastowego zakomunikowania bratu.

Przywitał się więc tylko z dobrze znajomymi srokaczami i ze stajennym, Walkiem, obok którego ulokował się na koźle.

Walek wielkodusznie zaproponował Józkowi powożenie, ale jemu się nie chciało.

Droga za miasteczkiem skręcała w lewo ku Brzezinom. Po niespełna godzinie jazdy zza pagórka wyłonił się zielony dach dworu terkackiego.

Srokacze pod górę szły stępa, teraz jednak Walek śmignął batem i przeszły w dobry kłus. Bryczka podskakiwała na kamyczkach, pani Domaszkowa nie przestawała mówić.

Nad rowem koło szosy stała w znanej zielonej sukni Hanka i machała ku nim wielkim liściem łopuchu. Jej ziemista twarz uśmiechała się radośnie.

— Zatrzymaj, Walek, wysiądę — zawołał Józef.

— Po co?! Po co? — krzyknął wuj Mieczysław. — Jazda! Zdązysz przywitać się w domu.

Walek znów puścił konie. Przemknęli obok Hanki. Józef krzyknął jej:

— Dzień dobry!

Ona jednak nie dosłyszała. Stała jeszcze chwilę, wciąż się uśmiechając, tylko już nie powiewała liściem łopuchu.

Z alejki lipowej nagły zakręt prowadził w bok do oficyny wuja Mieczysława. Wprost jechało się do domu. Na oficynie dach pokryto w wielu miejscach nowym gontem, wyglądał teraz jak srokacze wuja.

Józef nie wszedł do domu, lecz pobiegł z powrotem na spotkanie Hanki. Jednakże zaraz na zakręcie wpadł na panią Hejbowską. Szła z książką w ręku, z czerwoną parasolką i ze swoim jamnikiem.

Na ukłon Józefa odpowiedziała uprzejmym skinięciem głowy:

— O, witam! Pan Józef!... Patrzcie państwo, to już dorosły mężczyzna!

Szurgnął nogą tak zamasyżycie, że obsypał piaskiem i swoje buty, i pantofelki pani Hejbowskiej.

— Moje uszanowanie pani — głośno pocałował ją w rękę.

— Jakże matura? Pomyślnie!

— Dziękuję. Dobra, proszę pani.

Pani Hejbowska podniosła do oczu lorgnon i obrzuciła go badawczym spojrzeniem:

— No, no — powiedziała uprzejmie — to wiesz. A jakież zamiary na przyszłość? Pewno po wakacjach znowu do Warszawy, na medycynę, słyszałam?

Józef poczerwieniał:

— Nie, proszę pani, jadę do Paryża i mam studiować filozofię.

Zdumienie wyraziło się na pełnej twarzy pani Hejbowskiej gwałtownym wzniesieniem się rzadkawych brwi.

— Mój stryj — wyjaśnił Józef — życzy sobie tego.

— Aha! No i zapewne poniesie koszta. Zatem ruszyło go sumienie?

Józef miał czapkę w ręku, nie wiedział, co ma odpowiedzieć.

— Stryj zawsze był dla mnie dobry — bąknął.

— No tak, ale nie mógł pańskiemu ojcu darować, że zrobił mezalians, żeniąc się z Kijakowiczówną. Widocznie przeszło mu to na starość. Bo chyba już ma po sześćdziesiątce?

— Chyba sześćdziesiąt sześć czy siedem, jak oblicza mama.

Właśnie nadeszła Hanka i nieśmiało zbliżyła się do nich. Józef chciałby ją mocno wyściskać, jednakże w obecności pani Hejbowskiej krępował się i tylko raz pocałował siostrę w policzek. Biedna, kochana Hanka...

— A to dobrze, że panna Hanka już wraca — odezwała się oschle pani Hejbowska — bo trzeba spieszyć z koszulkami nocnymi Lusi i pocerować moje pończochy. Położyłam je na komodzie w sypialni.

— Już idę, proszę pani.

— I niech panna Hanka dopatry, jak Karolcia prasuje różową sukienkę Lusi, żeby plisek nie zaprasowała.

— Dobrze, proszę pani.

Odeszła szybko, a Józefowi serce ścisnęło się mocno.

„Traktuje ją jak służącą — pomyślał z goryczą — miał rację Buszel, że kapitaliści wyzyskują. Ale cóż na to poradzić, przecież Hanka musi zarabiać...”

Jednakże do pani Hejbowskiej uczuł silny przypływ niechęci. Już chciał pożegnać ją i iść do oficyny, lecz zatrzymała go pytaniem:

— A panu pewno trudno będzie z francuskim? Nie mówi pan płynnie?

— Muszę poduczyć się, proszę pani.

— A, wobec tego zrobię panu pewną propozycję. Będzie pan mógł mieć konwersację francuską z nauczycielką Lusi i zresztą z Lusią, która już mówi bardzo dobrze. A ile razy ja idę na spacer, miło mi będzie też mieć towarzysza.

— Bardzo dziękuję — zmieszał się Józef — gdzieżbym się ośmielił... Jak ja się odwdzięczę...

Pani Hejbowska uśmiechnęła się:

— Och, taki drobiazg. Ale jeżeli już koniecznie chce pan zrewanżować się, to mógłby pan na przykład dawać dwie, trzy lekcje arytmetyki i algebry tygodniowo. Panna Corel też za to będzie panu wdzięczna, bo matematyka to jej słaba strona. Pomówimy o tym jutro szczegółowo, a tymczasem do widzenia, panie Józefie.

Znowu cmoknął ją w rękę i krótszą drogą, przez sad wiśniowy, poszedł do oficyny.

Wuj i matka siedzieli na ganku. Matka widocznie zdążyła już opowiedzieć wszystko, bo wuj nerwowo kręcił wąsy i z miejsca przywitał Józefa pytaniem:

— A cóż ty na to?

— Ja nic — wzruszył chłopak ramionami.

— Głowę ci tylko kołują! Najlepiej zrobiłbyś, jakbyś na te banialuki ręką machnął. Co ci po jakiejś filozofii! Filozofii nie ugryziesz.

— Stryj powiedział, że mnie zabezpieczy.

— Albo zabezpieczy, albo nie zabezpieczy. Jego fantazja i tyle. A jakbyś, panie do-brodziejcu, porządny fach miał w ręku, to gwizdać możesz na łaskę pana stryja.

Dyskusje na ten temat miały się powtarzać jeszcze nie raz, z góry jednak wszyscy wiedzieli, że przecież woli pana Cezarego trzeba ulegać, chociażby ze względu na spadek.

Józef Domaszko zaczął lekcje z Lusią. Dziewczynka była krnąbrna i rozkapryszona. Wprawdzie fakt, że pan Józef z oficyny od pana Kijakowicza jedzie do Paryża i ją napęłnił swego rodzaju respektem, wprawdzie przestała mu dokuczać tak demonstracyjnie jak dawniej, lecz nie żałowała sobie swobody przy lekcjach.

Za to Józef robił szybko postępy w języku francuskim. W pierwszym rzędzie przyczyniły się do tego rozmowy z samą panią Hejbowską. Nudziła się bardzo i dlatego spacerując z Józefem stawały się z każdym dniem dłuższe.

Początkowo ich celem bywało jezioro, wzgórek za parkiem lub stary młyn wodny, z czasem wszakże wyciągnęły się poza szosę, aż do Krzywego Wąwozu w lesie.

Te przechadzki wpłynęły znakomicie na humor pani Hejbowskiej i na cerę Józefa. Pryszyły zniknęły, widocznie pod wpływem zbawiennego działania pięknej mowy francuskiej i tak zwanego tchnienia wsi polskiej, może z jakąś szkodą dla nowego ubrania koloru „marengo”, które przy bliższym zetknięciu z matką naturą przyzieleniło się tu i ówdzie.

Józef coraz częściej był zapraszany do dworu na obiad lub na kolację. Przy stole rozmowa toczyła się wówczas po francusku i tylko stary pan Hejbowski od czasu do czasu chrząkał po polsku.

Józefowi było bardzo przykro, że nigdy nie zapraszano ani pani Domaszkowej, ani Hanki, ani wuja Mieczysława, ale umiał się z tym pogodzić, zdając sobie sprawę z ich niewyrobienia towarzyskiego.

Wreszcie przyjechała ciotka Michalina z Natką. Stwierdził to właśnie po powrocie z Krzywego Wąwozu i na próżno starał się ukryć swoje niezadowolenie, co na twarzy Natki wywołało wyraz bóleści.

Od tego dnia sytuacja Józefa uległa pewnej komplikacji, a jego siły znacznemu nadwątleniu. Schudł porządnie, lecz przecie pozostał na wysokości zadania, nie dając ani w oficynie, ani we dworze powodów do niezadowolenia ze swego towarzystwa.

Wuj całymi dniami zajęty był w polu, pani Domaszkowa w zabudowaniach gospodarskich, ciotka Michalina z Natką chodziły na jagody, a Józef niemal cały czas spędzał we dworze.

W tym to okresie nastąpiło zaćmienie słońca. Józef musiał zakopcić wszystkie potłuczone szyby i już od samego rana kto żył w Terkaczach nieufnie obserwował słońce. Pan Hejbowski na wszelki wypadek kazał pozamykać okna i spędzić bydło z pola. Nigdy nie wiadomo, co w takim wypadku może się zdarzyć, a strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Od początku zaćmienia stawał też najgorsze horoskopy:

— Ja wam powiadam — mówił z przekonaniem — że tak się to nie skończy. Albo będzie wojna z Turkami, albo rewolucja, albo co najmniej gradobicie.

Józef uśmiechał się pod świeżo puszcującym się wąsikiem i ani przypuszczał, że zajdą już tak prędko wypadki, które swą wagą nie tylko zamkną przed nim, Józefem Domaszką, drogę do Paryża, lecz wstrząsną posadami świata.

Wojna.

Ostatnie dni lipca i pierwsze sierpnia przynosiły do cichych Terkacz coraz głośniejsze echa tego słowa o treści na przemian groźnej, radosnej, przerażającej, niezrozumiałej.

Z dalekich granic, z odległych stolic płynęły fale, coraz szybsze, coraz gwałtowniejsze i rozwinęły się wielkimi białymi plakatami na ścianach Brzezin i Kuluszek:

Mobilizacja.

Cóż znaczyła Natka, pani Hejbowska, co sam Paryż wobec tego okropnego słowa. Przez skraj lasu biegł tor kolejowy, a po nim co kilka godzin, co godzinę, co pół godziny mknęły długie czerwone gąsienice pociągów. Z platform sterczały wysmukłe sylwetki armat, z szeroko otwartych wrót wagonów towarowych zwisały niekończące się frędzle nóg w czarnych juchtowych butach.

Wojna.

Po gorączkowych naradach w oficynie i po wysłuchaniu opinii we dworze zapadła decyzja:

Józef ma jechać natychmiast do Warszawy.

W pierwszym rządzie chodziło o rozstrzygnięcie przez stryja Cezarego, co wobec wojny ma z sobą począć. Po drugie o postaranie się, by stryj zechciał przez swoje olbrzymie stosunki zabezpieczyć Józefa przed mobilizacją.

Wprawdzie miał dopiero lat dziewiętnaście, lecz powołanie jego rocznika wisiało na włosku.

Z drugiej strony zachodziły poważne obawy, że Niemcy przekroczą natychmiast granicę i bez trudu zajmą Kuluszki.

Niektórzy wprawdzie utrzymywali, że będzie odwrotnie i że generał Renenkampf la-da dzień zdobędzie Berlin, lecz wobec różnorodności przepowiedni, najmądrzej i najbezpieczniej było udać się do stryja Cezarego, który z całą pewnością najlepiej wie, co jest i będzie.

Z małą walizką w rękę znalazł się tedy Józef Domaszko na Dworcu Wiedeńskim w Warszawie i zostawiwszy ją w przechowalni poszedł wprost na Mazowiecką.

Drzwi otworzył Piotr i przywitał Józefa przykrą wiadomością, że jaśnie pana nie ma i nie wiadomo, kiedy wróci, ale przecież można zaczekać.

Usadowił go tym razem w dużym salonie, gdzie na stołach leżało dużo pięknie oprawnych książek:

— Proszę tu sobie poogłądać... a tego może na ten przykład herbatki?

Józef podziękował i zostawszy sam, zabrał się do najbliższego tomu. Była to historia malarstwa angielskiego w języku francuskim, drukowana w Lipsku. Dojeżdżał już do końca, gdy niemal z wybiciem godziny ósmej powrócił stryj.

Powitał Józefa prawie serdecznie, poklepał go po ramieniu i pochwalił za to, że ten przyjechał.

— Jestem zadowolony — powiedział, sadowiąc się na kanapie i naciskając guzik dzwonka — że wykazałeś dość zmysłu orientacyjnego. Idą wypadki ważne, historyczne

przemiany... Piotrze — zwrócił się do kamerdynera — podawaj kolację. Panicz też będzie jadł ze mną.

Panicz! Słowo to zabrzmiało w uszach Józefa triumfalną fanfarą. Panicz! Kolacja ze stryjem Cezarym, z tym groźnym panem Cezarym też była awansem nie lada, ale ten tytuł właśnie wywołał na twarzy chłopca purpurowy rumieniec.

— Cóż robiłeś na wsi? — zapytał łaskawie stryj.

— Wprawiałem się, proszę stryjaszka, w konwersację francuską.

— To dobrze — starszy pan majestatycznie pogładził brodę — to nigdy nie zawadzi, chociaż doraźnie nie staje się koniecznością. Oczywiście, o wyjeździe do Paryża mowy być nie może. Przynajmniej w najbliższych kilku lub kilkunastu miesiącach.

— Tak jest, stryjaszku, tylko mama się bała...

— Czego tam znowu bała się?

— Bała się, stryjaszku, żeby mnie Moskale do wojska nie wzięli.

Pan Cezary zmarszczył brwi:

— Wstydy się, chłopcze. Że twoja matka używa takich wyrażen, nie dziwię się. Ale w ustach wykształconego i dobrze wychowanego człowieka takie obelżywe przewisko jak „Moskale” jest nad wyraz karygodne. Nic nie znaczy oprócz gminnych manier. Już to u nas jest widać w naturze, że swój patriotyzm objawiamy pokazywaniem figi w kieszeni. Rosjanie są wielkim i bratnim dla nas narodem, ich cesarz jest królem polskim, a teraz ci właśnie „Moskale” walczą i przelewają krew i za Polskę, chcąc wyrwać z jarzma pruskiego i austriackiego zagrabione części naszej ojczyzny. Winniśmy im wdzięczność, szacunek i współdziałanie, a nie niemądre przytyki. Czy rozumiesz mnie?

— Rozumiem, stryjaszku. To znaczy, że należy pójść do wojska.

— Nie, przyjacielu, tego nie powiedziałem. Oczywiście, na większości ciąży ten obowiązek. Ale ty, jako ostatni z rodu, dla jego dobra powinieneś tego uniknąć. Pomyśl o tym. Sądzę, że bez zbytnich trudności wyrobisz dla siebie „biały bilet”.

— Bardzo dziękuję stryjaszkowi.

Piotr zameldował, że podano do stołu.

Przeszli do wspaniałej jadalni, o wielkim owalnym stole. Ze względu na obecność lokaja, który stanął jak manekin za krzesłem Józefa, pan Cezary zaczął mówić po francusku. Początkowo upewniał się co kilka zdań, czy bratanek dostatecznie dobrze go rozumie, później mówił już prawie bez przerwy.

— Otóż chociaż nie wątpię w zwycięstwo Rosji, jeżeli tylko zniewieściła Francja nie zawiedzie, jednak wolę wziąć pod uwagę możliwość różnych wahań frontu. Na wojnie, jak na wojnie. Możliwą jest rzeczą, że i Warszawa, nie daj Boże, znajdzie się w sferze działań wojennych. Naraziłoby to twoje studia na przerwę. Dla uniknięcia tego postanowiłem wysłać cię do Petersburga.

Józef szeroko otworzył oczy.

— Mam w Petersburgu swoje mieszkanie. Tam się urządzisz... Szparagi, chłopcze, je się palcami tak jak ja.

Zaczerwienił się aż po białka oczu i czym prędzej odłożył widelec.

Pan Cezary, widząc jego zmieszanie, powiedział łagodnie:

— Jeżeli czego nie umiesz, Józefie, nie rób tego nigdy, zanim nie zobaczysz, jak robią to ci, którzy umieją. Wstydy się nie ma czego. Jesteś jeszcze młody i powinieneś mieć dość zmysłu spostrzegawczego, by szybko orientować się w nieznanym sobie czynnościach. Trzeba zawsze w życiu stosować się do tego, co jest przyjęte i uznane przez szanowanych, poważnych i spokojnych ludzi. Rozumiesz mnie, mój chłopcze?

— Rozumiem, stryjaszku.

— Sztuka życia, a radzę ci to dobrze zapamiętać, nie polega na wyróżnianiu się, lecz na stosowaniu się do ogólnych form. Nie dotyczy to tylko sposobu jedzenia, lecz i wszystkich innych spraw na świecie, tak w stosunku do znajomych i obcych, jak do państwa i społeczeństwa, a nawet do samego siebie.

Do końca kolacji pan Cezary mówił o Petersburgu, przerywając sobie tylko dwa razy: raz dla zwrócenia uwagi Józefowi, że nóż należy trzymać za koniec trzonka (tak, jak pan Cezary) i dwa, że serwetki po jedzeniu nie trzeba składać.

Po kolacji pan Cezary palił, jak zwykle, cygaro w gabinecie, a Józef siedział z drugiej strony biurka i słuchał uważnie słów stryja. Tuż-tuż na biurku stała figurynka chińczyka

Obyczaje, Nauka, Obraz  
świata

i Józef czuł wprost nieprzepartą chęć puszczenia w ruch jego głowy. Wystarczyło sięgnąć ręką. Lecz przecież nie mógł sobie na taką swobodę pozwolić. Toteż niemal ulgę sprawiło mu, gdy wreszcie stryj Cezary zwrócił uwagę na „kiwony” i wprawił je w miarowy, poważny ruch potakujący.

W Petersburgu, nazajutrz po przyjeździe — mówił stary pan — pójdziesz na ulicę Fontankę 37 do pani Kulman, Aleksandry Robiertówny Kulman, dam ci list do tej damy. Przy jej stosunkach i znajomości życia nie sprawi jej zbyt wiele kłopotu moja prośba, by zajęła się tobą. Zapiszesz się, oczywiście, na filozofię i będziesz uczyć się pilnie. Jednakże nie powinieneś zaniedbywać życia towarzyskiego. Daje ono dwie rzeczy niezwykle cenne: takt i obejście. Proszę, byś sobie dokładnie zapamiętał, jak wielką wagę przywiązuję do tych dwóch zalet, nieodzownych dla każdego człowieka kultury: takt i obejście. Rozumiesz?

— Rozumiem, stryjaszku.

— To dobrze. Poza tym kategorycznie nie życzę sobie, byś na uniwersytecie zbliżał się do studentów o gminnych manierach, do przewróconych w głowach socjalistów, demokratów i innych nihilistów. Od wszystkich tych jak najdalej. Unikaj również bliższej znajomości z Polakami o instynktach wichrzycielskich, którym roi się w niedowarzonych mózgach jakaś tam niepodległość i inne romantyczne utopie. Wykluczam możliwość twego udziału w jakichkolwiek tajnych czy jawnych stowarzyszeniach, partiach, związkach. Masz pamiętać, że nosisz moje nazwisko, a ja jestem tam znany i szanowany. Wierzę, że jesteś dość uczciwy, by za to, co ci daję, nie odplacić mi niewdzięcznością.

— Tak jest, stryjaszku.

— Pięknie. Teraz wstań i pokaż się.

Józef spełnił rozkaz.

— Hm... Jesteś źle ubrany. Póki byłeś gimnazystą nie miało to znaczenia. Ale człowiek przyzwoity powinien być zawsze dobrze ubrany. Jutro rano pójdziesz z Piotrem do mego krawca... Masz notes?

— Mam, stryjaszku.

— Więc zapisz. Obstalujesz sobie... pisz, mundur studencki, galowy mundur, płaszcz, futro na... hm... na elkach, smoking i frak. Zanotowałeś?

— Tak jest, stryjaszku.

— Bieliznę, buty itd. również załatwisz z Piotrem, któremu wydam instrukcje.

Pan Cezary nacisnął guzik dzwonka. Wszedł Piotr:

— Słucham jaśnie pana.

— Piotrze, panicz zamieszka w zielonym gościnnym pokoju. Zaprowadź tam panicza i wróć do mnie.

— Słucham jaśnie pana.

Pan Cezary podał Józefowi rękę, którą ten ucałował.

— No, dobranoc, mój chłopcze.

— Dobranoc stryjaszskowi, dziękuję za wszystko. A kiedy mam jechać do Petersburga?

— Za trzy dni, względnie za cztery. Sądzę, że do tego czasu twój ekwipunek będzie gotów.

— To tymczasem wrócę do Terkacz?

— Nie. Pojedziesz wprost z Warszawy do Petersburga. Wystarczy, jeżeli listownie pożegnasz się z twoją matką i z jej rodziną.

Józef zrobił niezdecydowaną minę i zaczął:

— Ale, stryjaszku...

— Dobranoc, Józefie — sucho przerwał pan Cezary — za dużo mówisz.

— Dobranoc, stryjaszku.

Było mu bardzo smutno i bardzo samotnie. Rozbierając się, wzdychał i gryzł się, że nie ucałuje rąk matki przed tak długim rozstaniem. Uspokoił się dopiero wówczas, gdy położył się w bajecznie miękkim, wygodnym łóżku.

Lokaj zabrał buciki i ubranie i spytał:

— Czy panicz każe podać śniadanie do łóżka?

— Nie, dziękuję, ja wcześniej wstanę.

— Dobranoc, paniczu.

— Dobranoc — powiedział Józef i przytulił głowę do poduszki pokrytej śliską, cieńszą od jedwabiu webą.

### ROZDZIAŁ III

Pierwsze sanki stanęły. Świt był wyjątkowo bezmglisty i kornet Kasatkin już z daleka zwrócił uwagę Domaszki, że Suchariew i Aleksandra Robiertówna wysiadają, zatem Aleksandra Robiertówna zaprosi wszystkich na śniadanie do siebie.

Nie omylił się. Gdy z kolei ich „lichacz” zatrzymał się jak wryty za sankami pani Kulman, a tuż z nimi i obok stanęli roześmiani po wariacku Wasilisa Siergiejwna ze sztabskapitanem Kolesnikowem i baronowa Tallenberg z Juraszenką, stojąca na chodniku pani Kulman zawołała:

— Prędko wysiadajcie! Wypijemy po kieliszku wódki i zjemy po kawałku śledzia!

Z okrytych siatkami koni buchały kłęby pary. Na wschodzie zaróżowiło się niebo.

Józefowi było bardzo nie na rękę to śniadanie. O trzeciej z minutami odchodził jego pociąg, a chciał się jeszcze przespać, no i koniecznie napisać list do matki.

Próbował wytłumaczyć się, lecz pani Aleksandra ani słyszeć o niczym nie chciała:

— Też coś! — oburzyła się — my dla niego robimy pożegnanie, a on taki młody człowiek i jeszcze buntuje się! Marsz na górę i *nie rozsuzdat*<sup>27</sup>!

— Rzeczywiście, Josif Fiodorowicz, nie wypada opuszczać towarzystwa. Tam na froncie lepszego nie znajdziecie — chwiejąc się na nogach, zapewniał Kolesnikow.

Nie było rady. Zresztą po przehulanej nocy dobrze jest wypić kieliszek wódki „na otrzeźwienie”. Jednakże towarzystwo po kieliszku doszło do przekonania, że i drugi nie zaszkodzi, trzeci pomoże, a czwarty i piąty naprawdę się przydadzą.

Tylko dzięki udobruchaniu się Aleksandry Robiertówny Domaszko zdołał wymknąć się po angielsku około siódmej.

Mróż jeszcze bardziej stęzał. Z daleka odezwały się dzwony cerkiewne. Prawda, dzisiaj niedziela. Wsiadł w pierwsze spotkane sanki i kazał jechać na Newski.

Grisza już nie spał, otworzył drzwi i ze swoim komicznym spokojem pomagał w rozbieraniu się „barinkowi”, mocno chwiejącemu się na nogach. Zakomunikował lakonicznie, że pan jeszcze śpi i że kazał się budzić o dziesiątej.

— Mnie zbudź o dwunastej — burknął Józef, nakrywając się kołdrą.

Obudził się z bólem głowy. Nie cierpiał alkoholu, ale przecie musiał pić dla towarzystwa. Teraz wziął bardzo gorącą kąpiel i ubrał się od razu w swój wojskowy mundur „zaszczitnawo cwieta”<sup>28</sup>. W tej bluzie „kosoworotce” ze srebrnymi epoletami urzędnika wojskowego wyglądał zupełnie jak oficer.

Stryja Cezarego nie było już w domu. Pojechał na mszę do kościoła Świętej Katarzyny. Zeby nie wczorajsze pijaństwo, Józef też mógłby być w kościele i pomodlić się za powodzenie na froncie, a w dodatku spotkać pannę Szarkowską. Na pewno będzie, bo wszystkie pensjonarki ze starszych klas bywają właśnie na wotywie.

Zasiadł do pisania listu:

Kochana Mamo!

List ten znowu wysyłam przez Szwecję. Nie wiem, czy do Twoich rąk dojdzie, jak nie wiem, czy którykolwiek z moich poprzednich listów otrzymałaś. Ostatni miałem od ciebie dwa lata temu! Co się tam u was dzieje? Czy wiesz cokolwiek o ciotce Michalinie i Natce? Do Piotrogradu dochodzą różne wiadomości, ale ze zrozumiałych względów nie mogę o nich pisać.

Ja za dwie godziny wyjeżdżam na front, a właściwie na tyły naszej armii jako wojskowy urzędnik Ziemskiego Sojuza. Studia trzeba było przerwać, gdyż białe bilety już nie chronią. Stryj wystarał się, by mnie wsadzić do aprowizacji Ziemskiego Sojuza. Nie obawiaj się, życiu memu nic nie grozi, bo będę o sto wiorst od frontu. Stryj jest zdrow, dzięki Bogu, i pomimo tego, że miał straty na dostawach, jest w doskonałym humorze, bo interesy są świetne. Napisałem trzeci wiersz, bardzo długi o Napoleonie. Stryj jeździł

<sup>27</sup> *nie rozsuzdat* (ros.) — w trybie rozkazującym: proszę się nie zastanawiać; to nie podlega dyskusji; od: *разсуждать*, rozważać, rozmyślać. [przypis edytorski]

<sup>28</sup> *zaszczitnawo cwieta* (z ros.) — o barwie ochronnej. [przypis edytorski]

z nim do redakcji, ale nie wiadomo czy wydrukują, bo tutaj nie bardzo są zadowoleni z Francji i polskie pismo, drukując wiersz o Napoleonie, mogłoby narazić się władzom, dając do zrozumienia, że Polacy nie polegają całkowicie na Rosji, lecz chcą poparcia całej Ententy.

To jest bardzo wielka polityka i ja się na tym nie znam, ale stryj powiada, że w redakcji mają rację, a wiersz jest dobry, chociaż jedna panna, której pokazywałem, mówiła, że nie bardzo.

Pisz, Mamo, co u was słychać i jak Twoje zdrowie? Stryj mi listy prześle na front. Całuję Ciebie mocno, Wujaszka Mieczysława i Hankę też, Państwu Hejbowskiemu ukłony

*Twój kochający syn*

*Józef.*

Piotrogród, 3. II. 1917 r.

Zakleił kopertę, wypisał skomplikowany adres i zaczął się pakować. Zabierał ze sobą tylko najniezbędniejsze rzeczy. Jak front, to front!

Dokumenty podróży miał wystawione do stacji Połock, skąd miał konwojować transport cukru i bielizny do punktu 374.

Miał poważne obawy, jak sobie z tym da radę i gdyby nie to, że wraz z nim jechał obrotny i sprytny Radosławski, niepokoiłby się jeszcze więcej.

Gdy przeglądał swoje papiery, właśnie wrócił stryj Cezary, zarumieniony od mrozu, z soplekmi szronu na wąsach i uśmiechnięty. Przywitał Józefa wesoło:

— No cóż, poruczniku!? Wyglądasz mi w tym mundurze na prawdziwego Domaszkę, potomka tych, co bili Tatarów i Szwedów!

— Żartuje stryjaszek — spieszył się Józef.

Pomimo znacznie cieplejszego stosunku między nim a stryjem, wciąż pan Cezary był dlań człowiekiem, przed którym najwięcej czuł respektu i zażenowania.

— Przeglądałem swoje dokumenty, stryjaszku — dodał — i nie wiem, jak sobie poradzę... Nie znam się na tych rzeczach...

— Nie święci garnki lepią, Józefie. Patrz co robią inni, nie wstydz się zasięgnąć rady starszych i postaraj się wyzbyć żądania od siebie doskonałości. Trzeba zawsze wierzyć, że to, co się robi, jest robione dobrze. Człowiek bowiem niemający uznania i szacunku dla siebie, nie może oczekiwać tego od innych, a przeciwnie, ceniąc siebie, podnosi swoją wartość w oczach otoczenia. Czy rozumiesz mnie chłopcze?

— Rozumiem, stryjaszku.

— Zatem jedź i niech ci się dobrze powodzi. Pieniądzy masz dość, gdyby ci zabrakło, depeszuj.

W pół godziny później siedział już w wagonie wraz z Radosławskim. Póki byli w przedziale sami, rozmawiali po polsku, gdy jednak weszło jeszcze kilka osób, przeszli na język rosyjski. Byli przecie w mundurach — jakoś nie wypadło.

Pociąg szedł tylko do Witebska. Tam musieli się przesiąść. Dworzec pełen był wojska, w poczekalniach stały liczne nosze z rannymi. Czuło się już bliskość frontu. W bufecie stacyjnym tłoczyli się oficerowie, nieogoleni, w brudnych i nieraz podartych kożuchach i bekieszach, tak różni od tych elegantów, których tylu spotykało się w Piotrogradzie. Ci tutaj nie różnili się niemal od zwykłych żołnierzy, nie zwracali uwagi na oficerów wyższych rang, salutowali niedbale i wcale nie „sztorcowali” szeregowców za nieoddawanie „czesti”. Ta poufałość i brak dyscypliny nie podobały się Józefowi, chociaż rozumiał, że na froncie wojsko ma pilniejsze i ważniejsze sprawy niż ścisłe przestrzeganie form.

Po kilku godzinach oswoił się jednak z tym stanem rzeczy i już nie wyciągał się jak struna przed generałami i pułkownikami.

Tu nie istniały już rozkłady jazdy. Domaszko i Radosławski ulokowali się wreszcie w jakimś pociągu z amunicją, który przystawał nie tylko na stacjach, lecz czasami



i w szczerym polu. Dopiero późnym wieczorem dotarli do Połocka. Dzięki Radosławskiemu szybko odszukali lokal; w którym mieścił się oddział Ziemskiego Sojuza i dowiedzieli się, że zaraz mają ruszyć w drogę na punkt.

O świcie, wytrzęsieni na fatalnych drogach ciężarówkami, dotarli wraz z transportem do owego „punktu”.

Była to stara karczma przy gościńcu i kilkaset świeżo wzniesionych baraków z desek. Mieściły się w nich ambulatoria Czerwonego Krzyża, składy prowiantów, łaźnie żołnierskie, oddział drogowy i wiele innych instytucji tyłowych.

Komendantem punktu był podpułkownik Rubowicz, z pochodzenia Polak, zruszczony jednak do tego stopnia, że ledwie mówił po polsku. Również naczelnikiem oddziału Ziemskiego Sojuza był Polak, urzędnik wojskowy w randze kapitana, Pastuszkiewicz.

Młodzi ludzie zaraz rano przedstawili się im obu, poznając jednocześnie kilku oficerów, urzędników, lekarza — doktora Morgenbluma i kilkanaście siostr miłosierdzia.

Baraki do połowy zasypane śniegiem sprawiały wrażenie tymczasowości. Oficerowie i urzędnicy pili na umór spirytus ambulatoryjny i samogonkę, chorzy wymierali lub zdrowieli — jak Bóg dał — siostry miłosierdzia spełniały swą misję tak gorliwie, że doktor Morgenblum coraz więcej miał roboty.

Po tygodniu i Józef Domaszko stał się jego pacjentem.

— Wojna wymaga od nas ofiar — pocieszał lekarz po konsultacji — a teraz niech pan tylko wódki nie pije. Za kilka tygodni będzie pan tak zdrow, jakbyśmy nigdy z Niemcami nie wojowali!

Gdyby nie te przykre niespodzianki, Józef Domaszko czułby się tu zupełnie dobrze. Wkrótce przyzwyczał się do nowego trybu życia. Wstawał o dziesiątej, wydawał ze swego składu taką a taką ilość bielizny — według zapotrzebowania — zapisywał do książek, dziurkował kwity, jadł obiad w kasynie, znowu wydawał bieliznę i przyjmował nadesłaną z pralni, a wieczorem zbierali się wszyscy albo u pułkownika Rubowicza, albo u „siostry” Jegorowej. Puszczano gramofon, pito wódkę, grano w preferansa, do późnej nocy kwitł hazard.

Józef nie znosił kart w ogóle, a hazardu w szczególności. Patrzył z przerażeniem na pliki banknotów przechodzących z rąk do rąk, ze zdumieniem podnosił brwi, gdy mu nazajutrz opowiadano, że ten przegrał sześć tysięcy, a ten znowu wygrał dziewięć. Skąd ci ludzie mają tyle pieniędzy?!

Próbowano i jego wciągnąć kilka razy. Bronił się, jak umiał, gdy jednak sam Rubowicz go nacisnął, nie wypadało odmówić.

O jedenastej wieczór rozdano pierwsze karty, a już o trzeciej w nocy Józef Domaszko był bez grosza przy duszy.

Wracając do swego baraku razem z Pastuszkiewiczem, miał tak ponurą minę, że ten poklepał go po ramieniu.

— Nie martw się pan. Damy jakoś sobie radę.

Domaszko beznadziejnie westchnął.

— Słuchaj młodzieńcze — wziął go Pastuszkiewicz pod łokieć — jutro po południu zgłosi się do pana starszy sanitariusz Kuszer po czterysta kompletów bielizny. Otóż jego pokwitowanie opiewa na cztery komplety. Rozumiesz pan?

— Nie rozumiem.

— Eee — machnął ręką zniechęcony Pastuszkiewicz — no, jednym słowem, wydasz mu pan na to pokwitowanie czterysta kompletów.

— Jakże to?...

— Ależ z pana ciapa! Mała omyłka. Nie rozumie pan? *Errare humanum est*<sup>29</sup>! Wszyscy tu się myślą, bo i dlaczego by nie?

— Hm — bąknął Domaszko — jednak to cudza własność.

Józef nie wiedział, co ma robić. Rzeczywiście Pastuszkiewicz był jego zwierzchnikiem, ale jeżeli sam rąk nie umacza w tej brudnej sprawie, to ostatecznie będzie w porządku. Kwity przecież i tak musi zdawać Pastuszkiewiczowi.

— No, więc jak? — hamował irytację Pastuszkiewicz — załatwione?

— Ja może zachoruję — powiedział Domaszko.

<sup>29</sup> *errare humanum est* (łac.) — błędzenie jest rzeczą ludzką. [przypis edytorski]

- Więc choruj pan do ciężkiego diabła! Dobranoc.
- Dobranoc panu naczelnikowi.
- Ale! — zawrócił tamten. — Słowo szlacheckie, że pan nie podłoży świni?
- Jakiej świni? — zdumiał się Domaszko.
- No, że pan nie będzie mi włożył w paradę.
- Nie będę.
- Słowo honoru?
- Słowo honoru — zapewnił Domaszko. Pastuszkiewicz potrząsnął jego ręką:
- Po klucze od składu przysługę Zazulina. Dobranoc.
- Dobranoc panu naczelnikowi.

Józef przez pół nocy nie spał, rozmyślając nad oczywistą malwersacją Pastuszkiewicza. Doskonale zdawał teraz sobie sprawę z tego, że wszyscy tu na „punkcie” robią to samo, a może i na innych punktach, może i na całym froncie.

Co też stryj Cezary powiedziałby na to?

Gdyby stryj nie był tak daleko, Józef mógłby prosić go o radę. W obecnych warunkach uznał za najszlachetniejsze niemieszanie się do cudzych spraw.

„Abym tylko ja był w porządku” — myślał, zasypiając.

Rano powiedział dieńszczykowi, że jest niezdrów i nie wstanie z łóżka. Kancelista Zazulin przyszedł po klucze i — bydlę — pozwolił sobie na ironiczny uśmiezek, gdy pytał o zdrowie. Wobec tego Józef posłał po doktora Morgenbluma.

Lekarz wpadł przed obiadem. Był podniecony i roztrzępany.

— Z Pitra dziwne wiadomości przychodzą — powiedział tylko i nie chciał dać dalszych wyjaśnień.

U Domaszki stwierdził zaziębienie.

Z tego powodu po drugiej przyszła siostra Klarysa z aspiryną, czekoladą i z furą plotek o wszystkim, co się na punkcie dzieje. Fomienko pobił dziś rano swego feldfebla, bo go złapał z siostrą Sonią na swoim własnym łóżku. Jeszcze na dobitkę łóżko połamali, a Kamienkow oświadczył, że nowego nie wyda, bo skarb państwa nie może ponosić strat z takich powodów. Pułkownik Rubowicz leży od rana pijany w sztok, a w dużej łaźni pękł kocioł i nie wiadomo co robić.

Już zupełnie było ciemno, gdy wpadł Pastuszkiewicz. Czuć było od niego wódką na kilka kroków.

— No, jakże tam, młodzieńcze? — zapytał dobrodusznie — jeszcze nie umieramy?

Józef uśmiechnął się.

— Wszystko poszło jak z płatka — zaczął, siadając wygodnie Pastuszkiewicz. — Kuszer odstawił transport do miasteczka i pieniądze zainkasował. Nie ma tam nikogo w sionce?

— Nie, nikogo.

— Otóż tak. Pan jest zamożny, nie wcześniej to później pieniądze panu z Pitra przysługę, a i pensja za trzy dni przypada. A widzi pan, ja jestem żonaty. Pan kawaler?

— Kawaler — skinął głową Józef.

— To zupełnie inna sprawa. Żonaty, uważa pan, musi o całej rodzinie myśleć, żeby mieli co do gęby włożyć. Trudno przecież żonę i dzieci na łasce boskiej zostawić, prawda?

— No pewno.

— Więc ja panu to powiem, panie Domaszko: należy się panu połowa, mowy nie ma, ale z tej drugiej strony tymczasem chyba panu sto rubli wystarczy?

— Ja nie rozumiem, panie naczelniku, o co panu chodzi?

— Z panem to ciężko — westchnął Pastuszkiewicz — łopatą trzeba kłaść do głowy, a ja do takiej fizycznej pracy mam za słabe zdrowie. Krótko mówiąc: weźmiesz pan setkę?

Józef poczerwieniał:

— Dziękuję panu naczelnikowi, ja... naprawdę... nie potrzebuję...

Pastuszkiewicz wstał i rozstawiwszy nogi, wziął się za boki:

— To tak?!... To pan chce tu na nas donosy pisać?! To pan na przespiegę do nas na „punkt” przyjechał?!

— Ależ, panie naczelniku!...

— To z pana taki rodak, Polak i katolik, żeby rodzzonego ziomka gubić, krzywdę bliźniemu robić?! Tfu! Nie spodziewałem się tego po panu.

Józef usiadł na łóżku i rozpaczliwie zawołał:  
— Kiedy ja żadnych donosów nie zamierzam robić! Ja o niczym nie wiem, nic nie widziałem i koniec.

— Słowo?

— Słowo honoru, panie naczelniku.

Pastuszkiewicz sięgnął do kieszeni, odliczył pieniądze, zwinął je w rulon i podał Domaszce:

— Masz pan. Niech będzie sto pięćdziesiąt.

Józef zadygotał i schował ręce pod kołdrę.

— Ja nie potrzebuję, panie naczelniku — prosił — mnie naprawdę przysła pieniądze. Dziękuję bardzo, ale nie potrzebuję.

Pastuszkiewicz zrobił jadowitą minę:

— Taki z pana spryciarz, panie Domaszko? No, trudno, masz pan dwieście. Niech pana diabli wezmą!

Rzucił banknoty na kołdrę tak, że się rozsypały, i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

Józef czym prędzej zebrał pieniądze. Lada chwila mógł ktoś wejść i jakby to wyglądało! Schował zwitek pod poduszkę.

„Oczywiście, nie użyję z tego ani jednego rubla — myślał — oddam na jakikolwiek cel dobroczynny i już”.

Jednakże dni biegly, stryj gotówki nie przysyłał, a wydatki nie dawały się odłożyć. W ten sposób „fundusz dobroczynny” został stopniowo skonsumowany w charakterze pożyczki wewnętrznej. Jeżeli zaś nigdy nie miał ulec zwrotowi, to jedynie z tego względu, że pamięć człowiecza jest krótka, a w czasach wojny nikt pożyczek nie zwracał.

Gościńcem dniem i nocą sunęły długie węże taborów, wlokły się kolumny artylerii, bezładnym marszem przechodziły pułki piechoty idące z linii na odpoczynek i uzupełnienia.

Zadaniem „punktu” było wykąpanie i zaprowiantowanie tych oddziałów.

Podczas gdy żołnierze myli się w łaźni, oficerowie przesiadywali w kasynie, opowiadając o stanie rzeczy na froncie, popijając wódkę i narzekając na psie życie, na sztab, na rząd, na zmęczenie.

O tym mówiło się głośno.

Natomiast po cichu, w cztery oczy, opowiadano sobie, że cała główna kwatera jest w rękach niemieckich szpiegów, na których czele stoi sama cesarzowa, że tak dalej być nie może, że w Pitrze ludzie już myślą o tym jak należy.

Józef nie dawał temu wiary, a nawet oburzał się na posądzanie imperatorowej, co już kwalifikowało się pod sąd polowy. Pomimo to nie wyskakiwał z protestami, gdyż ogromna większość byłaby przeciw niemu.

Kiedy wlałeś między wrony — powiada przysłowie — musisz krakać jak i one.

A przysłowia są mądrością narodów.

Skąpo, ale przecież niemal stale przychodziły wieści z drugiej strony frontu. Przynosili je przeważnie jeńcy, również transportowani gościńcem i zaopatrywani na „punkcie”.

Od nich dowiedziano się, że w okupowanym kraju władze niemieckie już realizują państwo polskie, że w Warszawie rządzi Rada Stanu.

Pułkownik Rubowicz twierdził, że w ogóle jest łajdactwo niemieckie, Pastuszkiewicz utrzymywał, że cała ta Rada Stanu złożona jest ze zdrajców ojczyzny i monarchy, i że zaraz po odebraniu Warszawy wszystkich ich należy natychmiast powiesić.

Domaszko wprawdzie nie był zwolennikiem tak radykalnej kary, jednakże w zasadzie zgadzał się z pułkownikiem, że to wstyd dla Polaków, iż znaleźli się wśród nich tacy, którzy poszli razem z Niemcami i uformowali jakieś legiony, nie zważając na bratobójczy ich charakter.

— I to pomimo manifestu Mikołaja Mikołajewicza! — podkreślał Pastuszkiewicz.

Doktor Morgenblum uśmiechał się pod wąsem:

— Wszystko to niemiecka polityka.

— Tak — wzdychał pułkownik — cóż chcecie, Niemiec mądrzejszy jest od Słowiana, Niemiec małpę wymyślił! Ale my i tak ich pobijemy.

— Albo i nie — uśmiechał się doktor.

— Albo i nie — zgadzał się pułkownik.

Wojna, Historia, Polak,  
Zdrada

W pierwszych dniach marca wrócił z Piotrogradu Radosławski. Przywiózł dla Józefa pieniądze i list od stryja, przywiózł i wiadomości nad wyraz niepokojące.

Żywioty nihilistyczne i antypaństwowe, korzystając z tego, że cała bohaterska armia zajęta jest obroną państwa, przystąpiły do urządzania rozruchów i buntów niby głodowych, chociaż jako żywo nikt nie słyszał jeszcze, żeby chociaż jeden człowiek z głodu umarł.

— Wszystko to niemiecka robota — zaopiniował pułkownik Rubowicz.

— Posłać na nich kulomioty i wyciąć buntowników co do nogi! — irytował się Pastuszkiewicz. — W takiej chwili! Kiedy my tu gnijemy na froncie, kiedy ryzykujemy życie, a choćby tylko zdrowie, oni tam bunty urządzają!

Domaszko również był oburzony i chociaż nie bardzo rozumiał, dlaczego Pastuszkiewicz, który utył w ostatnich czasach, mówi o gniciu na froncie, przecież zgadzał się z nim zupełnie, a nawet dodał:

— Wszystko to do czasu! Cesarz ma dobre serce i dlatego przez palce na takie rzeczy patrzy, ale wreszcie i jemu cierpliwości zbraknie.

— Śmierć wewnętrznym wrogom! — ryknął pułkownik.

— Śmierć! Pod ściankę! — powtórzili wszyscy, podnosząc kieliszki z ambulatoryjnym spirytusem, wybornie zaprawionym piolunem przez doktora Morgenbluma.

— Niech żyje miłościwie nam panujący *gosudar impierator* *Nikołaj Wtoroj*<sup>30</sup>! — zawołał Pastuszkiewicz.

— Niech żyje! — poderwali się na baczność i duszkiem wypili.

To pokrzepiło ich na duchu. Po kilku dalszych kolejkach stało się oczywiste, że bunty zostaną zgniecione, winowajcy pójdą na szubienicę, Niemcy i Austriacy zostaną rozbici w „puch-prach” i że znowu można będzie spokojnie i wesoło żyć, jak Bóg przykazał.

Tak mijaly dni. Aż pewnego wieczora, gdy siedzieli wszyscy u Pastuszkiewicza, wpadł bez czapki i w rozpiętej bekieszki blady jak trup pułkownik:

— Panowie! — zawołał i zabrakło mu tchu.

— Front przerwany! — jęknął Radosławski.

Pułkownik potrząsnął głową:

— Panowie... najjaśniejszy monarcha Mikołaj zrzekł się tronu.

Zapanowało głuche milczenie.

— Podpisał abdykację za siebie i za syna. Panowie! Co się dzieje!?!...

— *Hospodi pomituj*<sup>31</sup> — odezwał się ktoś z kąta.

— Depesza przyszła? — zapytał lekarz.

— Dwie. Jedna ze Stawki, druga z dywizji.

— Tak, że nie ma wątpliwości?

— Nie ma — jęknął pułkownik — i powiedzcie panowie, co teraz będzie?

Odpowiedź na to pytanie przynosiły jedna godzina za drugą.

Duma objęła władzę, na czele rządu stanął Lwow.

Revolucja.

Ożywił się gościniec, gorączkowo pracował aparat telegraficzny, telefon polowy wyrzucał wprost w ucho pułkownika wiadomości dziwne, rozkazy sprzeczne, informacje niepokojące.

Revolucja. Władza dla narodu, demokracja. Republika!

Pułkownik z Pastuszkiewiczem wrócili ze sztabu dywizji i nareszcie stało się wiadome, co robić:

— Ma się rozumieć, że cieszyć się! Nareszcie spadło jarzmo absolutyzmu! Nareszcie nastąpiła wolność! Każdy z westchnieniem ulgi zrzuci z siebie hańbiące człowieka miano „poddanego”, dziś jest obywatelem kraju, dziś jest jego współwłaścicielem!

„To nie jest złe — myślał Józef Domaszko, licząc paczki z odesłaną z pralni bielizną — to nie jest złe...”

Jeżeli było prawdą to, że szpiedzy niemieccy opanowali dwór cesarski, jeżeli rzeczywiście Mikołaj uznał, że sam nie potrafi prowadzić wojny, że nie umie kierować państwem, że naród lepiej to robi — a no, to, oczywiście, trzeba się cieszyć.

<sup>30</sup>*gosudar impierator* *Nikołaj Wtoroj* — cesarz imperator Mikołaj II. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>*Hospodi pomituj* (ros.) — Boże zmiłuj się. [przypis edytorski]

Zresztą cieszyli się wszyscy. Dlaczegoż by on, Józef Domaszko, miał być wyjątkiem? Trapiły go tylko obawy: co stryj Cezary sądzić o tym może? Napisał do stryja list, drugi, trzeci, posłał nawet wiersz opisujący bitwę dzielnej piechoty — i nic, żadnej odpowiedzi.

Tymczasem zaczęły się dziać rzeczy wymagające rady i wskazówek stryja Cezarego.

Na „punkcie” odczytywano dzienne rozkazy, a w nich zbyt często mówiło się o postawianiu wojskowych formacji polskich, które mają być wyodrębnione w samodzielnej grupie. Rząd Tymczasowy uznał niepodległość Polski.

Józef wprawdzie przypomniał sobie przy tej okazji gest Zagłoby obdarowujący króla szwedzkiego Niderlandami — cała Polska była teraz w ręku Niemców — ale przecież ze strony Rządu Tymczasowego było to bardzo piękne.

Co począć?

Pomimo wiosennych roztopów, bardzo utrudniających lokomocję, zjawił się na „punkcie” porucznik artylerii konnej Janowski, a oświadczywszy, że przybywa z ramienia „Naczelny”, to jest naczelnej organizacji Polaków wojskowych, i wylegitymowawszy się papierami instruktora, zebrał wszystkich Polaków, nie wyłączając pułkownika Rubowicza.

Na zebraniu tym zażądał, by natychmiast wnieśli o przydzielenie do formacji polskich, rozdał białe orzełki, zapowiedział, że wkrótce przyjdą ścisłe instrukcje, i pojechał dalej.

Już nazajutrz, wyszedwszy z baraku, Józef spotkał Pastuszkiewicza, na którego piersi lśnił biały orzełek. Po paru dniach, gdy zatrzymał się na „punkcie” dla nabrania benzyny sztabkapitan Hończa ze sztabu dywizji i też miał przypięty orzełek, Radosławski i jeszcze kilka osób również zaaplikowało sobie odznakę polską.

„Co począć?” — martwił się Józef.

Po froncie i po bliskich jego tyłach zaczęli krążyć jacyś agitatorzy, organizatorzy, instruktorzy. Zjawiło się nowe słowo: — meeting.

Pułkownik Rubowicz miał kilka awantur z szeregowcami. W normalnych warunkach poszliby pod sąd polowy, lecz teraz wszystko działo się inaczej. Gryzł się tym pułkownik i coraz częściej wspominał o formacjach polskich. Wreszcie i sam udekorował się orzełkiem.

To przeważało szalę wahań Józefa Domaszki. Skoro pułkownik wyzbył się skrupułów, tym bardziej Józef mógł sobie na to pozwolić.

Jednakże brak wiadomości od stryja Cezarego był nad wyraz ciężki. Józef poprosił o urlop. Formalnie prawo udzielania urlopów miał okręg, ponieważ jednak wszędzie panował bałagan, a okręg na pismo Pastuszkiewicza nic nie odpowiedział, on sam udzielił Domaszce zezwolenia na siedem dni.

Józef z trudem wytłumaczył sobie, że może z pominięciem formalności skorzystać z urlopu i przez całą drogę miał z tego powodu wyrzuty sumienia. Jednakże musiał przecież zobaczyć się ze stryjem.

Piotrogród wyglądał teraz całkiem inaczej. Czerwone flagi, zaśmiecone ulice, tłumy prostych żołdatów na trotuarach! Czy to dawniej byłoby do pomyślenia!?

Powód milczenia stryja Cezarego wyjaśnił się już w przedpokojach. Zamiast służącego drzwi otworzyła pielęgniarka i poinformowała Józefa, że pan Cezary leży sparaliżowany. Gdy dowiedział się o abdykacji cesarza, dostał ataku apopleksji i od tego czasu ani ręką, ani nogą.

— Mówi bardzo niewyraźnie i cicho. Trzeba się nachylać, żeby usłyszeć — skończyła swe informacje pielęgniarka.

— A co doktorzy? — pytał Józef.

— Doktorzy, jak doktorzy — wzruszyła ramionami — powiadają, że albo wyzdrowieje, albo nie. Ale mnie widzi się, że już długo nie pociągnie. Tylko proszę z nim dużo nie rozmawiać, bo doktorzy zabronili, chociaż i tak, jak kto ma umrzeć, to milczenie go nie uratuje.

Stryj Cezary leżał w półciemnym pokoju. Raziło go światło i miał przymknięte powieki. Jednak Józefa poznał od razu.

— Dobrze, żeś przyjechał — powiedział z wysiłkiem.

— Dzień dobry, stryjaszku — cicho wyszeptał Józef.

— Mów głośniej.

— Dzień dobry stryjaskowi. Dostałem urlop na kilka dni. Byłem zaniepokojony brakiem listów.

Pan Cezary westchnął:

— Widzisz, co ze mną.

— Bardzo współczuję stryjaskowi — bąkał Józef.

— Nie wiem, czy długo pożyję. Zamknij drzwi i zobacz, czy nikt nie podsłuchuje.

Józef, chodząc na palcach, spełnił polecenie i znowu stanął przy łóżku.

— Nie, stryjasku.

— To dobrze. Weź teraz spod poduszki klucze.

Józef sięgnął i wydobył pęk kluczy.

— Otwórz środkową szufladę biurka. Znajdziesz tam skórzaną teczkę.

— A który klucz, stryjasku?

Musiał po kolei pokazywać stryjowi klucze, aż ten rozpoznał właściwy.

W szufladzie istotnie znalazł małą skórzaną teczkę, którą otworzył na rozkaz pana Cezarego i wyjął dużą kopertę.

— Jest to mój testament — objaśnił chory — nie wiem, jak długo będę żył. Dlatego weź i zabierz ze sobą. Są tam i listy, które ułatwią ci postępowanie spadkowe na wypadek mojej śmierci.

— Wyzdrowieje stryjasek — próbował pocieszać Józef.

— Wątpię. Jest coraz gorzej.

Przyszła pielęgniarka. Czas było dać choremu jakieś lekarstwo.

W jej obecności zachowali milczenie, chociaż i tak nie rozumiałyby po polsku. Gdy tylko wyszła, pan Cezary odezwał się:

— Rad jestem, że potrafiłem z ciebie, Józefie, zrobić jeżeli nie człowieka, to zadatek na człowieka, który z godnością będzie nosił moje nazwisko... Dlatego zapisałem ci wszystko, co posiadam. Używaj tego na chwałę Bożą i pożytek ludzki.

Józef podniósł bezwładną dłoń stryja i ze łzami w oczach ucałował ją.

Stan zdrowia pana Cezarego nie poprawiał się. Lekarz, który wpadł po południu wyjaśnił Józefowi, że o przejściu paraliżu mowy być nie może, ale śmierci nie należy się obawiać. Może tak potrwać nawet kilka miesięcy.

Następne dni Józef spędzał przy łóżku stryja niemal całkowicie. W myśl kategorycznego zakazu lekarza ani słowem nie wspominał o rewolucji i o sprawach publicznych. Natomiast opowiadał obszernie o stosunkach na „punkcie”.

Umiarkowana i ostrożna ocena ludzi i sytuacji bardzo się podobała panu Cezaremu. On sam nie zapytał ani razu o kwestie polityczne, wymijając je świadomie.

Józef w tym większym był kłopotcie, że przecież głównym celem jego podróży było zasięgnięcie rady stryja, jak ma postąpić wobec tworzenia się armii polskiej.

Z gazet, których tu było zatrzęsienie, dowiedział się, że pod Briąńskiem stoi już niemal pełna dywizja polska, że w okolicach Mohylewa organizują się dwie inne.

Kilka razy wyszedł na miasto, lecz nikogo ze znajomych, których mógłby się poradzić, nie zastał. Jedni wyjechali, inni całymi dniami brali udział w jakichś posiedzeniach i komitetach.

Urlop mijał. Józef wprawdzie zaproponował stryjowi, że będzie starał się w centrali Ziemskiego Sojuza o prolongatę, lecz pan Cezary stanowczo zabronił:

— Obowiązek na pierwszym miejscu — powiedział — tam jesteś potrzebny, a mnie nic pomóc nie możesz. Jedź.

W sobotę wieczorem, zaopatrzony w gotówkę i w błogosławieństwo stryja, Józef wyjechał.

W wagonie przeczytał testament.

Stryj zapisywał w nim bratankowi cały swój majątek, którego wyliczenie zajmowało dwie bite strony kancelaryjnego formatu. Były tam domy w Petersburgu, wkłady bankowe, fabryka drutu w Kałudze, kamienica w Warszawie, moc akcji, obligacji, pożyczek wojennych itp.

Józef z bijącym sercem odczytywał ten rejestr, gdy zaś doszedł do końca, gdzie obliczono wartość całego zapisu na dwa i pół miliona rubli, przyszło mu na myśl, że nie będzie wiedział, co z tym wszystkim zrobić, że szkoda stryja, który na pewno wkrótce umrze.

Testament schował głęboko do wewnętrznej kieszeni, a kieszeń zapiął na wszelki wypadek agrafką.

Gdy przyjechał na „punkt” zastał niespodziewane zmiany. W kancelarii pułkownika urzędowała Rada Delegatów Żołnierskich, w magazynach Sojuza przeprowadzał kontrolę jej delegat, wzwodnyj Ostapienko, dotychczasowy magazynier ambulansu.

Pułkownik Rubowicz z zazdrością spoglądał na walizy Pastuszkiewicza. Sam nie mógł opuścić „punktu”, zanim nie przyjedzie następca, o którego prosił w sztabie dywizji.

Radosławski sprawę postawił prosto:

— Ja jadę do korpusu polskiego. Jeżeli chcesz, żeby cię tu nie powiesili, jedź Józek ze mną.

Józefowi Domaszce wydało się to wszystko objawem zbiorowego szaleństwa.

— Jakże można porzucić swoje obowiązki — próbował zreflektować Radosławskiego.

Gdy jednak pomówił z nim dłużej, doszedł do przekonania, że rzeczywiście obowiązkiem Polaka jest przejście do korpusu polskiego. Inne obowiązki w obliczu tego, głównego, maleją do zera.

Od dwóch dni padał nieustający deszcz. Kwiecień nie zapowiadał się pogodnie. Dach w baraku Domaszki zaczął przeciekać. Brudne krople wody kapwały koło samego łóżka w brezentowe wiadro. W drugim miejscu, koło stolika, również przeciekało. Gdy Józef zwrócił się do Pieczonkina, w którego kompetencji leżała naprawa uszkodzeń, ten tylko ręką machnął:

— Pocieknie i przestanie.

To wpłynęło na ostateczną decyzję. Istotnie dłuższe pozostawanie na „punkcie” było bez sensu. Radosławski ma rację. Należy jechać.

Rada Żołnierska zatrzymała Józefa aż do przekazania składu bielizny według ksiąg wzwodnemu Ostapience.

Po dwóch dniach Józef skończył. Jednakże Radosławskiego już nie było, a Pastuszkiewicz czekał na jakieś pieniądze, które nie nadchodziły. Tymczasem pilnował ładowania czterech samochodów ciężarowych różnymi zapasami, zapotrzebowanymi przez okręg i głośno mówił, że od maja zabierze się do reorganizacji magazynów.

W nocy obudził Domaszkę, który spał — jak było umówione — w ubraniu. Samochody już stały na gościńcu za karczmą.

Było jeszcze zupełnie ciemno, gdy ruszyły.

— Uważasz pan — ścisnął Pastuszkiewicz łokieć Józefa — uważasz pan, gdy przyjeździemy z tym wszystkim, zupełnie inaczej nas w korpusie przyjmą. Z posagiem, proszę pana!

Nie obawiali się pogoni, bo na „punkcie” pozostał tylko jeden samochód i to zepsuty. Zresztą do południa zdążą dojechać.

— Tak, panie drogi — kręcił się Pastuszkiewicz na twardym siedzeniu — nasi przodkowie nadciągali do wojska polskiego ze swymi pocztami, a my też nie z gołymi rękami. Tradycja, panie, tradycja!

Gdyby nie wypadek z przekładnią, byłiby na pierwszej. Reperacja zajęła jednak przeszło trzy godziny i auto pomimo naprawy szło źle. Gdy zatrzymały ich pierwsze straże polskie, był już zmrok.

Pomimo „posagu” w korpusie nie przyjęto Pastuszkiewicza i Józefa ze specjalnym, a przez nich spodziewanym, entuzjazmem.

Korpus — jak z wesołą miną powiedział im kapitan Borek — i tak miał multum zaopatrzenia:

— Starczyłoby na pięć korpusów!

I z ludźmi też nie bardzo wiadomo było co robić. Pastuszkiewicz urządził się dzięki znajomościom w kancelarii prowiantowej. Józef przez dłuższy czas był bez przydziału, zanim nie spotkał Radosławskiego.

Ten dostał już funkcję adiutanta dowódcy taborów dywizyjnych i na także stanowisko wciągnął Domaszkę.

Roboty nie było wcale, bo chociaż tabory przedstawiały się imponująco, samych adiutantów, oficerów i urzędników wojskowych było kilkunastu.

Jednakże atmosfera panowała tu zupełnie inna niż w oddziałach rosyjskich, z którymi Józef dotychczas się zapoznał.

Powszechnie dyskutowano o sytuacji politycznej w Rosji i na froncie, nadchodziły wiadomości z okupowanej Warszawy i Wilna. Wyraźnie mówiło się o niepodległości i podnosiło się cenność własnej siły zbrojnej.

Tymczasem przyszło lato.

Józef Domaszko przeniósł się do intendentury w Bobrujsku, gdzie spotkał kapitana Parczewskiego, sąsiada państwa Hejbowskich. Parczewski znał dobrze wuja Mieczysława, a Józefa widywał w Terkaczach jeszcze jako małego chłopca.

Teraz miewał wiadomości z Polski. Od niego też Józef dowiedział się, że Terkacze zostały doszczętnie zniszczone podczas działań wojennych i że podobno pan Hejbowski został zabity odłamkami pocisku. Czy pozostali mieszkańcy majątku uszli z życiem, nie wiadomo. Są tylko pewne informacje, że front został przerwany niespodziewanie i że Terkacze, jak Puszota, majątek Parczewskiego, przez sześć godzin były pod huraganowym ogniem artylerii niemieckiej.

Józefem wiadomości te mocno wstrząsnęły. Nie spał przez dwie noce i chodził jak struty.

Niewesoły nastrój powiększał brak roboty. Mijały tygodnie i miesiące na zupełnej bezczynności. W poszukiwaniu książek do czytania Józef dotarł do pańien Mietkiewiczównien. Były to dwie siwe staruszki w żałobie, zamieszkujące mały dworek na przedmieściu. W dworku kwaterowało ośmiu oficerów i od jednego z nich Józef dowiedział się, że stare panny mają dużo książek, ale nieciekawych, bo to albo naukowe, albo całkiem filozofia.

Okazało się, że siostrzeniec staruszek, młody student, zginął na froncie, a książki właśnie, spora szafa, należały do niego.

Obie panny Mietkiewiczówny bardzo się ucieszyły, gdy Józef przedstawił się jako student wydziału filozoficznego i amator takiej właśnie lektury. Nie chciały jednak książek pożyczać, zaprosiły natomiast Józefa, by ilekroć ma czas wolny, czytał sobie w ich małym saloniku.

W szafie były istne skarby: Kant, Platon, Darwin, Buckle, Taine, Erazm Majewski, Bieliński, Marks, Chłędowski, Flammarion, Wolter, Kartezjusz, Szekspir, Balzak, Tolstoj, Przybyszewski, Puszkina, Krasiński i tyle, tyle innych.

Niektóre ze znalezionych tu dzieł Józef znał już, na inne rzucał się łapczywie. Czytał systematycznie: od górnej półki począwszy, wszystko po kolei, z żalem tylko odkładając książki w języku angielskim, którego nie znał.

Czytał całymi dniami. Pelen był podziwu dla tych wielkich umysłów i wielkich talentów, które umiały tak potężnie zawładnąć przekonaniem czytelnika. Toteż po Weinigerze nabrał pogardy dla kobiet, po Darwinie stał się zdecydowanym materialistą, po Platonie zmienił zdanie i trzeba było przeczytać Buckle'a, by zachwiać się w poglądach idealistycznych. Marks, jako wywrotowiec, nie sprawił na Józefie większego wrażenia, chociaż trudno mu było odmówić słuszności.

Z jesienią zwolnił się pokój na facjacie i Józef przeniósł się na kwatery do dworku.

Od tego czasu całkowicie utonął w lekturze.

Był właśnie przy końcu czwartej półki, gdy otrzymał zawiadomienie o śmierci stryja Cezarego i wezwanie Aleksandry Robiertówny, by natychmiast przyjeżdżał do Piotrogradu.

Urlop dostał bez trudu, natomiast podróż nie była tak łatwa. Pociągi szły jak Bóg dał, a nadto na każdej niemal stacji lokalne władze rozporządzały się według własnych poglądów na przeznaczenie komunikacji kolejowej i chociażby tym sposobem zaznaczały swoją niezależność. Potworzyła się już bowiem na terenie państwa niezliczona ilość samodzielnych republik, co było widowiskiem gorszącym.

— Teraz każdy sam sobie republiką — żartował sąsiad Józefa w wagonie, zażywny pułkownik bez oficerskich odznak.

Józef pomyślał, że ci Rosjanie to bardzo dziwni ludzie: — rzeczy poważnych nie lubią brać na serio, za to z powodu drobiazgów gotowi dojść do samobójstwa...

Przyjechał już po pogrzebie. Pani Kulman zajęła się wszystkim. Za jej radą Domaszko kazał przenieść do niej na przechowanie meble, obrazy itp., zaś za pozostałe pieniądze nabył brylanty, które ukrył w irchowym woreczku na piersi. W tych niepewnych czasach Bóg wie co się może zdarzyć, a przezorność nie zawadzi.

I zdarzyło się: rewolucja bolszewicka.



O powrocie do korpusu nie mogło być mowy. W ogóle paradowanie w przyzwoitym mundurze po ulicach stało się równoznaczne ze skazaniem siebie na śmierć.

Józef ubrał się w swój najstarszy garnitur i poszedł na dworzec wywiedzieć się, czy w jakiś sposób nie da się przemknąć do Bobrujska.

Pociągi nie odchodziły wcale.

Co robić?

Na Fontance trwała gęsta strzelanina z karabinów i kulomiotów. W tych warunkach nie mógł zaryzykować pójścia do pani Kulman, by zasięgnąć jej opinii.

Stał przed dworcem i namyślał się, gdy z hałasem zajęchało auto ciężarowe pełne wielkich pak papieru. Za nim przybyło drugie i trzecie. Żołnierze z czerwonymi kokardami zaczęli szybko wyładowywać ich zawartość pod komendą wysokiego dryblasza z rozwianym włosiem, z ciężkim „coltem” u pasa.

Nagle dryblas spostrzegł Domaszkę i ryknął:

— A ty co stoisz jak słup!? Nie widzisz: ludzie pracują dla dobra rewolucji! Żywo! Pomagać!

Wszelki sprzeciw nie zdałby się na nic.

Józef zabrał się do dzwigania papieru, który czuć jeszcze było farbą drukarską. Były to proklamacje bolszewickie.

Nadjeżdżały nowe ciężarówki i Józef tego się napracował. Tymczasem dryblas kazał znosić paki na peron. Po dobrej godzinie podstawiono pociąg cały zalepiony afiszami rewolucyjnymi i wielkimi płótnami pokrytymi hasłami komunistycznymi.

Zaczęto ładować bibułę do wagonów.

— Żywo! — ryczał dryblas na spoconych żołnierzy i kilku starszych już robotników, wśród których uwijał się i Domaszko.

— Żywo, towarzysze!

Nagle na peron wpadł barczysty brodac z zabandażowaną głową:

— No co? Jeszcze nie gotowe? — zawołał z irytacją.

Dryblas eksplikował się. Tłumaczył, że personelu jest mało, że już kończą.

— Do wagonów! — zakomenderował brodac. Wraz z ostatnią paką wszyscy zaczęli wskakiwać do pociągu. Józef otrząpywał ręce i już chciał zawrócić na dworzec, gdy brodac huknął nań:

— Dokąd!? Dokąd!? Głuchy jesteście, towarzyszu, czy co? Komendy nie słyszeliście?...

— Owszem, ale ja...

— Włazić zaraz! Patrzcie go! W wagonie się załatwisz! Odjazd!

Domaszko jeszcze próbował:

— Ależ, kiedy ja...

— Czort was weź! — zawył brodac.

W następnej chwili Józef znalazł się w wagonie, pchnięty potężnym szturchańcem.

Pociąg ruszył.

Brodacz i podległy mu widocznie dryblas, biegając przez wszystkie cztery wagony, zapędzali załogę do roboty. Domaszko wraz z innymi rozpakowywał ulotki i afisze. W pewnej chwili brodac kazał Józefowi wziąć papier i ołówek:

— Ty, towarzyszu, gramotny<sup>32</sup>?

— Gramotnyj — potwierdził Józef.

— Nu tak, spisz imiona i nazwiska wszystkich. Porządek musi być. Wiesz, jak ja się nazywam?

— Nie, nie wiem, towarzyszu.

— Pisz: *komandir krasnawo pojezda*<sup>33</sup> „Komunar” Wasilij Iwanowicz Kuszkin. Napisał?...

— Napisałem...

— Pokaż?

Obejrzał papier i zapytał:

— A ty, towarzyszu, jakie masz wykształcenie?

— Student, towarzyszu.

<sup>32</sup>gramotnyj (ros.) — umiejący pisać i czytać. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>komandir krasnawo pojezda (ros.) — komendant czerwonego pociągu. [przypis edytorski]

— Widzisz go — zdziwił się brodac — student, a gdzie twoja czerwona kokarda?

Józef zmieszał się:

— Pewno zgubiłem przy ładunku.

Brodacz pomacał się po kieszeniach i dał mu wielką czerwoną rozetę:

— Przypnij to sobie, a na czapkę sam musisz postarać się. Teraz spisuj. Po mnie zapisz komisarza Awdziejewa, później siebie i tak dalej. Będziesz towarzyszu sekretarzem. Ty w narwskim komitecie od dawna pracowałeś w sekcji agitacyjnej?

— Nie... to jest... od paru miesięcy — bąkał Józef.

— Taki agitator z ciebie, towarzyszu. Ot, uczył się, na uniwersytet chodził, a język w gębie się płacze. Cóż ja z ciebie za korzyść, z takiego, będę miał w agitacyjnym pociągu!? Przysyłają takich! Ech! Nu, pisz.

Machnął ręką i poszedł.

Na każdej stacji zatrzymywał się pociąg. Zbierały się tłumy. Awdziejew, Kuszkin i jeszcze kilku z załogi na zmianę wylazili na dachy wagonów i przemawiali. Domaszko wraz z resztą obsługi rozrzucił przez okna ulotki i odliczał po kilkadziesiąt plakatów do rąk zgłaszających się delegatów miejscowych komitetów i rad robotniczych.

Nie zmuszano go do wygłaszania mów, nie mając zaufania do jego elokwencji.

Sytuacja stawała się rozpaczliwa. O ucieczce trudno było myśleć, bo i dokąd? Nieraz był świadkiem masakrowania osób wyglądających na burżujów, a nawet takich, którzy pod zniszczoną odzieżą mieli przyzwoitą bieliznę. W tych warunkach pociąg był najbezpieczniejszym schronieniem.

W ciągu dwóch tygodni krążyli po różnych liniach, wreszcie wrócili do Piotrogradu dla uzupełnienia zapasów bibuły. Józef sam sobie wystawił przepustkę na miasto. Nie odważył się pójść do mieszkania stryja, natomiast na drzwiach apartamentów pani Kulman ujrzał tablicę z nazwą jakiejś komunistycznej instytucji, wobec czego czym prędzej zawrócił.

Miasto robiło przerażające wrażenie. Szyby powybijane, witryny wielkich sklepów zięjące pustką.

Pomimo przeszło tygodniowego postoj u Józef nie wychodził więcej na miasto. Grał w oczko z „towarzyszami”, popijał herbatę bez cukru i trapił się swoim losem.

Nareszcie otrzymali nową marszrutę: Wyborg — Helsingfors. Dlatego też przydzielono im nowego agitatora, towarzysza Limpvola, z pochodzenia Fina.

Limpvol, jak wynikało z jego papierów, był nauczycielem ludowym. Ponieważ umieszczono go w jednym przedziale z Domaszką, dość szybko zblżyli się.

Fin odznaczał się nieprzeciętną inteligencją i sprytem, toteż szybko „rozgryzł” Domaszkę. W drodze, między jedną stacją a drugą, nie zważając na mroźny wiatr, wystawiali obaj głowy przez okno i rozmawiali półgłosem.

Wynikiem tych rozmów było, że Limpvol w Helsingforsie otrzymał przepustkę na dwadzieścia cztery godziny, Domaszko takąż samą i obaj pożegnali się z „towarzyszami”, udając się w odwiedzin do matki Fina, mieszkającej w tartaku o siedem wiorst od miasta.

W trzy dni później obaj byli w Sztokholmie, a w czwartym dniu Limpvol wraz z bratem, dyrektorem wielkiej szwedzkiej firmy handlowej, odprowadził Józefa Domaszkę do portu i umieścił na parowcu transportowym, odpływającym do Danii.

## ROZDZIAŁ IV

Mecenas Neuman, administrujący interesami śp. stryja Cezarego, przyjął Józefa z bolesnym wyrazem twarzy. Warszawa przechodziła bardzo ciężkie lata. Kamienica na Marszałkowskiej dawała tak mizerne dochody, że niemal wszystko pochłonęły remonty i podatki.

Mieszkanie na Mazowieckiej cudem zostało uratowane. Stary Piotr ze łzami w oczach opowiadał Józefowi o swoich i mecenasa Neumana zabiegach, by obronić mieszkanie od rekwizycji. Pomimo wszystko część mebli rozkradli oficerowie niemieccy, klamki, rondle i brązy zostały zabrane przez władze okupacyjne. Obecnie cztery pokoje są zarekwirowane dla oficerów polskich, a ich ordynansi zajmują kredensowy i kuchnię.

Dopiero nazajutrz po przyjeździe Józef poszedł na ulicę Freta.

Brudne drewniane schody i wykoślawione drzwi mieszkania ciotki Michaliny napętniły go smutkiem i odrazą.

Zapukał. Po chwili zachrobotał klucz w zamku i ujrzał przed sobą chudą kobietę o żółtej twarzy i zmierzwionych włosach.

Była to Natka.

Józefowi zrobiło się niewymownie przykro, uśmiechnął się jednak i zapytał:

— Nie poznajesz mnie?

— Józef! — przeraźliwym głosem krzyknęła Natka i nie ruszyła się z miejsca.

— Kto? — rozległ się z głębi mieszkania głos ciotki Michaliny.

— Józef! Nasz Józef!

Teraz zarzuciła mu ręce na szyję.

Czuć ją było kuchnią i potem. Józef zacisnął szczęki. Jakież to okropne. I on jest ich Józefem...

Przydreptała ciotka Michalina i pokrzykując „Jessus, Maryja!”, na próżno usiłowała dotrzeć do siostrzeńca, by go wziąć w ramiona.

Po kilku minutach siedział Józef na znajomej pluszowej kozetce i słuchał.

Straszne nieszczęście, wielkie nieszczęście, ale wola boska, trzeba ją przyjąć z pokorą. Niezbadane są wyroki opatrności...

— Co z mamą? — zapytał zaniepokojony.

Odpowiedziało mu milczenie. Obie spuściły oczy i westchnęły.

Wreszcie ciotka Michalina ciężko się podniosła z krzesła, przygarnęła głowę Józefa do swej chudej piersi i wyszeptła:

— Nie żyje, biedactwo. Panie świeć nad jej duszą, nie żyje... Zostawiła cię sierotą...

— Umarła?... — przez ściśnięte gardło wyrzucił Józef.

— Zabili... dziecko drogie, zabili. Granaty i szrapnele podobno z ziemią zrównały cały dwór... Jedna wielka mogiła.

— Jak to? Wszyscy zginęli?...

Dowiedział się teraz, że tylko wuj Mieczysław ocalał, bo akurat był w polu i Lusja Hejbowska, bo Francuzka ukryła się z nią w dole po kartoflach. Po matce Józefa i śladu nie zostało, bo oficyna sponęła doszczętnie, a Hankę walący się komin przygniotti.

Józef zakrył oczy chustką i płakał.

Ciotka Michalina zaproponowała mu herbaty, którą fuksem udało się jej zdobyć, lecz on podziękował.

Z kolei musiał opowiadać o sobie. Mówił niechętnie i ogólnikowo.

Wobec tych dwóch kobiet stwierdził w sobie jakieś uczucie obcej bliskości własnego świata, który się odeń oddalił. Cóż im do niego, a jemu do nich?

Pożegnał się, mówiąc, że będzie często przychodzić, lecz że teraz ma bardzo wiele interesów na głowie.

Istotnie miał wiele rzeczy do załatwienia. Znaczna ich część dotyczyła spadku po stryju Cezarym. Poza tym musiał przecież zapisać się na uniwersytet. Na szczęście większość potrzebnych dokumentów miał przy sobie, dzięki czemu w ciągu tygodnia został przyjęty.

Na ulicy Freta bywał często. Męczyły go te wizyty, ale przecież nie mógł dać im odczuć, że teraz, jako człowiek zamożny, stroni od nich. Bał się tylko jednego: — ewentualnych zalotów Natki. Dlatego obwarował się przed tym chłodem i powagą.

Mógł się zresztą zaślaniać pracą. Uniwersytet pochłaniał mu istotnie masę czasu. Nie ograniczając się do studiów obowiązkujących, Józef czytał bardzo dużo.

Z wielkiego biurka stryja Cezarego znikły pudła od cygar, ozdobne popielnice, świeczniki. Zostały wyparte przez stopy grubych tomów, słowników i dzieł naukowych.

Ostały się z tej inwazji tylko dwie porcelanowe figurki chińczyków kiwających głowami. Józef nie usunął ich po pierwsze przez wzgląd na pamięć stryja, który tak je lubił i po drugie z własnej sympatii do tych „kiwonów”, które swoim spokojnym, zrównoważonym, niezmiennym ruchem wytwarzały atmosferę powagi i porządku, ciszy i dosytu.

Za szerokimi oknami gabinetu tak inny, tak niepokojący panował nastrój.

Oczywiście Józef Domaszko cieszył się również, że oto ojczyzna zmartwychwstała, że znowu jest niepodległa, że ma własny rząd i wojsko. Rozumiał, że muszą w takiej sytuacji ścierać się programy obozów politycznych, że sprawa położenia podwalin pod gmach

państwa musi wywoływać rozbieżności zdań. Jednakże gorszył się trochę nadmiernym hałasem sporów, odbijających się głośnym echem na uniwersytecie.

Przed wszystkim należy uczyć się, uzyskać dyplom, stać się pożytecznym obywatelem kraju.

Tak powiedział profesor Pielnicki i niewątpliwie miał najświętszą rację.

Stosunki Józefa z kolegami ułożyły się normalnie. Z wszystkimi był dobrze, z kilku bogatszymi zbliżył się, lecz nie za bardzo, biedniejszym nie odmawiał drobnych pożyczek.

Gdy nagabywano go o wzięcie udziału w zrzeszeniach mających zabarwienie polityczne, zapewniał, że zastanowi się nad tym poważnie, lecz że na razie ma tyle pracy, która absorbuje go całkowicie, iż nie może określić terminu.

W istocie starał się jak najdalej odsunąć od spraw publicznych, tak emocjonujących niektórych studentów. Będzie jeszcze dość miał czasu na to po ukończeniu studiów.

Tryb życia Józefa Domaszki ustalił się nieskomplikowanie. Wstawał o ósmej, sumiennie chodził na wykłady, obiad jadł w domu, po obiedzie zasiadał do biurka i jeżeli nie było tego dnia seminarium, wychodził dopiero o ósmej na półgodzinną wizytę u ciotki Michaliny, u mecenasa Neumana, lub na przechadzkę w Aleje Ujazdowskie.

Z dawnych kolegów szkolnych spotkał jedynie Cypkinowicza, który prowadził sklep kuśnierski po ojcu i młodszego Buszla. Starszy był w wojsku, jak prawie wszyscy. Miał o nim wiadomość z frontu, gdyż syn mecenasa Neumana przyjechał na dwudniowy urlop, a Buszel był w tym samym pułku.

W niedzielę wieczorami u mecenasostwa Neumanów zbierało się zwykle kilkanaście osób, przeważnie młodzieży. Pomimo ciężkich czasów mecenasostwo prowadzili dom otwarty ze względu na trzy córki. Najstarsza, panna Klima, szczupła, wysoka blondynka o nieco zaczerwionym ostrym nosie, kończyła konserwatorium, średnia, panna Nuna, zaczynała medycynę, najmłodsza, Rosiczka (*recte* panna Róża) był to trzpiot z siódmej klasy.

Panna Klima była szopenistką, zwolenniczką ruchu feministycznego i systemu księdza Kneipa, panna Nuna impresjonistką, wielbicielką nowych prądów literackich i fryzur grotgerowskich, Rosiczka miała tylko program negatywny: uważała gimnazja za szkodliwy anachronizm, formy towarzyskie za śmieszny przeżytek i nie cierpiała zupy grzybowej.

Wszystkie te poglądy uzewnętrzniać się jednak mogły tylko w tych rzadkich momentach, gdy nad salonem nie połyskiwały w złoto oprawne szkła lorgnonu pani mecenasowej Neumanowej, z domu Czarnolaskiej, najwyższej kapłanki dobrego tonu, bogini ogniska rodzinnego i wyroczni wszelkich spraw doczesnych, które z właściwą sobie wprawą bezapelacyjnie dzieliła na dwie kategorie: — wypada i nie wypada.

Zadaniem mecenaso było dostarczanie pieniędzy na hydropatię systemu Kneipa, na produkcję księgarską nowych prądów literackich, na opłatę wpisowego w anachronicznym gimnazjum i na wszystko to, co jest w dobrym tonie i co wypada. Poza tym wolno mu było chodzić do klubu na wista i rewizytować młodych ludzi.

Józef wkrótce zaprzyjaźnił się z tym domem i jego tu również zyczliwie przyjmowano.

Rozmawiał z mecenasem o interesach, z panią mecenasową o zepsuciu wywołanym przez wojnę w obyczajach towarzyskich, z panną Klimą o Chopinie, z panną Nuną o kubizmie i Baudelaire.

Czasami przy stole musiał opowiadać o bolszewikach. To było dla wszystkich.

Zdawał sobie sprawę, że w tym domu widywano go chętnie jako ewentualnego kandydata do ręki jednej z córek, które zresztą — jak to słyszał od wielu bywających w tym domu osób, stanowiły „dobrą partię”, tak ze względu na posag, jak i na pozycję towarzyską.

Józef jednak nie myślał na razie o małżeństwie: przede wszystkim kończył uniwersytet.

Studia szły gładko. Wśród kolegów Józef zyskał opinię poważnego i zrównoważonego. W znacznej mierze przyczyniło się do tego i to, że nie pił, w hulankach nie brał udziału, na zabawy taneczne nie chodził, co usprawiedliwiała czarna opaska na ramieniu.

Z wiosną uzyskał stopień magistra filozofii i został powołany do wojska.

Podchorążówka z jej żelazną dyscypliną, z ćwiczeniami, wymagającymi wielkiego trudu fizycznego była ciężką próbą. Te sześć miesięcy Józef zapamiętał na długo. Jednakże ani przez chwilę nie budził się w nim protest. Przecież wiedział, że jego obowiązkiem, jako obywatela kraju, było poddać się temu rygorowi, poczucie karność zaś miał wrodzone.

Dzięki dokumentom z Pierwszego Korpusu otrzymał natychmiast po ukończeniu szkoły stopień podporucznika i został przydzielony do Ministerstwa Spraw Wojskowych.

Zaczynała się właśnie ofensywa bolszewicka i wszyscy młodszy oficerowie stawali do raportu, prosząc o wysłanie ich na front.

Józef nie uważał tego za słuszną. Zwierzchność sama wysłała tych, których będzie chciała. Próbował nawet zreflektować kolegów. Gdy jednak to nie odniosło skutku, musiał również stanąć do raportu. Gdyby tego nie zrobił, mogliby go uważać za tchórza.

Józef nie bał się frontu. Nawet marzył o tym, by odnieść jakąś nieznaczną ranę, jednakże, gdy generał kazał mu pozostać w ministerstwie, był zadowolony.

Bądź co bądź wygody Warszawy, jednostajny i systematyczny tryb życia, były zaletami nie do pogardzenia.

Na ulicy Freta bywał teraz niezmiernie rzadko, natomiast w domu państwa Neumannów stał się niemal codziennym gościem.

Zaczął asystować panie Klimie.

Tak się jakoś składało, że dość często zastawał ją samą i zanim jej matka lub którakolwiek z sióstr weszła do salonu, rozmawiał z nią o wojnie, o muzyce, o prądach feministycznych. Od czasu do czasu chodzili we dwójkę na spacer do Łazienek.

Panna Klima była trochę przeczulona, ale polubił ją szczerze i zaczął zastanawiać się nad oświadczeniami, gdy właśnie zjawił się rotmistrz Gruszkowski, ziemianin z Małopolski. Józef spotykał go coraz częściej na herbatkach pani mecenasowej, aż pewnego dnia klamka zapadła.

Dowiedział się o tym od Nuny.

Zatelefonowała doń do ministerstwa:

— Mam coś bardzo ważnego panu do powiedzenia. Czy mógłby pan teraz na chwilę wyjść z biura?

Spotkali się w Alejach i Nuna z tajemniczą miną i z nieukrywanym współczuciem zawiadomiła Józefa, że Klimie oświadczył się rotmistrz i że został przyjęty, a zaręczyny odbędą się już w niedzielę, bo rotmistrz wraca na front.

Józef był niemile zaskoczony. Namyślał się nawet, czy nie należy zaprzestać bywania u państwa mecenasostwa, ponieważ jednak pragnął uniknąć złośliwych komentarzy, jakich znajomi na pewno nie żalowałyby mu, zrezygnował z tej manifestacji i po dawnemu bywał na Mokotowskiej.

Teraz jednak panny Klimy najczęściej nie zastawał, natomiast panna Nuna była zawsze w domu.

Po kilku tygodniach byli już w najlepszej komitywie. Józef zaczął uprawiać system księdza Kneipa, czytać impresjonistów i chodzić na wystawy obrazów.

Wszystko to doskonale wpływało na jego zdrowie i humor. W wolnych chwilach pisywał nawet wiersze naśladujące z powodzeniem Igora Siewierianina.

Wiersze te szalenie podobały się panie Nunie, lecz jeszcze bardziej zachwyciły ją wiersze młodego sportowca, pana Huszczy. Widocznie i inne walory tego nieprzyjemnego pana znalazły silniejszy oddźwięk w serduszkach panny Nuny, gdyż przestała się interesować postępkami Józefa w uprawianiu systemu księdza Kneipa, natomiast zajmowała się żywo każdym centymetrem wzwyż skoków Huszczy o tycze.

Zaręczyny panny Nuny Józef odchorował ciężką migreną i melancholią człowieka, który aż nadto wyraźnie zdobył dowody niestałości niewieściej.

Panna Rosiczka była tego samego zdania, a nawet zapewniała Józefa, że Nuna chyba oczu nie miała, żeby wybrać takiego cymbała jak ten Huszcza.

Teraz dopiero Józef zauważył, że panna Rosiczka pomimo swojej młodości ma dużo zdrowego i trzeźwego sądu o życiu i ludziach.

Jej krytyczny stosunek do całokształtu wszechświata nie obejmował jedynie porucznika Józefa Domaszki i porucznik Józef Domaszko umiał to ocenić.

Teraz już nie żałował Klimy i nie miał żalu do Nuny. Rosiczka była najmłodsza i bezsprzecznie najładniejsza, a poza tym miała zamiar wstąpić na humanistykę, co świadczyło o jej rozsądku i rodzaju zamilowań nieobcych jemu.

Przyszła jesień, a z nią koniec wojny.

Kraj nie wymagał już od swych synów pozostawiania w szeregach bohaterskiej armii i Józef zdemobilizował się.

Przede wszystkim zajął się gruntownym uporządkowaniem swoich interesów. Idąc za radą mecenasa Neumana, sprzedał mieszkanie na Mazowieckiej, a odnowił dla siebie znacznie mniejsze, bo tylko sześciopokojowe we własnej kamienicy na Marszałkowskiej. Kapitalik uzyskany ze sprzedaży brylantów należało gdzieś dobrze ulokować i obrotny mecenas znalazł wkrótce odpowiednie przedsiębiorstwo.

Był to dom handlowy importujący kosmetyki, chemikalia itp. znajdujący się właśnie w stanie organizacji, a będący własnością panów Mecha i Weisblata. Obaj mieli nos do interesów, doskonale stosunki handlowe, lecz musieli kontentować się małymi transakcjami z powodu braku kapitału zakładowego i kredytu. Wejście do spółki Józefa Domaszki radykalnie naprawiło ten mankament. „Polimport” stał się dużym domem handlowym, ściągając jeszcze kilku drobniejszych udziałowców.

Ponieważ pan Mech miał różnego rodzaju zatargi z organami wymiaru sprawiedliwości, a pan Weisblat nie lubił się eksponować, prezesem został wybrany Józef Domaszko. On też objął kierownictwo centrali, podczas gdy Mech prowadził sprzedaż, a Weisblat kręcił się wciąż za granicą w sprawach zakupu. Mecenas Neuman objął stanowisko radcy prawnego, co Józefowi dawało rękojmię dodatkowej kontroli nad współnikami.

Ponieważ wskutek ochrony lokatorów kamienica dawała mizerny dochód, nawet małe zyski z „Polimportu” nie były do pogardzenia. Zresztą zyski te rosły niemal z dnia na dzień.

W tymże czasie Józef urządził mieszkanie pod doświadczonym okiem pani Neumanowej i przy żywym współudziale panny Rosiczki.

Nie byli jeszcze oficjalnie zaręczeni, jednak już w najszerszych kołach znajomych mówiło się głośno o ich małżeństwie. Zaręczyny odkładano z racji przykrych historii z rotmistrzem, narzeczonym Klimy. Okazało się bowiem, że jego dobra w Małopolsce skurczyły się do malutkiego folwarczku, stanowiącego własność bardzo jeszcze czerstwej i wcale dziarskiej ciotki. Józef w duchu cieszył się z kary boskiej, jaka spotkała niewierną Klimę, jednak patrząc na jej coraz bardziej zaczerwieniony od płaczu nosek, zdobywał się na przyjazne słowa pociechy, kierując jej uwagę na jedynie trwałe i niezniszczalne szczęście, jakie może dać muzyka.

Jednakże gdy go naciskano, by rotmistrzowi dał posadę w „Polimporcie”, wykręcił się sianem.

Wstawał wcześniej i codziennie o ósmej rano był już w biurze. Uważał, że punktualność szefa jest najlepszym środkiem na zachowanie dyscypliny w przedsiębiorstwie.

Mechanika „Polimportu” nie była skomplikowana, toteż wkrótce był już obznajomiony ze wszystkimi drobiazgami.

Od dwunastej do pierwszej przyjmował interesantów. Byli to ludzie poszukujący pracy, agenci różnych firm, wynalazcy różnych kosmetyków itp.

Pewnego dnia, tuż przed Bożym Narodzeniem, wśród kilkunastu oczekujących w korytarzu osób znalazł się pan, którego karta wizytowa zainteresowała Józefa bardziej niż inne.

Na solidnie wielkim bilecie przeczytał:

Erazm Leopold Fahrtauscheck, redaktor „Tygodnika Niezależnego”.

Oczywiście przyjął go pierwszego i wstał na powitanie tęgiego jegomościa, doskonale owalnego w postaci, dźwigającego pod pachą wielką tekę.

— Jestem Domaszko, bardzo mi przyjemnie, czym mogę panu redaktorowi służyć? Proszę siadać, bardzo proszę.

Redaktor Fahrtauscheck zapewnił pana prezesa, że jest szczęśliwy z powodu „zapoznania tak szanownej *persona grata*<sup>34</sup>”, rzucił parę zdań stanowiących przenikliwą definicję obecnego położenia gospodarczego, które „znajduje się *enpasem*<sup>35</sup> in *statuti nascendi*<sup>36</sup>”, ale które „*Lajf of bużines*<sup>37</sup> powinien *avek junfors mażor*<sup>38</sup> poprzeć grubszą forszą he... he...”.

<sup>34</sup>*persona grata* — osoba pożądana, mile widziana, por. *persona non grata*. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>*enpasem* (zniekszt. fr. *en passant*) — mimochodem, przy okazji, na marginesie. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>*in statuti nascendi* (zniekszt. łac. *in statu nascendi*) — (będący) w trakcie powstawania; właśnie powstający. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>*lajf of bużines* (zniekszt. ang. *life of business*) — życie biznesu; tu: świat biznesu. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>*avek junfors mażor* (zniekszt. fr. *avec jeune force majeure*) — wraz z młodą siłą wyższą (żart. kontaminacja dwóch wyrażzeń, *jeune force*: młode siły, młoda kadra i *force majeure*: siła wyższa). [przypis edytorski]

Następnie, sięgnąwszy do papierośnicy Józefa Domaszki, pan redaktor ciągnął:

— Import, czyli jak to się mówi wwóz, jest jeszcze, panie prezesie, *tabula rasa*<sup>39</sup>, *rekte*<sup>40</sup> *kart blanż*<sup>41</sup> w naszym handlu. Ale trzeba trzymać się w nim zasady *karpe dzijem*<sup>42</sup>, jak mówią Rosjanie „łapaj moment”! He... He...

Józef był nim zaskoczony i nieco przestraszony:

— Przepraszam pana redaktora, ale czym właściwie mogę służyć?

— Panie dyrektorze, należy zdobywać rynek! *Il fo to prędr*<sup>43</sup> dzi entwiklunk<sup>44</sup>, jak mówią Niemiaszkowie, *das szwung*<sup>45</sup>...

Zalany wymową poligloty, Józef z rezygnacją wysłuchał do końca jego kwiecistej przemowy i dowiedział się, że „Tygodnik Niezależny” chętnie poparłby wyczyny „Polimportu” na zasadzie *do ut des*<sup>46</sup>, chodzi zaś tylko o umieszczanie ogłoszeń firmy na poczytnych szpaltach tygodnika.

Józef, który nigdy w życiu pisma tego w rękę nie miał, obiecał, że zastanowi się nad tym i że jeżeli pan redaktor zechce go odwiedzić za dwa dni, sprawę ogłoszeń da się załatwić. Wstydził się zdradzić swoją nieświadomość co do politycznego kierunku tygodnika, dlatego zapytał tylko:

— A kto jest redaktorem naczelnym pańskiego szanownego organu?

Owalny pan lekceważąco machnął ręką:

— *Setegal*<sup>47</sup>, *gancwurst*<sup>48</sup>, jego te sprawy nie dotyczą, ale może pan prezes słyszał, niejaki Piotrowicz?...

— Jacek może?...

— Istotnie, Jacek Piotrowicz. Widzę, że *wu, mosie le prezidę*<sup>49</sup>, że nie jest panu obce to nazwisko?

Ba! Jakże mu mogło być obce! Już chciał powiedzieć, że Jacek był jego kolegą szkolnym, że pamięta go świetnie jako największego awanturnika w klasie... Czy też się ustatkował?... Biedny Jacek, pewno nawet matury nie ma, bo go z siódmej z „wilczym biletem” wyrzucili.

Józef chrząknął i powiedział:

— Owszem, słyszałem... hm... więc pan redaktor może będzie łaskaw zajrzeć do nas pojutrze.

— *Alor*<sup>50</sup> *orewiderczy*<sup>51</sup>, *gud baj*<sup>52</sup>, panie prezesie szanowny — szarmancko i swobodnie zawołał redaktor Fahrtouscheck — do miłego zobaczenia. *Że siui anszante*<sup>53</sup>, żeśmy doszli, jak powiada poeta, *in medzijas res*<sup>54</sup>. He... he... *Molto grazie*<sup>55</sup>!...

Okragłym lecz dostojnym ruchem znikł za drzwiami.

Józef Domaszko przyjmował dalszych interesantów, lecz wprost nie mógł pozbyć się sprzed oczu wizji redaktora Fahrtouschcka. Jego wizyta i inne nasunęła mu refleksje.

<sup>39</sup>*tabula rasa* (łac.) — niezapisana tablica; termin filozoficzny u Arystotelesa określający stan umysłu nowo narodzonego człowieka. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>*rekte* (zniekszt. łac. *recte*) — dobrze; właściwie. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>*kart blanż* (zniekszt. fr. *carte blanche*) — czysta karta; dokument (np. plenipotencja) wystawiony w pełnym zaufaniu, bez wypełniania szczegółowych danych; nieograniczone pełnomocnictwo, wolna ręka, używane pot. *donner carte blanche* w znaczeniu: dać swobodę działania. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>*karpe dzijem* (zniekszt. łac. *carpe diem*) — chwytaj dzień; formuła streszczająca postawę epikureizmu wobec teraźniejszości, pochodząca z *Pieśni* Horacego (I, 11, 8). [przypis edytorski]

<sup>43</sup>*il fo to prędr* (zniekszt. fr. *il faut prendre*) — trzeba pojąć. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>*dzi entwiklunk* (zniekszt. niem. *die Entwicklung*) — rozwój. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>*das szwung* (zniekszt. niem. *der Schwung*) — impet, rozmach. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>*do ut des* (łac.) — daję byś ty mi dał; maksyma streszczająca zasadę wzajemności, zasada prawa rzymskiego obowiązująca przy zawieraniu układów. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>*setegal* (zniekszt. fr. *c'est egal*) — jednak, mimo wszystko. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>*gancwurst* (z niem. *ganz Wurst*) — od pot. powiedzenia potoczego *mir ist alles Wurst*: mnie jest wszystko jedno; tu: wszystko jedno. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>*wu, mosie le prezidę* (zniekszt. fr. *Vous, monsieur le president*) — pan, panie prezesie. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>*alor* (zniekszt. fr. *alors*) — zatem, a więc. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>*orewiderczy* (zniekszt. wł. *arrivederci*) — do zobaczenia. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>*gud baj* (zniekszt. ang. *good bye*) — do widzenia. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>*że siui anszante* (zniekszt. fr. *je suis enchanté*) — dosł. jestem zachwycony/a; formuła używana przy zawieraniu znajomości. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>*in medzijas res* (zniekszt. łac. *in medias res*) — do sedna sprawy. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>*molto grazie* (zniekszt. wł. *molto grazie*) — bardzo dziękuję. [przypis edytorski]

Bądź co bądź nie dotrzymał przecież zobowiązań wobec świętej pamięci stryja Cezarego. Stryj kategorycznie życzył sobie, by on, potomek Juliusza Słowackiego, poświęcił się twórczej pracy na niwie kultury rodzimej, by obudził w swej krwi dziedzictwo talentu. A cóż Józef zrobił? Wziął się do handlu, korzystając z majątku testatora... „Tygodnik Niezależny”... Stanowczo trzeba tym się zainteresować. Tym bardziej, że Jacek Piotrowicz...

Zatelefonował pod numer podany na bilecie Fahrtouschcka. Miły kobiecy głos poinformował go, że to administracja, a do pana redaktora Piotrowicza jest taki a taki.

Połączył się i usłyszał krótkie i szorstkie:

— Proszę.

— Czy mogę mówić z panem Jackiem Piotrowiczem?

— Kto pyta?

— Józef Domaszko.

Chwila ciszy w słuchawce i ten sam głos, tylko już całkiem wesoły:

— Domaszko?... A serwus! Jak się macie! Skąd wzięliście się w Warszawie? Tak dawno was nie widziałem!

Józef po paru słowach wyjaśnień wyraził z kolei swoją radość z odnalezienia dawnego kolegi i podziw, że ma pismo.

— A skądże wiecie o tym? — zdziwił się Piotrowicz — przecież pierwszy numer wychodzi dopiero za dwa dni!?

— Był tu u mnie w mojej firmie wasz redaktor ekonomiczny i mówił tak o „Tygodniku Niezależnym”, jakby istniał od stu lat. Aż rumieniłem się, że nic o nim nie wiem.

— Czekaćcie, kolego — przerwał Piotrowicz — jaki znów mój redaktor ekonomiczny?

— Gruby taki, pan... zaraz, mam tu jego kartę...

— Fahrtouscheck!? — ryknął Piotrowicz.

— Tak. To jakiś dziwny poliglota...

— Czekaćcie, kolego — przerwał Piotrowicz — to nie jest wcale współpracownik redakcji, tylko akwizytor ogłoszeniowy. Czy przedstawił się jako redaktor?

— Ma to wydrukowane na bilecie.

— A lotr! Wypędzę go w tej chwili. Przepraszam was na sekundę. Ignacy! — ryknął — Ignacy! Dawać tu tego Fartuszka, żywo! — Widzicie kolego, co za bezczelne bydło!... Co? Nie ma go? Gdy tylko przyjdzie, niech natychmiast u mnie się zamelduje... Jeszcze raz przepraszam was, kolego, za tego cymbała.

— Ależ drobiazg — usiłował łagodzić Domaszko — to przecież zrozumiałe, że akwizytor w ten sposób stara się o zdobycie ogłoszeń.

— To jest zwyczajna nieuczciwość. Już ja się domyślam, co on wam musiał nagadać: że będziemy popierali itp. Znam się na tych łobuzach. Nie mówmy już o tym. No, a cóż porabiacie? Koniecznie musimy się spotkać. Tylko że ja teraz nie mam czasu. Chyba, że wpadniecie do mnie do redakcji na Jasną.

— Z przyjemnością — szczerze zapewnił Domaszko.

Umówili się na jutrzejsze popołudnie, Józef zapisał adres i z uśmiechem odłożył słuchawkę.

„Nic się nie zmienił — pomyślał — zawsze był taki awanturnik”.

W szkole Józefa nie łączyły z Piotrowiczem bliższe stosunki. Nie odpowiadali sobie ani usposobieniem, ani zainteresowaniami. Piotrowicz wiecznie organizował jakieś spiski, jakieś tajne kółka samokształcenia, kłócił się z profesorami, nosił broszury rewolucyjne, wiecznie z całą klasą był w wojnie i niejednego poturbował w dyskusji. Jeżeli Józef odeń ani razu nie oberwał, to tylko dlatego, że zawsze schodził mu z drogi.

Jego i innych Piotrowicz pogardliwie nazywał: smerdy, ciury i ciwuny!

Wylali go z budy za uderzenie w twarz nauczyciela historii. To był skandal!

W każdym razie Józef cieszył się, że spotka Piotrowicza.

Obiad tego dnia jadł w restauracji. Weisblat powrócił z Berlina i należało omówić różne sprawy, gdyż wieczorem znowu wyjeżdżał.

Mech uprzedził Domaszkę, by nie zapraszać mecenasa, gdyż rzecz jest ściśle poufna. To od razu nie podobało się Józefowi i postanowił mieć się na baczności.



Mech, chudy człowiek z wystającą szczęką, z siwiejącymi gęstymi brwiami i z chrońniczną chrypką, która głosowi jego nadawała brzmienie powierzanej tajemnicy i znacznie młodszy od niego, ruchliwy, rudy Weisblat popijali czystą wódkę i przegryzali śledziem w śmietanie, z rzadka rzucając kilka słów. Józef, który wódki nie pił, czekał spokojnie, aż podadzą zupę.

— Nasz kochany pan Domaszko — mrugnął wesoło Weisblat — to ma w interesach angielską flegmę. Inny pytałby, niepokoił się...

— No, ale już gadaj — przerwał mu Mech.

Weisblat przysunął krzesło:

— Perfumy dają dwadzieścia dwa procent, mydła zaledwie dziesięć, instrumenty chirurgiczne w ogóle leżą, gumowy towar w najlepszym wypadku czternaście, chemikalia od dziesięciu do trzynastu... Nie mówię, żeby to był zły interes. Daj nam Boże zawsze. Ale czy tak się robi majątek?

— Eee, tam! — pogardliwie machnął ręką Mech.

— Ja się pytam — namiętnie powtórzył Weisblat — czy tak się robi majątek? Czy tym doszli do milionów taki Abram Lichtarz albo Wiewiórkowski?... Nie, panowie!... Trzeba nabrać rozmachu, trzeba znaleźć coś lepszego. Tamto jako podstawa przedsiębiorstwa — w porządku. Ale teraz dobry interes to tylko koks.

— Jak to koks? — zdziwił się Domaszko.

Kelner podawał zupę i Weisblat zamilkł. Gdy już zupa była nalana, wyjaśnił:

— Kokaina...

— Ce, ce, ce — zacmokał Mech.

Domaszko zmarszczył czoło:

— Wwóz kokainy jest zakazany.

— Otóż to — potwierdził Weisblat — dlatego właśnie to jest interes.

— Nie ma o czym mówić — stanowczo pokręcił głową Domaszko — bo ja się na to nigdy nie zgodzę.

— Dlaczego? — zdumiał się Mech.

— Jeżeli mówię o koksie — przytrzymał go za rękę Weisblat — to z tego powodu, że znalazłem murowane źródło. Że niefałszowany, dam głowę, a ekspedycja i transport do nich należy.

— Nie chcę o tym słyszeć.

— Oj, jaki pan dziwny — zaszeptał Mech — przecież żadnego niebezpieczeństwa „wsypy” nie ma. Chodzi tylko o pieniądze.

— Chodzi o kokainę — zaprotestował Domaszko — wwóz jest przestępstwem to raz, po wtóre dostarczanie tego narkotyku jest nową zbrodnią. Nie, panowie, dajmy temu spokój. Ja jestem człowiekiem uczciwym i na takie rzeczy nie pójdę.

Mech rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć: — to trudno, lecz Weisblat uśmiechnął się i zaczął tłumaczyć.

Przed wszystkim rozwiął wszelkie obawy wykrycia. Transport z Berlina na ryzyko dostawcy. Kokaina bardzo mało zabiera miejsca i będzie dostarczana jednemu właścicielowi małej drogerii na Muranowie. Jak złapią, to jego. Dalej trzeba wziąć pod uwagę, czy to jest nieuczciwością? Nie wszystkie zakazy rządu są słuszne i mądre. Przecież i on, Weisblat, czy dajmy na to Mech, może zostać posłem i otrzymać tekę ministra. I on może wydać na przykład zakaz sprowadzania książek czy pierników. Co na to wtedy powie pan Domaszko?

— Powiem, że wtedy nie wolno importować książek, a wolno kokainę. To jasne.

— Otóż to — potwierdził Weisblat — a rządy się wciąż zmieniają, może i znajdzie się taki. I co wtedy będzie? Kokaina spadnie w cenie, a mądrym okaże się ten, kto już od dawna wziął się do koksu. Więc o co chodzi?... O to, że pan Domaszko nie chce rąk maczać w całym interesie? To nie będzie maczał. Może nawet o niczym nie wiedzieć. Zrobi się cichutko. Tylko kapitał obrotowy trzeba przetrząść z perfum i innych towarów na koks. Reszta współników nawet nie przewącha. Obroty zmniejszyły się i tyle.

— O, i oszukiwanie współników! — wtrącił Józef.

— Po co oszukiwanie? Jeżeli kochany pan Józef tak kwestię stawia, to nawet możemy im dać normalne zyski. Zaksięguje się po prostu transakcje z ręki do ręki, pan Mech już to sprytnie załatwi. I interes jest czysty jak ła.

Interes, Narkotyki

— A powiedźże jakie dochody — zaszeptał Mech.

Twarz Weisblata rozjaśniła się. Wyjął notes, ołówek i zaczął Domaszce prezentować kalkulację, pozycję po pozycji. Józef niechętnym, lecz uważnym okiem śledził ruchy jego ołówka. Weisblat skończył i trzykrotnie podkreślił cyfrę, bardzo wymowną cyfrę czystego zysku:

— 450 procent!

— No!?!... Każdy dolar w ciągu dwóch miesięcy przynosi cztery i pół przychówka. Jeżeli puścimy w to tylko pięć tysięcy, to po roku wyjmemy minimum 300 000 dolarów! Pan rozumie? Po sto tysięcy dla każdego z nas!

Nastało milczenie.

— I w „Polimporcie” nie będzie ani jednego grama tego paskudztwa?

— Ani jednego. Przecież to nie interes firmy, tylko nas trzech — zapewnił Weisblat — no więc zgoda?...

Wyciągnął rękę, lecz Domaszko udął, że jej nie widzi. Złożył serwetę i wstał:

— Muszę już iść... ale pamiętajcie, panowie, że ja o niczym nie wiem.

— No, rachunki chyba zechce pan sprawdzać? — zaszeptał Mech.

— Tylko dla porządku, tylko dla porządku — odpowiedział Domaszko z oburzeniem.

Niechętnie uściśnął ich ręce i wyszedł.

## ROZDZIAŁ V

Był to skromny i nieco nieporządnym lokal na trzecim piętrze. Na drzwiach biała tabliczka głosiła: „Tygodnik Niezależny” — kierownik przyjmuje od 8.00 do 10.00 rano.

„Też wybrał sobie godziny przyjęć” — pomyślał Józef, naciskając klamkę.

W przedpokoju źle ubrany wyrostek jadł chleb z masłem, w pierwszym pokoju jakiś pan nad stertami papierów kłócił się z dwoma innymi. Na ścianach cokolwiek krzywo wisiały mapy i portret Fryderyka Nietzschego.

Po chwili wybiegł Piotrowicz, wysoki, kościsty blondyn, o niemal atletycznej budowie z niezwykle żywymi niebieskimi oczyma.

— Serwus! Jak tam? — zawołał — szalenie się cieszę. Wejdźcie, kolego, tu na parę minut. Mam krótką konferencję, ale zaraz będę gotów.

Mocno uściśnął dłoń Domaszki i prawie wepchnął go do bocznego pokoiku.

— Siadajcie i darujcie — z tymi słowami znikł.

Józef rozejrzał się. Pod oknem przy maszynie do pisania siedziała plecami do wejścia szczupła blondynka i z wielką uwagą stukwała w klawisze.

Chrząknął, lecz nie odwróciła głowy, wobec czego zrezygnował z ukłonu i usiadł na cokolwiek chwiejącym się krześle. Stary biurowy stół, jak i wszystkie meble, był zavalony dziennikami, korespondencją i przyborami do pisania.

„Ładu tu nie za dużo” — skonstatował w myśli.

W tej chwili blondynka wstała, wyjęła papier z maszyny i podeszła do stołu. Józef wobec tego podniósł się z krzesła i ukłonił. Skinęła mu ładną główką. Nawet bardzo ładną. Mogła mieć osiemnaście, najwyżej dziewiętnaście lat. Zresztą nie przyglądał się jej zbyt uporczywie, gdyż byłoby to nietaktowne. Toteż zdziwił się, że ona wciąż ku niemu zerka i to jakby z uśmiechem.

Wreszcie zapytała wręcz:

— Przepraszam pana, ale... czy pan nie jest panem Józefem Domaszką?

Zerwał się:

— Tak jest, proszę pani.

Wówczas zaśmiała się swobodnie:

— I nie poznaje mnie pan?

Szeroko otworzył oczy. Istotnie wydawało mu się, że kogoś podobnego kiedyś widział.

— Nie poznaje pan? A ja pana poznałam od razu, tylko nie byłam pewna.

Swobodnie podała mu rękę:

— No? Nie pamięta pan kogoś nieznośnego z cichego dworku w Terkaczach?

— Lusია!?! — krzyknął Józef i zaraz się poprawił. — Panna Lusία!

— A widzi pan, wyrosłam.

— Mój Boże! — zawołał — to pani!?

— Nie ulega żadnej wątpliwości — powiedziała wesoło. — Bardzo się cieszę, że pana spotykam, ale co pan tu u nas robi?

Zanim zdążył odpowiedzieć, wpadł Piotrowicz i wyciągając za sobą jakiegoś siwiejącego pana, wołał:

— Żegnam, żegnam, z typami w pańskim rodzaju nie chcę w ogóle mieć do czynienia.

— Ależ, panie — bronił się wyciągany, usiłując wyrwać dłoń z uścisku Piotrowicza i drugą chwytając się za drzwi — jeszcze jedno słowo...

— Jeszcze jedno słowo — ryknął Piotrowicz — a zrzucę pana ze schodów! Won, do diabła!

Józef spojrzał pytająco na pannę Lusię, lecz ta ukryła twarz za książką i śmiała się cichutko.

— Proszę, kolego! — z kurtuazją zwrócił się Piotrowicz do Józefa, uporawszy się z tamtym.

Domaszko chciał pożegnać się z panną Lusią, lecz już był w gabinecie.

— Darujcie — sadowił go Piotrowicz w trzcinowym fotelu — ale musiałem wyprosić tego smerdę!

— ...ciurę, ciwuna! — dokończył Domaszko.

Piotrowicz wybuchnął śmiechem:

— Cha... Pamiętacie?...

— Dobre były czasy — westchnął Józef.

Piotrowicz skamieniał:

— Za pozwoleniem, jak to dobre? Jak to kolega rozumie?

— No, wspomnienia dzieciństwa — zdetonował się Domaszko.

— Aha! Myślałem, że też należycie do tych, co plotą bzdury, nie zdobywając się na żadne rozsądne środki oceny.

Obejrzał gościa uważnie i zawyrokował:

— Zmieniliście się bardzo. Zmężnieliście, przytyliście. Cóżście porabiali?

— Ano, byłem w Rosji. Studiowałem na Uniwersytecie Petersburskim, później tkłem się po froncie w Ziemskim Sojuszu, wreszcie w Pierwszym Korpusie...

— Jak to? I wy też złożyliście broń?

— Nie. Mnie wcześniej zgarnęli bolszewicy. Uciekłem im przez Szwecję, później ukończyłem studia na Uniwersytecie Warszawskim.

— To znaczy, że w wojsku polskim nie służyliście?

Pytania Piotrowicza miały ton prawie inkwizytorski.

— Owszem. Jestem porucznikiem rezerwy — powiedział, ukrywając irytację.

— To dobrze. Winszuję wam. A teraz?

— Teraz handluję. Mam do spółki dom handlowy.

— To jeszcze lepiej. My, Polacy, za mało zajmujemy się handlem. Chwalebne. I jakże wam idzie?

— Dziękuję, nieźle.

Piotrowicz nagłym ruchem otworzył szufladę i wy dobył z teki arkusik papieru:

— Proszę was, przeczytajcie.

Był to odpis listu, utrzymanego w niesłychanie ostrym i omal obelżywym tonie, a wymawiający pracę panu Fahrtauschkowi. Józefowi zrobiło się przykro:

— Doprawdy — zaczął — nie widzę powodu...

— Musiałem tak postąpić, nie ma gadania — przerwał mu Piotrowicz, chowając papier — sądzę, że będziecie zadowoleni.

— Ależ ja nie domagałem się satysfakcji!

— Zadośćuczynienia — poprawił Piotrowicz — nie satysfakcji, lecz zadośćuczynienia. Po co używać słów obcych, gdy się rozporządza polskimi. Musiałem wypędzić to indywiduum...

— To już może lepiej: osobnika? — z uśmiechem wtrącił Domaszko.

— Co? A... ma się rozumieć, dziękuję — roześmiał się Piotrowicz — zawsze jestem wdzięczny za wytykanie mi tych wstrętnych naleciałości.

— Wracając do rzeczy — zaczął Domaszko — ja bardzo chętnie dam ogłoszenia waszemu piśmie. W ogóle z przyjemnością udzieliłbym poparcia finansowego zdrowym prądom w prasie...

— Prąd tego pisma jest najzdrowszy — apodyktycznie stwierdził Piotrowicz — ale czekajcie... chwilę!...

Zamyślił się.

— Tak, to byłoby najlepsze — powiedział jakby do siebie. — Słuchajcie, kolego, czy wy jesteście bogaci?

— No, bogaty nie jestem, ale zamożny tak.

— Nie o to chodzi. Widzicie, ja osobiście jestem kompletnie goły. „Tygodnik Niezależny” ma być wydawany kosztem niejakiego Berskiego. Ten Berski jest na ogół człowiekiem godnym zaufania. Jednakże mam pewne wątpliwości. Mianowicie obył mi się o uszy pogłoski, jakoby żonaty był z Żydówką. To mi bardzo psuje szyki. Rozumiecie?

— Mniej więcej. Wasz tygodnik ma być antysemicki?

— Bynajmniej! Zresztą później obszernie wszystko wam wyjaśnię. Obecnie chodzi mi o zasadę: — czy moglibyście podjąć się zasilania gotówką mego wydawnictwa, gdyby wam odpowiadał jego kierunek.

— A czy to wymaga dużego nakładu pieniędzy?

— Nie, drobiazg. Zresztą wkrótce „Tygodnik” zacznie dawać grube zyski. Jestem przekonany. Więc w zasadzie moglibyście.

Domaszko zawahał się:

— Widzicie, kolego... jakby to powiedzieć... hm... ja sam od dawna myślałem... Wstępując na uniwersytet marzyłem o karierze pisarskiej...

— O!...

— Tak. Pisywałem nawet wiersze, nowele, artykuły. Niektóre z nich były drukowane. Otóż ja z przyjemnością wziąłbym udział w wydawaniu pisma, a nawet w jego redagowaniu, czy tylko zasilaniu piórem.

— Zaraz — przerwał Piotrowicz — dwa pytania.

— Słucham?

— Pierwsze: czy należycie do jakiegoś stronnictwa politycznego i do jakiego?

— Dotychczas do żadnego.

— To dobrze. A teraz drugie: czy macie talent pisarski?

Domaszko poczerwieniał:

— O tym nie mogę mieć zdania.

— Bardzo się mylicie. Jedno jest pewne: człowiek niewierzący w swój talent na pewno go nie ma. Wierzący też najczęściej nie mają, ale tylko najczęściej, nie zawsze. Rozumiecie?

— Niektórzy przyznawali mi zdolności, które nazywali nieprzeciętnymi — skromnie zauważył Józef.

— Tym lepiej. Zatem między nami jest rzecz do omówienia i chcę to zrobić prędko, bo zależy mi na przyspieszeniu pierwszego numeru. Pozwolicie, kolego, że do was zadzwonię w najbliższych dniach. Oczywiście wolałbym mieć do czynienia z wami niż z Berskim. Cieszę się, żeśmy się spotkali.

Spojrzał na zegarek: — czwarta! — Darujcie, że was przeproszę, mam jeszcze dużo roboty.

Józef pożegnał się z nim serdecznie, o ile można było mówić o serdeczności w stosunkach z Piotrowiczem.

Wychodząc przez mały pokoik ujrzał pannę Hejbowską w płaszczu i kapeluszu. Wiodocześnie czekała na niego. Zrobiło mu się bardzo przyjemnie. Ta śliczna panna to przecież wspomnienie najmilszych lat dzieciństwa w cichych słonecznych Terkaczach.

— No, nareszcie — przywitała go wesoło — już myślałam, że się nie doczekam.

— Naprawdę, pani była taka uprzejma...

— Nie uprzejma, tylko zaciekawiona, proszę pana... profesora.

Przypomniał sobie, że tak go nazywała ironicznie podczas lekcji matematyki.

— Jakaż pani była wówczas niezdolna! — westchnął.

— Ale teraz już pan się o to na mnie nie gniewa? — zapytała figlarnie.

— Nie — potwierdził, patrząc jej w oczy, które nic się nie zmieniły.

— Widzi pan, wówczas byłam na pana strasznie zła, bo pan zawsze udawał starszego.

Roześmiał się:

— Przecież byłem starszy.

— No tak, ale... Wie pan co? Chodźmy do cukierni, musimy się przecież nagadać. Dobrze?

Domaszko spojrzął na zegarek:

— Pani pewno jeszcze bez obiadu?

— Bez, ale na obiedzie muszę być u wujenki.

— U wujenki... u pani Szczerkowskiej?

— A tak! Pan wie? Ja teraz mieszkam u wujenki Szczerkowskiej, bo po Terkaczach zostały... gruzy.

Spuściła głowę i szli w milczeniu. Ulice były pełne ludzi. Na rogach sprzedawano bukietki pierwszych fiołków.

— Panno Lusu... Ja też straciłem wszystkich najdroższych pod tymi gruzami... Pewno już gęsta trawa na nich porosła...

— Trawa porosła — powiedziała, ledwo ruszając wargami.

— Wola boża — westchnął Józef.

Na rogu Chmielnej musieli przystanąć. Jeźdźnią przesuwiał się sznur wozów z węglem. Mała dziewczynka o wysoko podkaszanej spódnicy podbiegła z miską pełną fiołków. Józef kupił mały bukietek i podał pannie Lusi.

— Takie kwitły na Raszycowym wzgórzu za rzeczką — powiedział.

— Takie, tylko tamte mocniej pachniały. Dziękuję. A z drugiej strony latem były cząbry, pamięta pan? Cały dywan.

— Panno Lusu, a może jednak pójdziemy na obiad gdzieś do restauracji? Ja też jestem głodny.

Lusia zastanowiła się:

— Zaprosiłabym pana do wujenki, na pewno byłaby rada, ale tam tyle osób... Nie mogliśmy się wygadać. Nie. Pójdziemy do cukierni na małe pół godzinki.

— Dobrze.

— Jest tu taka mała na Brackiej.

Cukierenka była pusta. Zajęli stolik pod oknem. Podano im herbatę i ciastka.

— Skąd pan zna pana Piotrowicza? — zapytała Lusia.

— Jacka? Jacek to mój kolega gimnazjalny.

— Aha! A ja poznałam go u pani Krotyszowej. Pewno pan słyszał.

— Pani Krotyszowa?... Nie.

— Ach, to taki dom, gdzie zawsze pełno uczonych, literatów, poetów. Pani Barbara jest intelektualistką — dodała z powagą.

— Ale, przepraszam, panno Lusu, czy... czy pani musi pracować?

— Ano właściwie muszę.

— A Terkacze? Przecie to ładny kawałek ziemi i zdaje się pani wyłączna własność?

— I cóż z tego? Wuj Szczerkowski oddał w dzierżawę, ale to przynosi grosze. Sam Pan wie: zabudowań nie ma, wszystko zryte okopami i pociskami. Dzierżawca, niejaki Olszewicz, postawił sobie prowizoryczne budynki z desek i sam klepie biedę.

— Była tam pani?

— Nie.

Józef uśmiechnął się smutno:

— Wie pani co? Musimy kiedyś latem wybrać się do Terkacz.

Spojrzała nań z rozczuleniem.

— Pojedziemy razem, na parę bodaj godzin — mówił wzruszony — taka mała pielgrzymka.

— Dobrze. Pan ma złote serce. Tak się cieszę, żeśmy się spotkali!

— I ja. Bardzo.

Niemal godzina upłynęła im na odszukiwaniu w sobie nieco chaotycznych wspomnień, przeplatanych opowiadaniem Lusi o jej kolejach życia.

Otoczył ich nastrój czułości i naturalnego ciepła.

Musieli się wreszcie rozstać, bo wujenka Szczerkowska byłaby niezadowolona ze spóźnienia na obiad. Domaszko odprowadził pannę Lusię na Wilczą.

— Oczywiście, jeżeli pozwoli pani, to w najbliższych dniach złożę państwu Szczerkowskim wizytę.

— Najlepiej jutro. Wujenka na pewno ucieszy się. Jutro jest sobota, to jest taki nieoficjalny „żurek” wujenki. Niech pan koniecznie przyjdzie. O piątej!

— Przyjdę na pewno. Do widzenia, panno Lusi. Jak to góra z górą... Miałem dziś szczęśliwy dzień.

— O, i ja też — powiedziała po prostu — do widzenia, do jutra!

Józef szedł, gwizdząc i wymachując z lekka parasolem. Chętnie wywijałby nim na cały chodnik, ale co by o nim pomyśleli ludzie.

— Jakaż ona śliczna i jaka miła... Lusie. Lusie to jest bardzo ładne imię.

Przyszło mu na myśl, że na przykład Rosiczka... To brzmi nienaturalnie, dziwacznie, wręcz pretensjonalnie...

Chętnie nie poszedłby do mecenasostwa dziś wieczór. Wprawdzie nie był tam wczoraj, ale z panią mecenasową i z Rosiczką widział się w Zachęcie, więc jego nieobecność dałaby się usprawiedliwić.

Po obiedzie wstąpił do biura, by spokojnie i z ołówkiem w ręku sprawdzić kalkulację tego łajdaka Weisblata. Nie ulegało wątpliwości, że ryzyko było minimalne i że kokaina musi dać swoje czterysta pięćdziesiąt procent czystego zysku, nawet gdyby co dziesiąty transport przepadł.

Wątpliwości natury moralnej topniały w Józefie w miarę przekonywających perswazji Mecha. Ten doskonale był poinformowany o różnych geszeftach robionych przez wszystkich na prawo i na lewo.

Rozważania te na tyle poprawiły humor Józefa, że około ósmej poszedł do Neumanów.

W salonie siedział stary pan Huszcza, ojciec narzeczonego Nuny. Przeglądał ilustracje i mruczał coś pod nosem.

— Takich to czasów dożyliśmy — przywitał Domaszkę.

— A co się stało?

— Co się stało, co się stało! Wciąż dzieje się diabli wiedzą co! Wszystko ci socjaliści, masoni i...

Obejrzał się i pochylając się do Józefa, zakończył:

— ...i Żydzi. Nie mówię panie, o Neumanach, bo to porządny dom, ale za dużo tego na świecie.

— Przecież Neumanowie to nie Żydzi — zdziwił się Józef.

— Kto to może wiedzieć — wzruszył ramionami stary Huszcza — wygląda, że nie. Ale zawsze nazwisko obce. Nierasowi Polacy. Niech pan mi wierzy, że dużo mnie kosztowało, zanim zgodziłem się na małżeństwo syna z ich córką.

Józef, który zarówno z własnych obserwacji, jak i od znajomych wiedział, że stary gwałtownie parł do tego małżeństwa, uśmiechnął się nieznacznie.

— Co? — poderwał się stary — może pan myśli, że ja na pierwsze zaręczyny Wacka inaczej patrzyłem?

— Ależ bynajmniej...

— Nie, nie, panie. Muszę panu wyjaśnić. Panna Monier pochodziła z Francuzów, a to co innego. Bratni naród, wielowiekowa przyjaźń, wspólnota kulturalna, panie, to co innego!

— Dlaczego tedy nie doszło małżeństwo do skutku?

— Ha... Sam pan wie, że Monier zbankrutował. W takich warunkach...

Weszła majestatycznie pani mecenasowa:

— Bardzo panów przepraszam... Witam... witam... Moje panny zaraz będą gotowe. Miałam dziś trochę migreny... A gdzież to pan Wacław?

Huszcza nie umiał tego wytłumaczyć. Może trening, a może jakieś posiedzenie. Ci sportowcy najwięcej trenują się w posiedzeniach.

Panna Nuna w zielonej sukni wyglądała prawie ordynarnie, a Rosiczka miała zupełnie niemądry wyraz twarzy i piegi jej zrobiły się na nosie. Przy tym powiedziała strasznie banalnie:

— Cóż u pana słyhać?

Miał ochotę odpowiedzieć tym, czym kiedyś Piotrowicz odpowiadał na takie głupie pytania: — słyhać każdy szmer.

Jednak uśmiechnął się uprzejmie:

— Wszystko po staremu, panno Rosiczko.

Polak, Żyd, Małżeństwo

— A wie pan, dokąd wybieramy się na lato?

Znowu głupie pytanie: skąd mógł wiedzieć? Duchem Świętym przecież nie jest!

— Do Zakopanego? — próbował zgadnąć.

— Nie! — potrząsnęła główką.

— Hm... do Konstancina?

— Nie!...

— Więc do Gdyni?

— Za gra-ni-cę!

Powiedziała to z takim triumfem, jakby tysiące osób corocznie nie jeździło za granicę, tylko one.

— Jedziemy do Cannes! Ach, jak to będzie cudownie.

— Właśnie — wtrąciła jej matka, przerywając rozmowę ze starym panem Huszcza — lekarze zalecili Rosicdze pobyt w Cannes. Pomyślałam, że i pan, panie Józefie, mógłby trochę odpocząć. Byłoby nam bardzo miło.

— Daruje pani mecenasowa, ale ja jeszcze nie wiem, jak mi się interesy ułożą.

— Pojedzie pan z nami! Naturalnie, że pan pojedzie! — zawołała panna Rosiczka. — Klima i Nuna jadą z ciotką Żarską do Krynicy, a pan pojedzie z nami. To będzie wesoło.

— Nie wiem jeszcze — odpowiedział wymijająco Józef i doszedł do przekonania, że panna Rosiczka jest krzykliwa.

Przed samą kolacją wróciła z konserwatorium Klima, a już siedzieli przy stole, gdy wpadł hałaśliwy narzeczony Nuny:

— Rozłam w PZLA! — zawołał od progu takim głosem, jakby zwiastował trzęsienie ziemi.

— Co?! — przestraszyła się mecenasowa.

— Cześć, czołem — witał się Huszcza — nie zaliczyli Wańtuskowi dwunastu punktów za dziesięciobój i „Patria” zażądała odesłania sprawy do związku związków. Niesłychany skandal, a Wańtuszek wycofuje się z klubu! Co?!

— Mistrz biegu na przełaj — wyjaśniła Nuna — taki mały brunecik, który w zeszłym roku...

— Przepraszam cię, moje dziecko — przerwała pani mecenasowa — proszę siadać, panie Waclawie. Zosiu, podaj panu półmisek! Panie Józefie, może salaty?... Klima, przysuń panu Józefowi salate. Doprawdy wszystko wystygło. Nuno, zapomnieliś o serwetce. Zosiu, czy pan nie dzwonił, o której przyjdzie?

— Nie, proszę pani.

— „Wisła” — „Garbarnia” sześć do dwóch — informował młody Huszcza półszepem narzeczoną — to im dali! Kupść ma rozbitą kostkę. Patrzyłem, gdy schodził, i przyszedł mi pomysł na wiersz pod tytułem: „Ranny gladiator”. Co?...

— To może być godne Homera — zjadliwie powiedziała panna Klima.

— Nie rozumiem, jak przedmiotem poezji — odezwał się stary pan Huszcza — można robić taką rzecz jak kopanie piłki.

— A papa chciałby gaiki, słowiki, wstążeczki!

— Chociażby. Symbolizowały one pewne uczucia. Ale pisać o mięśniach, kościach...

Rosiczka pokręciła się na krześle i dodała:

— O skórze, nerkach, przewodzie pokarmowym.

— A właśnie — przytaknął stary pan — nie widzę różnicy. Dlaczego można zachwycać się sprawnym działaniem mięśni, a nie wolno sprawnym funkcjonowaniem, *excusez le mot*<sup>56</sup>, żołądka?

— Papo tego nie zrozumie, bo papo jest stary.

— O, przepraszam cię, siedzi tu młody człowiek, pan Domaszko, niechże on ci powie, co o tym sądzi.

Wszystkie oczy zwróciły się na Józefa.

— Hm — odchrząknął ten z namysłem — jestem zdania, że panowie obaj mają pewną dozę racji. Prąd, reprezentowany tu i broniony przez pana Waclawa, jest wyrazem życia duchowego tych, których pociąga. Przecież nie stoi to w żadnym związku z nieprzemijającymi wartościami wielkiej poezji.

<sup>56</sup>*excusez le mot* (fr.) — przepraszam za słowo. [przypis edytorski]

— Ale nie odmawia pan — nacisnął go sportowiec — poezji wolnej ręki w obieraniu tematów.

— Pan Józef nigdy nikomu żadnego prawa nie odmawia — wtrąciła niewinnie panna Nuna.

— Jest to świadectwem dojrzałości umysłu — apodyktycznie orzekła jej matka.

— Szanowna pani jest zbyt łaskawa — skłonił się jej Józef — istotnie trudno jest odmówić prawa istnienia czemuś, co już istnieje. Prąd ten jest jeszcze bardzo młody i niepodobna przewidzieć, którędy pójdą jego drogi rozwoju. Dlatego wolałbym w tym wypadku powstrzymać się od wypowiadania sądów krańcowych.

— Oto jest również młodość, mój synu — wystawił wskazujący palec starszy pan Huszcza — ale młodość trzeźwa i rozważna.

Wszyscy obecni musieli w duchu przyznać mu rację, a pan Huszcza, czując w powietrzu aprobatę, ciągnął:

— Klęską naszego narodu jest zamiłowanie do krańcowości. Za moich czasów było jednak lepiej. Żadnych socjalistów, anarchistów, modernistów, ludzie żyli jak Bóg przykazał. Były, oczywiście, poszczególne wybryki, ale to na palcach można było policzyć. Nieprawdaż, szanowna pani?

Mecenasowa poczerwieniała i nerwowo składając serwetkę, powiedziała z wymuszonym uśmiechem:

— Słyszałam od starszych, owszem, słyszałam. Ale już za czasów moich, niestety, było znacznie gorzej.

I dała hasło do powstania, unosząc swoją imponującą figurę nad stołem.

W salonie panna Klima zasiadła do fortepianu, w gabinecie ustawiono stolik karciany. Pani domu, pan Huszcza senior, Józef i panna Rosiczka stanowili stałą partię brydża.

Józef nie lubił brydża, jak w ogóle nie lubił kart. Jednakże nauczył się tej gry, gdyż należało to do dobrego tonu, a wszyscy ludzie z towarzystwa grali.

Rosiczka robiła fatalne błędy w licytacji, w rozgrywce impasowała na drugą damę, wreszcie przebiła atutem własną fortę, dzięki czemu mecenasowa z panem Huszczą nadrobili dwie z rekontrą. Na dobitkę twierdziła, że każdemu wolno się omylić.

Idąc do domu, Józef poddał gruntownej analizie swoje uczucia do panny Rosiczki i kładąc się spać, miał już wyrobiony pogląd: — zobaczymy, co i jak, ale za granicę z nimi nie pojedę.

Nazajutrz zatelefonował Piotrowicz i umówili się na trzecią w kawiarni, przy czym Piotrowicz zastrzegł sobie ewentualne pięciominutowe spóźnienie. Przyszedł jednak punktualnie. Z jego mowy Józef nie mógł nic wywnioskować: zawsze wyglądał poważnie, zimno i w ostrym pogotowiu, o którym świadczyły żywe, przenikliwe oczy.

Przywitał się i zaraz przystąpił do rzeczy:

— Mówiłem już wam, że „Tygodnika Niezależnego” nie można uważać za przedsiębiorstwo handlowe. Jestem przeświadczony, że będzie dawał zyski, lecz zyski te zostaną obrócone na jego rozszerzenie i wzbogacenie jego treści. Czy w zasadzie zgadzacie się na to?

— Zgadzam się.

— Teraz drugie. Berski, z którym wolałbym zerwać umowę ze względów, o których wspominałem, daje tysiąc dolarów. Jest to kwota na razie zupełnie wystarczająca. Jednakże nie jest wykluczone, że po trzech miesiącach trzeba będzie włożyć jeszcze pięćset. Kapitał zakładowy wydawnictwa ustaliśmy przeto na dwa tysiące. Z tego wnoszący gotówkę otrzymuje 75 procent udziałów, a ja, wkładając pracę, pomysł i kierownictwo, 25 procent. Czy uważacie taki podział za uczciwy?

— Naturalnie, kolego.

— Zatem dobrze. Powiedźcie mi tedy, czy w zasadzie, o ile wam myśl przewodnia będzie odpowiadała, będziecie mogli złożyć taką kwotę?

— Będę mógł — potwierdził Domaszko.

— Jesteśmy tedy na drodze do porozumienia. Przyznacie mi słusność, gdy stwierdzę, że mało jest zdobyć niepodległość, lecz należy ją umocnić i ugruntować?

— Oczywiście.



— Otóż widzimy tu przed sobą dziedzinę leżącą odłogiem. Wysiłki podejmowane tu i ówdzie są doraźne, przygodne, rozstrzelone, a co główne, skierowane wyłącznie ku materialnej stronie zagadnienia, z pominięciem strony duchowej.

— To prawda.

— Otóż — ciągnął Piotrowicz — jest rzeczą jasną, że byt, trwałość i wartość każdego państwa, narodu i społeczeństwa zależne są od jego ducha, od idei przenikającej wszystkie warstwy, od godności jednostkowej i zbiorowej, od obywatelskiej szkoły umysłów i charakterów, przez którą musi przejść Polska, jeżeli chce sobie zapewnić prawdziwą wolność. Uczą nas tego dzieje innych narodów i trzeba być głupcem, żeby tego nie widzieć, a widząc, nie działać. Oto myśl, dzięki której powstaje „Tygodnik Niezależny”.

— Myśl szczytna i chwalebna — skłonił głowę Józef, konstatując w duchu, że nie doceniał Piotrowicza — czy zamierzacie założyć stronnictwo polityczne, które by podjęło te hasła?

— Niech mnie Bóg broni — zachnął się Piotrowicz — każde stronnictwo polityczne ma program wzniosły i piękny, lecz żadnego nie przestrzega, wszędzie krzewią się łajdactwa, ugoda ze świnstwem, ustępstwa na rzecz osobistej wygody, sprzedajność. Nie, moi drodzy, nie myślę tworzyć stronnictwa. Wystarczy, jeżeli znajdzie się głos niezależny, który będzie czuwał nad moralnością naszego życia politycznego, społecznego i kulturalnego. Taki właśnie będzie mój, a jeżeli zechcesz, nasz tygodnik.

— Zatem zadaniem tego tygodnika ma być...

— Piętnowanie! — z mocą dokończył Piotrowicz. — Będziemy piętnować! Piętnować i jeszcze raz Piętnować!

Domaszko w zadumie pokiwał głową i niepewnie zapytał:

— A kogo piętnować?

— Nie kogo, tylko co! Co! Rozumiecie? Piętnować szwindle, łajdactwa, wykręty, matactwa, spryciarstwo, karierowiczostwo, pychę, nieszczerłość, obłudę? Piętnować!

Rozstawionymi palcami przesunął po włosach i powiedział z przekonaniem:

— Jeżeli zwróciłem się z tym do was, to dlatego, iż uważam was za człowieka uczciwego, kochającego ojczyznę, za człowieka z otwartą głową, o szlachetnym sercu, któremu nie zbywa na odwadze cywilnej różnięcia prawdy w oczy, a nie za smerdę, lizańca i kapuściocha. Wasza ręka!

Józef Domaszko stłumił westchnienie i podał swoją. Rzecz właściwie wymagałaby dłuższej rozmowy, namysłu, zważenia pro i kontra, jednak nie miał na to czasu.

Piotrowicz natychmiast zaczął rozwijać przed nim rozległy obraz przyszłej działalności, wtajemniczać w pomysły redakcyjne, układać plany. Później zapytał, czy Józef ma przy sobie pieniądze, bo chciałby już dziś Berskiemu wkład zwrócić, a gdy okazało się, że Józef ma je w domu, oświadczył gotowość natychmiastowego ich zainkasowania.

Na sprzeciw, refleksję, czy tylko propozycję zwłoki wprost nie było miejsca w potopie kategoryczności Piotrowicza.

Ścisnęło się serce Józefowi, gdy odliczał dolary i przelotnie zauważył tłący się niedopałek rzucony przez Piotrowicza na podłogę, tuż przy frędzlach perskiego dywanu.

— Umowę spiszemy sami — mówił Piotrowicz — między uczciwymi ludźmi wszelkie obawy są zbędne. Ja jestem kierownikiem pisma, a wy wydawcą. Podpisujemy nasz tygodnik obaj imieniem i nazwiskiem.

Józef próbował wysunąć zastrzeżenia, lecz Piotrowicz oświadczył, iż wobec bojowego charakteru tygodnika, niepodpisywanie go byłoby strzelaniem z za płotu, co jest łajdactwem.

Na to nie było odpowiedzi.

Piotrowicz zaraz zatelefonował do Berskiego i oświadczył mu, że zrezygnuje z jego pieniędzy, a dlaczego?

— No, bo widocznie znalazłem kogoś, z kim wolę współpracować. Dziś panu wkład zwrócę. Do widzenia.

Położył słuchawkę i zaczął się rozglądać po mieszkaniu Domaszki:

— Ładnie mieszkanie i obszernie. To bardzo dobrze, bo u was będzie można urządzać herbatki redakcyjne. Uważacie, mam zamiar co miesiąc urządzać takie herbatki dla wszystkich współpracowników.

Józefowi bardzo podobał się ten plan, pomyślał, że w ten sposób będzie u niego bywała panna Lusia Hejbowska i zapytał:

— Zatem i panie?

— Jakie panie? — zdziwił się Piotrowicz.

— No, widziałem u was kilka pań.

— Ach, nie, to siły biurowe, ja mówiłem o członkach i przygodnych współpracownikach redakcji.

— A dużo ich będzie?

— Ja, sekretarz redakcji dr Zur, poza tym obiecali swoją dorywczą współpracę Zaleski, wiecie: Kamil Zenon?... Bończa-Rzewski, profesor Chudek, Jaś Pękalski, no i inni... Gdy tylko pismo zacznie wychodzić, będzie ich więcej.

Józef wytarł nos i powiedział:

— Może i ja... a raczej, może moje pióro na coś się przyda... Już wam mówiłem, że drukowałem to i owo...

— Ależ owszem, z przyjemnością, jeżeli tylko się okaże, że macie źdźbło talentu, pisujcie ile wlezie. Tylko o ile przypominam sobie ze szkoły, toście w piórze niezbyt byli mocni. Ale nie trzeba się tym zrażać, trzeba wierzyć w siebie.

— Hm... widzicie, kolego Jacku, właściwie to zaczątek mego zainteresowania się pracą literacką datuje się od chwili, gdy uwierzyłem, że mogę mieć zdolności wrodzone...

— Jak to wrodzone?

— No, dziedziczne.

Piotrowicz zamyślił się.

— To się zdarza. Zaraz, zaraz... Domaszko?... Domaszko... Aha! Był taki kronikarz w końcu osiemnastego wieku... Dokładnie sobie nie przypominam. To wasz przodek?

— Mój. Ale widzicie, jakby to powiedzieć... Właściwie wstydzić się tego nie trzeba... Ale moim naturalnym dziadem był... Juliusz Słowacki.

Piotrowicz zerwał się jak oparzony.

— Co? Kto?

— Słowacki — skromnie spuszczać oczy, powtórzył Józef.

— Niemożliwe!... To jest, przepraszam was, chciałem powiedzieć, zdumiewające!

— A jednak prawdziwe — wiedział, że zaimponował Piotrowiczowi i już nie żałował, że mu to powiedział.

— No dobrze — uderzył w stół Piotrowicz — ale na to trzeba mieć jakieś dowody! Czy są niezbite dowody?

Józef wzruszył ramionami:

— Sami rozumiecie, że oficjalnych dowodów być nie może.

— No, ale listy własnoręczne, jakieś pamiętniki, jakieś dedykacje, czy ja wiem.

— Owszem są — zaryzykował Domaszko — są listy Słowackiego do mojej babki. Wskazują one ponad wszelką wątpliwość, że między wieszczem a nią był romans. Poza tym... Jest pamiętnik mego dziada...

— Nadzwyczajne! Pokażcie.

Józef był na to przygotowany:

— Niestety, w tej chwili nie mogę służyć, gdyż wszystkie te dokumenty znajdują się u moich dalszych krewnych na kresach. Ale wkrótce je sprowadzę.

— Niesłychane — emocjonował się Piotrowicz — czy wy rozumiecie, co za olbrzymią wartość będzie miało to odkrycie dla historii naszej literatury!? Wręcz nieocenione! Przede wszystkim rzuci to zupełnie inne światło na ostatnie lata twórczości Słowackiego, bo przypuszczam... W którym roku miał miejsce ten romans?...

— W roku 1848.

— Do stu piorunów! Wówczas kończył *Króla-Ducha*!... Kolego! Jeżeli naprawdę jesteście wnukiem Słowackiego, obala to z kretesem bezsensowną plotkę o tym, że Słowacki był bezpłodnym mężczyzną...

— No chyba — zaśmiał się niezbyt szczerze Józef.

— Że nie zaznał nigdy fizycznej miłości! Upewniam was, że ja osobiście nigdy w to nie wierzyłem. Nie dalej jak przed kilku dniami mówiliśmy o tym z Jasiem Pękalskim i obaj doszliśmy do przekonania, że to niemożliwe. Jakże połączyć geniusz z eunuchostwem czy

z innymi paskudztwami jeszcze gorszymi!? Bzdura i tyle. Szalenie się cieszę! I winszuję wam!

— No... Właściwie w tym mojej zasługi niewiele — uśmiechnął się Józef.

— Jeżeli to ujawnicie i opublikujecie, będzie to wasza wielka zasługa. Ale... czy to aby zupełnie pewne?

— Zupełnie.

— Charakter pisma był badany?

— Naturalnie.

— A romans gdzie miał miejsce?

— W Paryżu.

— Zgadza się — zawołał Piotrowicz — wieszcz wówczas mieszkał w Paryżu. A cóż tam robiła wasza babka?

— Była w podróży poślubnej wraz z mężem.

— Cha... cha... cha... no to wiernością jej zachwycić się trudno. Psiakość! Kobietom nigdy wierzyć nie można! Ależ odkrycie! Powinniście to jak najprędzej opublikować.

— Zrobię to — z powagą powiedział Józef — ale nie zaraz. Z różnych względów, sami rozumiecie, nie spieszo mi do tego rozgłosu. I przed wami zamilczałbym o tym, gdyby nie kwestia współpracy w „Tygodniku Niezależnym”.

— W porządku. Wprawdzie nie wierzę, by talent mógł być dziedziczny, jednakże wierzę w dziedzictwo kultury duchowej i tym mi milej, żeśmy się zetknęli.

Po wyjściu Piotrowicza Domaszko był trochę zły na siebie zarówno z racji finansowego zaangażowania się w imprezie takiego zawadiaki jak Piotrowicz, a także z powodu wywnętrzenia się przed nim na temat pochodzenia od Słowackiego. Nie lubił kłamać i jeżeli powiedział Piotrowiczowi, że posiada listy wieszcz, to tylko dlatego, że tak wypadło z rozmowy i bał się podejrzenia o błagierstwo.

„Ostatecznie jakoś to będzie” — pocieszał się, jedząc obiad.

Zaraz trzeba było się przebrać w wizytowe ubranie. Panna Lusja mówiła, że o piątej, zatem nie wypada przyjść później niż dwadzieścia pięć po piątej. Józef wiedział, że punktualność należałaby tu do tej serii nietaktów, jakie popełniają zwykle ludzie z głębokiej prowincji lub najświeżsi parweniuse.

Państwo Szczerkowsy zajmowali obszerne mieszkanie na pierwszym piętrze o dużym przedpokoju, wysokich sufitach i pootwieranych drzwiach, pozwalających patrzeć na przestrzał.

Lokaj, który pomagał Domaszce zdjąć palto, siwy, wygolony i z szeroką, uśmiechniętą twarzą, zapytał swobodnie, lecz bez poufałości:

— Każe pan zameldować pana Domaszkę?

— A tak — zdziwił się Józef.

— Panienska spodziewała się szanownego pana — wyjaśnił służący — a ponieważ wszystkich gości znam, domyśliłem się.

Uklonił się i odszedł.

„Bardzo tu przyjemnie” — pomyślał Józef, rozglądając się w salonie.

Był to duży kremowo obity pokój z niesłychaną obfitością mebli utrzymanych w różnych, lecz harmonizujących stylach i w gamie barw od koloru śmietanki poprzez jasnoorzechowy aż do niejaskrawych złoci. Wszystko tu było pokryte patyną, dyskretną, ciepłą i nieznaczną. Wszystko robiło wrażenie zażyłego, stałego obcowania z mieszkańcami, wszystko było użyteczne, zadomowione, niepokazowe. Na ścianach wisiały portrety, na stolikach, szafkach, półkach różnego rodzaju stały niezliczone wazy, flakony, figurki, bibeloty — nic się nie rzucało w oczy, nic nie imponowało, a wszystko było ładne, interesujące i gustowne. Żaden z tych mebli nie był sprzętem, jak nie był też eksponatem sztuki. Ani jeden drobiazg nie zasługiwał na nazwę drogiego, a wszystkie bez wyjątku były cenne.

„Bardzo tu przyjemnie” — myślał Józef, nie bez odcienia zazdrości, zestawiając sztywną elegancję swego mieszkania z tym salonem, dla którego wreszcie znalazł określenie: wytworny, nie wykwinny, tylko właśnie wytworny, a może i to słowo nie obejmowało jeszcze wszystkiego.

Przylegający pokój, o ile ze swego miejsca mógł zaobserwować, był gabinetem czy też biblioteką, utrzymaną w tonie ciemnozielonym. Na tym tle ukazała się bladoszafirowa sukienka Lusi i jej jasna, prawie złocista główka.

Wyglądała tak wdzięcznie, że Józef stracił poczucie przyzwoitości i zamiast zerwać się na powitanie, siedział i uśmiechał się jak ostatni idiota!

Mylił się jednak, przypuszczając, że zostanie mu to wzięte za brak obycia. Kobiety nie potrzebują specjalnego wysiłku myślowego, ani lat doświadczenia, by poznać, że przyczyną takiego a nie innego postępowania mężczyzny jest zachwyty dla nich, a poznając — przebaczyć są gotowe uchybienia najgrubsze.

Toteż panna Lusja przywitała Józefa bardzo serdecznie i tak długo nie puszczała jego dłoni, że uczuł się uprawniony do złożenia na niej drugiego pocałunku, co wcale nie sprawiło mu przykrości.

— Jak to dobrze, że pan przyszedł, kiedy jeszcze nikogo nie ma — powiedziała, siadając.

— Wujenka jeszcze...

— Ubiera się — odpowiedział Józef.

— Gdzież tam. Wujenka zawsze jest pierwsza ubrana. Tylko torty się trochę zepsuły i zajęta jest... ratowaniem sytuacji.

— A tak — powiedział, podciągając z lekka nogawki spodni.

— No i cóż u pana, panie Józefie?

— Dziękuję pani. Wszystko dobrze.

— Naprawdę cieszę się bardzo, żeśmy się spotkali.

— Przypuszczam, że teraz będę miał możliwość częstszego widywania pani...

— Ależ naturalnie! — zawołała z ożywieniem. — Ile razy pan będzie miał wolny czas, zawsze będzie tu mile widziany. Pan nie zna mojej wujenki, to jest najcudowniejsza istota na świecie. Zobacz pan, jak pan ją polubi.

— Tym mi milej — skłonił się i był zły na siebie, że nie może pozbyć się skrępowania. Dlatego też powiedział prosto:

— Ale będę panią widywał i w redakcji.

— O, ja tam jestem zapracowana.

— Ja też będę zapracowany.

— Nie rozumiem?

— Zostałem wydawcą „Tygodnika Niezależnego”. Wziąłem siedemdziesiąt pięć procent udziałów i będę nadto współpracował z kolegą Jackiem w redagowaniu.

— Co pan mówi!

W jej okrzyku zabrzmiało zdumienie, podziw i radość.

— A to wyśmienicie! A cóż Berski?

Domaszko zrobił lekceważącą minę:

— Piotrowicz rozstaje się z nim. Ma różne powody...

Weszła pani Szczerkowska, drobna, szczupła, o szarej bezbarwnej cerze i gładko zaczesanych ciemnych, siwiejących włosach. Czarna suknia z białym kołnierzem i takimiż mankietami pozbawiona była wszelkich ozdób i nadawała tej sylwetce wyraz ujmującej prostoty, schludności i kobiecego wdzięku.

— Oto, wujenko, pan Józef Domaszko, ongiś mój mentor, a obecnie pan szef — przedstawiła go Lusja.

— Miło mi pana poznać — powiedziała pani Szczerkowska, podając mu rękę — proszę, niechże pan siada.

Uśmiechnęła się przy tym tak życzliwie, że Józef od razu odzyskał swobodę.

— Pan Józef — wyjaśniła Lusja — nabył wydawnictwo „Tygodnika” i niech sobie wujenka wyobrazi, jak bardzo muszę teraz panu nadskakiwać, by mnie nie zredukował.

Wszyscy troje roześmieli się, a pani Szczerkowska dodała:

— Lusja jeszcze bardzo słabo pisze na maszynie, ale znając jej poczucie obowiązku, jestem pewna, że wkrótce zdobędzie pełną biegłość.

Rozmowa toczyła się dokoła kwestii pracy, panny Lusi w szczególności, a kobiet w ogóle, gdy przyszedli państwo Kormińscy. On mały, niesłychanie ruchliwy i gadatliwy staruszek, ona otyła brunetka o bolesnym wyrazie twarzy i rękach pękatych jak poduszki.

Zaraz za nimi zjawiała się miss Morton, żona radcy poselstwa amerykańskiego, z młodym blondaskiem mister Herbertem, jak zaraz wynikało z rozmowy, turystą, dopełniającym swe wykształcenie podróżą po Europie.

Służba wniosła niskie palisandrowe stoliczki zastawione różnego rodzaju ciastkami. Zaczęto roznosić herbatę i kawę.

Gości wciąż przybywało: senator Mikosza z córką, brzydką blondynką o niezwykle pięknych nogach, generał Gorczyca, którego Józef znał z wojska, a który go powitał kordialnie, młode małżeństwo z Poznańskiego, on krępy i kwadratowy, ona wiotka i wysoka, prałat Wiśniowiecki, znany ze swej niepospolitej elokwencji, profesor Zamirski z siostrą, czarującą staruszką...

Józef wysiłał uwagę, by zapamiętać nazwiska i twarze.

Pomimo tylu świeżo poznanych osób bynajmniej nie czuł się skrepowany.

Może dlatego, że zarówno pani domu, jak i Lusia z prawdziwą umiejętnością, ani przez chwilę nie zdradzając wysiłku, wciągały go do ogólnej rozmowy.

Z senatorem mówił o imporcie i cłach, z Amerykaninem o zabytkach średniowiecznych, z generałem Gorczycą o kilku ostatnio wydanych książkach wojskowych, z ziemianinem wielkopolskim o przewadze kultury rolnej w byłym zaborze pruskim, z prałatem Wiśniowieckim o Bergsonie i zmierzchu spirytualiów, z profesorem Zamirskim o przyszłości rasy nordyckiej, a z jego siostrą o wpływie słodyczy na kształtowanie się usposobienia.

Gdy o godzinie siódmej pożegnał się i wyszedł, stał się na kilka minut tematem ogólnej wymiany zdań, która doprowadziła do jednomyślnej opinii, że pan Domaszko jest bardzo kulturalnym i „na miejscu” młodym człowiekiem.

On sam był pod najlepszym wrażeniem.

Cały dom, goście, służba, wszystko było tu inne, niż na przykład u Neumanów, niż ongiś w najlepszych nawet towarzystwach w Petersburgu.

I Lusia...

Jaka to czarująca panna... Jaka rasowa.

Właściwie mówiąc, ich sytuacja społeczna, panny Lusi i Józefa, jest obecnie zupełnie wyrównana.

A Rosiczka?... Wspomnienie jej sprawiło mu przykrość. Chociaż ostatecznie to, że bywał u Neumanów częstym gościem, do niczego go nie zobowiązywało. Byłoby to bezcelne, gdyby uważali sam fakt jego bywania za wiążący go pod jakimkolwiek względem.

Pomimo to należało przerzedzić te wizyty.

Zresztą miał teraz pretekst wymowny: — „Tygodnik Niezależny”.

Mając dużo systematyczności w naturze, Józef szereg najbliższych dni poświęcił na zaznajamianie się z wydawnictwem.

Pierwszy numer był już pod prasą. Dlatego najpierw zajął się badaniem kwestii kolportażu. Administrator, pan Kowalnicki od razu nie podobał się Józefowi. Człowiek tego typu nie mógł być pożytecznym kierownikiem wydawnictwa. Były pułkownik rosyjski i zrujnowany ziemianin zza kordonu, więcej czasu zajmował sobie opowiadaniem, jak to dawniej było, niż sprawami „Tygodnika”.

Każde jego zdanie zaczynało się nieodmiennie:

— Ot, pamiętam, bywało...

Potem szły cyfry włók, bydła, wydawanych na hulanki tysiący, a kończyło się pogardliwym machnięciem ręki:

— A teraz?!

Wszystko dla niego było tu miniaturowe, śmiesznie drobne, ot, zabawki dziecinne. Interesy w Polsce — sklepik, fabryki — „kustarnyj promysiel”, chałupnictwo, miasta — dziury prowincjonalne, życie — po prostu bezcelowe. A zresztą i tak wysiłać się nie warto, primo: dla takich groszy, a secundo i tak wszystko diabli wezmą, a w każdym razie powinni wziąć.

Domaszko interweniował u Piotrowicza. Ostrożnie, ale bez żenady wypowiedział swoją opinię o Kowalnickim i wyraził przekonanie, że taki człowiek absolutnie nie nadaje się do pracy. Co więcej, działa na pracowników depresjonująco.

Nadspodziewanie Piotrowicz, zajęty właśnie robieniem korekty swego artykułu, z miejsca zgodził się:

— I na mnie takie wrażenie robi. Jeżeli uważacie, że jest ciura — wylewajcie z miejsca. Ja na tym się nie znam i wtrącać się do tego nie myślę, to wasz dział. Ale na dobroczynność miejsca tu nie ma: Wylać!

— No, tak zaraz nie można — zreflektował go Józef — trzeba znaleźć innego. Poza tym należy wymówić mu na trzy miesiące.

— A po co? — wzruszył ramionami Piotrowicz — skoro jest nieużytkiem i do tego szkodliwym, lepiej wypłacić z góry za trzy miesiące, niż znosić go tutaj. A zresztą, moi drodzy, nie zwracajcie mi głowy.

Rozmowa z Kowalnickim miała przebieg krótki. Wysłuchawszy ogłędnie wypowiedzianej motywacji Domaszki, Kowalnicki powiedział:

— No cóż, dobrze. Wyrzućcie mnie panowie na bruk. Słusznie. Kiedyś to my byliśmy wam, warszawiakom, potrzebni, jak rzucaliśmy tysiącami, a teraz jeść nie mamy co, to won! Na śmiecie. Tak i powinno być. A za pańską trzymiesięczną pensję pokornie dziękuję. Żebrakiem żaden Kowalnicki nie był i ja nie będę.

— Ależ, panie...

— Nie ma o czym gadać. Masz pan rację. Na śmiecie! Ja to rozumiem. I tak i tak palnąłbym sobie w łeb, czy wcześniej, czy później to już wszystko jedno. Myślałem, że przydam się w tej waszej ojczyźnie... Tak. Przykro tylko, że ot żona i dzieci zostaną, ale taki już los. I tak zmarnieją.

— Pan ma dzieci? — zapytał Józef.

— Troje. Jeden syn w gimnazjum, drugi w szkole kadetów, cóż, teraz mogą pójść kraść. Na świecie, panie, tysiące ludzi z kradzieży żyje. A córka trochę podrośnie — to na ulicę, do rynsztoku. Do widzenia.

Kiwnął głową, nałożył kapelusz i skierował się do drzwi.

Józef złapał go za łokieć:

— Pułkowniku, niechże pan zaczeka, jakże tak można!

— A bo co?

— No przecież pan mnie nie ma za człowieka z kamienia.

— Cóż?! Pan ma rację — wzruszył ramionami Kowalnicki.

— Pułkowniku!... Niech mi pan daruje. Uważajmy całą rozmowę za niebyłą. Bardzo pana proszę. Wszystko jest w porządku, wszystko się ułoży.

Kowalnicki spojrział nań oczyma, które napelniły się łzami. Stał chwilę bez ruchu, później usiadł, oparł głowę na rękach i zaczął płakać. Łkanie wstrząsało jego szerokimi bezradnymi barami, siwiejące włosy opadły na czoło.

— Pułkowniku!... Pułkowniku! — Domaszko nie wiedział, co robić.

— Nic, nic — szlochając, odpowiadał Kowalnicki — już dobrze, dobrze... Ot, pana, człowieka, spotkałem... Z sercem... Tak mnie i rozebrało... O, to znać... że pan w Rosji był... duszę pan ma, duszę...

— Niechże się pan uspokoi, pułkowniku, przepraszam pana, szczerze przepraszam.

Józef był naprawdę wzruszony do głębi.

— Nie! — zerwał się na równe nogi Kowalnicki — z takim człowiekiem jak pan muszę wypić kieliszek wódki. Nie odmówi mi pan tego zaszczytu!?

Spieszony Józef nie mógł istotnie odmówić.

Poszli do restauracji. Kieliszek wódki zmienił się w butelkę francuskiego koniaku, do tego Kowalnicki wybrał lekkie przekąski: kanapki z kawiozem, homar z puszki, po kawałeczku łososia i rydze z rusztu. Skoro już się jadło, a był i cietrzew w maderze, nie zawadziła buteleczka „Chambertin” z 1889 roku.

Rachunek opiewał na okrągłą sumkę, niewiele przewyższającą miesięczną pensję Kowalnickiego i został przezeń uregulowany co do grosza, pomimo protestów Domaszki.

— Dobre czasy przypomniały się — wesoło uśmiechał się pułkownik.

Ponieważ zaś Józef pił mało, a większa część alkoholu przypadła na Kowalnickiego, trzeba go było umieścić w dorożce, a samemu czym prędzej wracać do redakcji i zająć się wypuszczeniem numeru.

Właśnie przyniesiono z drukarni pierwszy egzemplarz, mokry jeszcze od farby drukarskiej.

Józef pobiegł z nim do gabinetu Piotrowicza, lecz okazało się, że Piotrowicz jest w drukarni. Na jego biurku porządkowała papiery panna Lusja.

— Jest już! — zawołała radośnie.

— Jest!

Numer wyglądał wspaniale.

Nie zawierał wprawdzie żadnego artykułu Domaszki, ale na ostatniej stronie obok podpisu naczelnego redaktora Jacka Piotrowicza takimż grubym czarnym drukiem rzucało się w oczy:

Wydawca: Józef Domaszko.

Było to proste i wymowne. Znaczyło przecież ni mniej, ni więcej, tylko to, że oto Józef Domaszko wchodzi do czynnego życia publicznego, że zabiera oto głos w sprawach swego społeczeństwa, państwa i narodu.

— Winszuję panom, winszuję — wołała Lusia, a jej niebieskie oczy promieniały.

Chętnie zabrałby się do czytania lecz nieobecność Kowalnickiego zmuszała go do żmudnej pracy, tym trudniejszej, że nie był z nią obeznany.

Na szczęście wrócił z drukarni doktor Żur i przy jego pomocy wszystko poszło lepiej. Żur, chociaż liczył zaledwie czterdzieści lat, znał się na wszystkim tak, że usprawiedliwiał tym swoją renomę najbardziej doświadczonego dziennikarza w Polsce. Chudy jak szczapa i lisy jak kolano, miał w swojej postaci coś niepokojącego dzięki dziwnej szybkości urywanych ruchów. Nie chodził, lecz robił kroki, nie brał, lecz chwycił, nie kładł, lecz rzucał, nie mówił, lecz wyrzucał poszczególne wyrazy.

W redakcji był nieoceniony, spełniając rolę encyklopedii, książki adresowej, spisu klientów, słownika, chronologii podręcznej, skorowidza ustaw, herbarza, kalendarza i kroniki towarzyskiej. Wiedział wszystko o wszystkim i wszystkich.

Wprost przerażał bezmiarem swej erudycji i fenomenalną pamięcią, pochłaniającą i rejestrującą cokolwiek tylko którykolwiek z jego pięciu zmysłów zdołał odczuć.

Początkowo Józef bardzo nieufnie nań spoglądał, wietrząc w tym galicyjską błagę. Jednak już po kilku dniach, zadawszy sobie parokrotnie trud sprawdzenia apodyktycznych informacji Żura, musiał pochylić głowę i zgodzić się z Piotrowiczem, że doktor praw Walerian Żur jest nieomylny.

Niezmiernie rzadko zdarzało się, że czegoś nie wiedział. Wówczas jego pergaminowa twarz i lśniące łysina stawały się czerwone, na skroniach występowały żyły i spuszczał oczy z takim zawstydzeniem, jakby przyłapano go na gorącym uczynku niewybaczalnej ignorancji. Nic wówczas nie odpowiadał, wystarczyło jednak nazajutrz powtórzyć to samo pytanie, a bez drgnienia powieki wyrzucał z siebie: — trzeci marca 1916 rok, czy też: — Kandzur i Tandzur dwie wielkie encyklopedie, a właściwie dwa usystematyzowane zbiory ksiąg tybetańskich. Mitologia, religia, nauki przyrodnicze, razem cztery tysiące dzieł.

Jedynym ciężkim brakiem doktora Żura była jego nieumiejętność podania. Nad każdą drobną wzmianką pocił się godzinami, ani razu zaś w życiu nie napisał jednego artykułu.

Z nim to i z Piotrowiczem późnym wieczorem Józef znalazł się w kawiarni dla omówienia sytuacji.

— Gdzież to Kowalnicki podziewał się przez cały dzień — zapytał Piotrowicz — kolega go wylał?

— Jeszcze nie... Ale widzicie — tłumaczył się Józef. — Może go lepiej zostawić?...

— Co? Dlaczego? Zmieniście o nim zdanie?

— Nie, ale uważacie, że nie ma z czego żyć, a żona i troje dzieci...

— Ach, tak — zawołał Piotrowicz — to istotnie ważny powód. Tylko idąc taką drogą rozumowania, można wyszukać na administratora kogoś, kto ma ośmioro dzieci i ociemniałą ciotkę, a sam jest paralitykiem...

— Nie żartujcie...

— Nie żartuję, do diabła, tylko dziwię się wam!...

— Zużytkujemy go jakoś — tłumaczył się Domaszko.

Piotrowicz podskoczył na krześle.

— O jedno was proszę: nie używajcie słowa „jakoś”, to jest najgłupsze słowo, jakie znam. Świadczy o lenistwie mózgu i fletuchowatej woli. A Kowalnickiego wylejcie zaraz jutro. Rzecz załatwiona. Teraz o numerze. Ile dacie na Warszawę?

Józef wyjął kartkę. Miał na niej szczegółowo odnotowane liczby egzemplarzy wysłanych na ulicę i do poszczególnych miast. Następnie dr Żur zaproponował, by w przyszłym

tygodniu przyspieszyć wydanie numeru o co najmniej dwie godziny, tak, żeby wysyłka zdążyła na pociągi: krakowski (7:35) i poznański (7:26). Omawiano też graficzny wygląd pisma.

— Późno już — orzekł wreszcie Piotrowicz — nie wiem, czy mówiłem panom o jutrzejszej naradzie redakcyjnej?... Nie?... Aha, więc u kolegi Domaszki o jedenastej przed południem.

Józef chciał wyjaśnić, że o tej godzinie będzie zajęty w biurze, lecz przyszło mu na myśl, że ostatecznie może z biura wyjść na godzinkę czy dwie.

Wracał do domu rozżalony na Piotrowicza. Znał jego ostry sposób wypowiadania poglądów, ale przynajmniej mógł zaczekać, aż będą we dwójkę, bez świadków. Co sobie Żur pomyśli?! Jednak musiał przyznać słuszność Piotrowiczowi, że Kowalnickiego trzeba się pozbyć. Tylko jak to teraz będzie wyglądało! Nie... trzeba dla niego coś wyszukać, a w ostateczności weźmie go do „Polimportu”.

Dopiero położywszy się do łóżka, zabrał się do czytania „Tygodnika”.

Na pierwszej stronie była płomienna inwokacja do czytelników. Nastal czas walki z pasożytnictwem, sobkostwem, obłudą, lichwą moralną, demagogią, złodziejstwem, niszcycielstwem, łapownictwem, handlem przekonań, frymarką hasel. Nastal czas, a „Tygodnik Niezależny” bierze na siebie obowiązek przodowania w tej walce, staje się trybuną, z której bezwzględnie i nieustępliwie piętnować będzie wszystko zło, trybuną dostępną dla każdego. „Tygodnik” stawia sobie szczytny cel: być sumieniem narodu!

„Słusznie i mądrze” — z zadowoleniem skonstatował Józef, zdając sobie sprawę, że tym sumieniem kierować będzie wraz z Piotrowiczem on sam — odwrócił numer i przeczytał — „wydawca: Józef Domaszko”.

Drugi artykuł, podpisany przez Jacka Piotrowicza, był wielkim atakiem na stronnictwa polityczne. Krótko mówiąc, odmawiał im czci i wiary, wszystkim bez wyjątku. Wyglądało to dość głośłownie, ale przecież było mocne i przekonywało racją.

Na następnej stronie profesor Chudek rozprawiał się z polityką gospodarczą rządu, wykazując niezbitcie, że skarb państwa dąży do doszczętnego zrujnowania rolnictwa, przez popieranie większej własności ziemskiej ze szkodą gospodarstw chłopskich.

To zbyt przekonywająco nie przemawiało, gdyż zalaatywało od tego socjalizmem.

Artykuł profesora mógł zrazić do „Tygodnika Niezależnego” sfery ziemiańskie i Józef postanowił zrobić wszystko, by na przyszłość zapobiec podobnym enuncjacom.

Jeszcze większe zastrzeżenie wywołał w nim następny utwór publicystyczny, podpisany J. P. (prawdopodobnie Jan Pękalski, a może Jacek Piotrowicz?). Atakowano tu rząd za politykę cel umożliwiającą wwóz do kraju jedwabiu, kosmetyków i w ogóle przedmiotów zbytku. To godziło wprost w interesy „Polimportu” i Józef uczył się tym dotknięty osobiście.

Poza tym numer zawierał wiele artykułów wymierzonych personalnie przeciw ogólnie znanym osobistościom, a niesłychanie ostro krytykujących ich działalność publiczną. Niektóre z nich zawierały zarzuty natury prawie kryminalnej.

Józef Domaszko nie mógł zasnąć po przeczytaniu tych wszystkich rzeczy, które przecież firmował swoim nazwiskiem. Oczywiście, należy tępić nadużycia, trzeba krytykować błędy i wytykać wady, można nawet piętnować to i owo, ale czyż nie lepiej unikać tego tonu! I co o tym ludzie powiedzą!

Zaraz z rana miał próbkę opinii. Zatelefonował doń mecenas Neuman. Był wzburzony:

— Coście panowie najlepszego zrobili w tym tygodniku!

— O co chodzi, panie mecenasie? — przeraził się Józef.

— Daruje pan, ale nie mogę tego nazwać inaczej, jak tylko paszkwilem! No, osmarowaliście dyrektora Brzęczkowskiego! Najuczciwszy człowiek na świecie, ogólnie szanowany. Zasłużony obywatel kraju...

— Aha, to chodzi o sprzedaż cegielni...

— Właśnie! Ja sam znam doskonale tę transakcję. Miasto kupiło i nie zapłaciło ani o jeden grosz więcej, niż cegielnia jest warta. Nie mogę pojąć, jak pan, panie Józefie, dał się wprowadzić w błąd i dopuścił do takiego skandalu!

— Daję panu słowo — bronił się Domaszko — że o niczym nie wiedziałem.

— Muszę panu wierzyć — oburzał się adwokat — ale przyzna pan, że jako wydawca...

— To zrobiono za moimi plecami.



— W każdym razie Brzęczkowski wytacza wam proces. Grubo za to odpowiecie. No i będziecie musieli zamieścić sprostowanie.

Józef obiecał zrobić wszystko, co będzie leżało w jego mocy, by dyrektorowi Brzęczkowskiemu dać pełną satysfakcję.

W biurze siedział jak struty. Przed jedenastą wrócił do domu. Kazał przygotować czarną kawę, likier i papierosy. Pierwszy zjawił się doktor Żur.

— Numer zrobił doskonale wrażenie — powiedział z zadowoloną miną — możemy sobie powinszować.

— Nie ja — zimno zaznaczył Domaszko.

— O, a dlaczegoż to?

— Przede wszystkim ten napastliwy ton, a poza tym skandal z Brzęczkowskim.

— Ach, zna pan tego starego łajdaka?

Józef podniósł brwi:

— Wiem od osób wiarygodnych, że pan Brzęczkowski jest osobistością szanowaną i cieszy się jak najlepszą opinią.

— Paweł Brzęczkowski — zdziwił się dr Żur — ta stara świnią? Co też pan opowiada! Szwindlarz i lichwiarz jakich mało. Podczas okupacji niemieckiej był denuncjantem i utrzymywał szulernię. Własną żonę odstąpił jeszcze przed wojną Purclowi za pięć tysięcy rubli.

— Niemożliwe!

— Co znaczy niemożliwe! To wszyscy wiedzą. Ten jubiler Iwanowski obił go na ulicy po gębie nie dalej jak pół roku temu za szwindel z wekslem, a Brzęczkowski oblizał się i nawet nie pisnął. To przecież znana szuja. Może pan ciekaw wiedzieć, jak on doszedł do tej fabryki naczyń emaliowanych? Oszukał, panie, w najbezczelniejszy sposób współnika i sieroty po rodzonej siostrze. A pan go jeszcze broni?

— Nie wiedziałem — cofał się Józef — ale pojąć mi trudno, w jaki sposób pan ten jest w takim razie radnym miejskim, przecież...

Rozległ się dzwonek i po sekundzie wpadł do salonu Piotrowicz, a za nim drobnym kroczeniem Kamil Zenon Zaleski, tęgi barczysty jegomość o tłustej, błyszczącej twarzy i nadspodziewanie krótkich nogach, którymi przebierał tak nieznacznie, że patrzącemu z daleka wydawał się umieszczonym na kółkach.

Dr Żur zaraz podjął sprawę Brzęczkowskiego, nie bez cienia ironii powtarzając zastrzeżenia Domaszki.

Piotrowicz z miejsca oburzył się:

— Żartujecie, kolego?!

— Telefonowano do mnie z pretensjami, więc...

— Mam pretensje w pięcie!

— Zwróciłem na to uwagę — bronił się Józef — gdyż grożono nam procesem.

— Wkrótce się z tym otrząskacie — zapewnił go Piotrowicz — a jeżeli ten łotr ośmieli się wytoczyć nam proces, no to winszuję mu. Zresztą mniejsza o to. Pękalski nie przyszedł?

— Dotychczas nie.

— Doktorze, zadzwoń pan do niego. Cóż u diabła sobie myśli!

W chwili, gdy Żur wyszedł do gabinetu telefonować, zjawił się wreszcie Pękalski, kościsty brunet o szerokich ustach i małych, żbikowatych oczach.

Przystąpiono do dyskusji na temat świeżo wydanego numeru. Po dłuższej wymianie zdań głos zabrał Kamil Zenon Zaleski i wystąpił z żądaniem rozszerzenia działu kultury i sztuki.

— Jest to dziedzina najbardziej zachwaszczona i pełna holoty. Tu trzeba wziąć się do systematycznej „czystki”. Czas skończyć z wszechwładztwem miernot literackich, z pa-cykarstwem i z rzępołami.

— No więc pisz, któż ci nie daje — wzruszył ramionami Piotrowicz.

Okazało się jednak, że Kamil Zenon przystąpił do pracy nad jakimś bliżej nieokreślonym dziełem i dlatego w „Tygodniku Niezależnym” musi hamować swój rozpęd twórczy. Natomiast proponuje zaangażowanie jeszcze kilku tęgich piór.

— Tęgo nie ma w budżecie — kategorycznie zaoponował Piotrowicz — zresztą mamy przecież kolegę Domaszkę, którego rozsądza namiętność pracy.

Józef zaczerwienił się:

— Owszem, chętnie będę pisywał.

— Zatem w porządku. Teraz musimy opracować następny numer.

Postanowiono, że poza bieżącym materiałem drugi numer przyniesie artykuł Piotrowicza o konserwatystach pt. „Żabie trzęsawisko”, pracę Pękalskiego o nowych prądach w filozofii pt. „Odrodzenie hedonizmu”, atak Zaleskiego na militarystyczne filmy i studium Domaszki pt. „Wpływ klasycyzmu w wierszu *Smutno mi, Boże* Juliusza Słowackiego”.

Piotrowicz krzywił się trochę na to ostatnie, lecz wzięwszy pod uwagę rodowód autora i konieczność rozszerzenia działu kulturalnego, zgodził się.

Po konferencji Józef powtórnie przejrzał numer „Tygodnika” i doszedł do przekonania, że ostatecznie zbyt pośpiesznie nabral do niego niechęci. Pismo wzięło na siebie ciężką i może niewdzięczną, ale przecież zaszczytną rolę czyściciela stajni Augiasza. Ostro ton jest znamieniem odwagi cywilnej i wiary w słuszność bronionej sprawy, a piętnowanie zła obowiązkiem dobrego obywatela kraju.

Wieczorem wybierał się do teatru z panną Lusią. Z rozczuleniem myślał, że będzie siedział obok niej i będzie mógł przez kilka godzin patrzeć na jej subtelny, pastelowy profil, na jej jasne włosy i świeże, lekko wypukłe usta. Nie spotkał jeszcze nigdy w życiu kobiety tak zachwycającej pod każdym względem.

Kończył właśnie toaletę, gdy stary Piotr oznajmił, że przyszła panna Bulkowska.

Józef tak daleko był myślami od niej, że potrzebował długiej chwili koncentracji uwagi, by zdać sobie sprawę, że to Natka.

U ciotki Michaliny nie był od kilku miesięcy. Małe, ubogie mieszkanko z ulicy Freta wyblakło w jego pamięci, straciło kształt rzeczywistości, wymazało się samo.

— Prosić, oczywiście, prosić!...

Do pewnego stopnia czuł się winowajcą wobec tych dwóch krewnych. Życie go odsunęło od nich, ale przecież powinien był zadać sobie przymus i odwiedzać je jak dawniej.

Spojrzał na zegarek. Jeszcze nie było siódmej. Miał godzinę czasu. Pogawędzi z Natką możliwie najserdeczniej, najcieplej.

Bardzo się postarzała. Wyglądała nieśmiało i prowincjonalnie. Przywitał ją z udawaną wesołością, na swobodę jednak zdobyć się nie mógł. Pytał o zdrowie matki, tłumaczył się nawalem zajęć i obowiązków, napomknął o gotowości służenia pomocą w razie potrzeby.

— Nie myśl, Józiu — potrząsnęła głową Natka — że przyszedłem cię prosić o pieniądze.

— Ależ nie trzeba w ogóle prosić — pogłodził ją po rękę — dość po prostu powiedzieć, przecież między nami, tak bliskimi sobie...

— Nie, nie... Przyszedłem... przyszedłem, bo... mi bardzo źle... na świecie...

— Dlaczego ci źle? — zapytał z obawą.

— Samotna jestem... Józiu, żebyś ty wiedział, jaka ja jestem samotna...

Ze starej, niemodnej torebki wydobyła drżącymi rękoma chusteczkę i szybko ocierała oczy.

Cóż jej mógł na to powiedzieć?

— Strasznie stęskniłam się za tobą — mówiła, patrząc w dywan — i tak sobie myślałam, że coś mi po życiu... Jak to było dobrze, kiedyś ty u nas mieszkał...

Józef spojrzał na nią z przestrachem:

„Zwariowała” — pomyślał.

— Nikt mnie nie kochał — ciągnęła urywanym głosem — nikt oprócz ciebie... i tak sobie myślałam, że po prostu przyjdę do ciebie i powiem...

Zagryzła blade wargi i wybuchnęła płaczem.

— Natko! Uspokój się — westchnął.

Wyglądała tak żałośnie i biednie. Usiadł przy niej na kanapie.

— Nie płacz, Natko, to nerwy. Uspokój się.

Pochyliła się na jego ramię. Łzy spływały jej po rękach i spadały mu na gors sztywnej koszuli.

„Ładna historia — pomyślał — trzeba będzie koszulę zmienić!”

Natka nad tym się nie zastanawiała. Sugestia wspomnień była tak silna: kozetka pokryta czerwonym pluszem i on tuż przy niej. Na lata, których tyle minęło, trzeba przymknąć oczy, nie było ich...

Jej ręce teraz go nie wypuszczą. Za długo czekała, za bardzo pragnęła.

— Józiek, mój słodki Józiek.

— Przestań, Natka... — próbował ją odsunąć, ale było to niemożliwe.

Tym bardziej, że i jemu udzieliła się sugestia, wzmocniona tym, że w ostatnich czasach był zbyt cnotliwie jak na trzydziestokilkuletniego mężczyznę.

Gdy Natka wyszła, musiał przebrać się i to w rekordowym tempie. Gors był nie tylko poplamiony łzami, lecz i wygnieciony zupełnie. Smoking powalany pudrem, a spodnie zmięte. Nie było rady i wziął ubranie wizytowe.

„Ostatecznie — reflektował swój zły humor — i tak będzie przyzwoicie, a dla rodziny przecież można się czasem poświęcić”.

Lusia zupełnie gotowa czekała nań, stojąc w przedpokoju i rozmawiając z panią Szczerkowską.

Zaczął tłumaczyć się i prosić o wybaczenie, że musiała nań czekać, lecz obie panie zbyły wszystko miłymi żartami.

— Teraz jednak spieszmy się — wołała wesoło Lusia, zbiegając ze schodów.

„Jaka ona jest zgrabna” — pomyślał Józef z zachwytem.

Gdy znalazł się obok niej w samochodzie, wyciągnęła doń rękę:

— Niech pan zapnie, zawsze z tym guzikiem mam kłopot.

Zapiął i zanim zdążył stwierdzić, że postępuje nietaktownie, pocałował małe różowe serduszko dłoni, jedyne nieosłonięte rękawiczką miejsce na tej ręce, która niewątpliwie była najpiękniejszą z rąk, jakie kiedykolwiek istniały na świecie. A że właśnie ręka ta została widocznie zapomniana przez jej właścicielkę, popełnił drugi nietakt i znowu pocałował. Natura ludzka ma tę słabą stronę, że raz uległszy pokusie, już zatrzymać się nie umie. Józef zaś nie myślał o zwalczaniu swej natury, bo, prawdę powiedziawszy, i czasu na to nie miał, zajęty odpinaniem i ściąganiem rękawiczki.

Panna Lusia zbyt była zaabsorbowana oglądaniem malowniczego pejzażu mijanych ulic, by miała zwrócić na to uwagę. Pejzaż placu Teatralnego był tak interesujący, że nawet nie zauważyła, iż taksówka się zatrzymała.

— Przyjechaliśmy, proszę państwa — odwrócił się szofer, a wyraz jego twarzy świadczył o braku wyrozumiałości dla bliźnich.

— Ach, to już! — zerwała się Lusia i skonstatowała w myśli, że Warszawa jest bardzo małym miastem.

Grano *Pana Jowialskiego*. Znali to oboje dobrze, dlatego też fakt spóźnienia nie zmarłwł ich wcale.

W teatrze było dość pusto. Z łóż tylko jedna była zajęta. Gdy podczas antraktu zapalono światła, okazało się, że zajęta jest przez mecenasową Neumanową, Nunę, jej dryblasę sportowego i Rosiczkę.

„A to mam pecha” — pomyślał Józef.

— Co panu? — zapytała panna Lusia, widząc, że się nagle zaczerwienił.

— Nie, nic, proszę pani.

Nie oglądał się więcej, lecz czuł, że jest przesywany wzrokiem.

„A cóż to — zbuntował się w duchu — nie wolno mi, czy co?! Właśnie im na złość!”

Wstał i uklonił się ostentacyjnie.

Mecenasowa ledwie kiwnęła głową. Nuna zrobiła to ze złośliwym uśmiechem, Rosiczka ani drgnęła, a ten idiota dryblas zamachał prostacko łapą.

„Tak? — zawział się Józef — to ja wam jeszcze lepiej zrobię”.

Przeprosił Lusię i pobiegł do bufetu.

Powrócił z olbrzymim pudłem czekoladek i z szarmanckim ukłonem podał Lusi.

— Po co pan takie wydatki robi — spojrzała nań tak ślicznie, że warte to było największej rozrzutności.

W następnym antrakcie wyszli do palarni. Józef z dumą łowił zachwycone spojrzenia mężczyzn, atakujące jego towarzyszkę.

Już nie trapiła go myśl, co to będzie za plotkowanie i fummy u mecenasostwa.

Wracali w doskonałych humorach. Lusia była po prostu rozdokazywana i powiedziała mu na pożegnanie:

— Bardzo pana lubię! Zadowolony pan?

— Nie — poważnie potrząsnął głową — ja nie jestem zadowolony. Jestem szczęśliwy.

— Naprawdę? — pochyliła się ku niemu.  
 — Naprawdę.  
 — Więc jeszcze bardziej pana lubię niż bardzo. Do widzenia.  
 Stróż zamknął bramę. Stróże w ogóle zbyt szybko zamykają bramy.  
 Józef był rozmarzony. Z radością myślał, że jutro będzie mógł znowu wpaść do redakcji i znowu ją zobaczyć, a wieczorem przyjść na kolację do jej domu.  
 Świat na ogół jest urządzony mądrze i pięknie, tylko Rosiczka jest głupia i ma piegi.  
 Od trzech dni nie był u Neumanów. Jednak należy do nich wstąpić dla samej przyzwoitości. Byle nie jutro.  
 Spał świetnie i śniło mu się, że płynie żaglowym jachtem po bezbrzeżnym morzu, i że panna Lusia siedzi w trzcinowym fotelu tuż przy nim.  
 W „Polimporcie” czekał nań Kowalnicki.  
 — Mam dla pana pewną propozycję — przywitał go Józef — czy panu zależy na pozostaniu w Warszawie?  
 — No, wołałbym...  
 — To szkoda. Ja myślałem, że pułkownikowi nie zrobiłoby różnicy zamieszkanie w Katowicach. Mój znajomy ma tam przedstawicielstwo łożysk kulkowych i dałby panu dobre warunki.  
 — Ech — machnął ręką Kowalnicki — mnie tam wszystko jedno. Czy tu zdychać, czy tam...  
 — No, pułkowniku, po co używać takich przesadnych określeń. Więc? Pojedzie pan?  
 — Nie, nie pojedę. Widać już do niczego jestem, skoro w Warszawie nic pan dla mnie znaleźć nie może.  
 — Ja nie mówię, że nie mogę — zirytował się Domaszko — tylko w Katowicach dostałby pan większą pensję.  
 — Prowincja — pogardliwie wykrzywił usta Kowalnicki — chociaż cała ta nasza ojczyzna to, zapewniam pana, tylko prowincja.  
 — Mniejsza o to, co pułkownik sądzi o naszej ojczyźnie. Teraz mówimy o pańskiej posiadzie. Jeżeli pan stanowczo nie chce wyjechać, to proszę zgłosić się do magistratu, wydział aprowizacji, pan Rzetomski.  
 Józef miał już naprawdę dość Kowalnickiego, jego drażliwości, pozornego „je-m’en-fichyzmu” i malkontentstwa. Dziś Kowalnicki zirytował go jeszcze bardziej swoim pogardliwym tonem, jakim mówił o pierwszym numerze „Tygodnika”.  
 Zresztą ze wszystkich stron sypały się na Domaszkę odgłosy krytyczne. Nawet jego współnik, taki szuja, ten Mech, ośmielił się wyrazić powątpiewanie, czy firmie dobrze zrobi to, że jej prezes zajmuje się wydawaniem paszkwilistycznego pisma.  
 — Przepraszam pana, panie Mech — zimno zatrzymał go Józef — co pan rozumie przez słowo „paszkwil”?  
 — Jak to co? No przecież pisanie źle o różnych ludziach. To jasne.  
 — No dobrze, ale czy to, co o nich piszemy w „Tygodniku Niezależnym”, nie jest prawdziwe?  
 — Może i jest — wzruszył ramionami Mech — ale po co to wyciągać na wierzch? Pański interes? — Nie! Narobi pan sobie wrogów i tyle.  
 — Mieć przeciw sobie takich ludzi, to tylko zaszczyt! — powtórzył Domaszko zdanie wypowiedziane wczoraj przez Piotrowicza.  
 — Zaszczyt chleba nie daje — skrzywił się Mech — a z ludźmi trzeba żyć.  
 Józef nic nie odpowiedział, pomyślał jednak, że zdanie Mecha nie jest pozbawione słusnych podstaw.  
 Jeszcze bardziej utwierdziła go w tym poglądzie lektura dzienników.  
 W pierwszym z brzegu wielkim organie konserwatywnego mieszczaństwa znalazł list zbiorowy, podpisany przez kilkanaście osób o znanych nazwiskach. List nosił tytuł: „W obronie czci zasłużonego obywatela”, zawierał zaś w pełnych oburzenia wyrazach potępienie karygodnego wybryku „Tygodnika Niezależnego”, szarpiącego dobre imię dyrektora Szurczyńskiego, który itd., itd.

Jeszcze ostrzej zareagowało na krytykę działalności pisma Wańtuchowskiego pismo radykalne „Jutro”. W większym artykule nie żalowano tu takich słów, jak pomyje, błoto, łgarstwo, gryzpiórki itp.

W jeszcze kilku znalazły się wyrazy oburzenia, skarcenia i drwin.

Jednak wręcz skandalem był artykuł brukowego pisemka „Głos Warszawianina”. Tu rzucono się wprost na Piotrowicza i na Domaszkę. Wyjaśniono, że Piotrowicz podobno miał być szpiegiem niemieckim i znany jest z bywania w lokalach opanowanych przez ohydnych zbrojców, a Domaszko jest bezwstydnym starcem, dawnym zausznikiem gubernatora, denuncjantem, który powrócił z Bolszewii, gdzie znajdował się w niedwuznacznych stosunkach z czerewycząjką. Mimochodem dodawano, iż ten to obecnie rzecznik moralności przed wojną utrzymywał baletnicę P. Z. i został poturbowany przez jej narzeczonego, znanego pasera Perelmana, używającego ongi w świecie przestępczym przezwiska „Lajtus”. Profesor Chudek został nazwany profesorem obojga kaligrafii, Pękalski komiczną figurą, Kamil Zenon Zaleski kawiarnianym pieczeniarem. Oszczędzono tylko doktora Żura, wyrażając zdziwienie, że mógł się znaleźć w tym podejrzanym towarzystwie.

Po przeczytaniu tego Józef był bliski obłądu.

Telefony usłużnych znajomych, pytających go ze współczuciem, czy czytał te okropne oszczerstwa, doprowadziły go do zupełnej rozpacz. Wyłączył telefon i chodził po gabinecie jak tygrys w klatce.

Myśl, że będzie musiał pokazać się na ulicy, wydawała się mu torturą. Jednak trzeba było raz z tym skończyć.

Wytoczę im sprawy o oszczerstwo, to raz! Zamieszczę w „Tygodniku” wyjaśnienie, że nie jestem odpowiedzialny za jego treść, to dwa! Natychmiast przestanę wydawać „Tygodnik” i zerwę z tymi szaleńcami — to trzy!

Dopadł najbliższego auta i kazał się wieźć do redakcji.

Przebiegł jak burza przez pierwsze dwa pokoje. Były puste.

— Oczywiście, uciekli! — zawołał z gorzkim triumfem.

W trzecim zastał pochyloną nad maszyną pannę Lusię.

Powitała go uśmiechem słonecznym, lecz i to go nie rozbroiło.

— Straszne... Straszne — sapał, całując ją w rękę — Piotrowicza, oczywiście, nie ma, nikogo nie ma?!...

— Owszem są! Co się stało? — zawołała z przestraczem.

— No jak to? Nie czytała pani dzisiejszych dzienników?...

Nagle drzwi do gabinetu otworzyły się i wpadł Piotrowicz:

— Wiwat — zawołał radośnie — jest, panowie, nasz rozpustny starzec i zausznik tudzież zarękawek gubernatora!

Domaszko zrobił wściekłą minę:

— To skandal! To okropne!

— Chodźcie, kolego — z uśmiechem odpowiedział Piotrowicz.

Wewnątrz byli wszyscy. Siedzieli i palili papierosy tak, że dym po prostu dusił.

— Widzę, że panowie są bardzo zadowoleni — z docinkiem powiedział Domaszko.

— A pan czemu się martwi? — zapytał, poprawiając binokle, profesor Chudek.

— Przecież to jest łajdactwo! — wybuchnął Józef.

— Co?

— No te oszczerstwa!

Piotrowicz poklepał go po ramieniu:

— To są komplementy, szanowny kolego, komplementy!

— Wybaczcie, ale nie jestem usposobiony do żartów — obraził się Józef.

— Nie żartuję, bynajmniej.

— Redaktor ma rację — odezwał się Chudek — wymyślanie tych złodziei jest świadectwem naszej zasługi.

— I odwagi cywilnej — podchwycił Pękalski.

— A przede wszystkim celności strzału — podniósł palec Kamil Zenon.

Domaszko rozłożył ręce:

— Więc mam się może cieszyć?

— Oczywiście!

— Winszuję panom, ale ja nie znajduję przyjemności w odbieraniu obelg.  
 — Te napaści świetnie wpłyną na nasz nakład — zauważył rzeczowo doktor Żur.  
 — Co tu gadać — uderzył w stół Piotrowicz — pierwszy numer spełnił swoje zadanie kija wsadzonego w mrowisko.  
 — Więc jak to? Nie zamierzacie reagować na te oszczerstwa?  
 — A co? Mamy może tym szujom posłać sekundantów!  
 — No, czy ja wiem — denerwował się Józef — może nie sekundantów, ale po prostu pociągnąć ich do odpowiedzialności sądowej.  
 — O, to, oczywiście, zrobimy.  
 — Oszaleć można!  
 — Można, ale nie trzeba. Wytoczymy im proces, a w dodatku zaraz, w tym numerze podamy do wiadomości publicznej wiązankę szczegółów z życia tych panów! No, już będą mieli się wybornie.  
 — Za pozwoleniem, panie kolego — zaprotestował Domaszko — ale ja mam już tego powyżej uszu i bynajmniej nie pragnę owej fali oszczerstw.  
 Piotrowicz wstał i zbliżył się doń z groźną miną:  
 — Pan, zdaje się, zapomina, panie kolego, że to ja jestem redaktorem i ja decyduję o tym, co ma być w piśmie.  
 — Wcale nie zapominam.  
 — Więc cóż ma oznaczać ta jakaś próba zakazu?  
 — Nie zakazu, tylko po prostu wycofuję się.  
 — Co? — zawołali wszyscy.  
 — Wycofuję się. Nie mogę wydawać ani podpisywać pisma, które staje się magnesem do ściągania na moją głowę obelg i potwarzy.  
 Zaległa cisza.  
 — Mówicie to poważnie? — zapytał Piotrowicz.  
 — Pan Domaszko żartuje — zaśmiał się Chudek.  
 — Wcale nie żartuję. Wytaczam proces potwarcom i wycofuję się z „Tygodnika”.  
 — Widzicie, panowie — z ironią powiedział Piotrowicz — jak w Polsce można walczyć z łajdactwem.  
 — Ależ ja bynajmniej nie przeszkadzam wam, kolego, walczyć — bronił się Józef.  
 — Owszem, zarzynacie wydawnictwo.  
 — Wcale nie!  
 — Wycofanie waszego wkładu, wiecie to dobrze, kładzie nas na obie łopatki.  
 — Toteż nie wycofuję wkładu — zdecydował się Józef — zatrzymacie ten wkład, póki wam będzie niezbędnie potrzebny... No, dajmy na to przez rok, czy pół roku... Nie chcę tylko figurować jako wydawca.  
 — Po prostu tchórz was obleciał — tupnął nogą Piotrowicz.  
 — Wypraszam sobie...  
 — Tchórz was obleciał — ryknął Piotrowicz, nie dając mu dojść do słowa — wstyd doprawdy! A gdzież wasze przekonania?! Gdzie chęć służenia dobrej sprawie?! Gdzie hart ducha?! Gdzie, u diabła ciężkiego, charakter?!  
 — Moi drodzy — zaczął znów Józef, lecz Piotrowicz kipiał:  
 — Kolego! Nie mówiłbym wam tego wszystkiego, gdyby nie to, że jestem pewien, iż się namyślicie i wytrwacie z nami. Gdybyście odeszli, musiałbym was nazwać zwykłą świnią i tchórzem, a wiem dobrze, że jesteście uczciwym i szlachetnym człowiekiem.  
 — Na każdego może przyjść chwila słabości — sentencjonalnie zauważył Pękalski.  
 — Właśnie — z przekonaniem podkreślił Piotrowicz — i jestem pewien, że już wam to minęło. Prawda?  
 — *Semper avanti!* — zawołał Kamil Zenon. — Razem, młodzi przyjaciele! Zdusimy centaury!  
 — No! Dajcie łapę i wszystko w porządku — wyciągnął rękę Piotrowicz.  
 I tak rozeszło się po kościach. Argumenty profesora i Pękalskiego dokonały reszty. Józef postanowił zostać. Ostatecznie skoro się powiedziało „a”, należy powiedzieć i „b”. Początek walki był wprawdzie zniechęcający, ale nie odbierał wiary w zwycięstwo.  
 Zresztą przyjdą posiłki. Mianowicie w obronie „Tygodnika Niezależnego” wystąpić obiecał sam Alfred Umaniecki na łamach swoich „Prądów”. To znaczy bardzo wiele.

Poza tym dwa dzienniki zamieszczą list otwarty Piotrowicza, a w „Tygodniku” da się mocną odprawę oszczercom. Słowem — nie trzeba przerażać się jednolitością wrogiej opinii i zatracać spokoju w ocenie sytuacji.

Domaszko wyszedł z redakcji razem z profesorem Chudkiem i z panną Lusią Hejbowską. Kiedyś w obecności profesora użył jego nazwiska w drugim przypadku, mówiąc: — pana profesora Chudka. Profesor wówczas tak się obraził, że rąbnął całe kazanie o deklinacji niektórych nazwisk i o konieczności nazywania go nie Chudkiem, lecz Chudekiem. Od tego czasu Józef pilnował się, by ponownie nie dotknąć drażliwego profesora, lecz teraz przez nieuwagę wymknęło się mu pytanie:

— Może odprowadzimy najpierw profesora Chudka?

Wszelkie sprostowania nie odniosłyby żadnego skutku. Profesor zrobił się czerwony i, stukając laską w chodnik, zasyczał:

— Jakiego Chudka!? Proszę nie przekręcać mego nazwiska! To jest oburzające!

— Przepraszam bardzo...

— Do widzenia państwu — ze złością wyrzucił z siebie i ledwie uchyliwszy kapelusza, odszedł szybkim krokiem.

Lusia spojrzała na strapionego Józefa i wybuchnęła śmiechem.

Wówczas i on roześmiał się.

— Dziwak z tego profesora — mówiła Lusia — ale bardzo go lubię.

— To przecież są nieuzasadnione pretensje — tłumaczył się Domaszko — stołek — stolka, a nie stołka, kubek — kubka, a nie kubeka.

— Oczywiście — uspokajała go Lusia — nie ma się czym przejmować. Ale pan jest dziś w ogóle bardzo zdenerwowany.

Zaczął uskarżać się jej na przeciwności losu. Mówił więc o natrętnym Kowalnickim, który mu wchodzi na głowę, o oszczerstwach dziennikarskich, o wybujałości zasad Piotrowicza, który z niczym i z nikim nie chce się liczyć. Rozzalił się tym opowiadaniem tak, że aż mu głos drżał.

— Biedny pan Józef — pocieszała go Lusia — po co się martwić, wszystko będzie dobrze. Szkoda nerwów.

Timbre jej ciepłego, świeżego głosu był tak przekonywający, że Józef rozchmurzył się od razu.

— A co pani sądzi o naszym „Tygodniku”: czy nie znajduje pani, że jest w nim pewna przesada w tej pasji?

Lusia oświadczyła, że wcale tego nie znajduje:

— Przecież trzeba tępić szkodników.

— A wujenka pani?

— Ach, wujenka! Wujenka powiada, że młodość niepragnąca walki, młodość nierewolucyjna jest tak samo chorobliwa, jak starość nieumiejąca kierować się pobłażliwością, wyrozumiałością i rozważą. Wujenka jest bardzo mądra.

— Bardzo! — z przekonaniem przytaknął Józef.

— I wie pan co? Wujenka może nie miała panu tego za złe, ale ot, tak, dziwiła się, że pan jest taki... doskonale zrównoważony, a dopiero po wyjściu „Tygodnika” powiedziała mi:

— Pan Domaszko, jak teraz widzę, należy do tych ludzi, którzy nie uzewnętrzniają swego temperamentu, lecz umieją skierować go na działanie w walce czynnej.

— Ale przecież ja nic nie napisałem jeszcze — zdetonował się Józef.

— No tak, ale pan dał na to pieniądze.

— Bardzo cenię zdanie pani Szczerkowskiej, ale obawiam się, że jest dla mnie zbyt pochlebne.

— O, nie! — gorąco zaprzeczyła Lusia i zarumieniła się.

Byłby upadł przed nią na kolana za ten rumieniec.

— Panno Lusi! — powiedział — pani dobroć działa na mnie jak balsam. Gdy jestem z panią, zdaje mi się, że oddycham jakimś innym powietrzem.

Powiedział to szczerze, lecz ponieważ milczała, przyszło mu na myśl, że całe jego odezwanie się było nieznośnie banalne i głupie. Dlatego dodał:

— Jak pani widzi, jestem usposobiony lirycznie.

— I mnie z panem dobrze — uśmiechnęła się.

— A może pójdziemy na kawę?

— Nie, panie Józefie, pójdzie pan do nas na obiad.

— Czy to aby wypada? — ucieszył się.

— Wypada — odpowiedziała z minką prawie kokieterijną — ale mamy jeszcze trochę czasu, więc pójdziemy przez Aleje.

Gdy skręcili w Wilczą, Lusia ukloniła się wysokiej, szczupłej damie.

— Kto to jest ta pani? — zapytał Józef.

— To jest właśnie pani Krotyszowa. Słynna pani Barbara Krotyszowa.

— Aha, to ta, u której pani poznała Piotrowicza.

— Tak. Pani Barbara prowadzi salon literacko-naukowy.

— A dlaczego jest słynna?

— No, bo patronuje życiu kulturalnemu, jest jego arcykapłanką. Wie pan, że poznałam u niej masę różnych znakomitości: poetów, literatów, filozofów...

— Pani Krotyszowa to powieściopisarka?

— Nie. Jest wprawdzie wielką artystką i znawczynią, ale sama nie pisze. Uważa siebie za zbyt leniwą.

— To dziwne.

— Prawdziwa intelektualistka.

Służący przywitał ich pogodnym uśmiechem szerokiej twarzy i powiedział tajemniczo:

— Mamy już wiosnę.

Widocznie Lusia знаła dobrze jego alegorie, gdyż od razu zawołała:

— Sałata! Widzi pan, panie Józefie, warto było przyjść. Świeża sałata!

Domaszko roześmiał się:

— Pani tak lubi sałatę?

— A pan nie? — zapytała ze zgrozą.

— Ja bardzo — uspokoił ją.

Przy stole mówiono o polityce, o zaciętości walk sejmowych, wreszcie o „Tygodniku Niezależnym”. Pani Szczerkowska była zdania, że pismo redagowane jest interesująco, chociaż można by mieć niejaki zastrzeżenia.

— O, tych ja sam mam wiele — potwierdził Józef — w ogóle „Tygodnik” nie należy do najłżejszych brzemion z tych, jakimi los mnie obarczył.

— Ma pan mocne barki — pocieszyła go pani Szczerkowska.

— Nie może sobie wujenka wyobrazić — zawołała Lusia — jak pan Józef był dziś zdenerwowany!

— Trudno dziwić się temu — westchnął Józef — gdy człowieka bez żadnej winy z jego strony nagle zmieszają z błotem...

— Dość! Dość! — przerwała Lusia. — Nie mówmy już o tym. Najlepszy sposób na zmartwienia to zapomnieć o nich. Wie wujenka, spotkaliśmy panią Krotyszową. Nigdy nie uwierzę, że ona może już być po trzydziestce. Wygląda bardzo młodo. Prawda, panie Józefie?

— No, że jest po trzydziestce, to na pewno.

— Nie myli się pan — uśmiechnęła się pani Szczerkowska. — Barbara miała trzydzieści dwa przed siedmiu laty, gdy wychodziła za Krotysza. Mówię o tym, bo wiem, że ona sama lat swoich nie ukrywa.

— To jest dość rzadkie wśród pań.

— Słusznie. U Barbary w tej szczerości jest też, moim zdaniem, sporo nieszczerości.

— Co wujenka chce przez to powiedzieć?

— Że jest w tym swego typu poza.

— Poza na oryginalność?

— Niewątpliwie tak, jednakże nie można brać jej tego za złe. Każde z nas ma jakąś maskę lub nawet kilka masek, którymi zakrywa swoją prawdę.

— Chyba nie każdy — z namysłem powiedziała Lusia.

— Mylisz się, moje dziecko. Pomyśl, czy nie jesteś inna dla każdego z twoich znajomych?

— To jeszcze nie maska. Zawsze jestem naturalna i szczerą.



— To ci się tylko wydaje, drogie dziecko. Ale wyobraź sobie na chwilę, że musiałabyś teraz chociażby powiedzieć ot, przypuśćmy, panu Józefowi, co o nim myślisz?

Lusia zrobiła się nagle czerwona.

— A widzisz — uśmiechnęła się pani Szczerkowska.

— Panna Lusia musi bardzo źle o mnie myśleć — zażartował Domaszko.

— Bynajmniej — odpowiedziała zdetonowana.

— Masek mamy ze sobą zawsze całe stosy — ciągnęła pani Szczerkowska — nie tylko dla każdego z naszych bliźnich, lecz i na każdą chwilę naszego życia. Zmieniamy też je nieustannie.

— To straszne — westchnęła panna Lusia.

— To konieczne — poprawiła ją wujenka.

— Ale przecież smutne. Pomyśleć, że ani przez chwilę człowiek nie jest sobą!

— Ja sędzę — odezwał się Józef — że przeciwnie, że to wzbogaca, zwielokrotnia naszą osobowość, daje jej wiele punktów obserwacyjnych. Gdybyśmy nie posiadali tej właściwości, byłibyśmy posągami z oczyma utkwionymi w niezmiennym miejscu.

— Jeżeli tak pan ujmuje tę kwestię — dodała pani Szczerkowska — nie wątpię, że musiał pan sobie od dawna wyrobić cenny dar tolerancji, co — przyznaję — zastanawia mnie w... wydawcy „Tygodnika Niezależnego”.

Roześmieli się.

Po obiedzie Józef z Lusią poszli do kina. Wyświetlano bardzo sentymentalny film amerykański z szablonowo pomyślanym zakończeniem. Pomimo to oboje uznali, że bawili się wybornie.

„Tak — myślał Józef, wracając do domu — nie ulega wątpliwości, że panna Lusia żywi dla mnie jakieś głębsze uczucia. A ja?...”

Gdyby nie odznaczał się dużą powściągliwością, przyznałby, że ją kocha. Żadna z kobiet, z którymi spotykał się dotychczas w życiu, nie zajmowała go tak bardzo, z żadną nie czuł się tak dobrze.

„Zdaje się, że znalazłem kobietę, z którą się ożenię”.

W domu dowiedział się, że kilkakrotnie dzwoniła pani Neumanowa. Skrzywił się:

— A co jej Piotr powiedział?

— Ano nic, powiedziałem, że jak panicz wróci, to powtórzę.

Nie było rady, trzeba było zatelefonować. Spodziewał się kwaśnego przyjęcia, lecz mecenasowa była słodka, niczym lukrecja.

— Jak można tak zapominać o przyjaciółach, a fe, panie Józefie.

— Nawal pracy, proszę pani.

— Zapomniał pan o naszym istnieniu. Mówił mi mąż, że rozmawialiście panowie o Brzęczkowskim, obawiam się, czy nie był pan tym urażony?

— Ależ, bynajmniej, proszę pani.

— Bo, widzi pan, mnie z tym Brzęczkowskim nic nie łączy. Znamy się wprawdzie, ale oni nie bywają u nas, ani my u nich. Podobno to bardzo zacny człowiek, ale czy to można w dzisiejszych czasach za kogokolwiek ręczyć pod każdym względem?...

— Rzeczywiście. Jeżeli chodzi o pana Brzęczkowskiego, to, niestety, ma on fatalną opinię.

— Ach, panie Józefie, na kimże można dziś polegać? Najprzyzwoitsi ludzie zawodzą.

Józef, oczywiście, połapał się w tej aluzji, lecz udął, że nie rozumie, o co chodzi.

— Zrobiłby pan bardzo ładnie, panie Józefie, gdyby pan teraz przyszedł.

— Doprawdy niezmiernie mi przykro, ale jakoś... mam moc pracy — wymawiał się.

— Oj, proszę powiedzieć, czy to czasami nie ten teatr? — zapytała.

— Nie, zapewniam panią, że mam nawal roboty.

— Widziałyśmy, widziałyśmy. To zdaje się była panna Jurczyńska?

— Nie, proszę pani, panna Hejbowska. Znam ją od dziecka, bo nasze rodziny były zaprzyjaźnione.

— Bardzo przystojna panna, tylko po co utleniła sobie włosy.

Józef był już zły:

— Wcale nie utleniła, proszę pani, zawsze miała takie... piękne.

— Ach tak? Więc omyliłam się... Panie Józefie, odbierają mi słuchawkę...

Domaszko usłyszał jej szept:

— No bierz, bierz prędej.

I przyciszony głos Rosiczki:

— Nie chcę mamó, co on sobie pomysli.

— Dzień dobry, panie Józefie — zdecydowała się wreszcie.

— Dzień dobry, panno Rosiczko.

— Pan jest paskudny, niezdolny, wcale nie chcę z panem rozmawiać!

— Cóż zawiniłem? — skrzywił się Józef.

— Czemu się pan nie pokazuje? Czy tak można? Ja wiem, że pan sobie nic ze mnie nie robi, ale może by chociaż przez grzeczność, przez zwykłą uprzejmość zechciał pan nas odwiedzić?

— Kiedy doprawdy...

— Panie Józefie, jeżeli pan zaraz nie przyjdzie, będzie pan miał we mnie śmiertelnego wroga.

— Ultimatum? — próbował żartować.

Lecz ona mówiła serio.

— Znienawidzę pana! Jak mamę Kocham! To nawet nie po rycersku z pańskiej strony, żeby zmuszać mnie do błagania pana na kolanach...

— Ależ panno Rosiczko, jak można...

— Ja lubię wyraźne sytuacje. Więc mówię panu: albo pan zaraz przyjdzie, albo kwita z przyjaźni... No? Przyjdzie pan?

— Przyjdę.

— Ale zaraz! — położyła słuchawkę.

„Prawdę powiedziawszy — myślał Józef — to ona ma zupełną rację. Bywałem u nich prawie co dzień i asystowałem jej, tego nie ukryję przecież. Dziewczyna mogła żywić zupełnie wyraźne nadzieje i jej pretensje są całkowicie uzasadnione”.

Pójdzie i powie wyraźnie. Chce mieć wyraźną sytuację, będzie ją miała. Powie wyraźnie, że...

Ale, że co?...

— Powiem jej, że jestem zakochany w innej.

Drzwi otworzyła sama Rosiczka. Miała oczy zapłakane.

— Mama musiała wyjść na kwadrans do ciotki Jadzi, bardzo pana przeprasza. W salonie froterują podłogę, może pójdziemy do mego pokoju.

Był to mały, różowy pokoik. Wskazała mu miejsce na kanapie i usiadła naprzeciw.

— Panno Rosiczko — zaczął.

— Brzydki pan jest... Brzydki i nielitościwy.

— Jak to?...

— Płakałam przez pana. Pan wcale nie ma serca.

W jej oczach zaszklily się łzy.

— Pan nawet nie wie, jak ta jędzka Nuna mi dokucza i ten jej obrzydliwy narzeczony. I nikogo nie ma, kto by mnie obronił, kto by mnie pocieszył. Jestem nikomu niepotrzebna.

— Panno Rosiczko...

— Nie, niech pan już nic nie mówi. Ja wiem, że pan potraktował mnie jak zabawkę... Jak taką bezwartościową zabawkę... A teraz jeszcze unika mnie pan. Pozwala mi na takie upokorzenia, że się cała trzęsę ze wstydu... O, niech pan zobaczy.

Wyciągnęła doń rękę, która istotnie drżała.

Pocałował i pogładził rękę, przypominając sobie rękę Lusi.

— No, proszę się uspokoić, proszę się uspokoić — powtarzał, zdając sobie jednocześnie sprawę z tego, że byłoby okrucieństwem powiedzieć jej teraz, że Kocha inną.

— Ta jędzka Nuna drwi ze mnie, że biegam do każdego telefonu, że nasłuchuję dzwonek. Pewnie, że jestem głupia... Pan też uważa mnie za głupią, za bardzo głupią, brzydką, wstrętną, narzucającą się?...

— Ależ, bynajmniej...

— O, nie! Wiem, że pan mną po prostu brzydzi się.

— Jak można takie głupstwa mówić — zaprotestował oburzony.

— Wcale nie głupstwa. Pan mnie nawet nigdy nie pocałował.

— No, jakże, panno Rosiczko — perswadował zakłopotany.

— Tak, tak, gdyby pan miał dla mnie chociaż iskierkę uczucia...

Usiadła na poręczu tuż przy nim i oparła się ramieniem o jego ramię.

— Pan jest bez serca, bez serca... A moje, niech pan zobaczy, jak bije.

Wzięła jego rękę i chociaż trochę się opierał przyłożyła do małej wypukłej piersi. Ruch ten sprawił, że straciła równowagę i zsunęła się mu na kolana.

Chciał zerwać się, lecz przytrzymała go:

— Widzi pan, że pan się mną brzydzi.

— Bynajmniej, ale... ale...

Przez myśl mu przebiegło, że oto wpadł. Wpadł jak ostatni głupiec. Dalej będzie wszystko jak w staroświeckich romansach: oto drzwi się otworzą, a na progu stanie mecenasowa, Klima, Nuna, kilkoro służby i koniecznie ktoś ze znajomych, żeby Rosiczka została skompromitowana już bez ratunku. A on będzie musiał wstać, poprawić krawat, chrząknąć i poprosić o rękę panny. Tyle razy czytał o takich pułapkach i teraz jak ostatni osioł dał się złapać.

Był tak pewien trafności swoich obaw, że nie odrywał oczu od drzwi, przez które miało wejść jego nieszczęście. To go obezwładniło. W momencie, gdy zdecydował się zepchnąć tę biedną dziewczynę z kolan, drzwi się otworzą i wszystko przepadło.

Jednak drzwi wciąż się nie otwierały, a on stracił możliwość obserwowania ich groźnej tajemnicy, gdyż zostały zasłonięte głową Rosiczki, której usta tymczasem przyłgnęły do jego warg.

Nieoddanie pocałunku byłoby niedźwielstwem w najgorszym stylu, Józef zaś zawsze starał się być dźwielmem. Cóż winna ta mała, że go kocha? Ostatecznie, jest to bardzo dobra dziewczyna.

Jeżeli drzwi się otworzą — to znaczy, że tak chciało przeznaczenie.

Serce ścisnęło mu się na wspomnienie Lusi, ale ramiona ścisnęły realny kształt młodego i giętkiego ciała Rosiczki.

Drzwi ani drgnęły. Oczywiście staroświeckie romanse są przestarzałe i nie mają zastosowania w życiu dzisiejszym. Za to usta młodych panien prawdopodobnie i dawniej miały w sobie tyle soczystości i temperamentu. Nie jest tylko pewne, czy były tak umiejętnie i wyrafinowane.

— Jakież to cudowne — szeptała mu przy samym uchu — jakież to cudowne...

„Najlepiej będzie — myślał — jeżeli jutro do niej napiszę. Napiszę, że niestety...”

— Pan pewno wiele kobiet całował — szeptała — ale ja jeszcze nigdy nikogo.

Przemknęło mu przez mózg, że ma doskonałą okazję, by ją zrazić:

— Istotnie, całowałem bardzo wiele kobiet.

— Ja chciałabym pana o coś spytać, ale się wstydzę.

Lecz i na wstyd znalazła sposób. Schowała twarzyczkę pod klapę jego marynarki i zapytała:

— Niech pan powie, czy ja umiem całować?

Zaśmiał się zażenowany.

— Niech pan powie, czy inne całują lepiej?

— Panno Rosiczko, jakże ja pani odpowiem?

— Niech pan odpowie! — prosiła.

— No... różnie... Jedne tak sobie, inne inaczej...

Wychyliła twarz i spojrzała mu w oczy:

— A ta piękna blondynka, z którą pan był w teatrze?

Domaszko poczerwieniał.

— Proszę powiedzieć — nalegała — czy ona lepiej całuje ode mnie?

— Nigdy jej nie całowałem — powiedział zimno.

— Kłamie pan! — wybuchnęła.

Zrobił obrażoną minę, lecz Rosiczka nie zwracała na to uwagi. Zeskoczyła z jego kolan i zawołała:

— O, ja widziałam, jak wy patrzyliście na siebie. Ona się w panu kocha! To od razu widać!

— Co pani mówi? Naprawdę? — zapytał z taką radością, że Rosiczka ostygła w jednej chwili.

— I pan w niej się kocha — powiedziała z bezbrzezną pogardą.

— Bynajmniej — zaprzeczył najzarliwiej, jak umiał.

— Kłamie pan.

— Panno Rosiczko!

— Kłamie pan. Kochacie się, a może nawet jesteście kochankami. Proszę mi nie przerywać!

— Pani się zapomina!...

— Nie, łaskawy panie, ale ja się nie dam oszukiwać!

Józef wstał i zapiął oba guziki marynarki:

— Jest pani bardzo młodą osobą i temu tylko mogę przypisywać dobór słów, na jakie pani sobie pozwala...

Usiadła w kącie i odwróciła głowę.

— Ja ze swej strony czuję się wobec tego uprawniony do wyjaśnienia, że oszukiwać mógłbym panią tylko wtedy, gdybym zaciągnął w stosunku do niej jakiejkolwiek zobowiązania. O ile mnie pamięć nie myli, żadnych tego rodzaju zobowiązań na siebie ni...

— Czyż ja mówię? — przerwała mu z gniewem.

— Pani mi ubliża — powiedział patetycznie i widział w lustrze swoje odbicie, wyrażające szlachetne oburzenie. Szkoda, że Rosiczka nie spojrzała nań w tej chwili: — wyglądał dumnie i przekonywująco.

— Nie chciałam pana obrazić — zawołała — oczekiwałam tylko, że pan uczciwie i jasno postawi sprawę. Ach, co tu gadać i owijać w bawełnę. Tyle czasu pan zachowywał się tak, jakby starał się o moją rękę. Chyba temu pan nie zaprzeczy?

Józef milczał.

— No, widzi pan. Do tego nie są potrzebne pisane umowy. A teraz pan unika mnie. Dlatego postanowiłam wydobyć od pana krótką i wyraźną odpowiedź: chce mnie pan, czy nie chce?

Józef poprawił krawat.

— No! — tupnęła nogą.

— Obawiam się — westchnął Domaszko — że... nie bylibyśmy dobraną parą.

Zerwała się i przeszła go złym spojrzeniem:

— Pan się tylko obawia, a ja jestem tego pewna, szanowny panie. Żegnam pana i nie chcę go więcej widzieć. Pogardzam panem.

Józef przygryzł wargi:

— Wolno pani osądzać mnie, jak się pani podoba, jednakże znajduję, że mówi przez panią tylko uniesienie, a nie rozwaga. Mam sumienie spokojne, gdyż w niczym nie nadużyłem pani zaufania...

— Tak? Tak oto mówi mężczyzna, który przed chwilą chwycił młodą pannę w objęcia i obcałowywał ją! Nie nadużył zaufania!

Józef miał wielką ochotę powiedzieć, że przecież sama wpakowała się mu na kolana, a on oddawał pocałunki jedynie przez grzeczność, lecz pohamował się i wyrzucił z siebie gorzko:

— Panno Rosiczko! Bardzo mnie boli to, co pani mi zarzuca. Mam dla pani wiele życzliwości i... doprawdy moglibyśmy pozostać przyjaciółmi.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich uśmiechnięta pani mecenasowa.

— No, moi państwo, kolacja na stole.

— Mamo — odezwała się po pauzie Rosiczka — pan Domaszko nie ma zamiaru zostać na kolacji i właśnie chciał cię pożegnać.

Skinęła mu lekceważąco głową i wybiegła z pokoju.

Józef skłonił się.

— Co się tu stało? — zapytała pani Neumanowa. — Pokłóciliście się państwo?

— Daruje pani mecenasowa, jest mi naprawdę niezmiernie przykro, ale panna Rosiczka obraziła się na mnie i wyraziła życzenie niewidywania mnie więcej. Wobec tego...

— Ach, to prawdopodobnie jakieś nieporozumienie, drogi panie Józefie, ach młodzi, młodzi... niechże pan tego do serca nie bierze. Rosiczka jest taka porywczą, ale to w gruncie rzeczy bardzo dobra dziewczyna i mogę pana zapewnić, że żywi dla pana więcej niż sympatię.

— Jednak wybaczy pani mecenasowa — ukłonił się powtórnie.

— Och nie, ja rozumiem i wcale pana nie zatrzymuję. Jednak nie wątpię, że przecież się pogodzicie. Zadzwoń do pana. Do widzenia, drogi panie Józefie.

Było już po dziesiątej, gdy wrócił do domu. W gruncie rzeczy był zadowolony z obrotu sprawy i pogwizdywał sobie pod nosem.

— Jak się Piotr miewa? — przywitał wesoło starego służącego.

Ten jednak zamiast wziąć od niego kapelusz i laskę, pochylił się do ucha i szepnął:

— Pani Bulkowska czeka.

— Co? — przeraził się Józef — panna Bulkowska?

— Nie, paniczu, pani, ciocia panicza.

Domaszko skrzywił się:

— Nie mógł jej Piotr poradzić, żeby jutro przyszła?

— Mówiłem, ale uparła się, że pilna sprawa i że będzie czekała choćby do północy.

Setki niepokojących myśli przebiegały mu pod czaszką, gdy wchodził do gabinetu.

W kąciку na najskromniejszym krzeselku siedziała ciotka Michalina. Stara, zniszczona, przygnębiona, z oczyma opuchłymi od płaczu.

— Co się stało, kochana ciociu? — serdecznie pocałował ją w rękę i przeprowadził do kanapy.

— Józiu mój, Józiu — ocierała oczy.

— Nieszczęście jakie?

Zapłakała, a Józefowi ścisnęło się serce.

— Chłopcze kochany, nie gniewaj się, że cię nachodzę, daruj starej ciotce, ale — Bóg mi świadkiem — musiałam.

— Ciociu, ja bynajmniej nie gniewam się, niechże ciocia mówi.

— Tylko obiecaj mi, że Natce słowa nie powiesz, bo by się zabiła ze wstydu. Ona nic nie wie, że ja tu do ciebie po ratunek dla niej przysłałam.

— Cóż jej się stało? — zaniepokoił się.

— Zgrzeszyła nieszczęsna, zgrzeszyła... Dziecko... Boże, co za hańba, co za upokorzenie... panna z dzieckiem...

Józef opadł bezsilnie na fotel. Z jego twarzy uciekła ostatnia kropla krwi, przed oczyma zamigotały isierki.

— Co ciocia mówi? — zarzęził — Natka?

— Boże, przebacz jej.

— Ależ to można ratować! — zawołał nieswoim głosem.

— Właśnie do ciebie, mój Józiu, ośmieliłam się zakolać o ratunek. Długo wahałam się, długo powstrzymywałam się...

— To źle! To bardzo źle — krzyknął — należało przyjść wcześniej. Im wcześniej, tym lepiej!

— Mój ty kochany chłopcze! — uśmiechnęła się doń rozpromieniona.

— Od kiedy ciocia zauważyła, że ona jest w odmiennym stanie? — pytał gorączkowo.

Ciotka Michalina szeroko otworzyła usta:

— Natka?...

— No przecież nie królowa Bona, tylko Natka.

— Że niby w ciąży?

— No, sama ciotka mówiła!

— Boże uchowaj. To już dawno skończyło się. Ona tylko ma dziecko.

Józef przetarł oczy. Teraz dopiero poczuł, że cały złany jest zimnym potem. „O, idioto! — myślał — przecież ona nie mogłaby tak prędko...”

Ciotka Michalina, chlipiąc, zaczęła opowiadać. Okazało się, że dziecko ma już ósmy rok. Winowajcą jest żołnierz niemiecki, ale Polak, z zawodu introligator. Zły los chciał, że podczas okupacji wyznaczono go im na kwaterę. Chłopak ładny, zgrabny i nawet porządny rzemieślnik, inteligentny, bo to już z fachu, z książkami zawsze, a i szkołę skończył. Otóż, że to diabeł nie śpi, między młodymi, Boże odpuść, doszło do grzechu. Obiecywał żenić się, ale akurat go wysłali na francuski front i popadł w niewolę, a później do Ameryki...

— A cóż dziecko?

— Ano synek. Kropla w kroplę wykapany ojciec. Cezary mu na imię. Nie ojcu, a synowi. Bo ojcu to Wojciech Cześniak, ale wiadomo syn, że nieślubny, to ze wstydem trzeba było na nazwisko Natki zapisać.

Ojciec, Dziecko, Obyczaje

— Ale gdzie jest ten syn?  
— Gdzieżby, Józieńku, na wsi, na wychowaniu.  
— I nic mi wcześniej nie powiedzieliście! — zmarszczył brwi.  
— Jakże było mówić, hańba taka.  
— Ale ten Cześniak nie odezwał się?  
— Jakże, owszem. Toż mówię. Pisywał i z Francji i z Ameryki, a ot, teraz przysłał list, że źle mu się wiedzie, że chciałby wrócić do Polski i ożenić się z Natką i synowi dać nazwisko, tylko że z czego będzie żył? Pyta się, czy ja bym skąd nie pożyczyła na założenie intrologatorni. Boże drogi! Sama przecież ledwie żyję. Za dziecko trzeba płacić i samym jeść, a ten złodziej Pruszkiewicz, co u niego hipotekę mam, to po terazniejszymu prawu grosze ledwie płaci. A Wojtek to pisze, że jak na szyfkartę wyda, to mu ledwie na parę dni pieniędzy starczy. Ale to uczciwy człowiek. On oddałby, tylko ja nie mam od kogo pożyczyć. A tu dziecko rośnie...

— Czemuż ciocia wcześniej nie przyszła? Od dawna załatwilibyśmy to. Cóż to ciocia ma mnie za obcego, czy co?

— Józieńku, mój kochany, ja bym dawno przyszła, ale Natka nie pozwala. Mówiła, że woli utopić się.

— Natka jest głupia. Chętnie dam, ile będzie potrzeba. Niech ciocia do niego napisze, żeby natychmiast przyjeżdżał. Chętnie dam. Nie jestem przecież skąpcem, a wy dla mnie najbliżsi. Dla kogo będę zbierał, dla obcych?

Pani Michalina ocierała oczy:

— Bóg ci zapłać, chłopcze. Złote twoje serce. Ale przecież sam chyba też ożenisz się i własne dzieci będziesz miał.

— Może i ożenię się — uśmiechnął się Józef. — No, ciociu, tutaj dam trochę na tymczasowe wydatki, a gdy ten... Jakże mu tam?

— Wojtek.

— A gdy ten Wojtek przyjedzie, zajmę się nim. Tylko czy aby przyjedzie?

— Natychmiast przyjedzie — żarliwie zapewniała ciotka.

Józef wyjął zwitek banknotów z pugilaresu i wcisnął jej w rękę. Gdy wreszcie wyszła, błogosławiąc siostrzeńca w imieniu wszystkich główniejszych świętych pańskich, odetchnął.

Naturalnie nowina, którą usłyszał, była bardzo przykra, lecz jakże radośnie brzmiała mu w uszach, w uszach oczekujących tragicznej wiadomości, że on jest sprawcą ciąży!

Zasnął pogodnie i nazajutrz od rana czuł się świetnie. Kazał sobie przysłać do biura odbitkę swego artykułu, starannie zrobił korektę, po czym głośno odczytał sobie artykuł, który — musiał to przyznać — zrobił na nim więcej niż dodatnie wrażenie, zwłaszcza pod względem stylu, misternego, okrągłego i wykwińskiego.

Ponieważ właśnie przyszedł Mech w sprawie zatrzymania w komorze celnej transportu francuskich wyrobów gumowych z powodu jakichś nieformalności w świadectwie pochodzenia towaru, przeczytał artykuł i jemu.

— No, jak pan znajduje?

— Hm... owszem — z podziwem powiedział Mech — bardzo pięknie, ale ja tam nie jestem zbyt wykształcony, więc dla mnie za mądre, niezupełnie zrozumiałem.

— Czego pan nie rozumiał? Zaraz panu wyjaśnię. Może ten ustęp o teatrologicznych formacjach przekroju myślowego?

— Nie, nie to, mniejsza tam o drobiazgi. Ale ja w ogóle nie rozumiałem.

— Jak to w ogóle? — przykro zdziwił się Domaszko.

— W ogóle — z poczuciem swej niższości rozłożył ręce Mech — nie wiem, o co właściwie chodzi.

— No przecież o to, czy Słowacki napisał *Smutno mi, Boże* ulegając wpływom klawisków, czy też nie.

Józef zamyślił się i pokiwał się na fotelu:

— To jest właściwie rzecz niedająca się wyjaśnić. Właśnie w tym artykule to wyjaśniam, że trudno wyjaśnić.

Mech zapalił papierosa, zdmuchnął zapalną i wstał.

— Ciekawy artykuł, ale to dla mądrzejszych ode mnie.

Literat

„Strasznie nisko — pomyślał po jego wyjściu Józef — stoi u nas jeszcze kultura umysłowa”.

Ciekaw był, co też o jego artykule powiedzą w redakcji. Zwłaszcza Piotrowicz! Ten przynajmniej nie będzie owijał w bawełnę.

Zatelefonował.

— Kolego Jacku, czy przeczytaliście wreszcie mój artykuł?

— Niestety, dopiero teraz.

— I cóż o nim sądzicie? Tylko szczerze!

— Szczerze? — zapytał Piotrowicz. — W tej chwili nie mogę, bo są tu panie.

— Jak to? — nie zrozumiał Domaszko.

— Mydło! Toaletowe mydło.

Józef obraził się:

— Dziękuję wam za uznanie.

— Musiałem wam to powiedzieć — zapewniał Piotrowicz. — A szczerze powiem, bez komplementów, wówczas, gdy będziemy w męskim towarzystwie. Przyjdziecie?

— Przyjdę — sucho odpowiedział Domaszko i pomyślał: „Dziki pretensje!”.

Właśnie kończył pracę w biurze i wybierał się do redakcji, gdy wpadł mecenas Neuman. Był niezwykle rozpromieniony i serdeczny:

— Drogi panie Józefie, cóż tam słyhać dobrego? Podobno był pan wczoraj u nas, ale ja tak jestem zalatany, że sam he, he, he, we własnym domu jestem gościem. Może byśmy wstąpili na śniadanko do jakiejś knajpki? Co?

— Żałuję, panie mecenasie, ale właśnie spieszę się do redakcji.

Oczekiwał, że Neuman skorzysta z okazji i powróci do sprawy Brzęczkowskiego, lecz ten ani o nim nie napomknął. Zatem słowo „śniadanko” należało zrozumieć jako „małżeństwo Rosiczki”. Mecenas utrzymywał, że nie zajmie im śniadanko więcej niż pół godziny. Wobec czego Domaszko nie chcąc — zwłaszcza po wczorajszym — zupełnie zraził swego adwokata, zgodził się.

Wstąpili do modnej winiarni i tu, jako wytrawny prawnik, mecenas rozpoczął ostrożny flankowy atak na wymykającego się kandydata do ręki córki.

Jeden kierunek natarcia zmierzał ku zaszachowaniu godności i solidności atakowanego, drugi do rozbicia go przez ukazanie wielkiego uczucia Rosiczki i jej rozpaczy, trzeci zamykał odwrót barierą szlachetności i perspektywą naprawy na pozór zerwanych mostów porozumienia.

Rolę posiłków w sprawnej ofensywie mecenasa znakomicie odegrały baterie butelek, z których każda odznaczała się indywidualnymi zaletami, że z każdej należało spróbować bodaj po kieliszeczku.

Po takim artyleryjskim przygotowaniu, fortyfikacje Domaszki wywiesiły białą chorągiew.

Oczywiście, panna Rosiczka jest jeszcze bardzo młodziotka, impulsywna i nierównoważona, dlatego też zerwała z nim, ale da się ją udobruchać i Józef, jako człowiek prawy i uczciwy, zrobi wszystko, by stosunki naprawić. Jeżeli mecenas sądzi, że jego obecność na dancingu „Latarni” w „Europejskim” jest konieczna i wskazana, Józef, oczywiście, zjawia się. Wprawdzie widzi niejaką przesadę w użytych przez pana mecenasa określeniach „złamanego życia” i „rozpaczy wiośnianych uczuć”, jednakże wobec panny Rosiczki gotów jest wziąć na siebie winę nieporozumienia i uszanować uzasadnione jej i godne szacunku ambicje.

Traktat został zawarty, w następstwie czego baterie szeregiem salw uświetniły tę historyczną chwilę, po czym obie armie zgodnym, choć nieco chwiejnym krokiem opuściły plac boju.

Józef pojechał do domu i oświadczył Piotrowi, że nieco się zdrzemnie. Gdy obudził się, było już ciemno, a zegarek wskazywał dziesiątą, zaś nieznośny szum w głowie i niesmak w ustach przywołał na pamięć dzieje minionego dnia.

Była to jedna z najbardziej przykrych nocy, jakie zdarzyły się w dotychczasowym życiu Józefa Domaszki. Rozpamiętywanie kapitulacji i popijanie wody sodowej z cytryną miały zastąpić sen. W dodatku nie zobaczył się z panną Lusią, nie rozmówił się z Piotrowiczem, nie podpisał czeku na pensje dla współpracowników pisma — zmarnował dzień, dzień ważny i brzemienny w następstwa.

Czuł dla siebie pogardę, żal do przebiegłego adwokata i wstręt do alkoholu. Obraz świata nabrał mrocznych barw, a własna jego sylwetka znaczyła się w tym ponurym pejzażu jako czarna plama.

Przy goleniu skonstatował, że ma twarz jakby obrzękłą i sińce pod oczyma, w których zauważył cień głębokiego cierpienia.

Było jeszcze bardzo wcześnie, wyszedł więc na spacer i przypadkowo skierował się na Wilczą. Jeżeli panna Lusia nie spóźni się do pracy na godzinę ósmą, to powinien ją spotkać, spotkać to anielskie stworzenie o głosie, którego brzmienie jest uniwersalnym lekarstwem na wszelkie dolegliwości.

Że panna Lusia była punktualna, przekonał się o tym z łatwością, widząc już z daleka szary kostium i niebieski kapelusik.

— O! — zawołała, zaskoczona jego obecnością na tym przystanku.

— Co panu?! — zapytała, gdy pocałował ją w rękawiczkę, podniósł swą umęczoną twarz.

— Niech pani nie pyta — jęknął — miałem pewne przeżycie. Ale to już minęło — pospieszył ją uspokoić.

— Biedny pan Józef — nieznacznie ścisnęła jego rękę — i taki dobry, że przyszedł...

— Dla siebie dobry — blade uśmiechnął się Józef.

— I dla mnie — powiedziała z przekonaniem. — Może pójdziemy pieszo?

— Z rozkoszą.

— Czemu pan wczoraj nie był w redakcji? — spojrzała nań z pewną dozą podejrzliwości, lecz widząc, że widocznie dotknęła niezabliźnionych ran, roześmiała się:

— Trochę byłem na pana zła, bo jestem nieznośną egoistką, ale i mnie już przeszło. Wyobrażam sobie, co to za piekło będzie dziś w redakcji z racji wyjścia numeru.

— A czytała pani w odbitce mój artykuł?

— Czytałam — kiwnęła główką.

— No i jakże? — zapytał z trwogą w głosie.

— Jest śliczny!

— Pani jest najślicniejsza! — wybuchnął.

— Nie wejdzie pan? — zatrzymała się przed bramą.

— Nie. Muszę teraz pędzić do swego biura.

— Ale przed trzecią pan wpadnie?

— Muszę — spojrzał jej znacząco w oczy.

— Rozumiem: — numer.

— Zgadła pani: — z pani jest numer, najszcześniejszy numer losu na loterii życia.

— Pan jest dziś patetyczny — do widzenia.

— Do widzenia, panno Lusi.

Długo patrzył za nią i stałby tu jeszcze, gdyby nie obawa, że ktoś z personelu redakcyjnego może go zauważyć w tej komicznej kontemplacji.

Niechętnie powlókł się do „Polimportu”. Co za szaleństwo! Obiecałem mu, że pójdę na ten dancing! Ba! Dałem słowo!

Mózg mu dzisiaj ciężko i niesforne pracował, dlatego postanowił odłożyć wszelkie medytacje do jutra.

W swoim gabinecie zastał Weisblata. Ponieważ spodziewali się go dopiero za dwa tygodnie, zdziwił się:

— Co się stało?

— A co się miało stać? Żeby ich cholera wzięła — zaklął Weisblat.

— Kogo?

— Straż celną.

Józef zniżył głos:

— Kokainę złapali?

— Jak nie mieli złapać, kiedy ten dureń Feinagel ma zawsze takiego pietra, że dość spojrzeć na jego gębę, żeby wiedzieć, że jest nieczysta sprawa.

Okazało się, że przepadł niezbyt duży, na szczęście, transport, lecz — co gorsza — została zdemaskowana najwygodniejsza trasa przewozu i Weisblat musiał tracić czas na łatanie dziur.

Józef doszedł do przekonania, że przyszła nań jakaś zła passa, jakiś pech.



— Trzeba przez jakiś czas być podwójnie ostrożnym, niczego nowego nie przedsiębrać i co się tylko da, odkładać na później.

Przeglądał właśnie gazety, gdy w „Gońcu Stołecznym” spostrzegł wyciętą nożyczkami dziurę. Była to jakaś wzmianka czy ogłoszenie. Mniejsza o nie, ale to niedopuszczalne, by pracownicy pozwalali sobie na taką nonszalancję w stosunku do pism szefa. Zadzwoił i surowo zapytał woźnego:

— Co tu Antoni mi kładzie za wycinki?

— To nie ja, panie prezesie, tylko właśnie...

— Co właśnie?! Kto to zrobił?

— Ano, to panna Zajączkowska.

— Niech Antoni poprosi tu pannę Zajączkowską.

Po chwili weszła duża, ładna panna o wilgotnych, niebieskich oczach i wydatnych, mocno uszmkowanych wargach.

— Chciałem panią prosić — powiedział Domaszko — by na przyszłość oszczędziła mi pani przykrości robienia jej uwag. Po co pani to wycięła?

— Ach, panie prezesie — roześmiała się maszynistka — pan daruje, ale nie mogłam wytrzymać. Niezwykle ogłoszenie!

— Co za ogłoszenie?

— Wróżka. Pod gwarancją przepowiada przeszłość, terażniejszość i przyszłość.

Józef zmarszczył z niesmakiem brwi:

— Primo, nie widzę w tym nic niezwykłego, a po wtóre, wstydziłaby się pani, osoba inteligentna, zajmować sobie czas podobnymi nonsensami.

— Kiedy wszyscy mówią, że ta madame Ravanaka przepowiada fenomenalnie. I bierze po dwadzieścia złotych. To już musi być coś!

— Wstyd mi za panią — obruszył się Domaszko — i proszę stanowczo, by tymi głupstwami nie zajmowała się pani w biurze. Jeżeli zaś pani ma za dużą pensję, to może warto ją zmniejszyć.

— Panie prezesie!

— Skoro pani chce wydawać po dwadzieścia złotych na szarlatanów...

— Ależ ja nie pójdę do niej! Przysięgam panu!

— Mam nadzieję, że pani dotrzyma obietnicy.

Zadzwoił telefon. To Piotrowicz dopominał się czeku na wypłatę poborów.

— Już idę do was, za dziesięć minut będę — zapewnił go Józef.

Na ulicy zatrzymał się przy koszyku z gazetami, kupił „Gońca Stołecznego” i siadając do taksówki, przeczytał ogłoszenie.

„Ciekawe — pomyślał — że też ludzie dają się nabierać takim oszustkom”.

Złożył gazetę i schował do kieszeni.

„Z drugiej strony dwadzieścia złotych to jeszcze nie majątek. Tylko mieszka na końcu świata: Praga, Stalowa 74 i mieszkanie 26, to pewno na czwartym, a może i na piątym piętrze”.

W redakcji panował nastrój gorączkowy.

— No, nareszcie! — zawołał Piotrowicz — może byście raczyli trochę dopomóc!

— Po to przyszedłem — chłodno odpowiedział Józef.

Nie mógł mu darować ujemnego sądu o artykule. Ostatecznie Piotrowicz mógłby wysilić się na uprzejmość.

Jedyną pociechą był w przelocie złapany uśmiech panny Lusi.

— Przyjdzie pan dziś do nas?

— Jeżeli tylko można, to...

— Kolego — wpadł Piotrowicz — nie czas teraz na flirty. Gdzież ten czek?

— Już posłałem do banku — spojrział nań nienawistnie Józef, podczas gdy Lusia czym prędzej zabrała się do roboty.

Nareszcie przyniesiono z drukami wilgotny jeszcze od farby pierwszy egzemplarz.

U góry pierwszej strony widniał tytuł:

„Łajdackie metody zawodowych oszczerców”.

## ROZDZIAŁ VI

Jeżeli pierwszy numer „Tygodnika Niezależnego” wywołał w opinii burzę, to to, co nastąpiło po drugim, można było nazwać tylko huraganem.

W prasie zawrzało. Oba telefony redakcyjne stale były zajęte przez czytelników wymyślających na czym świat stoi. Domaszko otrzymał kilkanaście listów pełnych obelg. Do Piotrowicza zgłosiły się dwie pary sekundantów, których ten bez ceremonii wyprosił za drzwi, oświadczając, że pojedynków nie uznaje, a protokołami jednostronnymi gotów jest odpowiednio się posłużyć, byle zostały spisane na niezbyt twardym papierze.

Józef zamknął się w domu, kazawszy wszystkim mówić, że jest ciężko chory.

W rzeczywistości nie był od tego daleki.

Stan jego nerwów przeraził jego samego. Jakże gorzko wyrzucał teraz sobie lekko-myślność, z jaką zgodził się pozostać w „Tygodniku”. Nawet stary Piotr, spytany o zdanie, powiedział, że takie rzeczy drukować to nie po bożemu.

O, teraz żadnymi siłami nie utrzymają go w tym wydawnictwie. Za żadną cenę. Piotrowicz jest wariat, wariat niebezpieczny dla otoczenia. Wszyscy oni są kupą wariatów. Czyż wśród nich jest miejsce dla poważnego człowieka!? Zerwie z nimi natychmiast.

Tak mu się przynajmniej zdawało.

Nazajutrz odbyła się konferencja redakcyjna, tym razem u Piotrowicza, a ponieważ Józef posłał im kartkę, że jest chory i o niczym wiedzieć nie chce, Piotrowicz z profesorem po konferencji przyszli go odwiedzić.

Obaj byli w doskonałych humorach.

— Czy wiecie — zacierał ręce Piotrowicz — że dobiliśmy jeszcze osiem tysięcy egzemplarzy?! Zrobicie, kolego, majątek na „Tygodniku”.

Józef otulił się w szlafrok i potrząsnął głową:

— Nie. Ja mam już tego dość.

Obaj panowie spojrzeli na siebie ze zdumieniem.

— Wam naprawdę jest gorzej — z ironią odezwał się Piotrowicz.

— Gorzej — potwierdził Józef — ja nie jestem stworzony do takiego życia. Teraz postanowiłem już nieodwołalnie, że się wycofuję.

— Tralalala — zaśmiał się Piotrowicz — przejdzie wam to.

— Dałem sobie słowo...

— To je od siebie odbierzcie z powrotem. Cóż wy sobie myślicie, że ja jestem dudek, który zakłada pismo dla zabawy? Który... A zresztą nie będziemy teraz o tym mówić. Co napiszecie do następnego numeru?

— Nic nie napiszę, ani jednego słowa — z pasją zawołał Józef.

Piotrowicz podskoczył na krześle:

— Tak?!

— A tak.

— Jak chcecie. W takim razie jeszcze dziś zwrócę wam wasze parszywe pieniądze i...

— Panowie! — przerwał profesor Chudek — dajcie spokój dyskusjom.

— Ładna dyskusja — oburzył się Domaszko.

— Nie kłóćcie się. Ja wam ręczę, że dojdziemy do porozumienia.

— Nie chcę żadnego porozumienia! — ryknął Piotrowicz. — Gardzę porozumieniem z ludźmi pokroju pana Domaszki.

— Pan mnie obraża — zbladł Józef.

— Obrażam i będę obrażał za takie świństwo, jakie pan chce mi zrobić...

— Ja nie chcę robić żadnego świństwa i w ogóle podaję do wiadomości panie kolego, że świństwa robią często ci, którzy imputują je innym!

— Panowie — załamał ręce Chudek — tracimy czas na pustą paplaninę.

— Wychodzę — powiedział Piotrowicz i zapiął marynarkę na wszystkie guziki. — Gorzko zawiódłem się na was, kolego!

Profesor przytrzymał go za rękaw:

— Chwileczkę! Miejcież szacunek dla siwych włosów, jeżeli obaj nie macie rozumu.

Zaczął tłumaczyć, reflektować, upominać. Swoje długie wywody ilustrował żywą gestykulacją. Ostrzegął Domaszkę przed takim nagłym zerwaniem, które opinia uczciwych

ludzi potępi, ba, niektórzy będą podejrzewali, że ustępujący solidaryzuje się z atakowanymi przez tygodnik łotrami, że wziął może łapówkę za poderwanie finansowych postaw pisma. Z tymi rzeczami trzeba być ostrożnym.

Z kolei uspokojony już Piotrowicz uderzył w nutę obowiązku obywatelskiego i wewnętrznych nakazów moralnych.

I znowu zabrał głos profesor Chudek.

Mówił, że Józef sam sobie robi krzywdę, zamykając przed sobą drogę do rozwoju własnego pióra, które swym pierwszym odezwaniem się zrobiło tak dodatnie wrażenie...

— Kolega Piotrowicz — przerwał Józef — mówi, że to mydło.

— Nie przesadzajmy, nie przesadzajmy — stanowczo zatrzymał go profesor — pan wie równie dobrze, jak i ja, że Piotrowicz nazywa mydłem wszystko to, w czym autor nie piętnuje nikogo. To jego sposób mówienia. A naprawdę...

— Mówiłem szczerze — wtrącił Piotrowicz.

— Wiemy, wiemy! Ja też mówię szczerze. Otóż telefonowała do mnie pani Krotyszowa i gratulowała artykułu o Słowackim. Jeżeli taka wybitna intelektualistka jak ona chwali — to już nie trzeba komentarzy. Była zachwycona, a gdy powiedziałem jej, że autorem artykułu jest ni mniej ni więcej tylko potomek wieszczka, zobowiązała mnie, że pana przyprowadzę do niej na herbatkę. Pójdziemy tam pojutrze. Zresztą sam Alfred Umaniecki wyrażał się o tymże artykule niezwykle pochlebnie, co u niego jest rzadkością. Inni też mówili z uznaniem. Zaprzepaszczać swój talent dla paru anonimów i pomyj w brukowcach — to istny nonsens!

Domaszko musiał przyznać mu rację.

— Ale, widzicie panowie, ja do tych awantur wprost nie mam dość silnych nerwów!

— Trzeba hartować wolę i trzymać się w garści — pouczył go Piotrowicz.

— Więc powiadam — ciągnął profesor Chudek — jeżeli pan będzie nadal czuł się w obecnej roli źle, przecież nikt pana nie zatrzymuje. Ale tak nagle, z miejsca!... Nie, to byłoby tylko szkoderzenie sobie samemu i sprawie. A chyba pan nie chce szkodzić sprawie, którą sam uznaje za dobrą?

— Mowy nie ma — potwierdził Domaszko.

— Więc widzi pan. Jesteśmy identycznego zdania i wszystko się ułożyło. Ma pan koniak?

— Mam.

— No, to każ pan dać. A czarna kawa jest?

— W tej chwili każę zrobić.

Gdy wychodził, usłyszał, jak Piotrowicz powiedział:

— To bałwan.

A profesor uspokajał Piotrowicza:

— Pozbędziemy się go wówczas, gdy...

Dalej nie słyszał, lecz i to go wzburzyło.

„Dobre ptaszki — myślał — pismo przecież jest moje. Jeżeli zechcę, to nikomu nie odstąpię i już”.

Panowie wypili kawę, po kilka kieliszków najtańszego koniaku, jaki Józef mógł znaleźć w domu, i wynieśli się.

— A, pamiętaj pan — zęgnął go Chudek — że pojutrze na piątą idziemy do Krotyszowej.

— Z całą przyjemnością — zapewnił szczerze Domaszko.

Zaciekawiło go bardzo środowisko, w jakim obracała się ta pani, no i jej sąd o artykule.

Zatelefonował do państwa Szczerkowskich, lecz dowiedział się, że Lusi nie ma w domu. Poszła z wizytami wraz z wujenką.

Nie miał nic do roboty. Zabrał się więc do pisania studium o paryskich latach Słowackiego.

Znał wybornie przedmiot, gdyż śp. stryj Cezary zasypywał go lekturą o wieszczu, a i w swojej bibliotece miał materiałów w bród.

Jednakże nie był usposobiony do pisania i odłożył pióro.

Na kino nie miał najmniejszej ochoty.

Nagle przypomniał sobie to dziwne nazwisko: madame Ravanaka... Hm... Praga, ulica Stalowa 74... a mieszkanie?...

Wyciągnął z palta zapomniany numer „Gońca Stołecznego” i odszukał ogłoszenie wróżki.

Ostatecznie cóż zaszkodzi pójść? Nie dlatego, by miał wierzyć w te bzdury, ale ot, po prostu dla rozrywki, dla zabicia czasu.

Pojechał tramwajem. Od przystanku trzeba było iść pieszo dobre dziesięć minut i dlatego zdecydował się nie zawracać. Jeżeli nawet u tej wróżki spotka kogoś, na pewno nie będzie to nikt znajomy.

„Skądże by!” — uśmiechnął się do siebie.

Na trzecim piętrze zapukał do drzwi, przez które dolatywał wesoły śmiech i krzyki dzieci. Otworzyła mu wysoka, przystojna kobieta o wydatnym biuście.

— Czy tu mieszka wróżka Ravanaka?

— Owszem. Proszę pana.

Wprowadziła go do schludnego ubożego pokoiku, zastawionego bambusowymi mebelkami przypominającymi poczekalnię prowincjonalnego fotografa.

Usłyszał po chwili jej dźwięczny głos:

— Mamo, to do ciebie!...

Człapanie pantofli, stukanie laski i do pokoju weszła wysoka, zgarbiona staruszka o małych czarnych oczach.

Ruchem wielkiej damy wskazała mu krzesło i powiedziała:

— Nie jestem wróżką, nie uprawiam szarlatanerii, nie daję zbawiennych rad.

Spojrzał na nią zdumiony.

Usiadła naprzeciw i mówiła głosem monotonym i cichym:

— Wyjaśniłam to, widząc, że mam do czynienia z człowiekiem inteligentnym. Otóż jestem obdarzona pewnymi zdolnościami telepatycznymi i niejaką dozą tego, co potocznie nazywane jest jasnowidztwem. Za wizytę biorę dwadzieścia złotych. Proszę mi dać rękę.

Józef wyciągnął rękę, którą ujęła końcami palców.

— Co pan chce wiedzieć?

Chrząknął niezdecydowanie.

— Dobrze, więc powiem panu: na imię panu Józef, ma pan około trzydziestki, jest pan kawalerem. Posiada pan dość znaczny majątek, odziedziczony po krewnym, wuju czy stryju, który miał dużą brodę...

— Po stryju — potwierdził oszołomiony Domaszko.

— Jest pan kupcem, prowadzi pan dobre interesy... Dobre, ale... nie zawsze... czyste...

— Co to znaczy? — zapytał Józef ze strachem.

— Chce pan, bym mu powiedziała?

— Proszę bardzo! — nadrabiał miną.

— Powiedział pan proszę bardzo, a pomyślał: kokaina. Czy tak?

Zerwał się na równe nogi. Błady był i z niepokojem rozejrzał się dokoła.

— Niech pan będzie spokojny — uśmiechnęła się — nikt nas nie podsłuchuje. Ja też jestem równie dyskretna jak ksiądz w konfesjonale.

— Pani jest fenomenalnie...

— Nie zawsze — przerwała mu — ale pańska psychika jest nieodporna.

— Ja rzeczywiście pomyślałem, proszę pani, o kokainie, ale niech mi pani wierzy, że...

— Że to pański wspólnik, chciał pan powiedzieć?

— Wspólnicy — poprawił.

— Cóż jeszcze chciał pan wiedzieć?

Poruszył się na krześle:

— Chciałem zapytać, czy... czy to nie pociągnie dla mnie przykrych następstw?...

Zawahala się i kiwnęła głową:

— Owszem, ale nie takie, jakich się pan obawia. Poniósł pan już pewne straty materialne i podobne czekają pana jeszcze. Poza tym nic panu nie grozi.

Odetchnął z ulgą.

— Jest pan zakochany w młodej, ładnej dziewczynie. Blondynka. Bardzo dobra. Poważna panna.

— A ona? — zaczerwienił się Józef.

— Nie wiem. Ale sądzę, że pana pokocha, jeżeli to już nie nastąpiło.

— Czy... czy... pobierzemy się?

— Wiem o tym tyle, co i pan, to znaczy nic.

Na twarzy Józefa odbiło się rozczarowanie, więc dodała:

— Uprzedziłam pana, iż nie jestem wróżką w pospolitym tego wyrazu znaczeniu.

Mogę jeszcze panu powiedzieć, że w każdym razie aura pańska polepsza się. Obecnie ma pan wiele kłopotów z kobietami, a raczej z inną młodą panną i poza tym rodzinne... jakieś dziecko, którego ojcem nie jest pan... Ojcem jest ktoś daleki... Introligator z zawodu, pan o tym wie.

— Tak — potwierdził — a mogłaby mi pani powiedzieć, czy on ożeni się z matką tego dziecka?

— Mogę tylko przypuszczać, że sprawa zostanie załatwiona ku pańskiemu zadowoleniu, a myślę tak dlatego, że, jak wspomniałam, aura pana poprawia się. Jeszcze ma pan zmartwienia z jakimiś drukowanymi rzeczami. I to minie.

— Czy lepiej będzie, jeżeli zerwę z tymi rzeczami?

— Chyba nie. Zresztą spotka pan w tych dniach kobietę i mężczyznę, którzy zaważą na pańskim życiu. Ona brunetka, a on rudawy.

— Zaważą dodatnio?

— Tak. Pomogą panu w pańskiej karierze. Jeszcze mogę powiedzieć panu dwie rzeczy: będzie pan żył bardzo długo i szczęśliwie, lecz nigdy nie będzie pan miał dzieci. Oto wszystko.

Puściła jego rękę i wstała.

Józef wydobył z portfela dwadzieścia złotych, położył na stole i skłonił się:

— Bardzo pani dziękuję. Chciałem panią zapytać tylko, czy pani zna również moje nazwisko?

— Nie.

Zaśmiał się i uklonił się powtórnie. Odprowadziła go do drzwi.

Był kompletnie roztrzęsiony. Cóż za niebezpieczna kobieta! Brz...

Wziął najbliższą stojącą taksówkę i pojechał do domu.

Noc spędził źle. Męczące sny, w których mieszały się postacie wróżki, Piotrowicza, Mecha i Rosiczki, nie dawały mu spokoju i budził się kilka razy zlany potem.

W rannej poczcie znalazł długą, niespotykane długą, ciemnobrązową kopertę, zaadresowaną dużym okrągłym pismem. Wewnątrz, na ćwiartce ciemnoniebieskiego grubego brystolu, napisano tymże charakterem pisma:

„Barbarze Krotyszowej miło będzie widzieć Szanownego Pana na piątkowej herbatce w jej domu”.

Następowała data.

— Dziwny sposób zapraszania — pomyślał Józef i obejrzał to kuriozum raz jeszcze.

W biurze czas włókł się niemilosiernie. Mech dostał fluksji i chodził z podwiązaną twarzą, co go robiło jeszcze wstrętniejszym.

Jak na złość i on nie miał nic do roboty, bo rozsiadł się w gabinecie Domaszki, pijąc nudnymi uwagami o drugim numerze „Tygodnika”.

— To jest, proszę pana, walenie głową w mur. Świat już tak jest urządzony i na to nikt nic nie poradzi. Ten kradnie i ten bierze łapówki. W każdym interesie powinien być przewidziany pewien procent na manko. I to właśnie jest manko. Świat jest mądrze urządzonym interesem. Pan sam należy do ludzi rozsądnych i dziwię się, że dał się pan naciągnąć na ten gips. Ja nie zmarnowałbym w tym złamanego szeląga.

— Myli się pan — wzruszył ramionami Domaszko — to wydawnictwo daje mi znaczny zysk. Zatem jest w tym dobra kalkulacja.

— Do czasu — machnął ręką Mech — do czasu. Póki ludzie otrzaskają się.

— Zobaczymy.

— Wiem z góry. Nie mówię, że nie można na takim tygodniku zarobić. Owszem. Tylko do tego trzeba wyrzec się innych skrupułów. Dużo można zarobić.

— O jakich skrupułach pan mówi?

Mech zerknął nań zza opaski:

— Eee... Pismo takie powinno robić pieniądze nie na tym, co wydrukuje, lecz na tym, czego nie wydrukuje.

— To znaczy?

— A ot, wyobraźmy sobie, że teraz wchodzi tu taki facet, co ma takie pismo i powiada nam: — Panowie, wiem to i to o waszych machlojkach z kokainą. Jutro to wydrukuję.

— Niech tak pan powie, to co my na to?... Oczywiście, zapytamy, ile będzie kosztować, żeby dał spokój?

— To szantaż! — oburzył się Józef.

Mech skrzywił się:

— Z pana naiwny człowiek. Czy to nie wszystko jedno, jakie słowo, jaką nazwę przyczepimy do czegośkolwiek? Można równie dobrze powiedzieć nie szantaż, lecz wzajemna usługa, rewanż, grzeczność za grzeczność. Ludzie nadużywają wielkich słów. To jeszcze przedwojenne przyzwyczajenie.

— Nie, panie Mech, to jest kwestia uczciwości.

— Uczciwości?... Zgoda, ale uczciwość też bywa różna. Przed wojną, jak kupiec dopuścił weksel do protestu, to mu już ręki nie podawano, a dziś? Kto dziś zważa na to. Taki Olbiński zrobił fikcyjną plajtę, okradł setki ludzi i mnie między innymi, a wszyscy mu się kłaniają, bo ma forsy i jak zechce, to temu i owemu odda. Może pan sam nie wita się z nim najuprzejmiej?

— Ja! Ja to inna sprawa, ale taki Piotrowicz to zrzuci go ze schodów.

— Bo głupi i będzie zawsze bez portek chodził. Wiele mu z tego przyjdzie?

— Zachowa szacunek dla siebie — bez przekonania wtrącił Domaszko.

— Swoją własną?... Na zdrowie. Ale nikt durnia szanować nie będzie. Z ludźmi się żyje i trzeba żyć po ludzku. Bo niech pan weźmie na ten przykład...

Na szczęście wszedł woźny i zameldował, że przyszedł inkasent. Mech wybiegł czym prędzej, a Józef zadzwonił do redakcji.

Odezwał się doktor Żur:

— A to pan, czym mogę służyć?

— Chciałem prosić... panią sekretarkę — powiedział po chwili wahania.

— Pannę Hejbowską?...

— Tak. Chodzi mi o przepisanie na maszynie jednej rzeczy — skłamał Józef.

— A to szkoda, bo panna Hejbowska dziś nie przyszła. Czy to coś pilnego?

— Nie, nie... A co, chora?

— Tak. Telefonowano od niej z domu, że leży i ma gorączkę — informował dr Żur.

— Może wziąć zastępczynię? Zresztą jeżeli to nieduży kawałek, to ja sam panu przepiszę.

— O nie, dziękuję panu. Już ja to w takim razie w swoim biurze załatwię. A panna Hejbowska poważnie chora?... Pytam dlatego — dodał pospiesznie — że jeżeli choroba ma ciągnąć się dłużej, to rzeczywiście dla wygody panów należałoby zaangażować zastępczynię.

— Ee, nie. To jakieś zaziębienie. Niech się pan nie trudzi. Szkoda kosztów. Damy sobie radę.

Jednak Józef był zaniepokojony i zaraz zadzwonił do państwa Szczerkowskich.

Od służącego dowiedział się, że panna Lusja leży i że ma niedużą gorączkę. Kazał kłaniać się i wychodząc z biura wstąpił do kwaciarni.

Chętnie kupiłby wszystkie kwiaty i posłał Lusi, ale to byłoby nietaktem. Wybrał więc dziesięć kremowych róż i załączył bilecik z krótkimi życzeniami rychłego powrotu do zdrowia.

Po obiedzie przespał się i zasiadł do pisania artykułu o paryskich latach Słowackiego.

Pisanie szło mu żmudnie. Każde zdanie wydawało się zbyt niezgrabne, chropowate, pospolite. Kreślił, przedstawiał słowa, zmieniał je, szlifował. Pragnął, by jego styl stał się niejako świadectwem kultury autora, by jego słownictwo nie dotykało szablonu, pozostając wciąż na wysokim poziomie literackim.

Forma pochłaniała go całkowicie, a jednak wciąż nie był z niej zadowolony i starał się ją urozmaicić pięknie wykończonymi zawilgoczeniami i subtelną dygresją.

Jeżeli chodziło o treść, unikał wszystkiego, co mogłoby uchodzić za chęć podrywania autorytetu dotychczasowych znawców romantyzmu i biografów wieszczów. Z rzadka posuwał się do uwypuklenia niektórych szczegółów, usuwał zaś wszelkie przyczynki dotyczące spraw poziomych, trywialnych, powszednich.

Z bólem, ale bez wahania zrezygnował z podania własnego odkrycia, że wieszcz za-

Poeta, Poezja

czął pisać *Króla-Ducha* podczas diety, jaką musiał zastosować po niestrawnym, a zbyt obfitym obiedzie u państwa Elantain. (Na pierwszej kartce wielkiego poematu wieszcz dopisał ołówkiem: „Przeklęte karczochy robią piekielne wzdęcie!”). Józef podał tylko, że nad kolebką myśli twórczej chybotła się jaźń poety w depresji psychicznej, aczkolwiek introspekcja genezy pierwszych strof arcydzieła w ich pierwotnym nawarstwieniu daje obraz wizji o potężnym wewnętrznym napięciu, do jakiego doszło po biesiadzie u państwa Elantain.

W ten sposób Domaszko uniknął zbędnych, przykrych szczegółów, jednocześnie dając prawdziwym znawcom do zrozumienia, że wie o karczochach.

Z tego był zadowolony.

Najwięcej trudu wymagało ostrożne i delikatne zachwianie obelżywej dla wieszczki plotki, która, niestety, stała się zbyt popularna, a kwestionowała męskie zalety Słowackiego. Na razie Józef ograniczył się do niewyraźnych aluzji w związku z pobytem w Paryżu „Pani D.”. *Sapienti sat*<sup>57</sup>, a w przyszłości powróci do tych spraw niejednokrotnie.

Właśnie kończył trzecią kartkę rękopisu, gdy odezwał się telefon.

Dzwoniła pani Szczerkowska:

— Lusia bardzo dziękuje za kwiaty, które sprawiły jej prawdziwą przyjemność. Pan, panie Józefie, jest naprawdę ujmujący swoją uwagą...

— Ależ taki drobiazg, proszę szanownej pani. Jakże się czuje panna Lusia?

— Czuję się nieźle, biedactwo, tylko nudzi się. Jeżeli pan nie boi się grypy... może by pan przyjechał trochę ją rozerwać?

— Ja? Wcale się nie boję, proszę pani! Jeżeli tylko pani pozwoli, a pannie Lusi nie sprawię tym przykrości, przyjadę natychmiast.

— Wprost przeciwnie — zaśmiała się pani Szczerkowska — nie sprawi pan Lusi przykrości. Nie sądzę, by prosiła mnie o zatelefonowanie do pana w celu samoudręczenia.

— Ach, proszę pani, w tej chwili będę!

— Ale może odrywam pana od pracy?

— Bynajmniej, broń Boże, skądże. Już jadę.

— Zatem czekamy.

W ciągu pięciu minut Józef przebrał się, posławszy Piotra po taksówkę.

— Kochana — powtarzał — pamięta o mnie!

Nie mógł doczekać się Piotra i zbiegł na ulicę właśnie w chwili, gdy staruszek zajeżdżał rozklekotanym fordem. Domaszko nie zwrócił na to uwagi.

„Zawiozę jej czekoladki, chyba nie będzie to źle widziane?”

Chciał zatrzymać samochód przed cukiernią, lecz przyszło mu na myśl, że tak zaraz po kwiatkach czekoladki — to będzie nie *comme il faut*<sup>58</sup>, trochę parweniuszostwa. Dał więc spokój.

Lusia leżała w łóżku. Nie można tego nazwać tak prozaicznie. Leżała w bieli i w błękitach, w aureoli złotopopielatych włosów, a wielkie chabry jej oczu, jej nieziemskich oczu powitały go słodyczą swego czarownego spojrzenia. (Napisze o tym wiersz).

Tak zapatrzył się na nią, że dopiero po chwili zorientował się, iż trzeba przywitać się z panią Szczerkowską.

— Moje uszanowanie pani — pocałował ją w rękę.

Gdy Lusia podała mu swoją, a on ją podniósł do ust, obsunął się wiotki koronkowy rękawek, odsłaniając rękę aż do ramienia. (Nie, tego widoku nie zapomni do śmierci!).

— Czy pani bardzo cierpi, panno Lusi? — stał pochylony nad nią z miną na pół zachwyconą i na pół boleściwą.

— Bardzo — potwierdziła z udawaną powagą — bardzo, bo pan aż dziewięć minut dał na siebie czekać.

— Dziewięć?! — jęknął Józef. (Boże! Ona liczyła minuty!) — Daję pani słowo, że spieszyłem, jak mogłem.

— O, to widać — powiedziała figlarnie.

— Jak to widać?

— Po pańskim stroju — roześmiała się.

<sup>57</sup>*sapienti sat* (łac.) — mądrymu wystarczy; mądrej głowie dość dwie słowie. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>*comme il faut* (fr.) — jak należy; jak być powinno; odpowiednio. [przypis edytorski]

Sięgnęła na stolik przy łóżku i podała mu lustro.

Józef spojrział i krew buchnęła mu do twarzy. Jego piękna granatowa w białe kropki „muszka” żałośnie zwisała dwoma niezwiązanymi końcami na kamizelkę.

Pozostawało tylko jedno: — zapaść się pod ziemię.

Niestety, architekci, budując domy, nie przewidują wszystkich sytuacji, w jakich mogą się znaleźć ich mieszkańcy. Dlatego nie robią w podłodze trapów, bez których zapadanie się jest prawie zupełnie niemożliwe.

Józef czuł się zmiażdżony, skompromitowany i ośmieszony.

Na szczęście przyszła mu z pomocą pani Szczerkowska:

— Przypomina mi to pewną historię. Mój ojciec był pedantem, a słynął w całej okolicy ze staranności w ubiorze. Otóż na swoim srebrnym weselu zjawił się w salonie w ogóle bez krawata. Gdy to spostrzeżono, natychmiast połapał się w sytuacji i powiedział z największą powagą: — W Paryżu już od miesiąca żaden gentelman nie nosi krawata. Zapanowała konsternacja, a jeden z panów, lubiący uchodzić za wszystkowiedzącego, zapewnił, że i on o tym słyszał, lecz jakoś nie może zdecydować się na przyjęcie nowego kaprysu mody. Wyobraźcie sobie, moi państwo, że ojciec do końca wieczoru nie nałożył krawata. Natomiast przed kolacją widziałam już trzech młodych ludzi, którzy zdjęli swoje i schowali je do kieszeni. Oczywiście, nazajutrz było wiele śmiechu z tego powodu i jeszcze długo potem wspomniano o krawacie ojca w całej okolicy.

Józef stał bezradny z lustrem w ręku i uśmiechnąwszy się bez przekonania, powiedział:

— Ale, jeżeli panie pozwolą, ja zawiążę swój krawat.

— Nie, nie pozwolą! — zawołała Lusia. — Ja panu zawiążę. No! Niech pan się zbliży!

— Doprawdy... — obejrzał się, czekając na aprobatę pani Szczerkowskiej.

— Myślę, że Lusia zrobi to bez zarzutu — powiedziała starsza pani.

Lusia usiadła na łóżku i wyciągnęła ręce (najpiękniejsze rączki na świecie!), a Józef pochylił się ku niej.

Wąskie różowe palce chrzęściły cichutko jedwabiem krawata. Józef oddychał ciepłym, pachnącym powietrzem jej ciała, ciała fantastycznie bliskiego, niewiarygodnie osiągalnego, oddzielonego od oczu cienką, białą tkaniną, która przecież nie jest dla jego odbiorników nerwowych żadną przegrodą. Czuł ją tak swoją, tak bezpieczną w jego bliskości.

I pożądał. Pojądał nie kobiety, nie erotycznego uzupełnienia, lecz Lusi, tej czarującej istoty, jej obecności, świadomości jej egzystencji, pachnącej, ciepłej, wiosennej. Niczego ponadto nie pragnął, jak móc teraz ukłęknać tuż przy łóżku i nawet nie patrzeć, i nawet nie słyszeć jej głosu, a tylko wiedzieć, tylko zdawać sobie sprawę, że jest przy niej.

Stał pochylony i marzył, że zawiązywanie krawata potrwa wieczność, a że i Lusia nie spieszyła się, trwało to, jeżeli nie wieczność, to w każdym razie co najmniej trzy minuty.

— Ha! — rozłożyła ręce Lusia — zrobiłam panu takiego motyla, że no!

— Bardzo pani dziękuję.

— Niechże pan spojrzy w lustro!

Józef spojrział posłusznie i zobaczył w owalnej ramce twarz z bardzo głupim uśmiechem.

— Nieprawdaż, wujenka — domagała się uznania Lusia — nieprawda, że wspaniale?

— Jak żyję nie widziałam podobnego arcydzieła — potwierdziła pani Szczerkowska — powinien pan, panie Józefie, odtąd stale przychodzić z rozwiązaniem krawatem.

— Rzeczywiście — bąknął i zamilkł.

— Wcale się pan nie zachwyca — oburzyła się Lusia.

— Ależ więcej niż zachwycaam się! — zapewniał rozpaczliwie. — Ja... ja... ja nawet tej muszki już nigdy nie rozwiążę.

— Będzie pan spał w niej?

— Nie. Przetnę ją z tyłu i każę dorobić zapięcie.

Lusia pokręciła główką:

— Nie, tego nie lubię. Już wolę, by pan przychodził z niezwiązaną muszką. Będę się poświęcała.

Przemknęło mu przez myśl, że jeżeli zechce zostać jego żoną, nie będzie potrzebował przychodzić.

Wszedł służący. Panią Szczerkowską proszono do telefonu.



Zostali sami i Józef wciąż stał nieruchomo przy łóżku. Lusią przyglądała się przez moment jego niewyraźnej minie, zaśmiała się i kazała mu usiąść na foteliku tuż przy łóżku.

— Śmieje się pani ze mnie — westchnął z rezygnacją.

— Nie z pana, tylko do pana — zrobiła zalotną minkę.

— Panno Lusi!

— Co, panie Józefie? — kokietowała go.

— Panno Lusi — nie panował już nad sobą — pani jest taka dobra, taka szalenie miła, ja po prostu... no!...

Wybuchnęła śmiechem. Jej świeże usta rozchyliły się, oczy zwężyły się, a ręce (najpiękniejsze ręce na świecie) wyciągnęły się do niego.

— Panno Lusi... Panno Lusi... Pani nawet nie wie, jak ja strasznie panią kocham! — wyrzucił z siebie.

Przeraził się swoich słów, gdy ujrzał ich skutek.

Lusia zbladła, śmiech urwał się jak ucięty nożem, oczy otworzyły się szeroko i w ich kącikach ukazały się łzy. Jej rączki jakby zwiędły nagle w jego rękach, usta drżały.

— Co, co pan powiedział? — zapytała nieswoim głosem.

Cóż mógł zrobić? Musiał przecież powtórzyć! Ach, jak się ośmielił, jak znalazł w sobie tyle śmiałości, by ośmielić się na taką śmiałość...

— Mówiłem, że kocham panią — jęknął — bo cóż na to poradzę? Kocham panią do szaleństwa...

Niespodziewanym ruchem wyrwała mu ręce i opadła na poduszki. Po policzkach ściekały łzy.

— Boże drogi! Panno Lusi! Panno Lusi!...

Lecz ona odwróciła się doń plecami i ukrywając twarz w poduszce, zaczęła płakać na dobre.

Józef zerwał się po ratunek do pani Szczerkowskiej i z rozpędu omal jej nie przewrócił w drzwiach jadalni.

— Panna Lusiu... — zawołał.

— Co się stało?

— Panna Lusiu płacze. Może pani... Ja doprawdy...

— Jak to płacze? Dlaczego? — spokojnie pytała pani Szczerkowska, nie zdając sobie sprawy z ważności faktu, że ona tam płacze.

— Ach, niech pani ją czym prędzej ratuje... To ja jestem winien, ja... — załamał ręce.

— Spodziewam się, że pan jej nie zbil? Niechże się pan uspokoi. Co zaszło?

— No, widzi pani, ja powiedziałem. To rzeczywiście... Ale ja nie przypuszczałem... To jest właściwie przypuszczałem... Ja odważyłem się... Boże drogi, powiedziałem, że... kocham pannę Lusię...

— Straszne! — pani Szczerkowska udała zgrozę.

— Właśnie... Ja, proszę pani, nie myślałem, że tym ją dotknę... czy obrażę. I panna Lusiu teraz płacze. Mój Boże, co mam zrobić!?

Pani Szczerkowska wybuchnęła serdecznym śmiechem.

— Na pana miejscu wstąpiłabym do klasztoru. Niechże pan zaraz wraca do niej, może usłyszysz pan radę, która panu bardziej przypadnie do gustu.

— Kiedy ja doprawdy nie wiem... — bronił się i wyglądał z tym tak pociesznie, że pani Szczerkowska powiedziała doń tonem takim, jak się mówi do dziecka.

— Niech pan idzie, to się pan dowie.

Prawie przemocą wepchnęła go do pokoju Lusi.

Dziewczyna siedziała na łóżku i uśmiechała się promieniście.

Wszystko to było wysoce dziwne i skomplikowane, tym bardziej, że znalazł się z nią oko w oko, bez możliwości odwrotu, gdyż drzwi zamknęły się z trzaskiem klamki.

Na dobitkę nic nie mówiła i tylko wciąż się uśmiechała zapłakanymi oczyma.

„Najpierw obraziła się na mnie, a teraz kpi z siostrzeńca ekonoma, który odważył się prosić ją o rękę” — kalkulował Józef.

Nieśmiało zbliżył się do łóżka i odezwał się zgnębiony:

— Ja bardzo panią przepraszam... Pani tak płakała.

Zakryła oczy dłońmi, wygiętymi rękami.

— Nie ośmieliłbym się nigdy... Ale wydawało mi się, że pani mnie chociaż odrobinę lubi... A pani tak płakała. Jeżeli obraziłem panią...

Potrząsnęła główką (najpiękniejszą główką na świecie) i zaprzeczyła:

— Nie, nie...

— Przestraszyłem panią moim niewczesnym... wyznaniem.

— Ucieszył mnie pan, panie Józefie.

Nie rozumiał: — po cóż zatem płakała?

— Tylko nie spodziewałam się. Wiem, że zachowałam się jak gęś, jak głupia gęś.

— Ale, broń Boże! — zawołał oburzony.

— Niech pan daruje... Ale pan teraz pewno zmieni zdanie o mnie — spojrzała mu błagalnie w oczy, a widząc jego rozmodloną minę, westchnęła z ulgą i powiedziała:

— Mnie jeszcze nikt nigdy tego nie powiedział...

— Czego, panno Lusu?...

— Że mnie... no tego, co pan.

— Czyż pani mogła się nie domyślać? — zapytał patetycznie z nutką tragizmu.

— Owszem, to jest myślałam, że pan mnie trochę lubi. A wujenka twierdziła, że pan też mnie kocha.

— Jak to też? — zadrżał Józef — czy jeszcze ktoś panią kocha? — zbladł i poczerwieniał.

— Nie!... Że ja... pana.

Jak samotny dąb w szczerym polu pod naporem wichru chwieje się chwilę aż runie na ziemię, tak Józef Domaszko runął na kolana, może tylko z nieco mniejszym hałasem.

Że też wcześniej, wówczas, gdy jej wyznawał swą miłość nie zdobył się na pomysł klęknięcia.

— Panno Lusu! Panno Lusu!? — łapał powietrze — a czy to prawda?! Czy to prawda?!...

— Wujenka mówi, że prawda — powiedziała, spuszczać oczy.

— A pani?...

— Wujenka nigdy nie kłamie.

— Boże!

W jednej chwili nabrał odwagi, chwycił jej rączki (najpiękniejsze rączki na świecie) i zaczął obsypywać pocałunkami.

— Niech pan usiądzie — poprosiła — mnie przykro, że pan tak...

— Panno Lusu, pani sobie nie może wyobrazić, jak ja panią kocham! Jaka pani śliczna, jaka dobra, jaka najcudowniejsza.

Lusia słuchała i bardzo jej się to podobało. Czują wprawdzie odrobinę rozczarowania.

Czytała w jednej powieści, że bohaterka została natychmiast i doraźnie wycalowana przez bohatera, a pan Józef kontentował się rękami, nawet nie próbując pocałować ją w usta.

— Czy pani naprawdę chociaż odrobinę mnie kocha, panno Lusu?

— Tak — skinęła głową.

To jedno słowo było iskłą, która wysadziła nową prochnię najczulszych epitetów i entuzjastycznego podziwu.

Weszła pani Szczerkowska i, udając, że nie widzi zrywającego się z kolan Józefa, zapytała:

— Czy nie napilibyście się kawy? Po bardziej gruntownej koniugacji pewnego czasownika kawa doskonale robi.

— Wujenko! — krzyknęła Lusia.

Pani Szczerkowska oparła się o poręcz łoża i dodała z uśmiechem:

— W moim wieku ma się już egzorcyzmy gramatyczne tylko w dalekim wspomnieniu. Jakże to idzie? Zaraz... zaraz... *Ich liebe dich, du liebst mich*<sup>59</sup>...?

Lusia spojrzała na nią roziskrzonymi oczyma i zakończyła cichutko:

— *Wir lieben uns*<sup>60</sup>.

<sup>59</sup>*Ich liebe dich, du liebst mich* (niem.) — ja cię kocham, ty mnie kochasz. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>*Wir lieben uns* (niem.) — my się kochamy. [przypis edytorski]

— Jak to znać świeżo odbyte wprawki! — poważnie oświadczyła pani Szczerkowska i rzuciwszy okiem na kompletnie zdetonowanego Józefa, dodała: — teraz przyniosę wam kawę.

Wieczór ten był najcudowniejszym wieczorem od czasów pewnego wieczoru w Weronie, od którego różnił się *in plus* tylko tym, że tam Romeo musiał zadzierać głowę do góry, podczas gdy tu mógł spoglądać wprost w oczy Julii i w dodatku popijać kawę.

Są noce bezsenne, spędzane przez ludzi w strasznych męczarniach. Zaliczają się do takich te, które następują bezpośrednio po wyjściu z druku nowego numeru „Tygodnika Niezależnego”, lecz są i takie noce bezsenne, jakie spędzają na najsłodszych męczarniach ci, którzy przeżyli wieczór tak piękny. Po takich nocach wstaje się w pełni nowych sił do życia, w doskonałym usposobieniu, bez cienia trosk.

Józef o ósmej był już w „Polimporcie”. Mechowi powiedział kilka uprzejmości, zgodził się bez dyskusji na danie osobistego żyra na wekslu firmy, z maszynistką podzielił się spostrzeżeniem, że dzień jest piękny, w ciągu dwóch godzin załatwił całą korespondencję, na liście do Weisblata dopisał piórem: „Trzymaj się pan ciepło”, interesantów częstował papierosami i dowcipami, woźnemu wychodząc dał bez głębszej ku temu racji dwa złote na piwo i pojechał do redakcji.

Piotrowicza jeszcze nie było. W pokoju zajmowanym przez pannę Lusię zastał profesora, mozolnie wystukującego coś na maszynie.

— Cześć wiedzy! — zawołał kordialnie.

— A, dzień dobry — nie odwracając się od klawiatury, odpowiedział profesor Chudek. — Pamiętaj pan, że idziemy dziś do Krotyszowej?

— Pamiętam. Byczo jest.

— Co, wygrał pan na loterii? — z obojętną ciekawością zapytał profesor.

— Tak. Główną wygraną — zawadiacko podał mu rękę Józef.

— A uważaj pan na tę babę.

— Na jaką babę?

— No, na Krotyszową.

— Bo co? Profesor myśli, że mnie ugryzie?

— Możliwe. Wampir. Emanacja nadkobiecości, fluorescencja intelektualna. Łyka serca jak indyk galki.

— Nie ma obawy! — za głośno roześmiał się Józef i klepnął się po kolanie.

Profesor Chudek odwrócił się, zmienił okulary i spojrzał nań ze współczuciem:

— Był pan na śniadanku — zawyrokował — *spiritus vini rectificativus cum*<sup>61</sup> kropelkis.

Domaszko roześmiał się jeszcze weselej:

— Myli się pan, coś lepszego.

— Koniak?

— Nie, nektar, olimpijski nektar! Ozon! Rosa zbierana z róż!

Profesor znowu zmienił szkła, odwrócił się do maszyny i stuknąwszy kilka razy palcem, powiedział dobitnie:

— Osiem zero cztery.

— Numer telefonu? — zdziwił się Józef.

— Tak. Niech pan zadzwoni.

— A po co?

— Tam pana poszukują.

— A co to jest?

— Szpital Jana Bożego — flegmatycznie wyjaśnił Chudek.

W innym wypadku Józef obraziłby się śmiertelnie, teraz jednak uznał to za komplement i śmiało się na całe gardło:

— Z profesora kpiarz!...

— Idźże pan do stu diabłów, piszę artykuł, a ten rozbrykał się i przeszkadza.

— Dobrze już, dobrze. Nie wie profesor co z Piotrowiczem?

— Wiem.

— No?

Kobieta demoniczna

<sup>61</sup>*spiritus vini rectificativus cum* (łac.) — spirytus winny rektyfikowany w (kropelkach). [przypis edytorski]

— Ale nie powiem. Idź pan do Żura, on jest od informacji. A pamiętaj pan, że idziemy — rzucił za odchodzącym — wpadnę po pana o szóstej.

Domaszko pokręcił się jeszcze po redakcji, porozmawiał z Żurem, lecz czas włókl się nieznośnie. Przed pierwszą w żadnym razie nie wypadło jechać na Wilczą.

Z nudów zabrał się do przeglądania dzienników. Przerzucał tytuły, gdy uderzyło go jego nazwisko w czarnym tytule większej wzmianki:

— Znowu — jęknął.

Wzmianka informowała czytelników, że „jak się dowiadujemy z wiarygodnych źródeł, wydawca „Tygodnika Niezależnego”, tak gwałtownie zwalczającego import luksusowych towarów do kraju, sam jest pokątnie właścicielem wielkiej firmy importowej i robi kokosy na wwozie perfum, kombinerek jedwabnych i gumowych artykułów wiadomego użytku”.

Wzmianka kończyła się paru soczystymi definicjami, a opatrzona była nagłówkiem: — „Pan Józef Domaszko — Katon od... gumowych towarów”.

Szkarłat zalał tak do niedawna radosne oblicze Józefa.

Boże! Jeżeli to trafi do jej rąk!...

Na samą myśl zimny pot wystąpił mu na grzbiecie.

Szczęściem był to lewicowy dziennik i do tego brukowy. W domu pani Szczerkowskiej na pewno nikt go nie czytał.

Przejrzał wzmiankę powtórnie, przetarł czoło, gdy pochylił się nad nim doktor Żur:

— A, czyta pan przyczynek do swojej biografii — zauważył.

— Doktorze, mnie wprost ręce opadają — zajęczał Domaszko.

— Co to pana obchodzi? — wzruszył ten ramionami — ani panu, ani pańskiemu „Polimportowi” to nie zaszkodzi.

— Ależ to jest kalumnia!

— No, nieścisłość. Nie jest pan pokątnym właścicielem, tylko współnikiem. Niech pan Bogu dziękuje, że nie wyszperali, iż pańskimi współnikami są Mech i Weisblat. Pan wie, że ten Mech to znany ptaszek?

Józefowi przebiegło przez głowę, że jednak posiadanie w redakcji takiego wszechwiedzącego współpracownika ma też i swoje całkiem ujemne strony.

— Nic nie wiem — skłamał.

— Jak to? Nie słyszał pan, że to ten właśnie Mech był zamieszany...

— Panie Żur — przerwał mu Józef — mnie z nim nic nie łączy oprócz interesów. I proszę mi wierzyć, że czy on był w co zamieszany, czy nie, nic mnie to nie obchodzi.

Wstał, zapiął marynarkę i dodał poirytowanym tonem:

— Ja nie mam manii interesowania się cudzymi sprawami.

— Myślałem, że on pana wprowadził w błąd...

— No tak, poniekąd tak — zreflektował się Józef — przedstawiono mi go jako ze wszech miar porządnego człowieka. Poza tym osobiście nic takiego nie zauważyłem... Zresztą, będę panu wdzięczny za informacje, tylko teraz się spieszę... Do widzenia panu.

Zbiegając ze schodów, przysięgał sobie, że teraz będzie unikał Żura jak zarazy, i że w ogóle musi rozstać się z całym tym parszywym tygodnikiem.

— Diabli nadali!

Miał jeszcze co najmniej dwadzieścia minut, lecz szedł prędko, by zagłuszyć swój nastrój.

Wstąpił do kwaciarni, wybrał cztery wspaniałe czerwone róże, zapłacił i starał się zmusić do myślenia o Lusi, lecz wciąż gnębiła go kwestia tygodnika.

— Gotowi mi firmę zarznąć i mnie z torbami puścić. O, tego już za wiele.

Ponieważ do pierwszej brakowało jeszcze pięciu minut, przestał je na schodach.

Lokaj przyjął go rozjaśnionym obliczem:

— Moje uszanowanie panu. Panienska czuje się dziś lepiej. Bogu dzięki.

— Może wstała?

— Owszem, ale jest w szlafroku.

— To proszę spytać panią Szczerkowską, czy panienska mnie przyjmie.

— Proszę pana, może pan poczekać w salonie, ale pani nie ma w domu, więc spytam panienskę.

Nie czekał długo. Po kilku minutach weszła Lusia, zaróżowiona, promienna, wyglądająca przepięknie w seledynowym jedwabnym szlafrocuku.

Wyciągnęła doń obie ręce (najsłodsze ręce na świecie).  
 Ucałował je z rozczuleniem:  
 — Jakże się cieszę, że pani lepiej, panno Lusi.  
 — Już prawie zupełnie jestem zdrowa. A to co? To dla wujenki?  
 Wskazała róże leżące na stole. Zapomniał o nich.  
 — Nie, nie, panno Lusi, to dla pani...  
 Podniósł źrenice w górę i wypalił:  
 — Przyniosłem je pani, by nauczyły się od niej, jak być pięknymi i jak należy cudnie pachnieć.  
 Wybuchnęła śmiechem (najcudowniejszym śmiechem na świecie):  
 — O! Więc musiałyby stale zmieniać swój zapach, gdyż ja wciąż nie mogę zdecydować się na stałe perfumy. Niech pan siada. Ja siadę tu, tyłem do okna.  
 — Żeby światło nie raziło? — podsunął jej fotel.  
 — Nie, nie to, tylko widzi pan, my kobiety już w pewnym wieku zajmujemy zawsze taką pozycję, by światło nie demaskowało zmarszczek i innych braków naszej urody.  
 Śmieli się oboje.  
 — Chce pan herbaty czy kawy?  
 — Dziękuję, panno Lusi, nie, chociaż kawę pokochałem na całe życie od dnia wczorajszego.  
 — Kawę? Myślałam, że mnie — powiedziała z udawanym rozczarowaniem.  
 — Panno Lusi! Ja pokochałem wszystko, co w ten najpiękniejszy wieczór było przy pani. Pokochałem tę poduszeczkę, na której spoczywała pani główka, tę kołderkę, która otulała panią, to łóżeczko! Wszystko!  
 — Zapomniał pan o jaśku.  
 — I jasiek też! — dodał z zapalem.  
 — No, a mnie? — dopominała się.  
 — O! Panią od dawna i ja w ogóle nie wiem, czy to można nazwać miłością? To jest uwielbienie uwielbień! To jest szczęście!  
 — Tak — zamyśliła się — to jest szczęście, panie Józefie.  
 — Czemu pani, panno Lusi, tak oficjalnie mnie nazywa? — powiedział ze skargą w głosie.  
 — Więc panie Józiu... Nie... Panie Józku. Prawda? Pan Józek? To ładnie.  
 — Nie lubię swego imienia, jest takie pospolite.  
 — Jest częste, ale to nie znaczy — pospolite.  
 Zastanowił się i pokiwał głową:  
 — W ogóle, panno Lusi, ja jestem pospolity.  
 — Dlaczego! — oburzyła się — skąd pan to wziął!  
 — Ano, niczym się nie wyróżniam. Kędy spojrzeć, takich jak ja, są miliony.  
 Stał się nagle smutny.  
 — Panie Józku, pan wymyśla niestworzone rzeczy!  
 — O nie, panno Lusi. Zresztą nie zależy mi na tym, by się specjalnie wyróżniać.  
 — No właśnie!  
 — Nie chciałbym, broń Boże, być takim na przykład Piotrowiczem.  
 — O cóż więc panu chodzi, panie Józku?  
 — O to, że pani to może nie podobać się. Kobiety lubią bohaterów — uśmiechnął się nieszczercze.  
 — A! Mam pana! Więc pan tak jednym zamachem pakuje mnie pomiędzy miliony kobiet, a sam martwi się, że nie jest Napoleonem?! To ładnie!  
 — O nie! Pani jest zupełnie inna niż miliony kobiet. Drugiej takiej nie ma i nie było na świecie.  
 — Za to dostanie pan czekoladkę — powiedziała figlarnie i wstała.  
 — Niechże się pani nie trudzi dla mnie! — usiłował ją zatrzymać.  
 — Zaraz przyniosę.  
 Po chwili wróciła z pudełkiem czekoladek.  
 — Wybiorę dla pana, dobrze?  
 — Cudownie!

- Cóż pan dziś porabiał? Był pan w redakcji?
- Byłem — sposepniał Józef.
- O, proszę tę — wyciągnęła paluszki — to z ananasem.

Józef nie cierpiał ananasów, lecz teraz był zachwycony, szczególnie tym, że jej mała rączka zręcznym manewrem ominęła jego rękę i załadowała mu brązowy smakołyk wprost na miejsce przeznaczenia, przy czym dotknęła aksamitnymi poduszczkami palców jego warg.

- Więc cóż w redakcji?
- Ach nie. Nie mówmy o tym — westchnął.
- Miał pan jakąś przykrość? — zaniepokoiła się.

— Drobiazg — machnął ręką — zawsze są jakieś przykrości, gdy się ma do czynienia z ludźmi niezrównoważonymi. Ale dajmy temu spokój. Przy pani należy mówić tylko o rzeczach pięknych i miłych. Tak, tak... Wie pani, że dziś jestem zaproszony na herbatkę do pani Krotyszowej.

- I pójdzie pan? — zapytała z nutką zawodu w głosie.
- Jeżeli tylko pani, panno Lusi, nie życzy tego sobie, to, oczywiście, nie pójdę.
- Ależ bynajmniej, co znowu — zaprzeczyła żywo.
- Jednak...

— Nie, nie. To nawet bardzo dobrze, że pan tam pójdzie. Pozna pan wiele interesujących osób.

- Więc pozwoli mi pani?

Spojrzała nań z przykrym zdziwieniem:

- Jak ja w ogóle mogę panu pozwalać lub zabraniać. Pan jest dziwny.
- Ach, mnie chodziło o to, czy pani tym nie sprawię przykrości...

Zaczął wyjaśniać, skąd w ogóle powstała myśl wizyty u pani Krotyszowej, lecz Luscia jeszcze długo nie dała się rozchmurzyć.

Domaszko był zrozpaczony. Pragnąc dać ujście swemu rozżaleniu, zaczął opowiadać o przykrościach, jakie ma ze swymi współpracownikami w firmie. Są to ludzie nieokrzesani i na punkcie etyki pozostawiający wiele do życzenia.

- Czy okradają pana? — zapytała.

— To nie, przynajmniej, jak dotychczas, nie miałem sposobności zauważyć. Ale innych, klientelę... Muszę nieustannie kontrolować każdy ich krok. A to jest bardzo nużące i degustujące.

- Czemuż pan nie rozstanie się z nimi?
- Niestety jest to niemożliwe.
- Ze względów finansowych?
- Tak — potwierdził — i z prawnych.

Lusia potrząsnęła głową:

— Ale powinien pan to zrobić. Skoro nie wierzy pan w ich uczciwość, a ich sposób bycia razi pana, powinien pan dążyć do rozwiązania spółki. Znajdzie pan innych. Przecież uczciwych i sympatycznych ludzi nie brak.

Józef zamyślił się. Nie miał ani cienia zamiaru przeprowadzania jakichkolwiek zmian w „Polimporcie”, ale słowa panny Lusi tak wybornie pasowały do jego stosunków z Piotrowiczem, profesorem, wszystkowiedzącym i wścibskim Żurem i z całą tą paczką zawaśniaków.

Tak, trzeba z nimi zerwać i koniec. Luscia ma rację. Każdy dzień zwłoki jest nonsensem.

- Nad czy pan myśli?
- Myślę, panno Lusi, że pani mądrze radzi i że do rady pani trzeba się zastosować.
- O! — zarumieniła się.
- Pani w ogóle jest skarbem, na który ani w setnej części nie zasłużyłem.
- Jestem zwykłą gąś. Ależ tak! Pan nawet nie ma pojęcia, jaka ja jestem gęś.
- Jeżeli takie byłyby gęsi, to na ziemi byłoby mnóstwo aniołów — zapewnił rzeczowo.

W przedpokoju rozległ się głos pani Szczerkowskiej i rumor przenoszenia jakiegoś ciężaru.

Lusia zerwała się i zbladła.

— Co to jest — przestraszył się — co pani?  
 — Nic, nic... Boże drogi...  
 — Panno Lusi! Niechże pani usiądzie! Pani nie jest jeszcze zupełnie zdrowa.  
 Opadła na fotel i zakryła oczy.  
 — Może pani wody przynieść?  
 Nie odpowiadała, więc chciał pójść do jadalni po wodę, ale ona zatrzymała go skwapliwie:  
 — Nie, nic nie trzeba. Niech pan tam nie idzie!  
 Usiadł przy niej i wziął jej rękę. Wciąż była blada i oddychała szybko.  
 — Biedna, biedna wujenka — wykrztusiła wreszcie.  
 Nie uważał się za uprawnionego do dalszych pytań, a nie wiedząc o co chodzi, milczał, lecz Lusia sama zaczęła mówić.  
 — Z wujem znowu tak. To coś przerażającego. Już rok było dobrze, prawie rok...  
 — Jakaś choroba?...  
 — Nie, nie choroba... chociaż, czy ja wiem, to właściwie choroba.  
 Z jej oczu ciekły łzy, a że nie miała przy sobie chusteczki, Józef pospiesznie zaproponował swoją, lecz Lusia odsunęła jego rękę:  
 — Nie chcę, to zła wróżba.  
 — Dlaczego zła wróżba? — zdziwił się.  
 — Jest taki przesąd, że jeżeli się weźmie czyjaś chusteczkę, to się... z nim rozstanie.  
 — O, panno Lusi, więc pani nie chce rozstać się ze mną?  
 Przyjrzała się mu z nieukrywaną obawą i nagle chwyciła go za przegub ręki:  
 — Panie Józku, niech pan powie, czy pan pije?  
 — Jak to, czy piję?  
 — No, czy pan lubi napoje wysokokowe, czy pan upija się?  
 — Nie. Nigdy! Brzydzą się alkoholem — zapewnił szczerze, przypominając sobie śniadanie z Neumanem.  
 — Ale pan pił? — pytała z niedowierzaniem.  
 — Tak, piłem, ale już więcej nie tknę tego obrzydlistwa.  
 — Przysięga mi pan?! — nastawała.  
 — Czemu pani powątpiewa...  
 — Nie, nie, niech pan powie, że pan przysięga!  
 — Więc dobrze, przysięgam.  
 Oparła się o poręcz i odetchnęła z ulgą:  
 — Och, jak to dobrze. Ja nie potrafiłabym kochać człowieka, który może przemienić się w... bydlę. Umarłabym z rozpacz, uciekłabym...  
 — O, pani! — przyłożył ręce do piersi — teraz żałuję, że nie jestem nałogowym pijakiem. Pokazałbym pani, że z miłości dla niej potrafiłbym wyrzec się nałogu.  
 — Niech pan tak nie mówi. On wujenkę przecież bardzo kocha.  
 — Wujaszek pani? Tak, to... on się tak upija?  
 Lusia skinęła głową:  
 — Przychodzi na niego od czasu do czasu taki straszny okres.  
 Lusia półszepem zaczęła opowiadać. Była to najboleśniejsza sprawa tego domu. Pan Szczerkowski, człowiek niezwyklej zacności, obowiązkowy, pracowity, powszechnie szanowany i lubiany, od czasu do czasu dostawał jakiegoś straszliwego napadu alkoholowego. Pił wówczas po kilka dni z rzędu w najgorszych spelunkach na przedmieściach i dopiero policja odwoziła go w okropnym stanie do domu. W ostatnich miesiącach nie powtarzało się to, a teraz znowu...  
 — Dlatego wujaszek później tygodniami nie pokazuje się ludziom, a biedna wujenka cierpi z tego powodu niezwykle, tym bardziej, że drży o jego życie, wujaszek bowiem ma wadę serca.  
 — To rzeczywiście niesłychanie smutne... — zaczął Józef, lecz przerwało mu wejście pani Szczerkowskiej.  
 Była uśmiechnięta jak zwykle, uprzejmie przywitała się z Józefem i przeprosiła go, że na chwilę musi zabrać Lusię.  
 — Pan się nie obrazi, prawda?

— Ależ, co znowu! Pani będzie łaskawa! — powiedział tak wylewnie, że pani Szczerkowska zażartowała:

— Widzisz, Lusi, że panu wcale nie zależy na twoim towarzystwie.

Lusia uśmiechnęła się blade i obie panie wyszły.

Józef siedział sam przez dobre pięć minut nasłuchując, i w wielkiej bieganinie panującej w dalszych pokojach usiłując wyłović odgłos kroków nóżek Lusi (najpiękniejszych nóżek na świecie).

Wkrótce usłyszał je blisko. Przyszła z mokrymi i czerwonymi rączkami:

— Kompresy z lodu — wyjaśniła — wuj jest zupełnie nieprzytomny i wygląda jak nieżywy.

— Najlepiej wezwać lekarza — poradził Józef.

— Już telefonowałyśmy. Zaraz przyjdą dwaj. Boże, mój Boże.

— Czy ja — zaofiarował się — na nic przydać się nie mogę?

— O, nie! Wujenka nawet nie przypuszcza, by pan się domyślał.

— Hm... to może ja sobie pójdę... Najlepiej będzie...

Lusia zrobiła smutną minkę:

— Mnie bardzo przykro — powiedziała.

— Tak, pójdę. Przeszkadzam tylko.

Nie zatrzymywała go, więc ją pożegnał, całując mokre, zimie rączki (pomimo wszystko najpiękniejsze na świecie).

— Ale jutro pan przyjedzie?

— Ooo! — odpowiedział wymownie.

Nie wiedział, co robić z czasem. Ponieważ w domu zapowiedział, że na obiedzie nie będzie, wstąpił do restauracji i zjadł porcję indyka.

Przyszło mu na myśl, czyby nie odwiedzić ciotki Michaliny?

Wziął dorozkę konną i kazał jechać na ulicę Freta, lecz w drodze rozmyślił się, wysiadł i wrócił pieszo do domu.

— Był pan mecenas Neuman — przywitał go Piotr — i powiedział, że wpadnie za godzinę.

— A jak dawno był?

— A będzie, paniczu, z pół godziny.

— Niech go diabli wezmą.

Piotr ze zgorzaniem spojrział na swego pana, a Józef, trzasnąwszy drzwiami, zawołał z gabinetu:

— Niech Piotr przygotowuje mi wizytowe ubranie.

Chodził po pokoju i mruczał. Na śmierć zapomniał, że to dziś jest ten przekłety dancing, na którym ma się spotkać z Rosiczką. Właśnie z Rosiczką!

Wybuchnął sarkastycznym śmiechem:

— Cóż mnie ona teraz obchodzi!

No tak, ale Neuman przyjdzie i trzeba mu to wyraźnie powiedzieć: — nie liczcie państwo na mnie, bo oświadczyłem się już o rękę innej panny.

Właśnie kończył swą garderobę, gdy przyszedł Neuman, rozszczebiotany, swobodny, wesoly. Przyjacielsko poklepał Domaszkę po ramieniu:

— No cóż tam, jak interesy?

— Dziękuję mecenasowi. Pewno pan czytał?... No, ten nowy paszkwil?

— Aaa... owszem. Panie Józefie kochany! I po co panu to wszystko? Pan jest młody i daruj pan staremu, ale niedoświadczony. Pluń pan na ten cały tygodnik.

Józef spochmurniał.

— No, no, pomówimy jeszcze o tym — zmienił ton adwokat. — Wpadłem tak po drodze dowiedzieć się, co u pana słyhać? No i he... he... he... przypomnieć o naszym pakcie, he... he... he...

Józef poskubał wąsiki:

— Kiedy, widzi mecenas, ja... tego... Mam dziś bardzo ważne posiedzenie...

— Jak to? — najężył się Neuman.

— No tak wypadło — rozłożył ręce Józef — redakcyjne posiedzenie niezmiernie ważne...



Twarz Neumana zastygła w powadze. Józef czuł, że jest bardzo, ale to bardzo nie w porządku. Znacznie lepiej byłoby powiedzieć wprost, że żeni się z inną, lecz jakoś nie mógł tego wykrztusić. Wytłumaczył sobie, że byłoby to nawet nietaktowne, bo czyż go ciągną do ołtarza? Przecież chodzi tylko o pogodzenie się z Rosiczką. Tak sprawa przedstawia się formalnie.

— Ja mam posiedzenie o szóstej — zaczął — ale jestem pewien, że do ósmej, najdalej do dziesiątej załatwię się z tym... No i wówczas... Chyba nie będzie za późno?

— Nie. Dancing jest do dwunastej — sucho powiedział Neuman.

— Właśnie... hm... więc może wpadnę...

— Panie Józefie! — położył mu rękę na kolanie — mówmy otwarcie.

— Ależ proszę — zaczerwienił się Domaszko.

— Otóż... Chodzi o to, czy pan ma w ogóle zamiar pogodzić się z moją córką. Jesteśmy mężczyznami i chyba stać nas na jasne postawienie sprawy. Tak, czy nie?

— Ja bynajmniej, zapewniam mecenasa, nie mam najmniejszego żalu do panny Rosiczki. Przeciwnie, chyba nie wątpi pan, że żywię dla niej, jak i dla całego domu państwa, jak najserdeczniejsze uczucia sympatii.

— Ale tak, czy nie?

— Więc... tak.

— Zatem przyjdzie pan do „Europejskiego”?

— Przyjdę.

— No, wiedziałem, panie Józefie, że się porozumiemy. Sługa uniżony. Do zobaczenia!...

„I cóż z tego — myślał Józef — przyrzekłem, więc pójdę, ale niech nie wyobrażają sobie, że coś na tym zyskają”.

Jednak nie był z siebie zadowolony. Zresztą i latanie z domu do pani Krotyszowej, od pani Krotyszowej do domu i z domu na dancing — to też go nie pociągało.

Dlatego gdy przyszedł profesor Chudek, zastał Domaszkę w kwaśnym humorze:

— Cóż to — zdziwił się — pomyłka w numerze?

— W jakim znowu numerze?

— No, w loteryjnym. Z rana był kontent i rozdyndany, jakby mu kto w kieszeń napluł, a teraz nos na kwintę.

— Daj pan spokój, profesorze. Mam dość zmartwień.

— Tak? No więc przyniosłem panu jeszcze jedno.

Wydobyl z kieszeni pierwszą część artykułu Domaszki o paryskich latach Słowackiego. Część ta miała pójść w najbliższym numerze tygodnika. Gdy Józef rozwinął rękopis krew napłynęła mu do policzków: manuskrypt był bezlitośnie pokreślony czerwonym ołówkiem, w paru miejscach rozdarty.

— Kto to zrobił — zaryczał — kto śmiał to zrobić?

— Piotrowicz — niedbale wyjaśnił profesor — prosił mnie, by panu oddać i powiedzieć, że w tej formie rzecz nie pójdzie do druku.

— Taaak?... A ja panu powiadam, że pójdzie!

— To nie znasz pan Piotrowicza, panie Domaszko. Jemu sam diabeł nie kazałby umieścić tego, czego on nie zechce.

— A ja panu powiadam!... — pienił się Józef.

— Powiadaj pan jemu, co panu mnie dziurę w brzuchu wiercisz.

— To bezczelność! Piotrowicz pojęcia nie ma o tej epoce w ogóle, a wtyka tu jakieś idiotyczne znaki zapytania, jakieś uwagi... O, moi drodzy!...

— Ale nudziarz z pana — stęknął Chudek — bierz pan kapelusz i chodźmy.

Józef automatycznie wyszedł za profesorem i zrównał się z nim dopiero na ulicy:

— A pan co na to powie — sapał — czy pańskim zdaniem jest dopuszczalne, by wydawcy, by właścicielowi...

— To zależy od trzech rzeczy — przerwał Chudek — primo: co, secundo: komu i tertio: jak. Nie czytałem, nie wiem, słyszeć nie chcę. Stawia pan taksa?

Józef kiwnął na przejeżdżający samochód.

— Rynek Starego Miasta — rzucił adres profesor.

— To pani Krotyszowa mieszka w Rynku?

— No tak. Nie wiedział pan? Przecież to ona była główną inicjatorką polichromii.

- Nie wiedziałem.
- A uważaj pan tam na Bubę.
- Na jaką znowu Bubę? — zdziwił się Józef, pomału opanowując swą wściekłość.
- Buba jest koszernym blondynem płci męskiej.
- Żyd?
- Nie.
- Więc dlaczego koszerne?

— Hm... on jest koszerne. Rozumie pan: sporządzony według wszelkich zasad, reguł i przepisów. Nie ma w nim nic, co by nie było wskazane, zalecane, należyte. Arcydzieło.

Józef wzruszył ramionami. Co go to obchodziło. Obecnie najważniejsze było: spotka tam Piotrowicza, czy nie, a jeżeli spotka, jak należy się wobec niego zachować.

Przed pięknie wymalowaną kamieniczką wysiedli i weszli na pierwsze piętro krętymi schodkami. Nie było tu dzwonka, lecz trzeba było stukać pięknie wyrzeźbioną kołatką. Schody połyskiwały froterowaną posadzką, ale gdy znaleźli się w przedpokoju, Domaszko zdziwił się, że zarówno tu, jak i w dalszych, przez otwarte drzwi widocznych pokojach, podłoga była z szerokich, do białą wymytych, niemalowanych desek.

Pokojówka, która im otworzyła, wyglądała równie niespodziewanie. Gdyby nie biały fartuszek, wziąłby ją za panienkę z pensji. Wyglądała misternie, subtelnie i pastelowo, a gdy oddawał jej kapelusz, spostrzegł, że palce ma wymanicurowane o różowych, lśniących paznokciach.

- Pani przyjmuje, oczywiście? — tubalnie zapytał profesor.
- Tak jest, panie profesorze — odpowiedziała melodyjnym głosem.
- A... czy jest pan Piotrowicz? — zainteresował się Domaszko.
- Dziś nie będzie, proszę pana, właśnie telefonował, że musi nam zrobić zawód.

To „nam” było powiedziane tak swobodnie, jakby ta mała przyjmowała gości wraz z panią.

Pierwszy pokój, zastawiony niskimi szafami gdańskimi, robił wrażenie zakrystii, spotęgowane jeszcze widokiem szerniałego, średniowiecznego krzyża na ścianie między dwoma oknami. Drugi przypominał szynk norymberski z XIV wieku, wreszcie w trzecim, urządzone w stylu weneckim, zastali panią domu rozmawiającą z dwoma młodymi paniami.

— I przywiódłem go oto na pokuszenie — biblijnym basem ozwał się profesor, wskazując Józefa patetycznym gestem.

Pani Krotyszowa w ciemnozielonej jedwabnej sukni, stylizowanej na krynolinę i suto obszytej koronkami, wstała i uprzejmie, ale bez uśmiechu podała Józefowi rękę, którą natychmiast cofnęła, gdy ten chciał złożyć na niej pocałunek.

— Wybacz pan, ale nie uznaję tego zwyczaju — powiedziała miękko i dziwnie głębokim głosem — cieszę się, że mogę uścisnąć rękę znakomitego człowieka.

— Szanowna pani zbyt łaskawa — nieśmiało zażartował Domaszko — nie jestem znowuż aż tak znakomity.

— Pan jest jedynym potomkiem mego ukochanego wieszca — panowie pozwolą: pan Domaszko, wnuk Juliusza Słowackiego — pan Horyński, praprawnuk rodzonej siostry księdza Skargi, pan redaktor Swojski.

Horyński, błądy łysiejący szatyn o nalanej twarzy i krzaczastych brwiach, w milczeniu podał wąską i nienaturalnie wiotką rękę, redaktor Swojski uściskał dłoń Józefa kordialnie.

Był to bardzo przystojny, wysoki i smukły młody człowiek o miłym wyrazie twarzy i uśmiechniętych oczach.

Wszyscy stali, gdyż pani Krotyszowa zajęła się wyszukiwaniem jakiejś książki na rzeźbionych dębowych półkach w niszy.

— Chcę panu Domaszce pokazać rękopis *Balladyny*, na którym jego dziad narzucił piórkiem sylwetkę niewieścią — mówiła bardzo wolno swym zdumiewająco cichym, beznamiętnym głosem. — Przyszła mi bowiem myśl, czy nie jest to sylwetka pańskiej babki...

— Zdaje się — wyjąkał Domaszko — że to jest niemożliwe, bo *Balladyna* była pisana jeszcze w Genewie... Natomiast moja babka poznała wieszca znacznie później w Paryżu

Czuł się ogromnie zażenowany i gdyby nie otucha, jakiej dodawała mu obecność potomka Skargi, nie umiałby słowa z siebie wydobyć.

Na szczęście przyszło jeszcze dwóch panów: poeta liryczny Wargus i reżyser Markes, uczeń Picassa. Pani domu przywitała się z nimi i zabrała Józefa do dalszego pokoju:

— Nie znoszę tego tłoku — powiedziała bez uśmiechu — usiądziemy tu. Ten pokój robi na mnie bardzo przykre wrażenie i dlatego bardzo go lubię. Uważam, że przykre wrażenia zaostwiają w nas te funkcje intelektu, które nazywam wtórnymi.

— To znaczy? — zaciekawiał się Józef, rozglądając się po wygodnym, nowoczesnym, nowocześnie umeblowanym pokoju z witrażami treści religijnej w oknach.

— Funkcje wtórne — mówiła pani Krotyszowa — w mojej nomenklaturze oznaczają refleksy myśli świadomych na szarym mięszu podświadomości, przez co wydobywają z niej emanacje o niewiadomym podłożu nawarstwień psychicznych. A w czymże można znaleźć większą rozkosz, niż w męce wyławiania niedających się uplastyczyć emanacji drugiej naszej jaźni?

— Mówi pani o rodzaju psychoanalizy? — usiłował połapać się Józef.

— Nie, a raczej tak. W każdym razie nie we freudowskim tego słowa znaczeniu. W tej pracy zapożyczam się u fizyków, transponując ich metody poznawania atomów. Po prostu myśl świadoma spełnia tu rolę promieni „gamma”, którymi bombarduję złoża nieświadomej istności psychicznej, próbując oderwać od niej elektrony półmyśli i półdoznań drzemiące na dnie. Czy nie pociągało to pana nigdy? Czy nie szukał pan warunków najbardziej odpowiednich dla zagłębiania się w te otchłanie drugiego życia? Jest to sport jedynie pasjonujący i jedynie zdolny zastąpić tęsknotę człowieka do wiecznego poznawania.

— Istotnie — przyznał Józef — poznawanie swej natury w jej niezewnętrzniających się cechach może pociągać równie silnie jak eksploracje nieznanych łądów, czy poszukiwanie nowych gniazd.

— Bardziej — potrzęsła głową pani Krotyszowa. — Stokroć bardziej...

Mówiła, a w jej cichy, równomierny, skupiony głos przez niedomknięte drzwi wpadały hałaśliwe okrzyki profesora i śmiech reszty towarzystwa.

Domaszko przyglądał się jej wąskim, subtelnym ustom, gładko zaczesanym włosom koloru hebanu i dłoniom o niezwykle długich i wąskich palcach. Było w niej coś niesamowitego, przerafinowanego, niemal perwersyjnego. W oczach szarych jak dwie wielkie krople rtęci, w nieporuszających się wargach zdawała się kryć jakaś niespodziewana, wulkaniczna siła.

Przypomniiał sobie, co mówiono o niej na Wilczej, i doszedł do przekonania, że wszelkie charakterystyki w stosunku do tej kobiety muszą być powierzchowne, przedwcześnie i niewyczerpujące. Sam miał uczucie onieśmienia. Z natężoną uwagą usiłował gonić myśli towarzyszki.

— ...czyż zresztą praca w ogóle istnieje jako pojęcie filozoficzne — mówiła. — Wszystko zależy od zabarwienia emocyjnego i od kierunku impulsów. Czy woli pan Miscatta z jego teorią celowości? Co do mnie, rezygnuję ze skończonego poglądu w każdym zagadnieniu. Skończone, skryształizowane poglądy są groźnym przeciwnikiem rozsądku, tego jedyne go narzędzia, który pozwala nam kwestionować bezapelacyjnie wnioski rozumu. Gdybym nie obawiała się zbudowania paradoksu, powiedziałbym, że rozsądek przez swą irracjonalność daje właśnie gwarancję racjonalnego ustosunkowania się do wszystkiego, co leży w poznawalności, zmiennej przeciwieństwie i ulegającej niezliczonym fluktuacjom.

Józef był zmęczony. Odetchnął z ulgą, gdy weszła panienkowata pokojówka z dwiema filiżankami zielonej herbaty. Postawiła tacę między nimi na niskim stoliku i zapytała:

— Czy pan Domaszko, proszę pani, zostanie na seansie?

— Nie, kochanie — po raz pierwszy uśmiechnęła się pani Barbara — dziś mamy przedostatni z serii renesansowej. Pan Domaszko zacznie z nami serię romantyków.

Gdy dziewczyna wyszła, pani Krotyszowa wyjaśniła:

— Mówiłam o seansach spirytystycznych.

— Ach tak?

— Pan nie interesował się spirytyzmem?

— Jak dotychczas...

— Polubi pan to. Ta mała jest świetnym medium.

— Tak? Nie wygląda na to.

— Żaden człowiek nie wygląda na to, czym jest w istocie. Nie zgodzi się pan ze mną?

— No, nie zawsze. Nie w każdym wypadku.

— W każdym — powiedziała po chwili namysłu. — Mówię oczywiście o inteligentnym obserwatorze. Każdy człowiek eksponuje pewien swój obraz i ten, naturalnie, przy obserwacji odrzucamy jako sztuczny. Pod nim odnajdujemy ten, który wydaje się istotny, a nigdy nie bierzemy pod uwagę obrazu bezpośredniego, niezależnego od obiektu.

— Czyli powierzchowności?

— Tak. Ludzie uzewnętrzniają swą treść w najbardziej prymitywnej powierzchowności.

Spojrzał na nią.

— Wiem, o czym pan myśli.

— Chyba nie — uśmiechnął się.

— O mojej powierzchowności?

— Tak — przyznał.

— I cóż pan widzi?

— O, definicja byłaby zbyt trudna.

— Jednakże, w głównych zarysach? — nalegała.

— Doprawdy nie potrafię — jękał się — robi pani na mnie wrażenie bardzo egzotycznego storczyka.

Zaśmiała się cicho:

— Kiedyś, gdy poznamy się lepiej, pozna pan jego zapach.

Nie wiedział, jak to ma rozumieć, więc milczał.

— Chciałabym tylko wiedzieć, do jakiego typu badaczy pan należy?

— Pod względem?...

— Metody. Czy kraje pan oglądany przedmiot na drobne części, szukając w jego morfologii odpowiedzi na to, czym on jest, czy bierze pan sumę wrażeń w całości.

— To zależy od obiektu.

Do pokoju wszedł redaktor Swojski:

— Nie mogę znaleźć papierosów — powiedział takim tonem, jakby pani domu była winowajczynią.

Józef wydobyl papierošnicę, a pani Barbara westchnęła:

— Zostawię panów samych. Mam przecież obowiązki.

Swojski usiadł na jej miejscu i puszczając misterne kółka dymu, zaczął:

— Właściwie mówiąc, od dawna chciałem pana poznać.

— Bardzo mi miło.

— Słyszałem o panu wiele.

— Zapewne od Piotrowicza.

— O nie. Tego, co mówi pan Piotrowicz, nigdy nie biorę serio. Czy pozwoli pan, że będę otwarty?

— Ależ proszę.

— Uważam pana Piotrowicza za człowieka wielkich zalet, ale narwańca.

— O, co to, to tak — westchnął Józef.

— Zdaje się, że pan ma dostateczne powody, by być mego zdania?

— Nie poskapił mi ich.

— Tak, to narwaniec i ma pasję do sądów apodyktycznych. Przyznam, że dziwiłem się temu, że pan jemu powierzył prowadzenie swego pisma.

— Tak się złożyło.

— Z pańskiego wyrazu twarzy wnioskuję, że nie uważa pan tego „złożenia się” za specjalnie korzystne dla siebie.

— Powiedziałbym nieprawdę, gdybym zaprzeczył.

Swojski podciągnął nogawki świetnie zaprasowanych spodni:

— Jeżeli pan nie czuje się zbyt uszczęśliwiony towarzystwem Piotrowicza — powiedział, podnosząc brwi — nie rozumiem, dlaczego pan z nim pozostaje.

— Bo i ja nareszcie przestałem rozumieć. Dlatego też postanowiłem raz wreszcie z tym skończyć.

— A... więc wylewa pan Piotrowicza?

— Jak to wylewam?

— No, daje mu pan dymisję?

Domaszko szeroko otworzył oczy. Rzeczywiście nie rozumiał, co Swojski ma na myśli.

— Przecież pan jest wydawcą „Tygodnika”, pan jest właścicielem tego pisma?

— No tak, dotychczas jeszcze jestem, niestety.

— Dlaczego zatem nie ma pan pozostać nim nadal?

— Bo mi obrzydło, bo mam tego powyżej uszu — zirytował się Józef niepojętością Swojskiego.

— Ależ panu obrzydło nie pismo, lecz sposób jego redagowania — i dodał po chwili: — najprościej zatem zmienić ten sposób.

— O, proszę pana, zmienić sposób jest nie sposób.

— Więc usunąć Piotrowicza, a powierzyć kierownictwo redakcji komuś, do kogo ma pan zaufanie.

Józefowi nigdy to dotychczas na myśl nie przyszło i teraz był wprost oszołomiony prostotą sytuacji.

Naturalnie! Jest właścicielem Tygodnika” i w każdej chwili ma prawo Piotrowicza usunąć. Tylko, że zrobić to...

— Widzi pan — zaczął — właściwym założycielem jest Piotrowicz.

— Za pańskie pieniądze — odpowiedział Swojski.

— Za moje. Ale... to poza tym mój kolega szkolny. Ja po prostu nie umiałbym, nie zdobyłbym się na to, by jemu tak prosto w oczy powiedzieć... Nie, panie, machnę na to ręką i koniec.

— Bardzo się panu dziwię. Przede wszystkim byłaby to dobroczynność i to dobroczynność na rzecz człowieka, który nadużył pańskiego zaufania, nieprawdaż?

— Oczywiście, nadużył. Gdybym wiedział, co on będzie wyprawiał, grosza bym nie dał.

— Właśnie — przytaknął Swojski — po wtóre nie znam cyfry pańskiego majątku, ale sędzę, że w każdym majątku taki dochód, jaki daje pański tygodnik, nie może być pozycją do pogardzenia. Nakład jak na nasze stosunki bardzo duży, a ma wszelkie szanse dalszego wzrostu. Poza tym powinny przyjść ogłoszenia, które obecnie Piotrowicz wystrasza.

— Ja myślę, że wystrasza! Kto zechce dać ogłoszenie do pisma tego rodzaju?!

— Otóż to. Tak się przedstawia strona materialna. Pan daruje, że osmielam się wtrącić w jego sprawy, ale jako fachowiec...

— O, bardzo pana proszę.

— Zatem, daruje pan, ale wręcz szaleństwem byłoby wyrzekanie się takiego przedsięwzięcia. A teraz jeszcze cała strona moralna, ideowa, kwestia ratowania placówki kulturalnej! To nie można zlekceważyć.

— Ma się rozumieć — rozłożył ręce Domaszko — lecz ja tego nie zrobię, wprost nie potrafię przyjść do Piotrowicza i powiedzieć: wynoście się.

— No, nie potrzebuje pan sam. Może pan komuś powierzyć wykonanie tej misji. Któż zabroni panu dać plenipotencję panu Iks, czy panu Igrek?

Józef zamyślił się.

Rzeczywiście to byłoby wyjście. Sam mógłby na ten czas wyjechać, choćby za granicę. Gdy wróciłby, już byłoby po operacji.

— Jeżeli pan nie ma nic przeciw szerszemu omówieniu tej sprawy — łagodnie podsunął Swojski — mógłbym ewentualnie odwiedzić pana? Przyznam się, że mnie kwestia „Tygodnika Niezależnego” obchodzi również osobiście.

— Czy... czy... zamierzałby pan...

— Kandydować na stanowisko redaktora. Tak się złożyło, że od roku nie prowadzę już swego dziennika i po prostu tęskno mi do pracy, a w „Tygodniku” widzę szerokie dla niej pole. Oto mój adres i telefon.

Podał Józefowi swój bilet wizytowy. Ten z kolei wręczył mu swój i powiedział:

— Jeżeli pan ma jutro rano czas wolny, miło by mi było, gdyby wpadł pan do mnie do biura.

W drzwiach stała pani Krotyszowa:

— Buba — odezwała się obojętnym głosem — spodziewam się, że nie wyzwałeś pana Józefa na udeptaną ziemię.

— Nie, Basiu — zaśmiał się Swojski — wymiana kart była raczej manifestacją przymerza.

— Zajmij się więc czarnym pokojem.

Posłusznie wstał i, skłoniwszy się uprzejmie i z wdziękiem Józefowi, wyszedł. Pani Krotyszowa zajęła jego miejsce:

— Jakże się panu podoba ten młody człowiek? — zapytała, patrząc w przestrzeń.

— Owszem, proszę pani, bardzo.

— Tak. On ma swoje zalety. Podobno nawet odznacza się dość znośną inteligencją i sprytem.

— Jest bardzo miły.

— O tak. Lubią go wszyscy.

— Ale wybaczy pani, dlaczego pani powiedziała przy wzmiance o inteligencji pana Swojskiego „podobno”?

— Ach, bo ja o tym nic bliższego nie wiem. Widzi pan, jestem bardzo leniwa i nie lubię zmieniać kochanków, bo to zawsze sprawia masę kłopotów. A sądzę, że typ inteligencji Buby znudziłby mnie zbyt szybko.

Józefowi zaparło dech w płucach.

— Nuda zaś jest jedyną rzeczą, której znieść nie umiem — ciągnęła, nie zmieniając tonu, pani Barbara — dlatego też trzymam się zasady nierozmawiania o rzeczach ogólnych z Bubą, gdyż poza tym jestem z niego zadowolona. Jest młody, wesoły, niechłaśliwy, zdrowy... Tak. On ma dużo zalet.

— Oczywiście — chrząknął Domaszko.

— Może dziwi pana, że oceniam w nim te właśnie zalety, ale innych nie znam i nie staram się poznać. W ogóle sądzę, że ludzie popełniają głupstwo, starając się poznać rzeczy z natury swej poznawalne. Wierzą oni w truizm, że poznać, to znaczy polubić. Dzieci psują zabawki, by poznać ich mechanizm, a zaspokoiwszy swój popęd badawczy, odrzucają je na śmietnik. My robimy to samo. Przystajemy się interesować obiektami poznanymi. Przypuszczam, że znaczny procent samobójstw wywodzi się z wesołej rady filozofa greckiego, zalecającego poznanie siebie samego. Nie odnosi się to tylko do wad, do tak zwanych wad. Największą zaletą otaczającego nas świata są wady i objawy chorobliwe. One urozmaicają monotoność obrazu. Pan nie znajduje?

— Jeżeli cel naszej egzystencji będziemy upatrywali w urozmaiceniu, to ma pani słuszność.

— Niech pan mnie nie martwi. Jedyna obawa, jaką żywię, to obawa przed słuszością. Całą pociechą jest to, że w wielowymiarowości, której nie znamy, niemożliwe są absolutne prawdy i że ku naszej radości wciąż możemy stwierdzać, że nie mieliśmy racji, że popełniamy jeden błąd za drugim. Myślenie byłoby w ogóle najgłupszą z funkcji fizjologicznych, gdyby odbywało swą drogę po ubitych szosach, obstawionych nieomylnymi napisami: „*rechts geben* — *links geben*<sup>62</sup>”, gdyby nie paradowało z pewną siebie miną w kompletnym chaosie, w labiryncie bez wyjścia.

— Jednakże musimy po prostu ze względów praktycznych — zaproponował Józef — uznać te a te punkty za aksjomaty.

— Dlaczego?

— No, bo... bo po prostu ludzkość nie mogłaby stworzyć cywilizacji. Nie mogłaby stworzyć nauk ścisłych, które dały nam tę cywilizację.

— I cóż z tego? — wzruszyła ramionami.

— Żylibyśmy do dziś dnia w jaskiniach. Nawet gorzej. Bez oparcia myśli na empirycznej prawdzie, że jaskinia chroni od deszczu, chłodu i od wrogów, że kij czy kamień mogą być narzędziem obrony i napadu, prawdopodobnie ludzkość żyłaby w stanie zupełnie nieucywilizowanym.

— Wątpię — powiedziała po namyśle — raczej mniemam, że wytworzyłyby inną cywilizację. Jakąś z dzisiejszego punktu widzenia również irracjonalną, jak i nasza byłaby niedorzeczną z tamtego. Czy pan jest humanistą, czy przyrodnikiem?

— Humanistą, proszę pani.

— Wolę humanistów, przepraszam, wolę ich typ umysłowości. Intelkty ukonstytuowane na apodyktycznościach przyrodoznawstwa z konieczności ulegają ograniczeniu.

— Czy... pani jest zwolenniczką mistycyzmu? — zaryzykował Józef.

<sup>62</sup>*rechts geben, links geben* (niem.) — jechać (iść) w prawo, jechać (iść) w lewo. [przypis edytorski]

— Bynajmniej. W ogóle jedyna rzecz, jakiej obecnie jestem zwolenniczką, to powierczość Buby. Nie znaczy to, oczywiście, bym miała trwać przy tym upodobaniu.

Uśmiechnęła się doń blado i nieobowiązująco.

— Przepraszam pana, zdaje się, że ktoś przyszedł.

Wstała i wyszła, zostawiając go samego. Siedział potulnie, przypuszczając, że zaraz wróci, lecz minęło pięć minut, dziesięć... Gwar w przyległym pokoju umilkł i zaległa cisza.

Józef dyskretnie zajrzał tam: — nikogo nie było.

— Dziwny dom — powiedział półgłosem.

Przeszedł aż do przedpokoju. Spora liczba pałt i kapeluszy przekonała go, że goście nie wynieśli się.

Po prostu zapomniano o nim!

— Też gościnność! — Był dotknięty i postanowił sobie, że więcej się tu nie pokaże.

Odszukał swój kapelusz i rękawiczki i właśnie w chwili, gdy zabrał się do otwierania wielce skomplikowanych zamków przy drzwiach wejściowych, usłyszał za sobą śmiech i szybki tupot.

Obejrzał się jeszcze bardziej zdziwiony i zobaczył biegnącą wprost na niego ładniutką pokojówkę:

— Mój Boże — zaszczębiotała wesoło — zapomnieliśmy o panu!

Mruknął coś niewyraźnego i cofnął z klamki rękę jak oparzony, gdyż ta dziewczyna położyła na niej swoją.

— Ale pan nie gniewa się? — mizdrzyła się doń z całą beczelnością.

— Nie — bąknął — ale ja śpieszę...

Sięgnął do kieszeni, chcąc dać jej napiwek, lecz wygląd tej dziwnej pokojówki onieśmielał go i pobrzęczawszy drobnymi w kieszeni kamizelki, wyjął rękę. Ona stała tak blisko, że było to już wręcz nieprzyzwoite, a cofnąć się nie mógł, gdyż w ciasnej framudze drzwi nie było na to miejsca.

— Jak się to otwiera? — zapytał, czerwieniąc się.

— Wie pan — patrzyła mu z kokieterią w oczy — że pan mi się podoba.

— Bardzo mi przyjemnie, ale...

— Niech pan do nas przychodzi częściej.

— O... owszem, możliwe — powiedział, do reszty zdetonowany i pomyślał, że nie wróci tu za żadne skarby i że to jest okropne, gdy pokojówka wygląda jak panna z dobrego domu, a zachowuje się jak kokotka. Wprost nie wiadomo, co w takim wypadku zrobić.

— A nie miał pan laski? — pytała, wciąż trzymając rękę na klamce.

— Nie.

— No to do widzenia... — pomału zaczęła otwierać drzwi — do widzenia. Podoba mi się pan i może pocałowałabym pana na pożegnanie, gdyby pan nie był taki nieśmiały. Zaśmiał się nieszczerze.

— Mówię prawdę — zapewniła go — no, ale powetujemy to sobie innym razem. Do widzenia.

Uchyliła drzwi i skinęła mu główką z miną łaskawej księżniczki.

Domaszko był zły, ubawiony, zaintrygowany — w ogóle zdezorientowany. Cieszyło go tylko spotkanie z redaktorem Swojskim.

Przebrał się w smoking, przez chwilę myślał o zatelefonowaniu na Wilczą, lecz poniechał zamiaru i tylko polecił Piotrowi na wypadek telefonu powiedzieć, że jest na posiedzeniu.

Na dancjach w „Europejskim” bywał dawniej dość często. I teraz spotkał tu wielu znajomych z kółka mecenasostwa Neumanów.

Ich samych zobaczył z daleka, siedzących przy stoliku wraz z dwiema starszymi córkami. W tłumie tańczących dostrzegł Rosiczkę w objęciach rozbawionego i nieco spoconego sportowca, narzeczonego Nuny.

Pani Neumanowa przywitała go z najśłodsza uprzejmością.

Klima obojętnie, mecenas z hałaśliwą serdecznością, a Nuna ironicznie. Po kilku zdawkowych frazesach poprosił Klimę i tańczył sztywno, obejmując jej chudą, wymykającą się z rąk kibić.

Gdy orkiestra umilkła, zastali już Rosiczkę przy stole. Była widocznie zemocjonowana, lecz spokojnie podała mu rękę z krótkim:

— Dobry wieczór.

Znowu kilka zdań mecenasa i tego głupawego sportowca, kilka konwencjonalnych odpowiedzi i zagrała orkiestra.

Józef pochylił się przed Rosiczką:

— Pani pozwoli?

Wstała z takim wyrazem twarzy, jakby mu robiła łaskę i zaczęli tańczyć.

Szukał w myśli słów, od których należałoby zacząć i wreszcie wykrztusił:

— Gorąco tu.

A wobec jej milczenia dodał:

— Na korytarzu jest mniej duszno.

— Dobrze, przejdziemy tam — powiedziała tak, jakby ją o to prosił, i ruszyła do drzwi.

W korytarzu stanęła przy poręczy schodów i zapytała zimno:

— Cóż pan chciał mi powiedzieć?

— Ja? — zdziwił się, lecz przywoławszy siebie natychmiast do porządku, dodał: — Ja chciałem zaproponować pani, by nie... by przestała na mnie gniewać się...

— To wszystko? — rzuciła z wyniosłością śmieszna u tej smarkatej.

— No, nie. Chciałem zapytać, dlaczego pani, panno Rosiczo, zdaje się mieć do mnie żal? Przecież ja dla pani żywię serdeczną sympatię. Jeżeli zaś między nami były pewne nieporozumienia...

— To się ich w ten sposób nie załatwia — wybuchnęła, wpadając mu w słowo.

— No więc w jaki?

— W prosty, po męsku.

— Przecież mówię po prostu.

— Nie. Po prostu — to inaczej — przygryzła drżące usta.

— Niech mi pani powie jak, bo sam nie znam innego sposobu.

Spojrzała nań niemal z nienawiścią:

— Więc dobrze, powiem...

Widocznie nie mogła się zdobyć na to, gdyż gniotła w rękę wachlarz.

— Powiem — zdecydowała się — prawdziwy mężczyzna postawiłby kwestię tak: kocham panią i ożenię się z panią lub: kocham panią i chcę mieć cię za kochankę, albo: jest mi pani obojętna i proszę na mnie nie liczyć... Tak zrobiłby prawdziwy mężczyzna...

— To znaczy — uśmiechnął się Domaszko — że według pani mężczyzna powinien być gburem...

— Nie, nie — przerwała mu — ja już mam dość pańskich niedomówień. Proszę o wybranie jednego z trzech wariantów. Żądam tego. Mam prawo żądać.

— Panno Rosiczko... niech się pani nie denerwuje...

— Wcale się nie denerwuję! Żądam wyraźnej odpowiedzi. No!?

Strzepnął pyłek z rękawa, dotknął ręką krawata i powiedział:

— Więc... bardzo panią lubię i szanuję... życzę pani, proszę mi wierzyć, jak najlepiej, ale na mnie... hm... proszę nie liczyć.

— Dziękuję panu i do widzenia — skinęła mu głową i wolno poszła w kierunku sali.

Widział, że była błada jak płótno, należało ją też odprowadzić?...

Lecz oto zwróciła się doń z uśmiechem:

— Nie odmówi mi pan pewnej grzeczności?

— Ależ, panno Rosiczko! — zawołał z bolesnym wyrzutem.

— Może mi pan zechce oszczędzić min mojej rodziny. Dokończymy tańca i odprowadzi mnie pan do stołu. Wolałabym, by po naszym wyglądzie nie domyślano się treści naszej rozmowy.

Oczywiście, zgodził się z tym bez namysłu i gdy po umilknięciu walca znaleźli się przy stoliku mecenasostwa, naśladując Rosiczkę, przybrał wesoły i beztroski wyraz twarzy, do czego zresztą nie potrzebował specjalnie się przymuszać.

Z obowiązku zatańczył jeszcze z panną Nuną, po czym wymówiwszy się pilną pracą pożegnał towarzystwo i wrócił do domu z ulgą w sercu:

— Nareszcie skończyłem tę przykrą historię!



## ROZDZIAŁ VII

— Udzieli mi pan po prostu plenipotencji — mówił swoim pogodnym głosem redaktor Swojski — a mając ją w ręku, już wszystko wezmę na siebie. Oczywiście natychmiast po pańskim powrocie zwrócę ją panu.

— A udziały Piotrowicza? Jak pan sobie z tym da radę?

— Och, to już drobiazg. Posiadając mniejszość, jest on zupełnie bezsilny. Zresztą załatwi to adwokat. Widzę, jak bardzo panu dokucza ta historia, rzeczywiście niemiła. Tym chętniej wezmę się do jej zlikwidowania, że poczułem do pana prawdziwą sympatię, a chyba nie zacznę w oczach pańskich uchodzić za zarozumialca, gdy powiem, że mam również pewność pozyskania pańskiej.

— Już pan ją posiada — z kurtuazją skłonił się Domaszko — zastanawia mnie... hm... jeszcze jedno. Ja nie będę spotykał się z Piotrowiczem, ale jak ułożą się pańskie z nim stosunki? Przecież Piotrowicz bywa u pani Krotyszowej częstym gościem?

— Więc przestanie bywać — uśmiechnął się Swojski — zresztą może mi się uda nawet po tej rozprawie z nim utrzymać dobre stosunki. Mam, zdaje się, trochę szczęścia do ludzi. Jestem z wszystkimi w najlepszych stosunkach.

— Jak to? I nie ma pan wrogów?

— Ani jednego.

— Więc chociażby nieżyczliwych?

— Nie znam takich. Widzi pan, ja trzymam się zasady niewtrącania się do cudzych spraw, przyznawania wszystkim słuszności i załatwiania wszystkiego drogą wzajemnego porozumienia. Poza tym mam dość rozległe znajomości, dzięki czemu wielu osobom mam możliwość wyświadczyć od czasu do czasu drobną przysługę, ale tylko drobną.

— Dlaczego kładzie pan tak silny nacisk na to słowo?

— O, proszę pana — zaśmiał się przyjemnie Swojski — prawdopodobnie i pan to zauważył, że oddawanie bliźnim większych przysług wytwarza w nich psychikę dłużnika, a czego od dłużnika może się wierzyciel spodziewać oprócz nienawiści lub w najlepszym wypadku niechęci?

— Ma pan rację. Cieszę się też, że człowiek o tak spokojnych i zrównoważonych poglądach obejmie redakcję mego pisma. Nie wątpię, że zawsze potrafiemy z panem się pogodzić.

— O, proszę pana, nie wyobrażam sobie, byśmy mogli znaleźć jakiegokolwiek płaszczyzny tarć — zapewnił Swojski.

Szczegółowe omówienie sprawy przenieśli do cukierni, z której po godzinie wyszli obopólnie z wyników umowy zadowoleni.

Tegoż popołudnia Józef zadzwonił do redakcji i zawiadomił Piotrowicza o swoim wyjeździe tudzież o fakcie powierzenia zastępstwa panu Swojskiemu.

— Swojskiemu? — zdziwił się Piotrowicz — po cóż wam ten mydłek?

— Nie uważam pana Swojskiego za mydłką — zimno odpowiedział Domaszko — a wyjeżdżając, w dodatku na czas nieograniczony, muszę komuś, do kogo mam kompletne zaufanie, zostawić plenipotencję.

— Ach, mnie to ani ziębi, ani parzy. Jeden ciura mniej, jeden więcej — obojętnie wycedził Piotrowicz — byle mi tu do redakcji nie przyłaził.

— To już jest rzecz pana Swojskiego, nie moja — zaakcentował Józef — zatem do widzenia.

— Szczęśliwej podróży, a nie skręćcie po drodze karku — obojętnie rzucił Piotrowicz i odłożył słuchawkę.

— Poczekaj, idioto jeden — zaśmiał się Domaszko — ty tu na miejscu łatwiej kark skręcisz!

Walizki były już spakowane. Nazajutrz o ósmej z minutami odchodził ich pociąg.

Józefa trochę zdziwiła tak łatwa zgoda pani Szczerkowskiej na wyjazd siostrzenicy ze dwoje z młodym mężczyzną, w dodatku przed oficjalnymi zaręczynami. Jednak musiał uznać słuszność tej zgody, w której mniej było liberalizmu, a więcej rozsądnego liczenia się z dzisiejszą obyczajowością, no i zaufania do niego samego.

Lusia już wczoraj zapowiedziała doktorowi Żurowi, że rezygnuje z posady. Zrobiła to na życzenie Józefa, który wołał, by nie była świadkiem przełomu w „Tygodniku”. W ogóle

o zamierzonych zmianach nie napomknął jej ani słówkiem, obawiając się, że nie poczyta mu tego postępowania za dobre.

Wieczór, jak to już było w zwyczaju, spędzali razem w pokoju Lusi na długich i słodkich rozmowach. Jeżeli przerywało je czasem wejście pani Szczerkowskiej, dla żadnego z nich nie było to przykrością, gdyż oboje lubili ją bardzo.

I tego wieczoru, przynosząc im do spróbowania jakieś świeżo upieczone ciastka, przysiadła na chwilę:

— Ciastka te musicie zawieźć, moi państwo, cioci Jarzębowiczowej. Nie zapomnij, Lusi, powiedzieć, że są twojej własnej roboty.

— Wujenka uczy mnie kłamstwa! Co pan na to, panie Józku!? — zawołała Lusia z udanym oburzeniem.

— Czyżby pani Jarzębowiczowa domagała się od wszystkich talentów kulinarnych? — zaciekawiał się Józef.

— Lusia nie zna swojej ciotki — wyjaśniła pani Szczerkowska. — Była małą dziewczynką, gdy jeździła do Jarzębowa.

— A przecież to najwyżej dwadzieścia kilometrów od Terkacz — zauważył Józef.

— Tak, ale stosunki między ojcem Lusi a Jarzębowiczową nie należały do najserdeczniejszych... Nigdy nie zapomnę — zaśmiała się pani Szczerkowska — jak Maciej określał swoją siostrę...

— Jak tatuś określał? — zainteresowała się Lusia.

— Mówił, że jest to istota, która siedzi na kanapie, ma za złe i patrzy z punktu widzenia. Powiedzanko to stało się niezwykle popularne wśród naszych znajomych i to było jeszcze jednym powodem ochłodzenia uczuć rodzinnych między Terkaczami a Jarzębowem. Otóż ciotka Jarzębowiczowa słynie ze swych kulinarnych ambicji i uważa dzisiejsze panny za zmarnowane pokolenie, ponieważ nie znają się na kuchni.

— Muszę zatem wziąć na drogę *Ćwierciakiewiczową*<sup>63</sup> — powiedziała wesoło Lusia.

— Lektura bardzo odpowiednia na podróż przedślubną — orzekła pani Szczerkowska i wyszła, zostawiając ich samych.

— Jakie to dziwne — odezwała się Lusia — że my będziemy małżeństwem.

— Dlaczego dziwne, panno Lusi?

— No, czy mogłam przypuszczać, że zostanę żoną tego surowego pedagoga, który mnie dręczył algebrą...

— I którego dręczyłam docinkami — podpowiedział Józef. — Ach, żeby pani wiedziała, panno Lusi, co za nieznośne dziecko było z pani.

— Za to teraz jestem istnym aniołem — złożyła ręce w małdrzyk.

— Archaniołkiem! — zawołał z entuzjazmem.

— Aha, *à propos* aniołków, jakże było u pani Krotyszowej?

— Ach — westchnął Józef.

— Dlaczego pan wdycha. Czy wynudził się pan?

— Nie, to nie to.

— Zatem?

— To taki jakiś niezwykły dom.

— O, przecież uprzedzałam o tym pana.

— Dziwaczne obyczaje.

Opowiedział pokrótce przebieg swojej wizyty na Starym Mieście, oczywiście z pominięciem tak drastycznych szczegółów, jak wyznania pani Krotyszowej dotyczące Swojskiego i jak zachowanie się pokojówki.

— A potomków dużo tam było?

— Jakich potomków?

— Potomków wielkich ludzi. Pani Barbara słynie z tego, że w jej domu zbierają się potomkowie wszelkich znakomitości.

Zapomniała, że Józef jest potomkiem Słowackiego i mówiła z wyraźną ironią:

— Przyznam się, że nie rozumiem tego kolekcjonerstwa. To, że czyjś dziad czy pradziad był wielkim człowiekiem nie podnosi bynajmniej zalet wnuka.

---

<sup>63</sup>*Ćwierciakiewiczowa* — autorka niezwykle popularnej w okresie międzywojennym książki kucharskiej. [przypis edytorski]

Józef poczerwieniał:  
 — Tym razem było tylko dwóch potomków: potomek Skargi i potomek... Słowackiego.  
 Lusia zmieszała się. Jakże mogła nie pamiętać!  
 — Panie Józku — zaczęła go przeproszać — niechże się pan na mnie nie gniewa.  
 — Ależ ja bynajmniej.  
 — Ja wiem, że sprawiłam panu wielką przykrość!...  
 — Broń Boże — zapewniał.  
 — Ale przecież ja... ja nie dlatego pana kocham, że Słowacki był pańskim przodkiem, tylko kocham pana dla niego samego.  
 — O, panno Lusiu — rozczulił się — pani jest najlepszą, najcudowniejszą istotą, jaka istnieje na świecie.  
 — Ale ja pana skrzywdziłam i muszę ponieść karę — upierała się. — Jakiej pan żąda kontrybucji?  
 — Jeżeli tak, to proszę o rączkę do pocałowania.  
 Udała, że zastanawia się.  
 — Owszem — odezwała się po chwili — ten warunek jest do przyjęcia, ale proszę zamknąć oczy i dać słowo, że pan nie spojrzy, póki nie powiem „już”.  
 — Dobrze, daję słowo.  
 — No to proszę zamknąć.  
 Siedział nieruchomo z zamkniętymi oczyma i nagle poczuł na wargach najpierw lekkie muśnięcie precyzyjnie delikatnych ust (ust najpiękniejszych i najśodszych na świecie!), a później krótki mocny pocałunek.  
 Zakręciło mu się w głowie i żeby nie to, że dał słowo, porwałby ją w ramiona.  
 — Już! — krzyknęła Lusia.  
 Otworzył oczy: — stała przed nim zarumieniona z miną małej dziewczynki, która przed chwilą spletała komuś bardzo milego figła i teraz jest ciekawa efektu.  
 Zerwał się i runął przed nią na kolana, a zrobił to tak niespodziewanie, że Lusia po prostu przestraszyła się.  
 — Panie Józku!  
 — O, moja najukochańsza!  
 — Co się tam stało? — rozległ się z sąsiedniego pokoju głos pani Szczerkowskiej.  
 — Nic, wujenko.  
 — Wywróciliście coś?  
 — Nie, wujenko — śmiała się Lusia.  
 — Przecież słyszałam hałas.  
 Weszła, nim Józef zdążył porwać się na nogi, i wszyscy troje wybuchnęli śmiechem.  
 Wieczorem poszli do kina i Józef, odprowadziwszy Lusię do domu, pożegnał się, gdyż musiał jeszcze przed jutrzejszym wyjazdem omówić niektóre sprawy w „Polimporcie”, gdzie czekał nań Mech.  
 Wrócił do domu po pierwszej i zaraz położył się do łóżka, lecz wspomnienie pocałunku nie dawało mu zasnąć.  
 O siódmej był już na nogach, a o wpół do ósmej zajechał po Lusię taksówką.  
 W przedziale pierwszej klasy byli sami.  
 — Szalenie lubię podróże! Wiecznie podróżowałabym, gdybym mogła.  
 — No, to nie jest taka wielka podróż, ale za to najprzyjemniejsza z tych, jakie znam.  
 — Pan dużo podróżował?  
 — Nie. Trochę po Rosji... Poza tym przejeżdżałem przez Szwecję, Danię i Niemcy.  
 — Ja tylko raz byłam w Paryżu — westchnęła Lusia.  
 Większą część drogi spędzili przy oknie, nie bez wzruszenia przypominając sobie tak dobrze znane widoki i lustrując zmiany, jakie w ciągu lat zaszły w krajobrazie: — tu wycięto las, tu pobudowano lotniska, tam znowu wyrosła fabryka z czerwonej cegły...  
 Oczywiście, Józef lepiej znał tę panoramę: — w ciągu ośmiu lat gimnazjum przejechał tędy najmniej pięćdziesiąt razy.  
 Gdy teraz pociąg zatrzymywał się na stacjach, uważnie przyglądał się służbie kolejowej, leniwie wystającej na peronach i szukał wśród niej znajomych twarzy. Gdy ruszył, wzdychał i mówił:

— Tak, tak, wszystko się zmieniło... Wszędzie nowi ludzie.

Zdawał sobie sprawę, że właściwie kto jak kto, ale on, Józef Domaszko, nie miał powodu żałować „dawnych dobrych czasów”. W gruncie rzeczy tamte czasy wcale nie były dobre. Myślał o nich wszakże z rozczuleniem, konstatuując, że to jest zrozumiałe i zgodne z naturą ludzką.

Lusia go na pociechę częstowała czekoladkami.

Dworzec w Koluszkach też zmienił się bardzo, a otaczające go miasteczko wyrosło pokaźnie. Pomimo to zdawało się Józefowi, że w tłumie zaraz dojrzy granatową maciejówkę wuja Kijakowicza i jego rudawe wiechciowate wąsy, a przed podjazdem będzie stała żółta bryczka z parą tłustych srokaczy.

Zamiast wuja (wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie!) zobaczył barczystego mężczyznę w szoferskiej czapce i krzyknął ze zdziwienia:

— Panno Lusi! Proszę spojrzeć! O, tam, tam pod zegarem, ten szofer!

— Widzę i cóż z tego?

— Nie poznaje pani?

— Nie.

— Toż to Wojtek Jakiniak, fernal z Terkacz!

— Wojtek! Rzeczywiście!

Do przedziału wszedł tragarz i zabrał ich walizy:

— Państwo dokąd każą?

— Muszą tu czekać konie z Jarzębowa — odpowiedział Józef.

— Konie?... Koni tu nie ma, ale samochód jest, ot tam szofer czeka — wskazał na Wojtkę.

Józef nie wytrzymał i krzyknął ze stopni wagonu:

— Wojtek! Wojtek!

Szofer przecisnął się przez tłum i nie zdejmując czapki, zapytał:

— Czy to państwo do Jarzębowa?

— Wojtek, nie poznajecie mnie?

Szofer przyjrzał się Józefowi i z wolna na jego twarzy zjawił się rumieniec:

— A toż chyba nie panicz Józiek od pana rządcego? — powiedział z powątpiewaniem.

— A ja, ja, we własnej osobie — cieszył się Józef — a panienci Lusi nie poznajecie?

Wojtek zdjął czapkę:

— Boże kochany! Ze też to mnie nie powiedzieli, po kogo jadę — był zdetonowany i śmiesznie przestępował z nogi na nogę.

Domaszko podał mu rękę, Lusia zrobiła to samo. Pocałował ją w rękawiczkę z szacunkiem, ale bez zbytniego uniżenia i zabrał walizki.

— To wy teraz w Jarzębowie jesteście? — pytała Lusia idąc obok niego.

— A w Jarzębowie.

— A konie zamieniliście na maszynę?

— A ot, w wojsku nauczyłem się szoferki, to teraz u państwa Jarzębowiczów służę za mechanika.

— No i jakże się wam powodzi? — klepał go po ramieniu Józef.

— Ot, żyję sobie... Aby gorzej nie było.

Auto ruszyło prostą, równą szosą. Przy rozstajni, gdzie odchodziła w bok wąska polna droga, Wojtek zwolnił i wskazawszy głową w tę stronę, zawołał:

— A tędy do Terkacz się jedzie.

Słowa te ścisnęły serce Lusi i Józefa. Milczeli przez całą drogę. Dopiero gdy dojeżdżali do Jarzębowa i mijali pięknie oparkane ogrody warzywne, Wojtek znowu obejrzał się i krzyknął:

— A ot tu urządziłem taką polewaczkę mechaniczną, jakąśmy z panem przed wojną robili. Ot, proszę spojrzeć, na czerwono malowana.

— I samiście zrobili?

— A sam — zaśmiał się szofer.

Przejechali obok wysokich sztachet parku i zawrócili w lewo przed okazałym pałacem.

Jarzębowo prawie nie ucierpiało od działań wojennych, a pałac, niedawno widać odnowiony, wyglądał poważnie i dostatnio.

W chwili, gdy wysiadali, wybiegł ogromnego wzrostu starzec z bujną, siwą brodą i z kolosalną dominikańską łysiną.

— Witam, witam — krzyczał niezwykle głośno, zbiegając ze schodów z lekkością młodzieńca — ho, ho, to ty, mała?! Patrzcie państwo, jak to wyrosło? Co za pannica! Niechże cię uściskam!

Bez ceremonii chwycił Lusię w ramiona i nagle wrzasnął jeszcze głośniej:

— A to kawaler? Owszem, owszem. Jarzębowicz jestem.

— Domaszko — uścisnął wyciągniętą wielką prawicę Józef.

— Tak, tak, znałem pańskiego stryja. To mój rówieśnik, jakże mu się wiedzie? Cezary mu było, prawda?

— Stryj pana Józefa nie żyje — prędko wyjaśniła Lusia.

— Co? Już umarł? Diabli wiedzą, dlaczego im wszystkim tak się na tamten świat śpieszy? Co?... No, Wojtek! Drabie jeden, cóż się gapisz! Zanieś walizy na górę. Szybko! Chodźważ do domu. To Cezaremu zmarło się? He? Tylko pomyśleć, co ci ludzie wyprawiają, ledwie trochę pożyją, a już fajt i do trumny.

Obszerny dębowy przedpokój z szaragami z jelenich rogów w jednej chwili napęłnił się grzmiącym echem jego stentorowego, krzykliwego i jakby poirytowanego głosu, napęłnił się też jego ruchliwością i gestykulacją.

Młodzi zdejmowali palta przy pomocy wielkiej i czerwonej jak burak pokojówki, na której biały fartuszek wyglądał niczym chusteczka do nosa umieszczona na nowojorskim posągu Wolności.

Pan Jarzębowicz niecierpliwie młyńcami swoich kończyn zaganiał gości do sąsiedniego gabinetu, rycząc ponad ich głowami:

— Kureczko! Kuruchno! Przyjechali!

Gabinet o bardzo wysokim suficie zdawał się gotycką zakrystią, tak mało w nim było mebli i tak były poważne, wyniosłe i jakby nieużywane.

W przeciwnych drzwiach ukazała się postać pani domu, damy kolosalnego wzrostu o imponujących wypukłościach, pokrytych sutymi fałdami ciemnozielonego welwetu. Drogami jakich asocjacji doszedł pan Jarzębowicz do nazywania tej już nie osoby, lecz osobliwości, Kuruchną, trudno było odgadnąć.

Matrona dostojnym gestem rozłożyła ramiona i oto główka Lusi wraz z najbliższymi okolicami znikła w zielonej lawinie, a dwoje małych i przenikliwych oczu utkwilo w Józefie, przesywając go na wylot.

W tejże chwili Józef otrzymał potężne klepięcie po ramieniu, mające być zapewnieniem, że pan Jarzębowicz bardzo się cieszy z ich przyjazdu.

Jednocześnie gdzieś z uwarstwień wyniosłości terenowych pani domu rozległ się głosik Lusi:

— A to, ciotuniu, jest pan Józef Domaszko.

Józef, już pochylony w głębokim ukłonie, otrzymał do ucałowania potężny polec stawiący jedną z dłoni pani Jarzębowiczowej.

W rozgłosnym klangorze mowy małżonka zahuczał nagle niemal bas „Kuruchny”:

— Miło mi poznać pana.

— No, no, dosyć tych czułości — wrzeszczał znowu pan Jarzębowicz, jakby wydawał groźne rozkazy zbuntowanej dywizji — myć się i do stołu, do stołu, bo pewno jesteście głodni. Puśćże ją, Kuruchno! Ach, z tymi babami!...

Odwrócił się do drzwi i tak natężył głos, jakby dywizja, którą komenderował, znajdowała się o dobrą milę:

— Obiad dawać! Obiad!

— Poczekajże, Kosteczku, daj państwu odetchnąć — zadudnił bas — zaopiekuj się panem Domaszką.

— Co?! Aha!

Chwycił Józefa za łokieć i odciągnawszy w kąt, zapytał szeptem, który na pewno był słyszany w całym domu:

— Może pan potrzebujesz na osobność? Co?

Jezus, Maria. Lusia na pewno dosłyszała!

— Co? To chodź pan, zaprowadzę cię.

— Dziękuję uprzejmie szanownemu panu, ale nie spieszy mi się.

— Że co, powiadasz? — nadstawił ucho pan Jarzębowicz, zatykając Domaszce nos i usta odnogą swej srebrnej brody.

— Dziękuję, nie spieszy mi się.

— To nie szkodzi, chodź pan. Czasami zdaje się, że jeszcze czas, a tymczasem później trzeba przeproszać towarzystwo. Co masz zrobić jutro, zrób dzisiaj.

Nie opuścił Józefa ani na chwilę. Asystował mu, wciąż zasypując gościa pytaniami i dopominając się odpowiedzi nawet z takich dzielnic mieszkania, w których konwersacja na ogół jest dość rzadko uprawiana.

Następnie zaciągnął go do jadalni, wyjął z szafki pękatą butelkę i zmusił Józefa do wypicia z nim dwóch kieliszków jakiejś diabelnej piołunówki, od której twarz wykręcała się w zygzak.

— Od sześćdziesięciu pięciu lat codziennie to piję przed obiadem — objaśnił — no, jeszcze jeden.

— Bardzo dziękuję — bronił się Józef.

— Jak wypijesz, to podziękujesz.

— Ależ ja naprawdę...

— Wal! Wal! Nie ma o czym gadać.

I musiał wychylić do dna.

— Gdzież te baby!? — ryknął nagle pan Jarzębowicz. — Głodem człowieka zamorzą! A gdzie szpik? Antoooni! Cymbale! Gdzie szpik?!

W tej chwili wszedł do jadalni lokaj, człowieczek średniego wzrostu, lecz tak otyły, że zdawał się zwisać ze wszystkich stron grubymi fałdami.

— Dawaj!

— Jest, jest szpikuś — sapał Antoni.

— Pewność znowu nie dosolił!

— W sam raz — zapewniał Antoni.

Postawił przed nimi na stoliku tacę z małymi kwadracikami czarnego chleba, posmarowanego pokąsną warstwą szpiku.

— Najlepsza przekąska — zaczął pan Jarzębowicz — od sześćdziesięciu pięciu lat...

I dalsze słowa zmieszały się z chlebem w wielce skomplikowane dźwięki mlaskania, warczenia i nieartykułowanych wykrzykników.

Do ogromnego stołu siedli w cztery osoby.

Rozmowa zesłała na temat Terkacz, ich rentowności, obecnego stanu, kosztów niezbędnych inwestycji itp. Właściwie trudno to było nazwać rozmową, mówił bowiem prawie wyłącznie pan Jarzębowicz.

Gdy po obiedzie młodzi zostali na krótką chwilę sami, Józef powiedział:

— Ależ to despota ten wujaszek pani, panno Lusi! Nadzwyczajne. Tu wszyscy muszą być doszczętnie zahukani.

— Gdzie tam — zaśmiała się Lusja — wujenka Szczerkowska od dawna i dobrze zna stosunki jarzębowski i twierdzi, że to tylko polityka cioci Jarzębowiczowej.

— Jak to polityka?

— No, bo wuj krzyczy, zabrania, rozkazuje, ma wszelkie pozory nieograniczonej władzy, a w gruncie rzeczy nikt się podobno tym nie przejmuje, a wszystko dzieje się tak, jak zarządzi „Kuruchna”.

Do wieczora Józef zdołał istotnie zaobserwować szereg rzeczy potwierdzających tę pozornie nieprawdopodobną ocenę „samodierżawja” pana Jarzębowicza.

Odbywało się to w taki mniej więcej, jednakowy sposób:

Pan domu wydawał dyspozycję, by natychmiast przygotować dla panny Lusi gościny pokój na pierwszym piętrze, a dla pana Domaszki na parterze. Grubas Antoni z niezmałym spokojem wysłuchiwał bezapelacyjnym tonem wykrzyzanego rozkazu, kiwał głową na potwierdzenie, że zapamiętał wszystkie szczegóły, i wychodził, by po kwadransie wrócić i zapytać panią domu:

— A jakie pokoje jaśnie pani każe przygotować dla państwa?

Wówczas okazywało się, że Domaszko otrzyma gościny w oficynie (przyzwoitość zawsze musi być przestrzegana), a Lusja zajmie sypialnię pana Jarzębowicza (bo to obok sypialni pani domu).

— No to ja będę spał w zielonym — ryknął pan domu — tylko mi masz, Antoni, zostawić okno otwarte i włożysz siatkę. Rozumiesz?

— Tak jest, jaśnie panie.

— I odsuniesz łóżko pod portret, żeby mi w oczy nie świeciło o wschodzie. Rozumiesz? I fajki przyniesiesz. Tylko nie zapomnij!

Nie miał czasu zapomnieć, gdyż pani Jarzębowiczowa, wyczekawszy aż mąż skończy, powiedziała:

— A pana przeniesie się do gościnnego na piętrze.

— Słucham jaśnie pani.

Pani Jarzębowiczowa zaarrestowała Lusię na długi i drobiazgowy egzamin. Józef zaś, nie znoszący cygar, musiał wypalić okropnie długie o nazwie Virginia i wysłuchać instrukcji, co ma robić przez całe swoje życie w ogóle, a w ciągu najbliższych lat po ślubie w szczególności.

— Uważaj pan, małżeństwo to jest mądra i dobra rzecz. Tylko trzeba wiedzieć, że jeżeli nie potrafisz być prawdziwą głową domu, to lepiej powieś się przed ślubem. Żonę trzeba trzymać ostro w cuglach i prowadzić pewną ręką, bo jeżeli nie, to albo ci się baba znarowi, albo będzie cię nosiła, uważasz, gdzie zechce. Bierz pan, powiedzmy, przykład ze mnie. W zaufaniu ci powiem, że, oczywiście, jak każdy człowiek, od czasu do czasu nie mam racji, ale nigdy — uderzył pięścią w stół — nigdy nie pozwalam się za nos wodzić. I co? Jakie skutki?

— Rzeczywiście...

— Nie rzeczywiście, ale oczywiście! — ryknął. — Jesteśmy najszcześniejszym stadłem na świecie. Mówią o mnie wprawdzie, że jestem tyran, gwałtownik, despota, ale zapytaj mojej starej, czy na to narzeka? Nie! Bo to już taka babska natura: musi być rządzona mocną ręką. Ba, tylko wtedy dobrze się czuje.

— Szanowny pan stosuje metody Nietzschego? — uśmiechnął się Józef.

— Nie niczego sobie, tylko najlepsze i jedynie wskazane. Po drugie musicie zamieszkać na wsi. Trzeba natychmiast odbudować Terkacze i porzucić miasto. W mieście żaden poszczególny człowiek nie może być szczęśliwy, a tym bardziej małżeństwo. Pokusy! O! Jutro z wami wybiorę się do Terkacz i uplanuję, co i jak.

Nazajutrz jednak do Terkacz nikt nie pojechał. Od rana lał deszcz.

Lusia musiała oglądać gospodarstwo domowe, a Józef uczył się pasjansów, których pan Jarzębowicz znał kilkadziesiąt.

Przed kolacją przyjechał dzierżawca Terkacz, pan Olszewicz, niestary jeszcze, niski, szczupły mężczyzna. Po stracie własnego majątku na Kijowszczyźnie pracował teraz ciężko w Terkaczach, by ze zniszczonego gospodarstwa utrzymać siebie i dwóch synów studiujących agronomię w Niemczech.

Był to sympatyczny i poważny człowiek, któremu uczciwość patrzyła z oczu, a ze sposobu mówienia o roli znać było, że jest dobrym gospodarzem.

Póki pan Jarzębowicz nie zostawił ich samych, słuchali jego monologu, gdy wyszedł, Olszewicz zapytał Józefa:

— Chyba to nie będzie niedyskrecją, gdy powiem, że mówią tu o małżeństwie panny Hejbowskiej z szanownym panem?

— To prawda. Jesteśmy zaręczeni.

— Zatem najserdeczniejsze powinszowania.

— Dziękuję bardzo panu.

— Chciałem zapytać, czy państwo po ślubie zechcą sami gospodarować?

— O nie, proszę pana — zaprzeczył Józef — ja, niestety, na rolnictwie nie znam się zupełnie. Sądzę też, że będziemy prosili pana o pozostanie w Terkaczach. Będziemy tam, oczywiście, spędzać część roku.

— Zatem zamierza pan wkrótce przystąpić do odbudowania dworu?

— Tak, na razie dworu, a w przyszłym roku reszty zabudowań.

— Zatem jutro państwo raczą odwiedzić Terkacze?

— O ile dopisze pogoda.

— Będę oczekiwać.

— A nie przenocowałby pan tu — zapytał Józef — jutro pojechalibyśmy razem?

Lecz Olszewicz odmówił. Musiał dopilnować naprawy studni, a zwykła robota wymagała jego obecności.

— Zresztą państwo pojedą samochodem, a ja was swoimi szpakami nie dogonię.

Nawet nie został na kolacji, chociaż państwo Jarzębowiczowie serdecznie go usiłowali zatrzymać.

Nazajutrz pogoda dopisała. Józef dowiedział się o tym już o godzinie szóstej od samego pana Jarzębowicza, który, waląc pięścią w okiennicę, ryczał:

— Wstawaj pan! Wstawaj! Świetna pogoda, jedziemy!

— Już wstaję — przecierał oczy Józef — za pół godziny będę gotów.

— A tego, ubierz się pan do konnej jazdy, bo pojedziemy konno.

Józef był zdziwiony, że pan Jarzębowicz zamierza wybrać środek lokomocji tak nieodpowiedni dla jego wieku i przypuszczał, że „Kuruchna” zmieni tę oryginalną decyzję.

Gdy przyszedł do pałacu na śniadanie, zastał Lusię w długich butach i w rajtroczku, spod którego wystawały spodenki. Wyglądała w tym czarująco, co nie omieszkał zadookumentować całą serią zachwyków, przerwanych dopiero wejściem pana Jarzębowicza.

Prędko zjedli śniadanie, przynaglani jego stentorowym głosem, i wyszli na dziedzińiec, gdzie już stały cztery osiodłane konie.

— Lusia dostała gniadą, łagodną klaczkę, Józef tęgiego wałacha, a pan Jarzębowicz przy małej pomocy stajennego ze zdumiewającą lekkością wskoczył na siwego ogiera i spiąwszy go kilkakrotnie, ruszył do bramy z fantazją rotmistrza ułanów.

— Ależ wujaszek siedzi na koniu! — zawołała Lusia.

— Co? Nieźle?...

— Świetnie.

— Rzeczywiście szanowny pan jeździ wybornie — przyznał Józef.

Stary, kontent z siebie, poklepał ogiera po lśniącej, spiętej w luk szyi i zakomenderował:

— Klusa!

Józef jechał ostatni, mając za sobą tylko stajennego, i podziwiał dwie stylowe sylwetki: starca z rozwianą mleczną brodą i smukłą, chłopczkowatą Lusię, trzymającą się w siodle co prawda może niezbyt pewnie, lecz z takim wdziękiem, że widok ten wart był pędzla... (nie mógł sobie przypomnieć, który to malarz malował amazonki) pędzla... no, słowem, najlepszego pędzla.

Po paru kilometrach pan Jarzębowicz przeszedł w galop i znacznie się od nich odsadził, gdyż Józef zaczął błagać Lusię, by nie szła za przykładem wuja. Po trosze i sam nie był zbyt pewien siebie. Od lat nie jeździł konno z braku sposobności.

Gdy połączyli się na rozstaju, Lusia zasypała pana Jarzębowicza nowymi komplementami:

— Wyglądał wujaszek w tym galopie jak prawdziwy centaur. Przecież wujaszek mógłby być dżokejem!

— No, jeszcze niejednego młodziaka przeskoczę — mruzczał z zadowoleniem — i na koniu hm... i bez konia...

Tu zrobił do Józefa porozumiewawcze „oko”, trochę figlarne i dające do zrozumienia, że mówi o „przeskakiwaniu” właśnie takich, jak Józef.

Po nocnym deszczu drogi były wilgotne i sprężyste bez jednego pyłka kurzu, powietrze pachniało łąkami, a niebo jaśniało mocnym szafirem.

Dwadzieścia kilometrów w siodle, pomimo to, było zbyt wyczerpujące dla osób nieprzyzwyczajonych. Toteż, gdy dojeżdżali do Terkacz, Józef z radością myślał o wypoczynku. Kiedy wszakże z daleka zobaczył terkackie stawy, zapomniał o zmęczeniu, a jego serce ścisnęło się.

Cała okolica zmieniła się nie do poznania. Las znikł, zamiast parku ujrzał skłębione krzaki głogu. Znikła i aleja lipowa...

Spojrzał na Lusię.

Była blada jak papier, a po jej policzkach spływały łzy.

„Prawda, prawda — pomyślał — toż to mogła i jej najbliższych, i moich najbliższych...”



Na miejscu, gdzie niegdyś wznosił się dwór, stał teraz wśród ostu i innego zielska wysoki, czarny krzyż.

Lusia pierwsza zeskoczyła z konia, a pan Jarzębowicz umilkł i kiwnął na stajennego, by mu pomógł.

Wszyscy troje uklękli w trawie i zaczęli się modlić.

Wreszcie pan Jarzębowicz, dla którego zbyt długie milczenie było zanadto męczące, przeżegnał się, wstał, a widząc, że młodzi się nie ruszają, chrząknął i poszedł w stronę domku dzierżawcy.

Klęczeli oboje i oboje płakali.

Może te łzy, co spadały z ich oczu, wsiąkając w ziemię, połączą się ze szczątkami tych, których kochali...

Cisza była dokoła wielka i spokój letniego pogodnego dnia przecięty na czworo czarnymi ramionami krzyża.

Spojrzeni na siebie i jeszcze bardziej się rozrzewnili, a piersią Lusi wstrząsnęło łkanie.

Przytuliła się do Józefa, a on ją pieczołowicie objął ramieniem i tak trwali w bezruchu bardzo smutni i bardzo szczęśliwi.

Gdy wreszcie się podnieśli, usta ich spotkały się w tklwym, bezgrzesznym (a nawet świętym!) pocałunku. Józef doskonale to odczuwał i postanowił napisać wiersz, w którym zamknie niezapomniane wrażenie przeżytej chwili. Wiersz musi zaczynać się od słów:

„Są pocałunki, co swym sakramentem...”

To będzie bardzo dobre i o rym nietrudno: — skrzętem, talentem, świętym, prętem, wykrętem... Obejdzie się bez „wykrętu”, i tak rymów jest dość.

— Nie pójdziemy jeszcze do nich — powiedziała Lusia — chodźmy obejrzyć stawy... Mój Boże...

— Chodźmy, tylko musimy je obejść, bo tu, widzi pani, druty kolczaste.

— Aha, i rów — zauważyła — po co to wykopane?

— To nie rów, panno Lusiu, to okop.

— Wieczne odpoczywanie racz im dać, Panie — poruszyły się prawie niesłyszalnie jej usta.

I brzegi stawów się zmieniły, a przez środek większego przeciągnięte były zasięki z drutów kolczastych, których zardzewiałe strzępy zwisały tu i ówdzie z poczeriałych dragów.

Usiedli przy sobie na pagórku.

Zaczęli przypominać sobie różne zdarzenia z lat dziecinnych i w wilgotnych od łez oczach Lusi zjawiał się uśmiech, podobny do pierwszych promieni słońca po deszczu.

Po kilku minutach nadszedł pan Jarzębowicz z Olszewiczem i resztę pobytu w Terkaczach spędzili na rzeczowej rozmowie o planach odbudowy.

Obaj starsi panowie przyznali młodym słuszność, że chcą wnieść dwór nie na dawnym miejscu, lecz naprzeciw, po drugiej stronie stawu, natomiast co do budynków gospodarskich rozporządził się pan Jarzębowicz niezupełnie po myśli Józefa, ten jednak nie oponował, ponieważ i tak do przyszłego roku dużo wody upłynie.

Po skromnym lecz przyzwoitym obiedzie okazało się, że „Kuruchna” i na odległość umie czuć nad Kosteczkim i nad powierzonymi swej opiece kurczętami. Wyraźnym objawem tego było zjawienie się Wojtka z autem i z rozkazem dla stajennego, że ma natychmiast odprowadzić wierzchowce do domu.

Dwa następne dni zajęły rozmowy z architektem, wytelefonowanym z Piotrkowa, panem Wiązaga.

Józef zawiózł go do Terkacz dla obejrzenia terenu, drobiazgowo wytłumaczył, na czym polegają jego życzenia, jaki ma być styl, jakie urządzenia, jaki rozkład pokojów, jakie okna, drzwi, schody...

Przez dwa dni Wiązaga, wielkie tęgie chłopisko o rudawym zaroście, słuchał uważnie, pykał fajkę i nic nie mówił, z rzadka się tylko dopytując o szczegóły. Józef uprzedził go, by nie brał wcale pod uwagę ustawicznych zaleceń pana Jarzębowicza. Natomiast miał uwzględnić wszelkie wskazówki Lusi.

Pod wieczór dnia drugiego, gdy młodzi siedzieli z Wiązaga na werandzie i Józef przyniósł papier, by narysować jakieś szczegóły, architekt wyjął wreszcie fajkę z ust i powiedział:

— Słowem, państwo chcą, bym wybudował coś w tym rodzaju?  
 Killkunastu pociągnięciami ołówka naszkicował pałacyk w nowoczesnym stylu.

— Tak, tak — potwierdził Józef — coś bardzo zbliżonego, tylko o tutaj...

— Zaraz — bezceremonialnie przerwał mu Wiązaga — łaskawy pan gadał dwa dni, a ja słuchałem. Teraz ja pogadam dwie minuty, a niech pan posłucha.

To nieoczekiwane odezwanie się stropiło Domaszkę.

— Otóż — stuknął grubym palcem w papier architekt — otóż pan chce, żebym ja małpował Corbusiera i innych partaczy, żebym wybudował na polskiej wsi z mazowieckim krajobrazem taki szynkwias amerykański?

— Jak to szynkwias?! — obruszył się Józef.

— Szynkwias! Gorzej jeszcze! Garaż, fabrykę, czy za przeproszeniem pani, po prostu szalet! Tfu! Nie, proszę łaskawego pana, to jest do powietrza i nie ja będę szpecił kraj takim paskudztwem. Owszem, wybuduję panu dwór jak się patrzy, ale w przyzwoitym stylu. Będzie w sam raz do tych stawów i pagórków. Ale byłbym bałwanem, gdybym stawiał dom w tym miejscu, gdzie od południa zakrywa wzgórze, a całym północnym frontem wystawia się na gładkie pole.

— Więc gdzież?

— Tam, gdzie teraz rosną te dwie sosenki. Tam i tylko tam.

— No, przypuśćmy, że ma pan rację, ale w takim razie i dojazd nie może być od folwarku?

— No pewno — wzruszył ramionami Wiązaga — a ktoś to robi dojazd od folwarku? Żeby goście koło chlewów musieli przejeżdżać?

— No, dobrze — przyznał Józef — ale wobec tego nie można będzie i wzniesienia wyzyskać na oranżerii!

— A po co państwu oranżeria? To zupełnie zbędne.

— Jednakże...

— Jak Boga kocham! — uderzył się architekt po kolanach — nie dadzą człowiekowi mówić!

— Proszę, proszę pana — poczerwieniał Józef.

— No więc tak, żadnej oranżerii nie będzie, bo i nie dałaby się przylepić do polskiego baroczku.

Józef chciał zaprotestować przeciw „polskiemu baroczkowi”, lecz ugryzł się w język.

Tymczasem Wiązaga naszkicował projekt owego baroczku i pobieżnie wyjaśnił swoje plany. Było to ładne, lecz absolutnie odbiegające od zamiarów Lusi i Józefa.

— Otóż, łaskawi państwo, tak musi wyglądać dwór w Terkaczach i taki będzie — położył ołówek i dodał, zapalając fajkę — przynajmniej ja tam innego nie wybuduję.

— Daruje pan, lecz myśmy chcieli coś zupełnie innego — zauważył Józef.

— Toż wiem. I wcale państwu tego za złe nie biorę, że nie znacie się na tym, jak, co i gdzie trzeba budować. Gdyby wszyscy się na tym znali, po kiego diabła byłiby potrzebni architektki.

— Przyznaję — powiedziała Lusia — że pan na tym zna się, a my nie. Jednak my chcemy mieć dom w stylu nowoczesnym.

— A, to proszę bardzo. Partaczy, co takie budki robią, jest bez liku. Ale ja innego nie wybuduję.

Wyciągnął gruby nikłowy zegar i rzuciwszy nań okiem, dodał:

— Ja za pół godziny odjeżdżam. Tedy proszę w tym czasie o odpowiedź: przyjmują państwo moje warunki, czy też wolą kogo innego.

Wsadził fajkę w zęby i wszedł do salonu.

— To dziwny człowiek — powiedziała Lusia.

— Hm — wziął rysunek do ręki Józef — może on jednak ma słuszość?

— Jeżeli nawet ma — wzruszyła ramionami Lusia — to jednak w dość oryginalny sposób stawia sprawę.

— Istotnie, panno Lusi, ale, właściwie mówiąc, warto by się nad tym zastanowić.

— Ja uważam, że nie ma nad czym. Ale skoro pan, panie Józku, jest zdania, że możemy sobie wybudować dom właśnie taki, jaki chce pan Wiązaga...

— O nie — przerwał — myślę tylko, że należy jego pogląd wziąć pod uwagę.

— Więc cóż z tego?...

Zaczął obszernie rozwodzić się nad obu projektami i w końcu oświadczył, że jeżeli by panna Lusia wybrała projekt „baroczku”, on przyjąłby to z radością.

Na twarzy Lusi odbiło się nieukrywane niezadowolenie. Józef sam namawiał ją na willę w nowoczesnym stylu, a teraz tak łatwo rezygnował. Wuj Jarzębowicz wprowadził zawsze ulegał decyzji ciotki, ale robił to zapewne z miłości do niej. Dlaczego pan Józef ustępuje z miejsca pierwszemu człowiekowi, który wypowiedział diametralnie przeciwną opinię, tego nie mogła zrozumieć. Sprawilo to jej przykre uczucie zdziwienia, lecz pomyślała, musiała pomyśleć, że należy uznać tę ustępliwość pana Józefa za zaletę. Toteż w wyniku krótkiej rozmowy Józef mógł zakomunikować panu Wiądzadze, że akceptują jego „baroczek”.

— Klasa — pochwalił ten — wkrótce wobec tego przysię panu dokładne plany i przystąpię do roboty.

Kwestia dworu w Terkaczach była przez cały wieczór wentylowana i Józef cieszył się, że jego punkt widzenia zbiegł się z opinią obojga państwa Jarzębowiczów. Zaniepokoił się natomiast nastrojem Lusi, czemuś zasmuconej i milczącej.

Chciał ją wypytać o przyczyny niezadowolenia i ewentualnie przeprosić najgoręcej i błagać o przebaczenie, jeżeli okaże się, że to on jest mimowolnym winowajcą.

Ponieważ jednak do wieczora nie nadarzyła się sposobność rozmowy w cztery oczy, poszedł spać ze złamanym, a co najmniej nadłamanym sercem, pełnym gotowości wszelkich ekspiacji.

Nazajutrz jednak Lusia znów była wesola i swobodna. Widocznie powody zmartwienia minęły.

Dwa tygodnie, preliminowane na pobyt Józefa w Jarzębowie, minęły szybko. Przez ten czas mniej jednak widywał Lusie niż w Warszawie, natomiast nauczył się wielu pasjansów.

Odjeżdżał do Warszawy wczesnym rankiem. Lusie pozostawała tu jeszcze dwa tygodnie, po czym miała przyjechać razem z państwem Jarzębowiczami, którzy wybierali się do stolicy na zjazd bliższej i dalszej rodziny, zwołany z okazji zaręczyn Lusi. Zaręczyny miały się odbyć uroczystie.

Już jednak teraz pani Jarzębowiczowa zadecydowała, że Józef może mówić jej — ciotki, a jej Kosteczka tytułować wujaszkiem.

Po czułych pożegnaniach został przez świeżo nabytego wujaszka odprowadzony na stację.

Gdy pociąg ruszył, Józef pograżył się w smutnych myślach. Wraca oto do Warszawy, gdzie czekają go niespodziewane a przykre sprawy, gdzie porobiły się na pewno wokół jego osoby awantury, może nawet skandale.

Wyjeżdżając, nikomu, nawet Piotrowi, nie zostawił swego adresu, a teraz najczarniejsze opadły go myśli. Już mniejsza o „Tygodnik”. W tej kwestii na najgorsze był przygotowany, pomimo zaufania do sprytu i zdolności Swojskiego. Ale Bóg wie, co mogło zdarzyć się z „Polimporciem”!

Neuman teraz ani palcem na jego korzyść nie ruszy, a te kanalie Mech i Weisblat mogli dopuścić się najgorszych świństw. Nie zostawiając swego adresu, tym samym dawał im możliwość dowolnych machinacji. Zawsze usprawiedliwią się tym, że sprawa była nagła, a nie mieli możliwości zasięgnięcia jego opinii.

Dreszcz przechodził Józefa na myśl, że w czasie, gdy on zażywał sielanki w Jarzębowie, mogła się w jakiś sposób wydać sprawa kokainy.

Może już Mech siedzi w więzieniu, a mnie poszukuje policja? Wszystko możliwe. Może listy gończe za mną rozesłano...

Na najbliższej stacji kupił wszystkie dzienniki i zaczął przeglądać je starannie.

Odetchnął z ulgą, znalazłszy zwykłe ogłoszenia „Polimporcu”. „Dom handlowy «Polimporcu» poleca hurtowo...”

No, chwała Bogu. Zatem nic groźnego zająć nie mogło.

Ciekaw był, czy nie znajdzie jakiejś wzmianki o „Tygodniku Niezależnym”. Przejrzał wszędzie rubryki ruchu wydawniczego, na próżno, i już chciał odłożyć pismo, gdy wpadł mu w oczy tytuł wielkiego artykułu wstępnego:

„Pomysł godny realizacji”.

Zaciekawiony zaczął czytać.

Okazało się, iż pomysłem zasługującym na realizację był pomysł... „znanego publicy-  
sty, a nowego redaktora „Tygodnika Niezależnego”, p. Swojskiego”.

Józef jednym tchem przeczytał artykuł dwukrotnie i z jego piersi wyrwał się okrzyk:  
— Zwycięstwo!

Z treści wynikało, że ten oto największy i najpoważniejszy dziennik z uznaniem pod-  
nosi inicjatywę podaną przez Swojskiego w „Tygodniku Niezależnym” stworzenia Ligi  
Przyjaciół Patriotyzmu Gospodarczego. Zadaniem Ligi byłaby rozsądna i umiarkowa-  
na akcja, daleka od hysterii demagogicznej, a zmierzająca do poparcia produkcji krajo-  
wej przez unikanie (w miarę możliwości!) nabywania towarów pochodzenia zagranicznego.  
Niezależnie od tego Liga miałaby propagować zwiększenie konsumpcji produktów kra-  
jowych.

Dziennik, który przed niespełną miesiącem gromił ze swych łamów „niedowarzone  
wybryki” tygodnika, teraz wyrażał się o tymże tygodniku z szacunkiem i sympatią.

„W porozumieniu z redakcją „Tygodnika Niezależnego” — kończył się artykuł —  
możemy oświadczyć, iż w najbliższych dniach utworzony zostanie komitet organizacyj-  
ny Ligi, w skład którego wejdą zaproszeni przez inicjatorów przedstawiciele przemysłu,  
handlu, stowarzyszeń społecznych i zawodowych, władz państwowych i komunalnych  
oraz prasy”.

Józef był oczarowany.

Co za szczęście, że poznałem tego Swojskiego! Złoty człowiek.

Pierwszą czynnością Józefa po przybyciu do Warszawy było kupienie ostatniego nu-  
meru „Tygodnika”. Wiedział wprawdzie, że w domu ma na pewno wszystkie numery,  
lecz chciał zaraz, jeszcze w taksówce, przerzucić choćby tytuły i zobaczyć podpisy.

Na samym wstępie podana czarnym drukiem widniała notatka:

„Od Wydawnictwa. — W związku ze zmianami, jakie ostatnio zaszły, naczelne kie-  
rownictwo naszego pisma objął p. Jan Swojski. Ustupującemu redaktorowi, p. Jackowi  
Piotrowiczowi, zarząd Wydawnictwa składa niniejszym serdeczne podziękowanie za jego  
twórczą i pełną poświęcenia pracę”.

Co to może znaczyć? Czyżby Swojski dokonał cudu i załatwił się z Piotrowiczem  
polubownie?

Taksówka stanęła.

Józef polecił dozorczy domu uregulować należność i zająć się walizkami, sam zaś pędem  
pobiegł na górę.

— No, jak się Piotr miewa — uściśnął starego — cóż tu się działo podczas mojej  
nieobecności??

— O, panicz się opalił! Dzięki Bogu, zdrowo wygląda — ucieszył się Piotr — a u nas...  
Po staremu.

— I nic ważnego nie było?

— Raz jeden tylko przyszedł ten pan, co to jest redaktorem.

— No i co?

— Wpuściłem go, bo nie chciał wierzyć, że panicza w domu nie ma. Krzyczał strasznie  
i rugał się, za przeproszeniem, paskudnymi słowami.

— I poszedł sobie?

— A no poszedł, ale całe mieszkanie obszukał. Nie chciałem pozwolić, ale akurat  
Marianny nie było, a ja takiemu sam rady nie dam. Oblediał wszystkie pokoje, krzycząc:  
— on tu musi być, to wszystko komedia — powiada — schował się — powiada — ja  
się nie dam na dudka wystrychnąć — i takie słowa. Nawet do wygodki zaglądał. Potem  
to zaczął mi grozić, że mnie nauczy, że ja na pewno wiem, gdzie ten ciura, to znaczy niby  
panicz, jest.

Dopiero jakem mu przysięgł, że nie wiem, to uwierzył i wyleciał jakby go wymiotło,  
jeszcze odgrażając się.

— Trzeba było po policję telefonować — zmarszczył brwi Józef.

— Nie wiedziałem — tłumaczył się Piotr — zresztą i tak poszedł.

Józef natychmiast zadzwonił do redakcji i zapytał:

— Czy mogę mówić z panem Swojskim?

— A kto pyta? — odezwał się znajomy głos.

— Tu mówi Domaszko.

— A moje uszanowanie, *szer mosje*<sup>64</sup>. Tu Fahrtauscheck.  
— Kto? — nie wierzył swoim uszom Józef.  
— Fahrtauscheck.  
— Fartuszek? A co pan robi w redakcji?  
— Teraz, czy w ogóle? he... he... he...  
— I teraz i w ogóle!  
— *Mentnę*<sup>65</sup> siedzę tu *pur pase le tan*<sup>66</sup>, *maj darling mister editor*<sup>67</sup>, a *ę zeneral*<sup>68</sup> jestem redaktorem *fiur handel und giewerbe*<sup>69</sup>... he... he... *finanszjal*<sup>70</sup> redaktor.

Józef nie uwierzył i zapytał:

— A jest pan Swojski?  
— *Cholas!* Nie ma go, *ilnijapa*<sup>71</sup>, jak mówią Francuzi.  
— Więc do widzenia...  
— *Arewiderczi*<sup>72</sup>!

Józef położył słuchawkę, odszukał w pugilaresie kartę wizytową Swojskiego i zatelefonował do jego mieszkania.

Tu oświadczono mu, że pan redaktor jest na mieście, ale prosił, by notować telefony i gdy tylko wróci, zadzwoni.

— Zatem proszę zapisać, że dzwonił Domaszko.

Zanim Józef zdążył przebrać się i ogolić, przyszedł Swojski. Wyglądał jak zawsze bardzo szykownie, pachniał dobrą wodą toaletową i był w świetnym humorze.

— No nareszcie, nareszcie — potrząsał rękę Józefa — myślałem, że już zacznę poszukiwać pana przez prywatnych detektywów.

— Bo co? Stało się coś złego?

— Uchowaj Boże. Wszystko jest w porządku. Po prostu stęskniłem się za panem.

— Jestem bardzo panu wdzięczny — wybuchnął Józef — czytałem dziś ten artykuł...

I numer w ogóle! Świetnie.

— Znajduje pan, że istotnie niezły?

— Świetny. Nie wiem, jak panu wyrazić moją wdzięczność za doprowadzenie tej stajni Augiasza do porządku.

— Przecenia pan moją skromną rolę.

— Nie mogę przeceniać! A cóż Piotrowicz?

— Pan Piotrowicz?... Hm... egzystuje, owszem. Podobno szuka finansisty.

— Tak? Chce założyć pewno tygodnik?

— Nosi się z tą myślą.

— A jak się pan z nim rozstał?

Swojski podciągnął nogawki idealnie zaprasowanych spodni i na jego przystojnej twarzy wykwitł mdły uśmiech:

— Niezupełnie polubownie. Pan Piotrowicz jest hm... bardzo impulsywny i ma przykry zwyczaj nieliczenia się z doбором słów.

— Gbur po prostu — powiedział Józef.

— Zdaje mi się — skinął głową Swojski — że trafnie go pan określił. Otóż doszedłem do poglądu, że ta jego właściwość znacznie utrudnia bezpośrednie rokowania. Dlatego też powierzyłem sprawę adwokatowi Kuleszy. Pan Piotrowicz zapewnił mnie przez telefon, że mu kości połamię, jednak musiał zrezygnować z tego rękoczynu.

— Dlaczego mówi pan, że musiał?

— No, bo mecenas Kulesza jest prawie dwumetrowego wzrostu.

— Aha! — roześmiał się Józef.

<sup>64</sup>*szer mosje* (zniekszt. fr.: *cher monsieur*) — drogi panie. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>*mentnę* (zniekszt. fr.: *maintenant*) — teraz. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>*pur pase le tan* (zniekszt. fr.: *pour passer le temps*) — dla zabicia czasu. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>*maj darling mister editor* (zniekszt. ang.: *my darling mister editor*) — mój kochany panie redaktorze. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>*ę zeneral* (zniekszt. fr.: *en général*) — w ogólności, głównie, generalnie. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>*fiur handel und giewerbe* (zniekszt. niem.: *für Handel und Gewerbe*) — do spraw handlu i przemysłu. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>*finanszjal* (zniekszt. ang. *financial*) — finansowy. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>*ilnijapa* (zniekszt. fr. *il n'y a pas*) — nie ma. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>*arewiderczi* (zniekszt. wł. *arrivederci*) — do zobaczenia. [przypis edytorski]

— Skończyło się tedy na ostrej wymianie słów. Nie chcąc pana Piotrowicza zrażać, poleciłem adwokatowi zaproponować mu zastępstwo naczelnego redaktora. Oczywiście, nie przyjął. Co ciekawsze, nie przyjął też trzymiesięcznego odszkodowania.

— Tak? Hm: to mnie nie cieszy.

— Ale nie przyjął też i równowartości swoich udziałów. Oświadczył, że nie wpłacił ani grosza i popełniłby nieuczciwość, biorąc pieniądze cudze, w dodatku hm... śmierdzące.

Józef poczerwieniał i podczas gdy Swojski śmiał się z naiwności Piotrowicza i z jego malowniczego słownika, szukał w myśli sposobu na zmuszenie tego furiata do odebrania należnych pieniędzy.

— Czy wszyscy współpracownicy ustąpili? — zapytał.

— Na szczęście tak.

— Dlaczego na szczęście, przecież niektórzy z nich to bardzo utalentowani ludzie!

— Nie przeczę — uśmiechnął się Swojski — ale jako stary praktyk dziennikarski uważę, że w redakcji ludzie utalentowani są zbędni. Tak, zbędni, a czasem wręcz szkodliwi. Talent idzie zwykle w parze z wybujałym indywidualizmem i z bezkompromisowością w sądach. Wolę mieć do czynienia z mniej uzdolnionymi, a bardziej utemperowanymi ludźmi.

— Może i ma pan rację — zgodził się Józef — zatem nie udało się panu nikogo zatrzymać?

— Owszem. Został doktor Żur. Uważam go za bardzo pożytecznego współpracownika. Czy ma pan coś przeciw niemu? — zapytał, widząc niewyraźną minę Domaszki.

— Boże broń... Wprawdzie nie lubię, by ktoś wsadzał nos w moje sprawy, ale...

— O, jeżeli panu na tym zależy, wymówię mu natychmiast.

— Byłaby szkoda, to jest przydatny człowiek... — słabo oponował Józef.

— Rzecz załatwiona — miękko zakończył Swojski — od jutra go nie będzie w „Tygodniku”.

Nagle Józef przypomniał sobie, że doktor Żur, w razie spiknięcia się z Piotrowiczem i założenia przez tegoż nowego pisma, może opublikować znane przez siebie wiadomości o Mechu i Weisblacie. Byłoby to okropne.

— Nie, proszę pana — powiedział stanowczo — niech Żur zostanie.

— Jak pan sobie życzy.

— Aha — zaśmiał się Domaszko — a cóż u nas robi ten... ten... ta komiczna figura?...

— Fartuszek?

— Właśnie! Dzwoniłem do pana do redakcji i on odebrał telefon. Powiedział mi, że prowadzi dział ekonomiczny, ale to chyba niemożliwe!?

— Ma się rozumieć. Prowadzi dział ogłoszeń.

— No, odetchnąłem — uśmiechnął się Józef — bo to taka komiczna figura.

— Z małą poprawką — zastrzegł się Swojski — dla nas jest figurą komiczną, ale na ogół ludzie biorą go całkowicie poważnie.

— Niemożliwe!

— Ręczę panu. Jest bardzo sprytny, bezgranicznie nachalny i w świecie handlowo-przemysłowym otrząskany.

— Jednak powinien pan mu zabronić tytułowania się redaktorem ekonomicznym „Tygodnika”.

— Niestety... hm, no jeżeli pan tego żąda.

— Czy to jest niemożliwe?

— Ach — zaśmiał się Swojski — nie znam niemożliwości. Chodzi mi tylko o fakt, że pozwoliłem mu używać tego tytułu, a nawet wydałem odpowiednią legitymację.

— Miał pan w tym jakiś cel?

— Naturalnie. Akwizytora ogłoszeniowego wyrzuca się na ogół za drzwi, gdy zaś zjawi się „redaktor”... Rozumie pan?

— No, świetnie! Jeszcze raz bardzo panu dziękuję i... może poszlibyśmy gdzieś razem na kolację?

— O, z całą przyjemnością.

— Zatem spotkamy się wieczorem. Tylko gdzie i o której?

Swojski zaproponował jedną z luksusowych restauracji i z tym się rozstali.

Józef był zachwycony. Przeczytał od deski do deski numer „Tygodnika”. Wszystko tu było spokojne, miłe, stateczne. Jego własny artykuł umieszczono na czele działu literatury i kultury i oczywiście bez żadnych skreśleń, dużym drukiem.

Złoty człowiek ten Swojski.

Trzeba było złożyć wizytę państwu Szčerkowskiemu i Józef pojechał na Wilczą.

Pana Szčerkowskiego, jak zwykle, nie było w domu, natomiast pani przyjęła go serdecznie. Musiał obszernie opowiedzieć o swoim pobycie w Jarzębowie, o przyjęciu, jakiego tam doznali, ostatek rzeczy w Terkaczach, a nade wszystko o Lusi. Ponieważ ten ostatni temat i jego najbardziej zajmował, zaspokoił więc zainteresowanie pani Szčerkowskiej, nie zapominając o najdrobniejszym szczególe.

— Aha! A co to zaszło w pańskim wydawnictwie? — zapytała pani Szčerkowska — przeczytałam wzmiankę, że pan Piotrowicz ustąpił.

— O, proszę pani — to był drobny zatarg — wyjaśnił — między zastępującym mnie panem Swojskim a Piotrowiczem, który jest krańcowo nieopanowany, jak pani wie. Otóż w wyniku tej scysji Piotrowicz usunął się.

— No i pan, zdaje się, nie martwi się tym zbytnio?

— Wcale nie, proszę pani. Swojski to bardzo zdalny i miły człowiek. Czy pani go zna?

— Owszem, trochę. Robi wrażenie układnego.

Przed kolacją Józef pożegnał się i pojechał do lokalu, w którym umówił się ze Swojskim.

— Pan już tutaj? — zobaczył go z daleka.

— I pan jest punktualny — pochylił głowę Swojski — punktualność, wbrew opinii pani Barbary, uważam wciąż za cnotę.

— Jakże się miewa pani Krotyszowa?

— Dziękuję panu, dobrze. Zakomunikowałem jej, że pan przyjechał, i wyraziła nadzieję, że ją pan zechce wkrótce odwiedzić.

— Oczywiście, zrobię to w najbliższych dniach.

— Będzie panu rada. Więc jest pan zdania, że numer nie należy do najgorszych?

— Wyborny. A jak pan znajduje mój artykuł?

— Świetny — z przekonaniem powiedział Swojski — źródłowy, zajmujący, doskonały. Spodziewam się, że będzie pan tak dobry i do następnego coś napisze?

— Postaram się. Może o poglądach Słowackiego na demokrację?

— Cudownie, ale chciałbym też pana namówić na coś ekonomicznego.

— Ekonomicznego? — zdziwił się Józef. — Ależ ja się na tym nie znam.

— Jednakże coś może pan napisać. Nie musi to być nic specjalnego. Przypuśćmy... rzut oka na obecne położenie gospodarcze kraju, albo analiza bilansu handlowego. Do starczą panu potrzebne materiały i proszę mi wierzyć, że wszystko pójdzie gładko.

— Oj — skrzywił się Józef — lepiej zamówić u któregoś z ekonomistów.

— Ależ, panie — zaśmiał się Swojski — mnie nie o artykuł chodzi, lecz o pana.

— Jak to o mnie?

— No tak. Ponieważ pan zostanie prezesem zarządu Ligi Patriotyzmu Gospodarczego. Zatem byłoby dobrze, gdyby pan coś napisał, coś związanego z zagadnieniami patriotyzmu gospodarczego.

Józef przełknął kanapkę z kawiozem, wypił łyk wermutu i powiedział:

— Owszem, mogę ewentualnie napisać. Jednakże uważam, że w żadnym razie nie wypada, bym ja, w moim wieku, miał obejmować prezesurę Ligi. Należałoby godność tę oddać jakiejś popularnej osobistości w poważnym wieku...

— Pan mnie nie zrozumiał — łagodnie przerwał Swojski — przewiduję szeroką organizację. Na czele będzie stała Rada Główna i jej prezesem musi zostać jakiś minister czy marszałek Sejmu: później idzie zarząd pod pańskim przewodnictwem, a następnie dyrekcja, której naczelnym dyrektorem ja pragnąłbym zostać.

— Po cóż tyle instancji?

— Jak to po co? A tytuły?! Prezesi, wiceprezesi, sekretarze generalni... To bardzo zachęca ludzi. Zrobimy też zarządy wojewódzkie i koła powiatowe. Oczywiście, główny

ciężar pracy spadnie na centralną dyrekcję. Reszta nic nie będzie miała do gadania. Zaś dyrekcją ja będę kierował według wskazówek szanownego pana prezesa zarządu.

Skłonił się Józefowi z czcią.

— Hm — zauważył ten — plan jest pomyślany mądrze. Mam jednak pewne obiekcje...

— Zamieniam się w słuch.

— Widzi pan... Nie wiem, czy to wypada, bym ja, będąc współwłaścicielem importowego domu handlowego, piastował jednocześnie prezesurę... instytucji zwalczającej import?...

— Och, pan wyolbrzymia swoje skrupuły. Nobel, który dorobił się milionów na wywoływaniu wojen i uzbrajaniu przeciwników, ustanowił nagrodę pokojową i jego pamięć otoczona jest szacunkiem. Zresztą pańska firma nikogo nie namawia do nabywania wyrobów obcych, a że je sprowadza?... Gdyby pan się tym nie zajmował, zajmowaliby się inni. Lepiej tedy, że robi to pan, który jednocześnie z całą szlachetnością i z lekceważeniem osobistego interesu będzie zajmował się propagandą wyrobów krajowych. Zresztą czy zaraz wszyscy muszą wiedzieć, że pan jest współwłaścicielem „Polimportu”?

— No, jednak niektórzy wiedzą, a nieprzyjazna nam część prasy może to wyciągnąć — westchnął nauczony doświadczeniem Józef.

— Myli się pan — zaoponował Swojski — ani Liga, ani my, ani nasz tygodnik nie ma wrogów i mieć nie będzie.

— Mam nadzieję, lecz na przykład Piotrowicz?...

— Właśnie i o tym chciałem mówić — zaznaczył z naciskiem Swojski. — Chodzi o to, że pan Piotrowicz będzie mógł założyć pismo, jeżeli znajdzie kogoś, kto da na to pieniądze.

— Może znaleźć.

— Nie tak łatwo. *Primo*, nikt dziś nie ma pieniędzy na zbyciu, po drugie, mało kto zechce gotówkę zaangażować w najniepewniejszym interesie, jakim jest każde wydawnictwo przed założeniem.

— A jeżeli pomimo to namówi kogoś?

— Otóż to. I to przewidziałem. Jeżeli trudno namówić kogokolwiek do zaryzykowania większej sumy pieniędzy, to przyzna pan, że nic łatwiejszego, jak mu to odradzić, prawda?

— To jasne, ale trzeba wiedzieć... komu odradzać!

— Tak, jest pan przenikliwy — przyznał Swojski — trzeba wiedzieć komu? Dobrze jest zatem zbierać informacje, z kim człowiek zamierzający założyć pismo styka się, w jakich środowiskach się obraca i jakie ma szanse. Jestem w tym szczęśliwym położeniu, że bez trudu dowiaduję się o tym. W naszym światku dziennikarskim żadna tajemnica nie da się dłużej utrzymać. Skoro się zaś wie, komu należy odradzać, nietrudno jest zastanowić się nad tym, kto ma to zrobić, czyim wpływom najłatwiej ten ktoś ulega. Tedy wzięwszy to wszystko pod uwagę, mam wrażenie, że panu Piotrowiczowi nie tak łatwo uda się zrealizować swój zamiar. Właśnie przez wciąganie do władz Ligi Patriotyzmu Gospodarczego osób mogących wchodzić w rachubę uniemożliwimy im zaangażowanie się w imprezie pana Piotrowicza, a ponieważ „Tygodnik Niezależny” z samego prawa inicjatywy stanie się organem Ligi, wszystkie materialne świadczenia skierują się do... jego kasy.

— Pan jest genialny — krótko oświadczył Józef — zrobi mi pan prawdziwą radość, jeżeli pozwoli pan oblać to butelką szampana.

— Pokusa jest silniejsza ode mnie — rozłożył ręce Swojski.

Pokusie przyszedł z pomocą i sam szampan, dzięki czemu wkrótce w kubie z lodem znalazła się druga butelka.

Jednocześnie z nią przy sąsiednim stoliku zjawily się dwie fortancerki, które — jak się okazało — redaktor Swojski znał od dawna.

— Wie pan — zaproponował Domaszcze — te biedactwa się nudzą, a i nam będzie weselej w ich towarzystwie. To bardzo miłe dziewczęta.

— Chce je pan zaprosić do naszego stolika? — nieco przestraszył się Józef.

— A dłaczegóż by nie? Chyba, chyba, że pan sobie tego nie życzy. W takim razie...

Rozłożył ręce, a Józef roześmiał się:

— Z pana to musi być nie lada kobieciarz!



— Jednak może?...

— Ależ proszę! Niech mnie pan nie bierze za odludka.

W gruncie rzeczy nie chciał tych kobiet przy stoliku, lecz był już odrobinę zawiany, a że wdzięczność dla Swojskiego stopniowo zmieniała się w nim w rozrzewnienie, nie umiałby mu niczego odmówić. Skoro obecność tych fortanerek sprawia mu przyjemność, niech sobie użyje.

Panienci okazały się bardzo miłymi towarzyszkami. Zwłaszcza mała czarna Hiszpanka, która zajęła się Józefem. Tęga blondynka usiadła przy Swojskim.

Przy trzeciej butelce szampana wyłoniło się zagadnienie przeniesienia się do gabinetu. Hiszpanka obiecywała zaśpiewać, a blondynka popisać się tańcem.

Ponieważ na sali towarzystwo rozbawionych fortanerek nie należało do najbardziej przystojnych dla poważnego obywatela, Józef zgodził się na gabinet bez namysłu.

Na nowym miejscu Swojski oświadczył, że winien jest rewanz i kazał podać jeszcze dwie butelki na swój rachunek, jednakże zanim wypito pierwszą, gdzieś zapodział się wraz z blondynką.

Józef zrywał się kilkakrotnie, pragnąc iść na poszukiwania, lecz jego perswazje ginęły w pocałunkach Hiszpanki.

Sofa była szeroka i znacznie wygodniejsza niż kozetka w saloniku ciotki Michaliny na ulicy Freta.

## ROZDZIAŁ VIII

Posiedzenie Komitetu Organizacyjnego Ligi Patriotyzmu Gospodarczego przeciągnęło się do siódmej po południu.

Józef wracał do domu zmęczony, lecz kontent z obrotu sprawy. Tak jak przewidział Swojski, wszystko odbyło się według planu. Wybrano radę, zarząd i jego, Józefa Domaszkę powołano na stanowisko prezesa ostatniego, dyrekcję zaś powierzono redaktorowi Swojskiemu.

„I jakie towarzystwo! — myślał Józef — sami godni i szanowani ludzie, same ogólnie znane i zasłużone nazwiska!”

W rozpamiętywaniu swego sukcesu wchodził do mieszkania.

— Czeka tu na panicza — przywitał go służący — pani Bulkowska z jeszcze jakimś jegomościem. Czy panicz zaraz przyjmie?

Józef skrzywił usta:

— Jestem zmęczony...

— To może niech jutro przyjdą?

Pomyślał, że już lepiej od razu załatwić tę historię, i powiedział:

— Niech zaczekają, aż zadzwonię.

Przypomniał sobie, że świętej pamięci stryj Cezary nigdy od razu nie przyjmował nikogo, a to miało swój styl i ton.

Na biurku wśród listów z popołudniowej poczty zastał też niebieską kopertę, zaadresowaną pismem Lusi.

Gorączkowo otworzył kopertę, a ręce mu drżały:

— Boże! A nuż jaka zła wiadomość!?

Na szczęście wiadomość była cudna: Luscia tęskni za kimś kochanym i przyjedzie wraz z państwem Jarzębowiczami za trzy dni.

— Jakaż ona piękna, jaka dobra, jaka kochana. — Boże, Boże, jak ja mogłem ją zdradzić! Jak mogłem!...

Od owej nocy w gabinecie wciąż dręczyło go sumienie, teraz zaś, mając przed sobą pachnący list Lusi, a w sobie grzech śmiertelny zdrady, wielką zniewagę wyrządzoną tej anielskiej istocie — gotów był włosy wyrywać sobie z głowy.

Jedynie wzgląd na poprawność uczesania powstrzymał go przed tym aktem rozpacz i pokuty.

Należało przyjąć ciotkę Bulkowską i tego człowieka, który prawdopodobnie jest ojcem nieślubnego dziecka Natki.

Zrobił srogą minę i nacisnął guzik dzwonka.

— Proszę — powiedział szorstko, gdy drzwi się otworzyły.

— Dokuczam ci, Józeczku, przeszkadzam — lękliwie zaszepotała ciotka Michalina. Wstał i pocałował ją w rękę:

— Nie szkodzi, ciociu, proszę siadać. A pan?...  
 — Właśnie — zatrzepotała pani Bulkowska — to jest narzeczony Natki, Wojtek. Przybyły skłonił się.  
 Był to wysoki, niebrzydki mężczyzna o opalonej cerze i jasnych oczach. Józef podał mu końce palców i lekkim ruchem wskazał krzesło.  
 — Pan Wojciech Cześniak? — zapytał, zaglądając do notatnika — z zawodu intro-  
 ligator?  
 — Tak jest, proszę pana — odpowiedział ten spokojnie.  
 Józef przyglądał włosy, pobębnił palcami po stole i zaczął:  
 — Nie chcę wnikać w pobudki pańskich... hm... czynów, ani poruszać przyczyn, które dotychczas przeszkadzały panu w poniesieniu konsekwencji, zgodnie z obowiązkiem moralnym i honorem mężczyzny, biorę tu pod uwagę niemoralny stan warunków, jakie stwarza wojna. Obecnie pragnę tylko usłyszeć od pana, czy gotów jest pan spełnić swój obowiązek?  
 Cześniak spojrział z nieufnością na panią Bulkowską i powiedział:  
 — Toć przecież pisałem.  
 — Pisał, pisał, Józeczku — potwierdziła pani Michalina.  
 — Czy nie zechce pan jednak powtórzyć mi, jakie jest pańskie stanowisko w tej wysoce przykrej sprawie?  
 — Co tam za stanowisko, proszę pana — wzruszył ramionami Cześniak — powiedziałem, że ożenię się, jak tylko będę miał z czego utrzymać żonę i syna, i ożenię się. Niech pan nie myśli, że mi przyjemnie, iż mój syn cudze kąty wyciera.  
 — Ile panu potrzeba, by mógł pan dać im utrzymanie?  
 — Mnie tam nic nie potrzeba. Przyjechałem i przyszedłem tu z matką do pana, bo matka mi pisała, że pan chce nam pomóc.  
 — Z przyjemnością pomogę — zapewnił Józef — proszę zatem powiedzieć, jakiej kwoty panu potrzeba?  
 Cześniak zamyślił się:  
 — Ano... jeżeli jaki taki warsztat urządzić i lokal wynająć, to trzeba będzie z dziesięć tysięcy, a jeżeli odkupić, to może starczy i siedem.  
 — Zatem siedem tysięcy?  
 — No tak, a na początek przydałoby się z tysiąc na zakup materiałów.  
 Józef zmarszczył brwi:  
 — Wydaje mi się, że pan kalkuluje zbyt rozrzutnie. Po pierwsze, lokal jest. Mieszkanie na ulicy Freta można zająć...  
 — Kiedy proszę pana...  
 — O, proszę mi nie przerywać — ostro nań spojrział Józef — otóż lokal na ulicy Freta jest. Urządzenie zaś introligatorni można kupić używane, sędzę, za jakieś dwa do trzech tysięcy. Co zaś dotyczy kapitału obrotowego, jest on zbędny. Skoro będzie pan miał firmę, dostanie pan kredyt. Czy nie znajduje pan, że mam rację?  
 — Oczywiście, proszę pana. Można nawet jeszcze taniej urządzić się, ale nie można z tego żyć.  
 — Ciekaw jestem dlaczego?  
 — Bo zaczyna się od tego, że trzeba mieć klientelę, a na Freta pies z kulawą nogą nie przyjdzie. Można wprawdzie chodzić po ludziach i szukać zamówień, ale nie mając porządnego warsztatu, nic porządnie się nie da zrobić. Raz dadzą, a więcej nie. Konkurencja jest duża, pójdą do innego. Zaś co dotyczy kapitału na początek, to trzeba reklamę zrobić i temu owemu parę groszy wsunąć, czy to gdzie woźnemu, czy subiektowi, albo i na poczęstunek zaprosić. Tak mnie się patrzy.  
 — To pan chce całą fabrykę mieć? — ironicznie powiedział Józef. — To nie sztuka od razu z dużymi pieniędzmi zacząć. Zacznij pan małą kwotę, a dojdź do dużego przedsiębiorstwa.  
 — Jak pan uważa. Ja jedno powiem. Jeżeli pan nam da tylko tyle, co pan mówił, to po kilku miesiącach, albo pan będzie musiał dolożyć i wciąż dokładać...  
 — Jak to ja będę musiał? — oburzył się Józef.

— Toż mówię, albo pan będzie musiał, jeżeli nie będzie pan chciał dać siostrze ciotecznej z głodu zdychać, albo nic pan nie da. Sam z tymi pieniędzmi się nie wyciągnę, i dlatego po co je mam brać? I po co pan ma dawać? Te dwa, czy trzy tysiące przepadną, panu zaś będzie się zdawało, że pan nam pomógł...

— Pierwszy raz słyszę — przerwał Józef. — To znaczy, że jeżeli wam wypłacę trzy tysiące, to wam zaszkodzę, a nie pomogę, co?

Cześniak rozłożył ręce:

— A no, na mój głupi rozum to tak. Bo ani żyć z tego, ani umrzeć. A do pana wciąż na żebry chodzić, to ja tego nie potrafię.

— Dziwni ludzie są na świecie — sarkastycznie westchnął Józef. — Robi się im, mówiąc po prostu, łaskę, a oni żądają trzy razy tyle.

— Za przeproszeniem pana — poczerwieniał Cześniak — nijakiej łaski tu mnie pan nie robi. Ja mam swój fach, a i z prostej roboty wyżyć potrafię. Więcej powiem, bo i żenić się mnie nietrudno z panienką, co będzie miała posag. Nie wymawiam, broń Boże, ale Natka grosza nie ma. Powtarzam, że nie wymawiam, ale małżeństwo to też spółka. Ja daję swój fach. A czy pan chce jej dać posag, czy nie, to pański interes.

— Słowem, jeżeli nie dam ośmiu tysięcy, to się pan z nią nie ożeni? Zostawi pan kobietę z dzieckiem?

— Nie, panie, ożenię się i tak. Nie przyszedłem na pana nic wymuszać. Da Bóg, dochrapię się czego, to ożenię się. Ale tak sobie myślę, że pan nie ma nijakiego pełnego prawa, żeby mnie uczciwości uczyć.

— Wojteczku! Jesssuss Maryja! — chwyciła go za rękaw pani Bulkowska.

— Dlaczegoż to nie mam prawa?! — huknął Józef.

Cześniak rozejrzył się:

— Niech matka wyjdzie, to i powiem panu dlaczego.

— Proszę! — krzyczał Józef. — Proszę mówić! Zaraz!

— Niech matka wyjdzie, to i powiem. Inaczej nie — spokojnie odpowiedział Cześniak.

— To ja pójdę! Ja pójdę. Józeczku, daruj mu, to poczciwy chłopak, ten Wojtek. Ja pójdę, poczekam w przedpokoju.

Ponieważ żaden z mężczyzn nie zaoponował, pokręciła się na miejscu i drepcząc, wyszła.

— A ot, dlaczego — zaczął Cześniak przyciszonym głosem — że Natka mnie przyznała się, iż to z panem też nie tylko w kuzynowskim stosunku jest.

Józef zbladł jak płótno. Przed oczyma zawirowały mu różnokolorowe płatki.

Cześniak widząc wrażenie swoich słów, umilkł i siedział nieruchomo na krześle.

Sprawa była jasna. Józef pojął, że znajduje się w rękach tego draba, który nie omieszką go szantażować. Natka jest podła. Przecież był wówczas smarkaczem i to jej wyłączna wina. Podła!... Teraz z jakąż satysfakcją grosza jednego nie dalby jej.

Z wolna zapanował nad rozhuśtanymi nerwami i zapytał:

— Więc Natka oczerniła mnie przed panem?

— Co tam oczerniła — wruszył ramionami Cześniak — całkiem zwyczajnie. Zażądałem, jakieśmy się zaręczyli, by przyznała się, dlaczego nie jest w porządku, to mi i powiedziała z płaczem, że to z panem. Ot i wszystko.

— A... a wie pan, że wówczas nie miałem jeszcze dziesiętnastu lat?

— Wiem i nie winuję<sup>73</sup>. Ludzka rzecz. I nie mówiłbym, gdyby pan takich fochów nie robił.

Józef przygryzł wargi, wydobył z szuflady biurka książeczkę czekową. Powoli odkręcił wieczne pióro i wypisał czek:

— Proszę.

Cześniak nie ruszył się z miejsca.

— Proszę, oto czek na osiem tysięcy — potrząsnął papierkiem Józef.

— Ja tak nie wezmę — powiedział Cześniak.

— Aha! — ironicznie uśmiechnął się Józef — teraz osiem już nie wystarczy?

<sup>73</sup>winować (gw.) — obwiniać. [przypis edytorski]

— Ech, z pana to też człowiek! Gdyby o mnie chodziło, to i złamanego szeląga od pana nie wziąłbym. Ale dobrze. Niech pan tylko da mi podpisać weksel, że ja od pana pożyczyłem osiem tysięcy.

— Weksel? Po co?

— Bo ja oddam. Procenty panu będę płacił, a jak czego się dorobię, to ratami splacę.

Józef szeroko otworzył oczy. Nie ulegało wątpliwości, że miał do czynienia z uczciwym człowiekiem, któremu ani przez chwilę nie przyszło na myśl szantażowanie przyszłego szwagra. Wstał i wyciągnął doń rękę:

— Panie Cześniak, proszę mi darować. Nie chciałem pana obrazić.

Cześniak podał swoją i bąknął:

— Nie każdy jest świnia, choć bywa bez chleba.

— Panie drogi, niech pan to weźmie, po prostu jako prezent.

— Co to, tonie.

— Dlaczego?... No więc dobrze, to pošlę czek Natce jako podarunek ślubny, tego mi pan nie zabroni?

— A, to już nie moja rzecz.

Józef wahał się chwilę, podarł czek i wypisał nowy na okrągłe dziesięć tysięcy. W tym miesiącu z samej kokainy otrzymał dwanaście. Niech sobie mają.

Nacisnął dzwonek i kazał Piotrowi poprosić panią Bulkowską.

— Ciociu — zaczął — otóż doszliśmy z panem Cześniakiem do porozumienia. Ponieważ on nie chce nic przyjąć, więc pozwolę sobie wręczyć ten paperek dla Natki na prezent ślubny. Za tym papierkiem w banku wypłacą dziesięć tysięcy złotych.

— Jesssusss, Maryja! — jęknęła pani Michalina.

— Otóż tak. Z tego niech użyją na warsztat ile trzeba. Reszta przyda się im na urządzenie się po ślubie.

— O, Boże drogi, jakże ja mam dziękować! Takie pieniądze!

— Niech ciocia nie dziękuje. Ja mam dla siebie za dużo, a wy jesteście moje najbliższe krewnie. Niech ciocia powie Natce, że jej wieszają takiego zacnego i uczciwego człowieka jak jej mąż. W dzisiejszych czasach to rzadkość.

— Zbyt pan łaskaw — skłonił się Cześniak.

— Nie, panie, nie zbyt. I powiem panu, że ile razy potrzebna panu będzie pożyczka, poręczenie czy żyro na wekslu, zawsze może pan na mnie liczyć.

— Bardzo dziękuję.

— Ale ja mam też jeden warunek. Z tego, co oboje macie, można wychować syna, ale trudno go będzie kształcić. Otóż ja chcę wziąć na siebie koszty jego nauki. Sprowadzić go, oczywiście, do siebie. Prawda?...

— No pewno, bo jakże?

— Tedy trzeba go oddać do szkół. Ile on ma lat?

— Ano na świętego Michała będzie mu dziesięć — obliczyła ciotka Michalina.

— Dziesięć? Więc trzeba go oddać do gimnazjum. Chcę, żeby mój siostrzeniec wyszedł na ludzi. Tu już chyba pan nie będzie miał nic przeciw?

— Cóż mogę mieć? Chyba tylko dziękować za małego.

— A na ślub myślę, że mnie zaprosicie. No to żegnajcie z Bogiem i pamiętajcie o mojej przyjaźni. Chłopca, jak przyjedzie, też chciałbym zobaczyć.

Pożegnał ich prawie serdecznie i odetchnął z ulgą:

— Dziwny jest ten Cześniak.

Po pewnym czasie ponownie przeczytał list od Lusi.

Sen tej nocy miał niespokojny, ale obudził się nazajutrz w doskonałym nastroju.

W „Polimporcie” szło wszystko bez zarzutu. Ku swojemu niemałemu zdziwieniu Józef usłyszał od Mecha gratulacje z powodu utworzenia Ligi Patriotyzmu Gospodarczego. Czytał już dzienniki i wieszował teraz Józefowi honoru, jaki go wczoraj spotkał.

— No dobrze, a nie obawia się pan, że Liga zaszkodzi naszym obrotom?

Mech roześmiał się:

— Liga? A kto na nią będzie zważał?

— Jestem pewien, że wkrótce zyskamy kilka milionów członków — z dumą powiedział Józef.

— A czy ja mówię, że nie? Owszem. Sam się zapiszę. Ale co innego być członkiem Ligi, a co innego kupować towary krajowe. Ja panu powiem, panie prezesie, że im więcej będzie członków, tym lepiej. Wówczas dopiero przyjdzie prawdziwa moda na towary zagraniczne! Wówczas dopiero będzie to prawdziwy szyk! Uważa pan?

— Tak pan sądzi?

— Znam swoich. A jest i drugi plus. To cła! Cła, panie!

— Nie rozumiem.

Mech przysiadł na biurku, czego Józef nie znośli, i powiedział:

— Ostatnimi czasy coraz więcej słyszało się o zamiarze podwyższenia cła. I przeszłoby to, murowane. Bilans handlowy leci na łeb na szyję. Otóż teraz rząd, licząc na tak zwaną akcję społeczną, na tę całą Ligę, będzie siedział co najmniej przez pół roku cicho i cła nie podwyższy.

— Dlaczego?

— Po pierwsze, każda podwyżka cła to nieprzyjemne zabawki z importującymi państwami. Każdy rząd woli ich uniknąć. Akcja społeczna to inna rzecz, za tę nie jest rząd odpowiedzialny. A zanim przekona się, że cała akcja jest fikcją, dużo wody upłynie.

— Jeżeli będzie w ogóle fikcją!

— Musi być. Oczywiście, spadnie wówz produktów pierwszej potrzeby, ale he... he... he... towar luksusowy pójdzie jeszcze lepiej.

Józef nie lubił Mecha, ale nie mógł mu odmówić rozsądnych poglądów na sprawy handlowe. Irytował go wprawdzie cynizm, z jakim ta kanalia nie starała się maskować swojej brudnej duszy, ale taki człowiek w „Polimporcie” niewątpliwie był osobą pożyteczną.

W redakcji panował nastrój pogodny. Swojski swym czarującym sposobem bycia nadawał całemu zespołowi, a zdawało się i lokalowi, ton uprzejmej, nikomu niewłażącej w paradę beztroski.

Nawet doktor Żur, niewyczerpana skarbnica wiadomości, zmienił się o tyle, że teraz o każdym mógł coś miłego i pochlebnego powiedzieć.

W administracji królował fenomenalny Fahrtauscheck.

Z wrodzoną sobie swobodą obejścia przyjął Józefa omal po przyjacielsku i zaczął mu bez żenady mówić per „panie Józiu”. Ponieważ jednak z równą swobodą wyrażał się o najwybitniejszych osobistościach, Józefowi nie pozostawało nic innego, jak tolerować tę poufałość.

— Pan, panie Józiu, ja i Swojski dopiero pokażemy *ę trua*<sup>74</sup>, co się da zrobić z takiej ejfemeryty<sup>75</sup>, jaką był dotychczas „Tygodnik”. *Awanti*<sup>76</sup>! *Audacem fortuna juwat*<sup>77</sup>. *Nach Kanosa rycht wir giejen*<sup>78</sup>! Jesteśmy jak te trzy muszkiety Dziumasa<sup>79</sup>. Razem, młodzi druhowie! — jak mówi poeta. *Dziskordem*, panie *dzilabuntur*<sup>80</sup>... he... he... he...

— Jakże tam z ogłoszeniem firmy „Würtz i Majorkowski”? — łagodnie przerwał redaktor Swojski.

Fartuszek nadął owal swojej figury, wysunął naprzód brzuch, podniósł brwi i triumfalnym głosem zawołał:

<sup>74</sup>*ę trua* (znieksz. fr. *en troi*) — we trzech. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>*ejfemeryta* — efemeryda; coś krótkotrwałego i zmiennego (dosł. zmieniającego się co dzień). [przypis edytorski]

<sup>76</sup>*awanti* (z wł. *avanti*) — naprzód. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>*audacem fortuna juwat* (z łac.) — odważnym los sprzyja. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>*nach Kanosa rycht wir giejen* (znieksz. niepopr. niem. *nach Canossa richt wir gehen*) — jedziemy prosto do Canossy; *udać się do Canossy*: pokajając się, po długim uporze uznać swoją winę i ukorzyć się w celu uzyskania korzyści; zwrot upamiętniający spór między papieżem Grzegorzem VII a niemieckim cesarzem Henrykiem IV o prawo do inwestytury (tj. nadawanie godności kościelnych), zakończony ukorzeniem się cesarza w 1077 r. pod murami zamku w Canossie we Włoszech, gdzie schronił się papież; cesarz uzyskał od papieża zdjęcie ekskomunikacji, a następnie osadził na tronie papieskim przychylnego sobie antypapieża Klemensa III. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>trzy muszkiety Dziumasa — chodzi o powieść *Trzech muszkietierów* Alexandre’a Dumas (1802–1870). [przypis edytorski]

<sup>80</sup>*dziskordem (...) dzilabuntur* — wyrwane i przekrecone słowa z sentencji łacińskiej: *Concordia res parvae crescunt, discordia maximae dilabuntur*, czyli „zgodą małe rzeczy wzrastają, niezgodą upadają wielkie”. [przypis edytorski]

— *Giemacht*<sup>81</sup>! *Sze mua e kom sa*<sup>82</sup>. *Kut kie kut*<sup>83</sup>, robię co trzeba. Würtz kręcił nosem, że tak powiem *mit dzi naze*<sup>84</sup>, ale Majorkowski powiada tak *san por ni san reprosz*<sup>85</sup>: — musowo! *Ilnijapa do razgawor*<sup>86</sup>. Jeszcze mnie musieli na winko zaprosić; a ja dlaczego nie, *buzines ist buzines*<sup>87</sup>, *aj ju plas*<sup>88</sup>, podali szablisa<sup>89</sup> takiego, że *silwu ple aseje wu*<sup>90</sup>! Proszę *ricen ri!*...

Jedyną kardynalną wadą tego czcigodnego pana było to, że trzeba było niezmiernie dużo trudu włożyć w pozbycie się go bodaj na pół godziny. Wciąż włożył do gabinetu i gadał.

Byli właśnie we trójkę, gdy woźny zameldował panią Krotyszową. Wobec tego Swojski zdobył się na stanowczy ton i wyprosił Fartuszka, który wyszedł z przymrużonym okiem, mówiąc:

— *Že komprę*<sup>91</sup>, kobieta, *la donna*<sup>92</sup>!...

Wysoka, smukła postać pani Krotyszowej wsunęła się do pokoju wraz z powiewem subtelnych perfum.

Zielony kapelusz z zielonym strusim piórem nadawał jej bladej cerze, krwawym ustom i oczom koloru rtęci jeszcze bardziej fascynujący wyraz. Rękę w długiej, zielonej rękawiczce podała Józefowi, Swojskiemu skinęła głową, a właściwie powiekami.

— Buba — powiedziała, układając się na fotelu — przyjechałam zabrać was do Raszyna.

— Dlaczego do Raszyna, droga pani? — spokojnie zapytał Swojski.

— Objawiła się tam kobieta opętana podobno przez diabła — mówiła, nie poruszając wargami. — Telefonowano, że wyprawia bardzo ciekawe rzeczy. Muszę ją zobaczyć.

Swojski zamienił z Józefem szybkie spojrzenie i zaśmiał się:

— Ach to? To się już wyjaśniło. Właśnie pan Domaszko przed chwilą miał wiadomość, że chodzi tam o najwzkiejszy atak epilepsji, który zresztą minął.

— W rzeczywistości? — zwróciła się do Józefa.

Chrząknął, przelknął ślinę i powiedział:

— Tak jest, proszę pani.

— Ach! Cóż za plotkarskie miasto z tej Warszawy — westchnęła pani Barbara — oczywiście, nie ma po co jechać.

Wstała i kiwnąwszy im głową, skierowała się do drzwi. Tu odwróciła się i omdlewającym głosem oświadczyła:

— Pana Domaszkę i ciebie, oczywiście, zobaczę dziś wieczorem u mnie. Ósma piętnaście. Do widzenia.

Swojski przeczekał chwilę i zrobił do Józefa „oko”:

— Najlepszy sposób!

— A jeżeli to nie epilepsja?

— Ach, mniejsza o to. Basia... Pani Barbara już jutro o tym zapomni.

— W każdym razie, na wypadek zdemaskowania tej intrygi — zaznaczył Józef — będzie pan musiał winę wziąć na siebie.

Swojski ze śmiechem przyrzekł, zapewniając, że pani Krotyszowa i tak do niczego wagi nie przywiązuje.

<sup>81</sup>*giemacht* (zniekszt. niem.: *gemacht*) — zrobione. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>*sze mua e kom sa* (zniekszt. fr.: *chez moi est comme ça*; właśc. *chez moi comme si, comme ça*) — u mnie tak sobie. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>*kut kie kut* (zniekszt. fr.: *coûte que coûte*) — za wszelką cenę. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>*mit dzi naze* (zniekszt. niem.: *mit die Nase*) — nosem. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>*san por ni san reprosz* (zniekszt. fr.: *sans peur ni sans reproche*; włśc. *sans peur et sans reproche*) — bez trwogi i skazy; określenie związane z rycerzem Bayarde'm (1476–1526). [przypis edytorski]

<sup>86</sup>*ilnijapa do razgawor* (zniekszt. fr. i ros.: *Il n'y a pas du разговор*) — nie ma rozmowy. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>*buzines ist buzines* (zniekszt. ang. *business is business*) — interes to interes. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>*aj ju plas* (zniekszt. niepopr. ang.: *I you please*) — ja ciebie proszę; tu: proszę ja ciebie. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>*szablis* — Chablis, fr. najwyższej marki białe wino burgundzkie z regionu Chablis w dolnej Burgundii (Yonne). [przypis edytorski]

<sup>90</sup>*silwu ple aseje wu* (zniekszt. fr. *s'il vous plait asseyez vous*) — proszę niech pan usiądzie; tu tyle co: proszę siadać. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>*že komprę* (zniekszt. fr. *je comprends*) — rozumiem. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>*la donna* (wł.) — kobieta. [przypis edytorski]

Gdy Józef zabierał się do odejścia, Swojski prosił go jeszcze, by nie spóźnił się na Stare Miasto i by usprawiedliwił spóźnienie Swojskiego jakąkolwiek konferencją.

Resztę dnia Józef spędził bezczynnie, jeżeli nie liczyć listu do Lusi. List ten przerabiał czterokrotnie, a przepisywał sześć razy, póki nie wydał się mu tak pięknym, jak na to zasługiwała osoba adresatki.

— Co jak co, ale styl mam bez zarzutu — stwierdził z uznaniem, zaklejając kopertę.  
— A styl to człowiek...

Sam zaniósł list na pocztę główną, a że miał jeszcze dość czasu, poszedł na Stare Miasto pieszo.

— A! Witamy, witamy! — figlarnie zawołała ta dziwna pokojówka, otwierając mu drzwi.

— Dzień dobry, czy zastałem panią?

— Naturalnie, przecież oczekiwaliśmy.

Wzięła jego kapelusz, laskę i rękawiczki, przyjrzała się tym ostatnim i powiedziała:

— Pan ma bardzo małą rękę, prawie taką jak ja, o!

Bez najmniejszego zażenowania podniosła jego rękę i przyłożyła do swojej.

„Jakie ona ma wypielęgnowane ręce” — pomyślał, czując miękkość i gładkość ciepłej dłoni.

— No, chodźmy — zaśmiała się — pani Barbara poleciła mi bawić pana, póki nie skończy toalety. Chodźmy.

Pociągnęła go za rękę aż do wschodniego pokoju.

— Proszę siadać — wskazała mu swobodnym ruchem sofę.

— Dziękuję — bąknął.

— Może papierosa? — podała mu otwarte pudło z czerwonej laki.

— Hm... dziękuję.

— Lubię, gdy mężczyzna pali, ale sama nie palę.

Stała tuż przed nim, stanowczo zbyt blisko, wobec czego odsunął się.

To ją widocznie ubawiło, bo znowu się roześmiała i pochylając się ku niemu, powiedziała:

— Podoba mi się pan. Przepadam za nieśmiałymi mężczyznami.

— Skądże to panienka wnosi, że jestem nieśmiały — wrzasnął prawie opryskliwie.

— To znaczyłoby, że się panu nie podobam? — Bajki!

— Panienka jest bardzo pewna siebie.

— O tak. Jestem ładna, ślicznie zbudowana, miła, inteligentna. No, niech pan zaprzeczy!

— Nie mam zamiaru przeczyć, ani potwierdzać — powiedział poirytowanym tonem.

— Widzi pan, że pan jest nieśmiały, i to mi głównie w panu się podoba. Właściwie mówiąc — westchnęła — powinnam była urodzić się chłopcem. Lubię zdobywać. Pani Barbara twierdzi, że jestem agresywna.

— To może za słabe określenie — mruknął.

— Więc? Bezczelna?

Józef milczał.

— Ach tak? No, niech pan na mnie tylko spojrzy, czy można o takiej uroczej dziewczynie powiedzieć, że jest bezczelna?

Złożyła ręce zbliżając się ku niemu tak, że spotkał jej oczy o kilka cali od swoich, a usta tak blisko, że uznał za stosowne cofnąć się.

— No? — nalegała.

— Nie mówiłem tego...

— A teraz z ręką na serduszku proszę mi powiedzieć, czy nie podobam się panu? Tylko szczerze! Jeżeli odpowie pan szczerze, dostanie pan nagrodę. No?

Józef skurczył się. Ostatecznie cóż szkodzi, że jej przyzna urodę? Każdy by przyznał...

— Owszem, panienka mi się podoba — wykrztusił.

Powoli wzięła w ręce jego głowę, przechyliła w tył i mocno pocałowała w usta. Uczuł na wargach lekkie muśnięcie języka i wyrwał się, gdyż ujrzał stojącą na progu panią Krotyszową.

W mgnieniu oka stanął jak wryty, gdyby mógł teraz widzieć się w lustrze, przekonałby się, że twarz jego jest barwy dojrzałego buraka.

Nie pozostawało mu nic innego, jak skłonić się i wyjść — tak mu się przynajmniej wydawało.

Uskutecznił właśnie połowę zamierzonego planu, gdy ujrzał wyciągniętą dłoń pani domu i usłyszał jej głos:

— Dobry wieczór. A gdzie pan zgubił Bube?

— Hm... najmocniej panią przepraszam — zaczął — ale...

— Co? Nie przyjdzie?

— Owszem — zdezorientował się — ma bardzo... ważną konferencję...

— Ach te konferencje!... Niechże pan siada... Malutka, daj nam kawy... Zawsze piję kawę przed kolacją, bo to mi psuje apetyt. Niech pan mi poda papierosy.

Drżały mu ręce, gdy otwierał pudło z laki.

— Pan jest czymś zdenerwowany — zapytała — czy po prostu tylko moja malutka podnieciła pana?

— Wybacz pani, ale...

— O, to jest niesłychanie zmysłowa dziewczyna. Przywiązałam się do niej, gdyż wiem, że nie ma żadnej moralności. Uważam za wysoce nieetyczne posiadanie moralności. Jeżeli etyka, niech pan przyjmie moją terminologię, jest moralnością przystosowaną do aparatu naszej indywidualnej psychiki, to moralność w ogólnie przyjętym znaczeniu, narzucona danemu indywidualum, będzie w jego pryzmacie nieetyczna, gdyż nie może być szczerą, a wypływa z pobudek strachu przed wyłamaniem się z szablonowych reguł.

Józef pomału odzyskiwał równowagę. Widocznie pani Krotyszowa uważała za rzecz zupełnie naturalną, że mogła swego gościa zastać w sytuacji tak dalece niedwuznacznej z własną pokojówką.

„Może właśnie — pomyślał — dlatego uznała to za rzecz naturalną, że nikt inny tego by nie uznał?”

Jakby na potwierdzenie jego myśli, pani Krotyszowa ciągnęła swoim cichym, bezdźwięcznym głosem:

— Wbrew powszechnemu przesądowi jestem zdania, że my, kobiety, łatwiej możemy unikać tego męczącego szablonu moralnego. Po prostu orbity naszych przeżyć nie ocierają się o życie społeczne, o tysiące chropowatości bytu stadowego<sup>93</sup>, skomplikowanego przez cywilizację. Im bardziej postępuje cywilizacja, tym dalej jesteśmy od świata. Stajemy się anachronizmem w swojej pierwotności, w prymitywizmie naszych jestestw wyłącznie i jedynie fizjologicznych. Sądzę, że dlatego zawsze jesteśmy bliższe prawdy życia.

— Trudno przy pani mówić o prymitywnej naturze kobiety — z galanterią skłonił się Józef.

— O, myli się pan. Nie należy wyrafinowania identyfikować z komplikacją. Pierwsze jest jedynie wyostreniem i zróżniczkowaniem, a jeżeli pan woli, intensywną eksploatacją cech posiadanych, wrodzonych, tkwiących w organizmie, podczas gdy drugie uważam za konglomeraty wyhodowane sztucznie, za przeciwstawności logiczne, za antynomie, jakie w organizmie mogą się spotykać tylko w stanie patologicznym.

— W takim razie — uśmiechnął się — natury skomplikowane każe pani uznać za chorobliwe.

— Przypuszczam, że tak. Przy obserwacjach jednak trzeba stosować bardzo gęste sita selekcyjne. Zbyt często bowiem odnosimy wrażenia komplikacji tam, gdzie nie ma nic złożonego poza... złożami sprzecznych snobizmów.

Pokojówka przyniosła kawę i nie krępując się obecnością swej pani, zrobiła do Józefa wyzywające „oko”.

— Kiedyż przyjdzie Buba? — zapytała ją pani Barbara.

— Któż to wie — wrzuciła ramionami dziewczyna — na wszelki wypadek powiedziałałam kucharce, by nie spieszyła się z kolacją. Mamy masę zmartwień, proszę pana, z tym Buba! Nasypać panu cukru?

— Proszę bardzo — bąknął Józef.

— Nie znam ludzi bez snobizmów — mówiła pani Krotyszowa, patrząc na pokojówkę, mizdrzącą się do Józefa — i zdaje mi się, że bez tych brząkadetek, tych kotylionowości

<sup>93</sup>stadowy — dziś popr.: stadny. [przypis edytorski]



i świecidełek przypiętych na poczekaniu do nich, byłiby okropnie szarzy i jednostajni. Nie adoruję snobizmu jako czynnika postępu, lecz jako zabawną ozdobę życia.

Dziewczyna zaczęła coś nucić pod nosem i wyszła.

— Zgodziłbym się z panią, lecz wydaje mi się, że snobizm ma bardzo niewiele odmian, a każda z nich stała się pospolita.

— Słowem, pospolitość uważa pan za stan ujemny?

— Tego nie powiedziałem.

— Przecież nie jest zaletą?

— Chyba.

— Wszędzie, gdzie się da umieścić wyraz „chyba”, jest niezwykle wielkie pole do analitycznej pracy myślowej. Byłam entuzjastką względności jeszcze przed zrozumieniem teorii Einsteina. Prawdziwa radość istnienia tkwić może w tej pewności, że nic nie ma pewnego... Tak... pan podobno jest zaręczony?

Ten niespodziewany zwrot, i to w zestawieniu z tematem wszech względności, zdetonował Józefa.

— Owszem, proszę pani.

— Mówiła mi pani Szczerkowska. Lusią jest bardzo miłą i bardzo apetyczną dziewczyną. Wkrótce mają się odbyć oficjalne zaręczyny?

— Pojutrze panna Hejbowska wraca i wówczas właśnie...

— Jest to panienka z zasadami — ze smutkiem jakby powiedziała pani Krotyszowa.

— To chyba najrzadsza zaleta w dzisiejszych czasach — stłumionym głosem zauważył Józef.

— O, właśnie! Pańskie zdanie zawiera dla mnie aż trzy wątpliwości: zaleta, najrzadsza i dzisiejsze czasy. Przede wszystkim nie rozumiem, dlaczego jeden z najtrwalszych upórów ludzkich trzyma się potępienia dzisiejszych czasów, mówiąc ściślej, obyczajowości dzisiejszych czasów. Od niepamiętnych wieków człowiek uważał za najgorszą obyczajowość tych czasów, w których sam żył. Wszyscy wiemy to dobrze z historii, a jednak wciąż się słyszy klątwy pod adresem własnej epoki. Wciąż wychwala się dawne dobre czasy i tak zwaną świetlaną przyszłość, chociaż doświadczenie nas uczy, że ludzie z tej świetlanej przyszłości będą naszą epokę nazywać starymi dobrymi czasami, a na swoją piorunować.

Józef roześmiał się.

— Żyjemy wciąż w gąszczu truizmów — mówiła dalej pani Krotyszowa — do tych zaliczam: czolobitność przed zasadami. Nawet ci, którzy eliminują ze swego myślenia możliwość życia pozamaterialnego, nie mogą wyzbyć się czolobitności przed zasadami. Szanowanie zasad jest zasadą najmniej uzasadnioną.

— Czy to nie paradoks?

— Sądzę, że nie. Weźmy przykład konkretny. Co dadzą zasady, przypuśćmy, Lusi Hejbowskiej? Jeśli spotka na swej drodze szczęście, wyrzeknie się go, bo zasady każą jej być wierną panu. Zatem będzie nieszczęśliwa, lecz pozostaną jej nienaruszone zasady.

— I szacunek dla siebie.

— Daruje pan, ale pański sposób oceniania szczęścia przypomina mi taką anegdotę o Żydzie, który odradzał synowi małżeństwo z dziewczyną bez posagu. Syn tłumaczył: będę miał szczęście! — a ojciec na to: — no dobrze, a jak ty będziesz szczęśliwy, to co ty z tego będziesz miał?...

Józef uśmiechnął się przez grzeczność i powiedział:

— Można być szczęśliwym bez pieniędzy, ale nie można bez szacunku dla siebie.

— Przesąd — potrząsnęła głową pani Barbara — szczęście jest w ogóle niczym nie-uwarunkowane. Ale weźmy teraz drugi segment zalety, jaką pan widzi w zasadach: — kwestie szczęścia pańskiego. Otóż nie wyobrażam sobie możliwości kochania osoby nieinteresującej nas. Wszystko zaś co jest pewnikiem, tym samym przestaje nas interesować. Pan widzi swoje szczęście w miłości do tej uroczej osóбки. Lecz miłość wymaga stałej pożywki, a tą jest niepewność i zmienność obiektu...

— To jeszcze kwestia do dyskusji — zastrzegł się.

Był naprawdę wytrącony z równowagi poglądami pani Krotyszowej i przygotowywał się do gruntownego sporu, gdy właśnie zjawił się Swojski.

— Za wcześniej przyszedłeś, Buba — westchnęła pani Barbara — przerwałeś nam bardzo interesującą rozmowę.

Przywitał się wesoło i prosił, by sobie nie przeszkadzali, lecz pani domu potrząsnęła głową:

— Nie, Buba, wolimy odłożyć to sobie na inny dzień. Zaraz po moim powrocie z Norwegii pan Domaszko musi mnie odwiedzić. Co prawda praktyczna strona zagadnienia, jak przypuszczam, zdezaktualizuje się do tego czasu — uśmiechnęła się — ale nam głównie chodzi o teorię. Nieprawdaż?

— Jak to? — zapytał Swojski — zamierzasz... pani zamierza wyjechać?

— Tak, pojutrze wyjeżdżam. Nie znoszę tych upałów. I mój drogi, nie utrudniaj sobie konwersacji przez tytułowanie mnie panią. Pan Domaszko wie równie dobrze, jak i wszyscy, że mamy dostateczne powody do nazywania siebie po imieniu.

Swojski roześmiał się:

— Dobrze, aniele.

Widocznie wiedział, że ten epitet wprawi ją w dobry humor. Istotnie zaśmiała się długim, cichym śmiechem:

— Przepadam za tymi naiwnymi pieśzotliwościami. Niech pan sobie wyobrazi, że Buba nazwał mnie raz kwiatuszkiem... śmiałam się do łez.

— Oklepane określenia mają też swoją rację bytu — zakonkludował Swojski.

— Nieraz zastanawiałam się — mówiła pani Krotyszowa — jak smutny los czeka przyszłe pokolenia. Ludzie inteligentni będą musieli przestać w ogóle rozmawiać.

— Czy dlatego, że wszystkie słowa wyświechtują się?

— Słowa i zwroty. Już dziś śmieją nas niektóre wyrazy, które do niedawna miały swoją wzniosłą i piękną treść.

— Zdewaluowały się — zauważył Józef — zmieniło się życie i wraz z przeszłością minął ich sens.

— Więcej niż sens, minęła ich potrzeba. Dziś, gdy czytamy czyjś patetyczny list lub książkę napisaną stylem tak zwanym literackim, ogarnia nas politowanie. Toteż ubiegamy się o prostotę w wypowiedaniu swoich myśli. Nieraz sama siebie przyłapuję na jakimś komicznym zdaniu, którego pretensjonalność spostrzegam. W każdym razie język nasz ubożeje nieprawdopodobnie szybko. Obawiam się, że za lat sto nawet i kochankowie będą się porozumiewali wyłącznie monosylabami.

— Chyba ta dziedzina słownictwa nie ulegnie zmianie — z przekonaniem powiedział Józef.

Pani Barbara potrząsnęła głową:

— Myli się pan. Czy może pan wyobrazić sobie na przykład mówiącego do kobiety, do której czuje pan najżywszy pociąg: ukochana!

— Hm. To zależy od... nastroju, sądzę.

— Raczej od poczucia komizmu. Albo, czyż nie wyda się panu śmiesznym wiersz, którym rozczulano się tak niedawno, który wpisywano naszym matkom do albumów: „i dziwię się tylko, że kwiaty pod twymi stopami nie rosną”?...

— Mnie się zdaje — wtrącił Swojski — że wszystko zależy od prawdy, jaką wkładamy w słowa.

— Dobrze, Buba, ale trzeba, by osoba, do której słowa są skierowane, najpierw odkryła ich prawdę, a potem usłyszała brzmienie.

— Są takie osoby — skromnie zauważył Józef.

— Oczywiście, skoro widzą najpierw treść.

— Nie, skoro są obojętne na formę — sprostowała pani Barbara — niewybredność jest dużym udogodnieniem życia.

— Zamyka jednak dostęp do skarbu subtelności — westchnął Swojski.

Po kolacji pani Krotyszowa pokazywała rysunki sukien, jakie miała zabrać ze sobą:

— Wzorowałam je na różnych odmianach storczyków. Storczyk uważam za kwiat najbardziej mi odpowiadający.

O jedenastej Józef pożegnał się i wyszedł.

Był cały pod wrażeniem niezwyklej umysłowości pani Barbary. Niemal każde jej zdanie zasługiwało na poświęcenie mu dłuższych rozmyślań, a niektóre uderzały swą niespodziewaną trafnością. Najwięcej myślał o tym, co powiedziała o Lusi.

„Czy istotnie Lusia nie będzie mi mogła dać szczęścia?... Nonsens! — oburzył się — my będziemy zawsze się kochali”.

## ROZDZIAŁ IX

Zaręczyny Józefa Domaszki z Lusią Hejbowską zgromadziły kilkadziesiąt osób z rodziny narzeczonej.

Józef był sam. Pomimo egzaminujących i uporczywych spojrzeń, badających go bez przerwy, czuł się dość swobodnie, gdyż Lusią całą swoją pomysłowość skierowała ku uprzyjemnieniu mu wieczoru.

Zresztą egzamin wypadł na korzyść Józefa. Dowiedział się o tym od pani Szczerkowskiej, która zbierała opinie znoszone jej ze wszystkich stron jako opiekunce Lusi.

Rodzina uznała pana Domaszkę za przyzwoitego i poważnego kandydata do swego grona.

Zaręczynowy pierścionek, nabyty przez Swojskiego w antykwarni, zyskał także uznanie dla dobrego gustu narzeczonego.

Z różnych względów postanowiono przyspieszyć datę ślubu, co zresztą nie spotkało się ze sprzeciwem ani Lusi, ani Józefa.

Ustalono, że uroczystość odbędzie się w kaplicy świętego Józefa przy ul. Polnej, po czym państwo młodzi wyjadą w podróż poślubną do Szwajcarii.

Datę wyznaczono za trzy tygodnie, to jest natychmiast po trzeciej zapowiedzi.

Tymczasem Józef zajął się ponownym przemeblowywaniem mieszkania, przy czym jako eksperta poprosił panią Szczerkowską. Okazało się — jak zresztą przewidywał — że gust pani Neumanowej i Rosiczki nie wzbudził uznania pani Szczerkowskiej. Tapety były za jaskrawe, urządzenie salonu zimne, a sypialni pretensjonalne.

— Nie może pani sobie wyobrazić, panno Lusi — mówił do narzeczonej — jak dalece wujenka wszystko w naszym przyszłym gniazdku wywraca do góry nogami! Połowę mebli musiałem przenieść na strych, do firmy, do redakcji, gdzie się dało.

— Więc mamy mieszkać bez mebli? — żartowała.

— Gdzież tam! Pani Szczerkowska zna najlepsze źródła istotnie pięknych mebli. Jeźdźmy od sklepu do sklepu godzinami.

Kosztowało to sporo, ale Józef nie żałował pieniędzy.

— Raz się człowiek żeni — wyjaśnił Swojskiemu — trudno.

— Raz, dwa, albo i trzy — niewinnie zauważył ten.

Po wyjeździe pani Krotyszowej Swojski stał się częstym gościem Szczerkowskich, dokąd wprowadził go Józef.

Swojski najczęściej improwizował przy fortepianie, a Józef z Lusią siedzieli na kanapce i rozmawiali półgłosem.

Gdy wkrótce po powrocie z Jarzębowa Lusią dowiedziała się o zmianie w redakcji w „Tygodniku Niezależnym”, była tym zaskoczona. Na szczęście Swojski w swój akсамitny sposób umiał tak postawić kwestię, że Lusią nie mogła potępić postępowania narzeczonego. Byłoby gorzej, gdyby spotkała Piotrowicza, ale ten gdzieś przepadł jak kamień w wodę i słuch o nim zaginął.

Jednak Józef nie wyzbył się zupełnie niepokoju i wciąż dowiadywał się od doktora Żura, czy nie wie, gdzie się obraca i co porabia Piotrowicz. Żur wszakże też nic o tym nie wiedział, gdyż pozostając w wydawnictwie, musiał zerwać stosunki z dawnym zespołem.

— W każdym razie nie ma go w Warszawie — zapewnił Józefa.

Lusią nie chciała za nic w świecie obejrzeć mieszkania. Więcej, bo błagała wujenkę, by ta nie mówiła jej, co i jak jest urządzone.

— Pozwólcie mi mieć niespodziankę — prosiła.

— A jeżeli się pani nie spodoba! — pytał zmartwiony. — Wówczas chyba powieszę się z rozpaczą.

— Musi się podobać. Pan jest za mało pewny siebie.

— Proszę mi tylko powiedzieć, panno Lusi — błagał — czy pani woli kolor niebieski czy zielony?

— Zielony w niebieską kratkę — śmiała się.

Kiedy wyluszczał pewnego razu swe wątpliwości na ten temat przed Swojskim, wszedł Fartuszek, a wysłuchawszy kilku zdań, zaopiniował:

— *Donna ast mobile*<sup>94</sup>, jak mówili starożytni Rzymianie. Dlatego nigdy się kobiecie nie dogodzi. Najlepiej zapowiedzieć *san żardę*<sup>95</sup>, bez ogródek: — ma być statuskwo i koniec. A w ogóle nad drzwiami małżeńskiego domu najlepiej umieścić napis Dantego z tej jego alegorii: — *Pascyjate ogni speramus*<sup>96</sup>.

— Słusznie — z powagą potwierdził Swojski — należy odnowić czasy, gdy oblubienica pisała na drzwiach oblubieńca: — Gdzie ty Kajtuś, tam i ja Kasia... Prawda monsieur Fahrtauscheck?

— O! *Wualia*<sup>97</sup>! — ucieszył się ten — surowość obyczajów, panie! To grunt.

W tymże czasie Józef miał dość przykrą wizytę. Mianowicie przyszła Natka. Nie mógł jej nie przyjąć, gdyż służący zameldował ją przy pani Szczerkowskiej, która właśnie wychodziła i którą musiał odprowadzić do przedpokoju, gdzie właśnie czekała Natka.

Przywitał ją oziębło i sztywno, podając końce palców. Wprowadził do gabinetu i nie prosząc, by usiadła, zapytał sucho:

— Co cię do mnie sprowadza?

— Józek, ty gniewasz się na mnie?

— Nie gniewam się. Zresztą postawmy na uboczu kwestię moich poglądów na różne rzeczy. Teraz chodzi o to, czym mogę ci służyć.

Natka nieśmiało podeszła doń i powiedziała:

— Przeczytałam w kurierku, że się żenisz z panną Hejbowską i przyszłam ci powinszować, życząc szczęścia i powodzenia...

— A... dziękuję bardzo.

— To podobno śliczna panna i przecie bogata. Całe Terkacze do niej należą. Bardzo jestem szczęśliwa, że ty...

— Nie ma o czym mówić — przerwał.

— Józek?!

— Cóż jeszcze? — burknął.

— Ty na mnie nie rzucisz kamieniem, że ci się nie przyznałam do Wojtka i do dziecka!... Daruj mi, ja się tak wstydziałam.

Józef przygryzł wargi. Chociaż postanowił od dawna nic nie mówić w tej sprawie, jednak nie wytrzymał.

— A nie wstydziałaś się temu Wojtkowi powiedzieć żeś... tam... żeś żyła ze mną — wybuchnął.

— On wymagał — spuściła oczy.

— Aha! — skrzywił się ironicznie.

— Miał prawo jako narzeczony...

Zorientował się, że cała ta rozmowa jest więcej niż niepotrzebna. By uspokoić się, chodził chwilę po pokoju miarowymi krokami.

— No cóż — zapytał po pauzie — przywieźliście waszego syna?

— Jeszcze nie, Józeczku. Już tak sobie ułożyliśmy, że niech do końca lata wsi używa. Boże drogi, ja nawet nie wiem, jak mam ci dziękować za twoją, Józeczku, łaskę i dobroć dla nas.

— No, nie trzeba przesadzać — chrząknął — ale obiecałem i co obiecałem, tego dotrzymałem. Nie zapomnę chłopca zapisać do jakiegoś przyzwoitego gimnazjum. Wszystkie koszty pokryję. Jakże mu na imię, bo zapomniałem?

— Cezary.

— Cezary? Hm, to dobrze. Tedy dziękuję ci za życzenia i muszę cię pożegnać, bo nie mam czasu.

Natka zakręciła się na miejscu i odezwała się nieśmiało:

— Mam jeszcze prośbę do ciebie, Józeczku.

— Prośbę? Słucham — rzucił niecierpliwie.

<sup>94</sup>*donna ast mobile* (zniekszt. wł. *la donna è mobile*) — kobieta zmienną jest; pierwsze słowa słynnej arii z opery *Rigoletto* Giuseppe Verdiego. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>*san żardę* (zniekszt. fr. *sans jardin*) — bez ogrodu; tu: przetłumaczone dosł. dla efektu komicznego wyrażenie „bez ogródek” (właśc. fr. *sans ambages* a. *sans détours*). [przypis edytorski]

<sup>96</sup>*pascyjate ogni speramus* (zniekszt. wł. *lasciate ogni speranza*) — porzućcie wszelką nadzieję; fragm. sentencji umieszczonej nad bramą piekła w *Boskiej Komedii* (I 3,9) Dantego Alighieri: *Lasciate ogni speranza, voi ch'entrate* (porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy wchodziście). [przypis edytorski]

<sup>97</sup>*wualia* (zniekszt. fr.: *voilà*) — oto; otóż to. [przypis edytorski]

— Czy nie byłbyś tak życzliwy przyjść jutro na nasz ślub? Zrobiłbyś nam wielką łaskę.  
— Jutro? A no... hm... o której to?  
— Zaraz po nieszpórach, u Zbawiciela.  
— No, owszem, będę...  
— Serdecznie dziękuję, serdecznie.  
— A wesela nie urządzą? — zapytał obojętnie.  
— Mama chciała, ale Wojtek powiada, że szkoda czasu i atlasu, że obejdzie się. I pewnie ma rację, boć to zawsze dużo pieniędzy kosztuje.  
— Ma rację — poważnie przyznał Józef — oszczędzać to wielka cnota. No więc jutro będę w kościele, do widzenia.

Kiwnął jej głową i wyszedł do sąsiedniego pokoju.

— Piotrze — powiedział — proszę wypuścić pannę Bulkowską.

Po jej wyjściu zabrał się do zaległej korespondencji. Przed położeniem się do łóżka zadzwonił, jak zawsze, kiedy nie spędzali razem wieczoru, do Lusi i życzył jej słodkich snów.

Nazajutrz nadeszły plany szczegółowe dworu w Terkaczach. Architekt Wiązaga oczywiście wszystko zrobił po swojemu. W załączonym liście podał, że chcąc swoich klientów pozbawić kłopotu związanego z wewnętrznym urządzeniem domu, sam zaprojektuje wszystkie meble, tapety itd. oraz wskaże obrazy, które należy nabyć do nowej siedziby.

— Nie można mu odmówić apodyktyczności — uśmiechnęła się pani Szczerkowska po przeczytaniu listu Wiązagi — ale o tyle ma rację, że w ten sposób całość utrzymana zostanie w jednym stylu.

Ta opinia pani Szczerkowskiej przyszła w pomoc Józefowi, daremnie usiłującemu przekonać Lusię, że jest teraz za późno na zatargi z Wiązagą.

Na wszelki wypadek poszedł Józef z planami do jednego ze znanych architektów, inżyniera Doroszewicza, by sprawdzić, co ten o tym powie.

Doroszewicz, starszy już jegomość, skrytykował to i owo, lecz na ogół osądził pracę Wiązagi przychylnie. Józef skrzętnie zanotował zastrzeżenia i tegoż popołudnia odesłał plany Wiązadze z oświadczeniem, że akceptuje je pod warunkiem przeprowadzenia takich a takich drobnych zmian. Powołał się przy tym na autorytet Doroszewicza.

Nie chcąc wtajemniczać Lusi w swoje sprawy rodzinne, powiedział jej, że idzie na posiedzenie i pojechał na ślub Natki.

W kościele było bardzo mało osób. Krewni pani Bulkowskiej, których prawie nie znał, i matka pana młodego, sędziwa staruszka w koronkowym czepeczku, która specjalnie przyjechała na ślub syna z Poznania. Poza tym kilka kumoszek z kamienicy na ulicy Freta. Te stały zwartą grupą i całą swoją uwagę koncentrowały na osobie Józefa, pamiętanego z dawnych czasów, a dziś bogacza całą gębą...

Natka w welonie i w białej sukni wyglądała jeszcze starzej i jeszcze bardziej nędznie niż na co dzień. Cześniak natomiast we fraku robił bardzo dodatnie wrażenie.

Ślub był cichy, dzięki czemu w ciągu kwadransa się skończył. Państwo młodzi najpierw zbliżyli się do swoich matek, później do Józefa. Złożył im życzenia i wyszedł z kościoła.

Ilekrót zetknął się z tą swoją rodziną, zawsze odnajdował w sobie to przykre uczucie jakby pretensji do niej, że stoi na tak dalece niższym szczeblu społecznym od niego. Może u podłoża tego uczucia tkwił też i rodzaj wstydu za siebie, że nie zdołał wypełnić tej różnicy należnym poczuciem więzi rodzinnej i wdzięczności za ich życzliwość.

Myślał też i o swoim ślubie. Nie będzie na nim oczywiście ani ciotka Michalina, ani Natka — nikt z jego rodziny. Redaktor Swojski przecież jej nie zastąpi. Gdyby żył stryj Cezary...

Zresztą na refleksje i rozmyślania mało mu teraz pozostawało czasu. Lwią część dnia spędzał z Lusią, resztę dzielił między firmę, redakcję i zarząd Ligi.

Dni mijały prędko. Mieszkanie było już gotowe. Na trzy dni przed datą ślubu Józef zamówił sliping i załatwił wizy zagraniczne.

Wszystko zdawało się układać według programu, gdy w przeddzień uroczystego dnia, o godzinie jedenastej wieczór, kiedy Józef układał się właśnie do snu, zadzwonił telefon.

— Panie Józku — usłyszał głos Lusi, zanim jeszcze zdążył powiedzieć „hallo”.

— Jestem, jestem, co się stało?

— Niech pan czym prędzej przyjdzie, czym prędzej.  
W głosie jej brzmiało przerażenie.  
— Na Boga! Co się stało?  
— Prędzej, prędzej!  
— Już jadę! — krzyknął i zapomniawszy nawet powiesić słuchawkę, zaczął się w pośpiechu ubierać. W trakcie tego rzucił okiem na zegarek, a skonstatowawszy, że już stracił pięć minut, naciągnął spodnie, narzucił palto i chwycił kapelusz.  
W przedpokoju przyszło mu na myśl, że dobrze będzie na wszelki wypadek wziąć rewolwer.  
Bóg wie, co się tam dzieje.  
Dopadł na rogu taksówkę i po kilku minutach dzwonił już do bramy na Wilczej.  
Miał wielką ochotę zapytać stróża, czy nie wie, co się tam dzieje, ale zreflektował się i wbiegł na schody.  
Drzwi od mieszkania były uchylone, w progu stała Lusia, cała drżąca, z rozrzuconymi włosami, w pidżamie.  
— Co się stało?  
Chwyliła go za rękę i zatrasnęła drzwi.  
— Wuj! — powiedziała szeptem.  
— Co wuj?  
— Dostał jakiegoś strasznego ataku... Zdaje się, że zwariował... Boże!  
— A gdzie jest?  
— Tam, w sypialni...  
— A gdzież pani Szczerkowska?  
— Też tam... Słyszałam jej straszny, ale to straszny krzyk!... I nie wiem, co robić...  
Zadzwoiłam do pana...  
— No, trzeba tam wejść.  
— Nie można. Drzwi zamknięte na klucz.  
— Kto zamknął?  
— Wujenka weszła do niego i zamknęła za sobą, bo wuj chciał wyjść. Boże! Może on ją zabił?!  
— A gdzie służący? — z oburzeniem zawołał Józef.  
— Ignacy od obiadu nie wrócił, poszedł szukać wuja. A kucharka?  
— Kucharka albo śpi, albo udaje, że śpi. Ona strasznie boi się pijaków.  
— Nie rozumiem. Więc pan Szczerkowski wrócił sam?  
— Tak. Ja nie widziałam, jak przyszedł. Wiem tylko, że wujenka ułożyła go w sypialni, a później on chciał, by mu dać wódki, i strasznie krzyczał, wywracał meble, i później chciał wyjść. Wtedy weszła tam wujenka... i on pewno rzucił się na nią... Nie wiem!...  
— Psiakrew! — zaklął Józef — właściwie należałoby sprowadzić pogotowie ratunkowe lub policję...  
— Nie, nie, może to niepotrzebne, niech pan najpierw sprawdzi.  
Zbliżyli się do drzwi sypialni i zaczęli nasłuchiwać.  
Wewnątrz panowała zupełna cisza.  
Józef zapukał raz, drugi, później nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte na klucz od wewnątrz.  
— Ona nie żyje! Ona nie żyje! — szeptała Lusia.  
— Trzeba wyłamać — zdecydował się.  
— Tak, tak.  
Józef był dość silny, lecz i drzwi były mocne. Odchyłał się i uderzał ramieniem coraz mocniej, nasłuchując po każdym uderzeniu. Nie ustępowały.  
— Chyba nie dam rady — powiedział, rozcierając obolałe ramię — może zawołać stróża?  
— Boże! Trzeba prędzej, niech pan jakimś ciężarem! O, niech pan weźmie ten blat stolika.  
Istotnie, ciężki, marmurowy blat zdawał się być pewnym narzędziem. Udźwignąwszy go z trudnością, Józef z całej siły uderzył w drzwi. I teraz nie ustąpiły, lecz wypadł z nich duży filong.  
To wystarczyło. Lusia wsunęła rękę do wnętrza i przekreśliła klucz w zamku.

W sypialni było ciemno. Drżącymi rękoma odszukała kontakt tuż przy drzwiach i zapaliła lampę.

Pośrodku pokoju na podłodze leżała pani Szczerkowska. Miała pokrwawioną twarz i ręce, widocznie odłamkami szkła z rozbitego klosza, których wokół było pełno.

Opodal pod stołem pół siedział bezwładnie pan Szczerkowski, trupio blady i też pokrwawiony.

— Jezus! — krzyknęła Lusia i zatoczyła się — niechże pan coś robi! Ratuje!

Józef przykląkł przy pani Szczerkowskiej i zaczął szukać pulsu. Nie mógł go znaleźć, ale stwierdził, że jej ciało jest ciepłe.

— Na pewno żyje — odetchnął.

Co do życia pana Szczerkowskiego nie było żadnych wątpliwości. Po prostu spał, a z jego uchylonych ust świszający oddech wydobywał nieznośny odór alkoholu.

Współ z Lusią podnieśli panią Szczerkowską i ułożyli na kanapie.

— Jednak zadzwonię po pogotowie ratunkowe — niepewnie powiedział Józef.

— Nie, nie, niech pan odszuka w katalogu: doktor Jarecki, doktor Jan Jarecki. Mokotowska pięćdziesiąt dziewięć i niech pan mu powie...

Lusia zwilżyła chusteczkę w wodzie kolońskiej i próbowała cucić panią Szczerkowską, która robiła wrażenie martwej. Biegając wśród poprzewracanych mebli, na próżno szukała flakonu z amoniakiem.

Tymczasem Józef po kilku próbach zdołał się połączyć z doktorem Jareckim, który na szczęście jeszcze nie spał.

— Ja tu dzwonię od państwa Szczerkowskich. Czy nie mógłby pan doktor natychmiast przyjść?

— Mam gości. Czy to Ignacy mówi?

— Nie... Tu mówi Domaszko. Moje uszanowanie panu doktorowi.

— Moje uszanowanie. Co tam, pana Szczerkowskiego znowu przywieźli nieprzytomnego?

— Nie, gorzej. Stało się nieszczęście. Przyszedł sam do domu i dostał ataku furii. Przy tym rzucił lampą w panią Szczerkowską i ona leży teraz nieprzytomna, nie daje znaku życia. Próbowałem...

Trzask słuchawki przerwał mu. Widocznie doktor położył tubę.

W pięć minut zjawił się zdyszany i zaczął badać omdlałą.

— Niech pan wyjdzie — powiedział szorstko do Józefa, przyglądającego się jego zabiegom. — Panno Lusi, proszę mi podać zimną wodę.

Józef poszedł do salonu, usiadł i czekał.

W stojącym naprzeciw lustrze zobaczył, że ma zwichrzone włosy, że jest bez kołnierzyka i że w ogóle wygląda nieprzyzwoicie.

„Taka awantura — myślał — i to akurat w przeddzień naszego ślubu! To się nazywa pech”.

Usłyszał szmer otwieranych drzwi, więc wyrzwał do przedpokoju. Okazało się, że to wrócił Ignacy. Już z samego wyglądu Józefa domyślił się, że pan wrócił, i że musiało się stać jakieś nieszczęście.

Józef właśnie zaczął mu opowiadać, co i jak zaszło, gdy do przedpokoju weszła Lusia z gumowym pęcherzem i wysłała Ignacego po lód.

— Panno Lusi — próbował zatrzymać ją Józef — jakże tam?...

— Lepiej — odpowiedziała i zniknęła za drzwiami.

Znowu minął kwadrans oczekiwania, póki nie przyszedł Ignacy:

— Może pan pomoże mi przenieść naszego pana do gabinetu?

— Owszem, a jakże pani?

— Oddycha, ale doktor wciąż głowę kręci.

— Nie odzyskała przytomności?

— Nie.

Weszli na palcach do sypialni wyglądającej teraz jak ambulatorium. Lusia właśnie podawała doktorowi pudełko z zastrzykami podskórnymi. Pani Szczerkowska pósiedziała, oparta o stos poduszek, do pasa obnażona, z zamkniętymi oczyma i wciąż trupio blada.

Z trudem wydobyli spod stołu bezwładnego pana Szczerkowskiego i z wielkim wysiłkiem przenieśli go do gabinetu.

— Posadźmy go tymczasem na fotelu — powiedział służący — gdy pościelę na otomanie, rozbiorę go i ułożę.

Sina twarz nieprzytomnego tak oparta była o poręcz fotela, że z półotwartych ust ściekała gęsta ślina. Pokój napełnił się ohydny odorem fermentującego alkoholu.

Józefowi zrobiło się niedobrze. Zakrywając nos i usta chusteczką, zapytał:

— Ignacy da sobie sam radę? — i nie czekając na odpowiedź, wyszedł.

Napił się w jadalni zimnej wody, zjadł znaleziony plasterek cytryny i znowu czekał w salonie.

Dopiero około drugiej wszedł doktor.

— No jakże, doktorze? — zerwał się Józef.

— Hm... na razie nie umiem nic powiedzieć.

— Ale żadnych śmiertelnych ran nie ma?

— Ran? Nie. Drobne zadrapania. Ale mam wrażenie, że otrzymać musiała silne uderzenie w okolice serca lub też padając... hm... Dość, że stan jest poważny.

— Boże drogi! A jest już przytomna?

— Owszem. Chciała nawet mówić, ale zabroniłem. Pan jest narzeczonym panny Hejbowskiej?

— Tak...

— Hm... Czy pan nie potrafiłby nakłonić ją, by zgodziła się sprowadzić pielęgniarkę? Wolałbym, by ktoś plus minus obznajomiony z medycyną czuwał nad chorą. Mogą być potrzebne zastrzyki kamfory, a panna Lusiu tego nie potrafi.

— Ależ naturalnie, panie doktorze. Zaraz pomówię z narzeczoną.

— To dobrze, ja jeszcze zajdę do tego nieszczęśliwca.

Józef podszedł na palcach do drzwi sypialni. Były przymknięte, lecz przez wybity filong zobaczył Lusię siedzącą przy łóżku na niskim pufie. Szlafroczek jej rozchylił się i Józef szybko się cofnął, gdyż ujrzał małą okrągłą pierś (takiej nie miała żadna kobieta na świecie!). Cichutko zapukał.

Po sekundzie uchyliła drzwi.

— Co takiego? — zapytała szeptem.

— Panno Lusiu — odpowiedział jeszcze ciszej — niech pani pozwoli sprowadzić pielęgniarkę.

Potrząsnęła głową.

— Ależ dlaczego? Przecież pani się strasznie przemęczy przez noc!

— Wujenka nie znosi pielęgniarek. Będę czuwała sama.

— Ależ pani nie potrafi zrobić zastrzyku.

— Owszem. Robiłam nie raz. Zresztą doktor już mi objaśnił i nie ma o czym mówić.

Proszę, niech pan idzie do domu.

— Za nic w świecie. Nie mogę przecież pani zostawić samej!

— Panie Józku — powiedziała stanowczo — nic mi pan nie pomoże, a tylko sprawi kłopot. Dobranoc.

Kiwnęła mu głową i zamknęła drzwi.

Ponieważ nie mógł zdobyć się na wejście do gabinetu, gdzie był doktor Jarecki, czekał nań w przedpokoju, gdyż sam nie wiedział, co ma zrobić.

Doktor orzekł, że najlepiej zrobi, gdy pójdzie do domu.

— Ależ panna Lusiu strasznie się przemęczy, doktorze, a jutro nasz ślub i wyjeżdżamy w podróż do Szwajcarii!

— Fiuuu! — gwizdnął lekarz — z tego wszystkiego to chyba nic nie będzie, o ile znam pannę Lusię.

— Co doktor mówi? — przeraził się Józef — ależ to niemożliwe! Wszystko ustalone. Kaplica zamówiona, zaproszenia rozesłane, bilety kupione!

— Panie, gdybym ja był pańską narzeczoną, miałby pan rację, przekonując mnie...

— Ale doktorze, czy zachodzi obawa śmierci pani Szczerkowskiej? Bo chyba to jedynie mogłoby wpłynąć na odłożenie ślubu.

— Zachodzi właśnie ta obawa — krótko odpowiedział lekarz i zwrócił się do lokaja: — Jeżeli stan pani pogorszy się, proszę do mnie dzwonić. Do widzenia.



Józef do czwartej siedział sam w salonie, wreszcie za radą służącego pojechał do domu. O położeniu się do łóżka nawet nie myślał. Obudził Piotra i opowiedziawszy mu całą tę okropną historię, kazał przyrzucić sobie czarną kawę.

O dziesiątej zatelefonowała Lusia.

— Wujenka ma się lepiej. Przed chwilą właśnie był doktor.

— Chwała Bogu!

— Jednak jest wciąż osłabiona, a stan jej serca doktor nie uważa za zadowalający. Biedna wujenka...

— No, a jakże czuje się pani kochany wujaszek? — zapytał prawie ze złością.

— Nie rozumiem pańskiego tonu — odpowiedziała po pauzie — panie Józefie, czy pana nie stać na odczucie nieszczęścia tego człowieka?

Józef zaczął ją przeproszać i tłumaczyć się, że bynajmniej nie ironizował. Gdy zapytał nieśmiało, czy ślub nie ulegnie odłożeniu, Lusia powiedziała:

— Miałam taki zamiar, ale wujenka zażądała stanowczo, by ślub dziś się odbył. Nie chciała słyszeć o przełożeniu terminu...

— Jakże to mądra i zacna kobieta! — wybuchnął z entuzjazmem Józef.

— O, ja ją uwielbiam. Ledwo mówi, biedactwo, a już myśli o wszystkich, tylko nie o sobie.

— Złote serce — potwierdził Józef — wyrzeka się towarzystwa swojej ukochanej siostrzenicy.

— O, ale ja ani myślę wyjeżdżać — przerwała Lusia — czy pan przypuszcza, że mogłabym w takiej chwili opuścić wujenkę?

— Bilety już kupione — jęknął Józef.

— I cóż z tego? — zapytała chłodno.

— No nic, oczywiście zmarnują się, ale skoro...

— Przepraszam, wołają mnie do wujenki. Niech pan przyjdzie zaraz.

Położyła słuchawkę.

Józef był struty. Nagle przypomniały mu się słowa pani Krotyszowej:

— Lusia to panna z zasadami.

— Psiakrew! — zaklął.

W takim nastroju i w takich okolicznościach odbył się ślub pana Józefa Domaszki z panną Lusią Hejbowską.

Noc poślubną, tę wymarzoną noc poślubną, spędził pan młody przy biurku, popijając czarną kawę i likier, z goryczą myśląc o żonie z zasadami, czuwającej w tę noc przy łóżku jakiejś wujenki.

— Dla zwykłego kaprysu! Mogła to z pełnym powodzeniem zrobić pierwsza lepsza pielęgniarzka!

Pił coraz więcej i coraz siarczyściej kłął tego pijaka Szczerkowskiego.

— Bydlę! Przez tego alkoholika! Wszystko przez niego! Ładny prognostyk na przyszłość! Psiakrew... Piękne małżeństwo.

Józef wiedział, że właściwie sam był temu winien. Gdyby umiał rzecz postawić twardo, gdyby umiał powiedzieć:

— Jesteś moją żoną, moja droga, i ja decyduję, co masz robić. Proszę pożegnać się, natychmiast wyjeżdżamy.

O, wówczas wszystko inaczej by wyglądało. Zasady, nie zasady, a Lusia musiałaby podporządkować się jego woli.

— Od początku kwestia naszego wzajemnego stosunku była źle postawiona — doszedł do wniosku i wypił dwa kieliszki jeden po drugim.

— A! ta wujenka — zorientował się — trzyma ją przy sobie, zamiast kazać iść do męża. Wszystko histeria!

Nad ranem, zły i zmęczony zasnął w fotelu.

Nazajutrz jednak okazało się, że niesłusznie miał żal do pani Szczerkowskiej. Gdy tylko przyszedł na Wilczą, oznajmiono mu, że pani chce go zobaczyć.

Wyglądała fatalnie. Samo mówienie tak ją męczyło, że krople potu występowały na jej czole.

— Winszuję panu, drogie dziecko — powiedziała, gdy ucałował jej rękę — i życzę, byście byli ze sobą najszczęśliwi.

— Serdecznie dziękuję wujence — pocałował ją powtórnie w rękę.

— Wczoraj czułam się taka słaba, że nie zdobyłam się na wyprawienie tej upartej Lusi. Ona jest taka dobra dla mnie, że... nie zdaje sobie sprawy, iż krzywdzi i siebie, i pana...

— Ależ to bardzo szlachetnie z jej strony — zaprzeczył — proszę, niech mi wujenka wierzy, że sam jestem Lusi wdzięczny za to, iż czuwa przy pani, której oboje tyle serca zawdzięczamy.

— Nie, drogi panie Józefie. To nie ma żadnego sensu. Zresztą mój mąż już czuje się dobrze i on będzie przy mnie. Niech pan dziś zabiera koniecznie swoją żonę.

— Po cóż ten pośpiech, wujenko?...

Zatrzymała go ruchem ręki:

— Powiedziałam. Mam jej dość. Niech ją pan zabiera.

Na te słowa weszła właśnie Lusja i Józef spotkał ją triumfującym wzrokiem.

Uśmiechnęła się blado.

Cały dzień spędzili na Wilczej. Pan Szczerkowski w ogóle nie pokazał się. Służący powiedział, że pan śpi, bo w nocy będzie siedział przy pani.

Jeszcze przed kolacją kufry Lusi zostały załadowane na platformę i odwiezione do mieszkania małżeńskiego.

Około dziesiątej, pożegnawszy się z panią Szczerkowską, wyszli na ulicę.

— Pójdziemy pieszo — oświadczyła Lusja.

— Może dla odetchnięcia świeżym powietrzem przejedziemy się przez miasto? — zaproponował.

— Nie. dziękuję. Wolę przejść się.

Szli w milczeniu.

„Do czego to podobne — myślał Józef — oto jesteśmy małżeństwem, idziemy do domu pieszo, na drugi dzień po ślubie... Ona myśli tylko o swojej wujence, ja się irytuję”.

Zacisnął zęby.

Wszystko nie tak jak u ludzi!

— Przed wieczorem padał deszcz — odezwała się Lusja — powietrze jest tak ożywczo chłodne.

— Owszem, padał, nawet dość duży — odpowiedział i nie mógł znaleźć dalszego tematu do konwersacji.

Bo rzeczywiście, czyż o tym powinni mówić ze sobą? W takiej chwili! Deszcz! Rozmowa o pogodzie!

Chciałby ją wziąć pod rękę i szeptać najczulsze słowa, chciałby zapewnić ją, że jest taki szczęśliwy, że zrobi wszystko, by i ją uczynić najszczęśliwszą istotą na ziemi, że wyteścili tę chwilę, wymarzył, że dom stanie się teraz dla niego naprawdę domem...

Gdzież tam!

Pod pachą trzymała książkę o chorobach serca, którą jej przyniósł doktor Jarecki, miała zmarszczone brwi i jej myśli, oczywiście, były tak daleko, że tylko ośmieszylby się, występując teraz ze swymi czułościami; z czułościami, do licha, chyba bardziej odpowiednimi w takiej sytuacji niż rozmyślanie o chorych wujenkach i pijackich wujaszkach.

Jakby na potwierdzenie jego sarkastycznych przypuszczeń powiedziała:

— Jutro o ósmej chciałabym już być przy wujence, bo wuj będzie czuwał przez całą noc, a sam jest niezdrowszy.

— Czy to jest konieczne, kochanie — zaczął łagodnie, zamierzając jakoś zmienić nastrój, lecz ona ucięła z miejsca:

— Dla mnie konieczne.

— Doprawdy — zaśmiał się nieszczerze — nie mam zbyt wiele powodów, by odczuć, że nie jestem już kawalerem, lecz od wczoraj mam żonę.

Spojrzała nań ostro i zapytała:

— Czy pan rzeczywiście nie widzi, co jest moim obowiązkiem?

— Pan? Jak to pan? — podchwycił prawie z rozpaczą w głosie.

— Więc czy ty nie widzisz tego? — poprawiła się.

Słowo „ty” zabrzmiało w jej ustach tak twardo, szorstko, obojętnie, że aż się wstrząsnął.

Milczał. Milczał, bo w ogóle nie słyszał pytania, bo wszystko zamknęło się w nim, zatrasnęło pod tym tonem, jakim wypowiedziała swoje pierwsze „ty”...

Lusia inaczej rozumiała jego milczenie i odezwała się jeszcze chłodniej:

— Jak chcesz. Jestem twoją żoną i masz prawo nie pozwolić mi na spełnienie nawet tego, co uważam za swój obowiązek.

— Lusi! — krzyknął z przerażeniem.

— Muszę zastosować się do twojej woli — powiedziała i spostrzegł, że drżą jej usta.

— Ależ Lusi, czy ja coś podobnego mówiłem? — zawołał boleśnie. — Czyż żądałem? Czy chociażby prosiłem cię, byś zmieniła swoje zamiary?

— Nie, ale myślałeś o tym — odpowiedziała urywanym głosem.

— Lusi, kochanie, ja marzyłem o tym, ale przecież rozumiem, przecież wiem, że postępujesz jak należy. Jak możesz tak źle o mnie sądzić?

Nie odpowiedziała, gdyż stali już przed bramą, a stróż, widocznie poinformowany przez służbę, czekał na nich, otworzył i rzucił się do całowania rąk nowej pani i składania życzeń.

— Dziękuję panu, bardzo dziękuję — powiedziała Lusia.

Józef wsunął mu w rękę, pospiesznie wydobyty z pugilaresu banknot i weszli na schody.

Gdy znaleźli się na pierwszym piętrze, Lusia wzięła Józefa za rękę i powiedziała cicho:

— Przepraszam cię, Józku.

— Boże — jęknął — myślałem, że już mnie nie kochasz!

Zaczął obsypywać jej rękawiczki pocałunkami, przy czym książka o chorobach serca z hałasem spadła na ziemię.

We drzwiach czekał stary Piotr, kucharka i świeżo zainstalowana pokojówka. Piotr trzymał tacę z chlebem i solą.

Lusia wzruszyła się tym i pocałowała starego w czoło.

W mieszkaniu cicho było i smutnie. Przy stole wspaniale nakrytym do kolacji nikt nie usiadł, nikt nie zwrócił uwagi na powódź kwiatów, w których tonęło mieszkanie.

Józef oprowadził Lusię po wszystkich pokojach, opowiadając, pokazując, wyjaśniając.

Roztargnionym wzrokiem wodziła po ścianach i słuchała z bladym uśmiechem jego mowy, wyglądała jednak tak, jakby nie słyszała ani słowa.

— Nie podoba ci się nasz dom — powiedział ponuro.

— Ale, cóż znowu — zaprzeczyła — owszem, bardzo się podoba.

— Tak? — bąknął z wyraźnym niedowierzaniem w głosie.

— Zapewniam cię, Józku. Tylko widzisz... ja jestem bardzo zmęczona. Przez dwie doby nie zasnęłam ani na chwilę.

Teraz dopiero spostrzegł, że Lusia jest strasznie blada i że ledwie trzyma się na nogach.

— Boże drogi — żałował — biedactwo, kochanie moje, trzeba natychmiast położyć się do łóżeczka.

Czym prędzej zakrzętnął się.

— Anielciu! Proszę pani pomóc rozebrać się! Czy kąpiel już gotowa?

— Tak jest, proszę pana.

— Więc idź, kochanie — zwrócił się do Lusi — gdy już będziesz w łóżeczku, ucałuj moje rączyny na dobranoc.

Sypialnia, duży pokój, podzielona była muslinową zasłoną na dwie części. Józef, rozbierając się w swojej, słyszał, jak Lusia wyszła z łazienki i nie chcąc krępować jej swoją obecnością prędko narzucił szlafrok i przeszedł do gabinetu.

Gdy po pięciu minutach doszedł do przekonania, że Lusia jest już w łóżku, ostrożnie wszedł do sypialni.

— Już w łóżeczku, kochanie? — zapytał półgłosem i to zupełnie niepotrzebnie, gdyż widział doskonale, że leży pod kołdrą.

Pochylił się na nią. Równy, spokojny oddech i zamknięte oczy nie pozostawiały żadnych wątpliwości.

Lusia spała.

Oczywiście o budzeniu jej nie pomyślał ani przez chwilę, byłoby to nieludzkie. A jednak... gorycz napelniła serce Józefa:

„Oto moja druga noc poślubna. Staję się doprawdy komicznym małżonkiem”.

Wcale nie chciało mu się spać. Z prawdziwą przyjemnością, nie tknąwszy posłania na swym łóżku, przesiedziałby noc w gabinecie, aż Lusia wstanie i zobaczy, jakie są skutki jej postępowania...

Z drugiej jednak strony Lusia może się nań obrazić za jego niewyrozumiałość dla jej przemęczenia, za egoizm (ona to gotowa tak nazwać!), który pozwala mu na tego typu szantaż. Zresztą, jak by to wyglądało wobec służby?

Po długich kalkulacjach wybrał pośredni sposób: położy się na łóżku w szlafroku i oka nie przymknie. Tak też zrobił. Niestety, już po godzinie ogarnęła go senność i z kolei doszedł do przekonania, że wszelka komedia jest nonsensem, a przede wszystkim należy się wyspać.

Gdy obudził się, było już po dziesiątej.

Zerwał się na równe nogi i sprawdzwszy, że Lusi w łóżku nie ma, zapukał do drzwi łazienki. Odpowiedziała mu cisza.

— Psiakrew! — zaklął — tak zaspać! Pewno już je śniadanie.

Okazało się, że ani nawet śniadania nie chciała jeść, tylko bardzo się spieszyła, kazała sprowadzić taksówkę i pojechała na Wilczą.

— Dlaczego Anielcia mnie nie obudziła!? — huknął Józef na pokojówkę.

— Bardzo przepraszam, proszę pana — broniła się dziewczyna — ale pani nie kazała. Pytałam, ale pani nie kazała.

Józef był wściekły do południa. Przysięgał sobie, że nawet nie zadzwoni na Wilczą, a wieczorem pójdzie do knajpy i wróci pijany. Po południu wściekłość przeszła w melancholię: ani zadzwoni, ani pójdzie do knajpy. Gdy o czwartej Piotr zapytał, czy pani będzie na obiedzie, a Józef w jego głosie odczuł cień zgorzienia i współczucia, rozczulił się i długo, siedząc w sypialni, gdzie pachniały perfumy Lusi, ocierał łzy.

„Przecież ona zadzwoni, przecież powinna zadzwonić” — wmawiał sobie.

Lecz telefon milczał wciąż jak zakłęty. Żeby chociaż ktoś ze znajomych zatelefonował. Ale nie, powymierali wszyscy, czy co? Nagle uświadomił sobie, że przecie wszyscy są przekonani, że on teraz odbywa swą podróż poślubną, że oboje z Lusią rozkoszują się widokami Alp...

— A tymczasem ja siedzę tu jak kleks na papierze i gryzę się. A Lusie...

Biedna Lusie, i ona zamiast pięknej podróży musi siedzieć przy chorej, zmęczona... Dzięki Bogu, że chociaż się wyspała! Może nawet nie ma czasu zatelefonować do niego, do męża... A on tak się zawziął na to biedactwo. Do knajpy chciał iść!

„Rzeczywiście jestem egoistą i to w najgorszym gatunku”.

Zerwał się i pojechał na Wilczą.

Na jego spotkanie wybiegła Lusie. Była wesoła i uśmiechnięta.

— Jesteś nareszcie! — zawołała. — Nie mogłam się doczekać. Jestem bardzo głodna.

— Czekalaś, kochanie, z obiadem? — spytał wzruszony.

— Tak, naturalnie!

— Lusieńko! A ja czekałem w domu!

— No, już więcej tego nie będzie. Dziś tujemy ostatni raz.

— Cudzie mój najśladzszy — ucałował jej rękę. — Widzisz jak się trochę wyspałaś, dziś masz czarujący humor.

— Ach, jestem świetnie usposobiona, bo dowiedziałam się, że wujence jest znacznie lepiej. Będzie mogła już jutro wstać.

Słowa te oblały Józefa zimną wodą. Myślał, że on jest powodem jej radości, że Lusie chce mu wynagrodzić oziębłość ostatnich dni... Zresztą, wołał o tym nie myśleć. Widział ją roześmianą, figlarną i śliczną jak dawniej. Oby tylko nie zmieniła się więcej.

Pan Szczerkowski znowu się nie pokazał. Józef siedział po obiedzie wraz z Lusią przy pani Szczerkowskiej, która czuła się już dobrze i pogodnie rozprawiła o wszystkim.

— Niech sobie wujenka wyobrazi — szczebiotała Lusie — jaką sensację dziś rano przeżyłam...

— No, jaką, drogie dziecko?

— Budzę się i moje przerażenie! Jestem w jakimś nieznanym pokoju. Przez dobre pięć minut nie mogłam sobie uprzytomnić, skąd się tam znalazłam.

— Lusieńko! — z wyrzutem powiedział Józef.

— Potem wstając i myślę sobie, a to ładna historia. Jak ja musiałam być zmęczona, skoro... no i mniejsza o to — zarumieniła się — dość, że ostrożnie zaglądam za kotarę, patrząc, mój pan i władca śpi, a przy tym ma tak smutną minę, taką zmartwioną...

— No, nie dziwię się mu — lekko wtrąciła pani Szczerkowska.

— Biedactwo — ciągnęła Lusia — naprawdę chciałam go pocałować, bo pewno miał jakiś przykry sen, ale wołałam go nie budzić, więc tylko z daleka posłałam mu buziaka.

— Lusi — westchnął Józef — postąpiłaś okrutnie.

— Widzisz, Józku, ja jeszcze nie mam małżeńskiej wprawy... — tłumaczyła się figlarnie.

Tym razem wracali wieczorem do domu w całkiem innym nastroju.

Lusia śmiała się, mówiąc, że to lepiej, że nie pojechali w podróż poślubną, bo to niemądry zwyczaj, a i tak mogą sobie teraz odseparować się od świata, bo wszyscy myślą, że ich nie ma w Warszawie.

Dopiero teraz zrobiła prawdziwą lustrację mieszkania, drobiazgowy przegląd wszystkiego. Niektóre rzeczy bardzo się jej podobały, w innych zapowiedziała niecodzowne zmiany, lecz na ogół była zachwycona swoim nowym domem.

Teraz, gdy Józef wrócił z gabinetu, by jej powiedzieć dobranoc, bynajmniej nie spała, chociaż w sypialni było zupełnie ciemno.

Usiadł na brzegu łóżka i zaczął ją całować. Nie oddawała pocałunków, lecz i nie opierała się. Jego wargi z oczu, ust i policzków przesunęły się na szyję i ramiona, i zakręciło się mu w głowie. Następstwem tego było, że zapomniał o istnieniu tuż o kilka kroków drugiego łóżka i uniósł kołderkę. Był jednak dość dobrze wychowany, by w szlafroku wchodzić do łóżka i pomimo zawrotu głowy nie zapomniał o dobrym tonie.

Już tulił ukochaną żonę do piersi tradycyjnie wezbranej, gdy spotkał się z opozycją.

— Nie, nie... Józku, nie... ja się wstydzę... nie...

— Ależ, moje kochanie...

— Nie, nie...

Opamiętał się: — trzeba być delikatnym. Nie należy zachowywać się wobec takiej subtelnej istoty jak Lusia w sposób brutalny. Z czasem przyzwyczai się.

W myśl tej refleksji zwinął szyki i gotował się do odwrotu, gdy niespodziewanie odczuł wyraźną niechęć ramion Lusi do wypuszczenia jego szyi.

Sytuacja stawała się dlań wysoce trudna i skomplikowana. Aksamitne rączki przytrzymywały go, zdradzając wybitną różnicę zdań z rozpalonymi usteczkami, które tuż przy jego uchu z bezwzględny uporem powtarzały:

— Nie, nie, nie...

„Więc tak, czy nie?” — tłukło mu się w mózgu istic hamletowskie pytanie.

Sprawę rozstrzygnęło to, że rączki Lusi były wytrwalsze niż jej usta, które po pewnym czasie umilkły.

„*Alea iacta est!*” — pomyślał Józef słowami wielkiego Cezara i zdecydował się na rezygnację z delikatności.

Gdy w przyległym salonie zegar bił trzecią, Józef układał się do snu z pełną świadomością faktu, że jego małżeństwo jest nie tylko *ratum*, lecz i *consumatum*.

Ranek wstał świeży, słoneczny, uroczy, najbardziej uroczy z niezliczonej masy ranków, jakie kiedykolwiek wstawały nad Warszawą w ogóle, a nad mieszkaniem Józefa Domaszki w szczególności.

Jedli śniadanie, siedząc naprzeciw siebie i nie mogąc się nacieszyć swoją bliskością.

Przedpołudnie upłynęło na rozpakowywaniu kufrów, przerywanym od czasu do czasu pocałunkami.

Przed południem Lusia pojechała na kwadrans do wujenki. Raz, by ją odwiedzić, i dwa, by podzielić się z nią wrażeniami, jakie zdołała zebrać od wczorajszego wieczora.

Obiad znowu jedli we dwojkę, po obiedzie poszli na przechadzkę do parku Paderewskiego, wracając, znowu wstąpili do pani Szczerkowskiej i przed kolacją byli już w domu.

A później przyszła noc jeszcze piękniejsza niż ubiegła, bowiem pozbawiona zawilich wątpliwości i skomplikowanych zagadnień.

Gdy wstał drugi ranek, pani Lusia zarumieniona zwróciła mężowi uwagę, że jego łóżko wygląda tak, jakby na nim nikt nie spał. Na usprawiedliwienie swoje Józef zauważył, że i łóżko Lusi nie wygląda tak, jakby na nim spano.

— Jesteś bezwstydnym i niegrzecznym — odpowiedziała pani Lusia i dla zaakcentowania tej opinii pocałowała go w usta.

Tak się zaczęło wspólne życie państwa Józefostwa Domaszków, tak mijały tygodnie, podczas których służba zdążyła przyzwyczać się do nieobserwowania dualizmu sypialnego umeblowania przez młodych małżonków.

Dokładnie w miesiąc po ślubie Józef zaczął chodzić do „Polimportu” i znowu zabrał się do pracy. Lusia czas jego nieobecności wykorzystywała na różne zajęcia domowe, których zebrało się sporo.

W tymże okresie, wykorzystując nieobecność wielu znajomych w mieście, złożyli szereg wizyt, polegających przeważnie na rzucaniu biletów.

Pierwszą wizytą, jaką im złożono, była wizyta redaktora Swojskiego.

Wbrew oczekiwaniu Józefa i wbrew jego pragnieniu, Lusia po wyjściu redaktora oświadczyła, że jej się on zbyt nie podoba.

— Ależ, dlaczego, Lusieńko? — To taki miły, taki sympatyczny człowiek.

— Tak... ale widzisz, hm... on jest, jakby tu powiedzieć... układny.

— Chyba trudno to nazwać wadą?!

— Może... Wydaje się takim chodzącym kompromisem.

— Ach, cóż w tym złego? Właśnie dzięki temu jest w najlepszych stosunkach z wszystkimi, no literalnie z wszystkimi! On naprawdę nie tylko wrogów, lecz nawet nieżyczliwych sobie ludzi nie ma.

— Ja się tym nie zachwycam — powiedziała po prostu Lusia.

— Nie rozumiem cię, kochanie.

— To bardzo jasne. Jak może istnieć człowiek niemający własnego zdania, własnych wyrobionych poglądów?

— Któż ci powiedział, złotko, że on ich nie ma?

— Więc zachowuje je dla siebie!

— Naturalnie.

— Przyznam, że nie rozumiem, jak człowiek może dla uniknięcia rozbieżności zdań, godzić się na takie, których przyjąć nie powinien.

— To jest umiejętność życia, Lusieńko.

Lusia uśmiechnęła się.

— Cieszę się, że ty nie jesteś taki. Nie umiałabym szanować ludzi tego typu. Ani szanować, ani kochać.

— A jednak Swojski ma ogromne powodzenie u kobiet — zauważył Józef.

— Możliwe — odcięła się — kobiety korsykańskie śpiewają entuzjastyczne pieśni o bandytach.

— Lusieńko! Porównanie to jest dla Swojskiego krzywdzące. Że ktoś jest człowiekiem bez charakteru...

— O, przepraszam cię — zaoponowała Lusia — on nie jest bez charakteru, tylko udaje człowieka bez charakteru dla... kariery. I wiesz, że mam wstręt do tego typu ludzi.

Siedzieli chwilę w milczeniu.

— Jeżeli sobie nie życzysz... — zaczął Józef...

— Czego, Józku?

— Jeżeli nie chcesz, by Swojski u nas był i bym w ogóle bliżej z nim obcował...

— Więc co?

— No, to... to mogę się od niego odsunąć...

— Józku, ja ci nie zamierzam narzucać swojej opinii.

— Ale może i masz rację.

— Jak to? — spojrzała nań chłodno Lusia — przecie przed chwilą byłeś wręcz odmiennego zdania?

— Nie znaczy to, bym miał przy nim pozostać.

Lusia wstała. Była widocznie wzburzona.

— Józku — powiedziała poważnie — nie wierzę w to, nie chcę uwierzyć, byś miał być człowiekiem bez charakteru... Bo ja też takich ludzi... nie mogę szanować.

Józef zmieszał się.

— Źle mnie zrozumiałaś, Lusiu.

— Wolałabym, by tak było.  
— Tak jest. Ja nie zmieniłem swego zdania, tylko przez uprzejmość dla ciebie gotów jestem zastosować się do twojego życzenia.

Zaśmiała się nerwowo:

— Wobec tego, Józku, proszę cię, byś mi jak najmniej robił tego rodzaju uprzejmości. Po rozmowie tej została Józefowi gorycz, której przez dni kilka nie mógł się pozbyć. „Czego ona ode mnie chce?”

A Lusia nie wracała więcej do tego tematu. Natomiast spostrzegł, że coraz częściej służba zwraca się doń z pytaniami w rodzaju:

— Czy państwo dziś wychodzą na wieczór?

— Nie wiem — odpowiadał — proszę zapytać panią.

— Właśnie pani odpowiedziała, że nie wie, co pan postanowił.

Szedł wówczas do Lusi lub dzwonił do niej, jeżeli była na Wilczej.

— Kochanie, czy pojedziemy dziś do teatru?

Nie mógł pojąć, dlaczego ją to irytowało, a pewnego razu nawet uczuł się obrażony. Pytał, czy pójdą wieczorem do teatru, a ona odrzekła:

— Owszem, pojedziemy na *Stare związki* do „Małego”.

— Przecież byliśmy na tym przedwczoraj — zauważył.

— Cóż z tego? Pojedziemy jeszcze trzy razy.

— Jak chcesz — odpowiedział dotknięty.

I poszli.

Nazajutrz, gdy zaczęła się ubierać do teatru, zrobił ponurą minę, lecz również przygotował się do wyjścia.

Wówczas Lusia oświadczyła, że głowa ją boli i że nigdzie nie pójdą.

— Jak wolisz — odetchnął i dodał — w takim razie przejrzę rachunki firmowe.

— Czy to pilne? — zapytała.

— Owszem, pilne.

— To szkoda. Chciałabym, byś dziś odwiedził wujenkę Szczerkowską i omówił z nią nasz wspólny wyjazd do Jarzębowa.

— Do Jarzębowa?

— No, tak, czy nie wiesz, że wujenka się tam wybiera?

— To tak, ale my?

— Jeżeli nie chcesz jechać, to ja pojedę z wujenką.

Józef przygryzł wargi:

— Lusi! I mogłabyś mnie zostawić?

— Więc jedź z nami.

Zawahał się. Miał bardzo ważne sprawy związane z przybyciem Weisblata z Paryża, no i posiedzenie zarządu Ligi.

— Dobrze, pojedę.

Tu Lusia rozplakała się. Najzwyczajniej w świecie rozplakała się.

„Trzeba być wariatem, by zrozumieć kobietę” — jęczał w duchu Józef.

Klęknął przed nią, zaczął całować po rękach, wypytywać i prosić, by się uspokoiła, by wezwała może lekarza, zapewniać, że zrobi sam wszystko, ale to absolutnie wszystko, czego ona zapragnie.

— Dostyc, dostyc! — szlochając, przerwała Lusia — zostaw mnie samą.

Westchnął, wstał z kolan i przeszedł do gabinetu. Lecz długo jeszcze słyszał płacz żony.

„Za co ona gniewa się na mnie — bił się z myślami — za co? Serce własne wyrwałbym dla niej z piersi, w łeb sobie palnąłbym, a ona tego wszystkiego nie rozumie”.

Od tego dnia Lusia bardzo się zmieniła.

Wprawdzie zrezygnowała z wyjazdu do Jarzębowa, lecz stała się smutna i jakby szorstka. Zaledwie dwa miesiące upłynęły od ich ślubu, a już Józef miał możność stwierdzić na własnym przykładzie, że miódność miesięcy bywa w małżeństwie preraźliwie krótka.

Początkowo martwił się tym, później rozpaczal, wreszcie zaczął się tym irytować. Był jeszcze dość powściągliwy w określaniu usposobienia żony i ograniczał się do nazywania tego nieuzasadnionymi chimerami.

Słowo „histeria” przyszło mu na myśl dopiero wówczas, gdy Lusia wpadła na nowy dziwny pomysł. Mianowicie oznajmiła Józefowi, że będą sobie głośno czytali. Przy tym wybierała książki wcale nie według ich wartości literackiej (a wiedział że się na tym znała wybornie!), lecz według apoteozowanych w nich typów, przy czym zawsze byli to jacyś awanturnicy, ludzie mający ćwieka we łbie, uparci, zawzięci, kłócący się ze swym otoczeniem i z całym światem, znajdujący przyjemność w waleniu głową w mur i w wybieraniu najtrudniejszego sposobu życia.

Po kilku rozdziałach takiej historii Lusia zaczynała rozplýwać się nad bohaterem w zachwytach. Raz czy dwa Józef zauważył z przekąsem, że w wychwalaniu tego rodzaju typów Lusia przejawia swój instynkt antyspołeczny, że występuje jako przeciwniczka porządku publicznego, że wybujały indywidualizm imponuje jej dlatego, że nie chce ocenić absurdalności kultu jednostki w prawdziwie ucywilizowanym świecie.

Wówczas wywiązywały się dyskusje, w wyniku których Józef przyznawał żonie słusność, co ją zdawało się jeszcze bardziej oburzać. Toteż później unikał sprzeciwów jak ognia. Rezultatem tego było zupełne zniechęcenie Lusi do lektury i wciąż wyraźniejsze objawy hysterii.

Noce wspólnie spędzane stały się też coraz rzadsze, i to pomimo posuniętego do szczytu nienarzucania się Józefa z amorami. Napęniało go gorzkie uczucie doznanej, a niezastuzonej krzywdy. Stawał się dla żony coraz delikatniejszy, coraz subtelniejszy, a ona odpłacała mu nieustannie rosnącym chłodem i bezprzedmiotowymi pretensjami.

Wreszcie doszedł do przekonania, że życie dla nich obojga staje się piekłem, i pewnego popołudnia poszedł do pani Szczerkowskiej, by poważnie z nią o tym pomówić.

Pani Szczerkowska przyjęła go w dawnym pokoiku Lusi.

— Chciałbym — zaczął — prosić wujenkę o radę. Dlatego przyszedłem sam. Długo się wahałem, zanim zdecydowałem się na ten krok. Zawsze myślałem, że rzeczy, że nieporozumienia wynikające między małżeństwem powinny być załatwiane w domu. Ale teraz doszedłem do przekonania, że nie potrafię dać sobie rady. Nie chcę zwałać winy na Lusię, lecz nie widzę również najmniejszego uchybienia z mojej strony. A jednak jesteśmy ze sobą nieszczęśliwi.

Ponieważ pani Szczerkowska milczała, powtórzył:

— Jesteśmy nieszczęśliwi, wujenko, Nie wiem, nie rozumiem, pojąć nie umiem dlaczego. Kocham Lusię ponad wszystko i zdawało mi się, że i ona mnie kocha, a przynajmniej kochała za czasów naszego narzeczeństwa. I coś się w niej zmieniło. Może zbyt mało znam Lusię, może przyczyny tej zmiany tkwią w czymś innym, dość, że... — otarł chustką łzy — dość, że... jesteśmy nieszczęśliwi. Wujenka zna duszę Lusi lepiej. Przyszedłem więc prosić o radę.

— Panie Józku — powiedziała spokojnie pani Szczerkowska — wiem, że jesteście nieszczęśliwi...

— Ach, więc i Lusia już to wujence mówiła?

— Nie, panie Józku. Lusia jest zbyt ambitna, by się miała przyznać do błędu, który popełniła, zostając pańską żoną.

Józef poczerwieniał.

— Wujenka znajduje, że popełniła błąd?

— Nie, mój drogi, ja tego nie powiedziałam. Lusia popełniła błąd nie w tym, że za pana wyszła, lecz w tym, że wychodząc za pana nie wiedziała, iż jest pan człowiekiem o, powiedzmy, miękkim charakterze.

— Nie wiedziałem, że Lusia może mnie bodaj przez chwilę oceniać inaczej. Zawsze byłem sobą. A w ogóle pierwszy raz słyszę, by jakakolwiek kobieta wolała mieć męża egoistycznego brutalą, despotę, impetyka, może jeszcze takiego, co by ją bił!

— Owszem — uśmiechnęła się pani Szczerkowska — zapewniam pana, mój drogi, że i takich kobiet jest sporo. Ale Lusia też do nich nie należy. O ile ją znam, sądzę, że największym jej pragnieniem było mieć męża z charakterem.

— To znaczy, że ja jestem człowiekiem bez charakteru? No, wie wujenka, ale to jest po prostu zabawne. Ja bez charakteru? Ja, który prowadzę dużą i, dzięki Bogu, dobrze prosperującą firmę, który jestem prezesem takiej instytucji jak Liga Patriotyzmu Gospodarczego, który, nie chwając się, cieszy się powszechnym szacunkiem i uznaniem, ja mam być człowiekiem bez charakteru?



Pani Szczerkowska wzięła go za rękę.

— Niech się pan uspokoi, panie Józku. Jeżeli pan przyszedł do mnie, żeby usłyszeć, co sędzę o przyczynach nieporozumienia, jakie tkwią między wami, to niechże pan nie posądza mnie o zamiar potępienia pana. Wszystko to, co pan powiedział, jest słuszne. Jest słuszne z wyjątkiem jednego. Pan jest naprawdę człowiekiem o słabej woli, człowiekiem rezygnującym i zbyt łatwo ustępliwym... to zaś w sumie składa się na... brak charakteru.

Józef spuścił głowę. Pani Szczerkowska mówiła dalej swoim dźwięcznym, pogodnym głosem, którego brzmienie zdawało się być równie przekonujące jak i treść wypowiedzianych myśli.

— I cóż mam robić? — zapytał bezradnie.

— Nie znam pańskich możliwości, mój drogi. Mogę tylko powiedzieć, co zrobiłabym ja, gdybym się znalazła w takich warunkach.

— Ja bardzo kocham Lusię — powiedział, jakby zastrzegając się przed ewentualnością rozstania.

— Właśnie. Nie chcąc utracić jej uczuć, pracowałabym nad sobą. To proste.

— Nad wyrobieniem charakteru? — zapytał.

— Naturalnie.

— W moim wieku? — podkreślił.

— Proszę pana. Powiedziałam, że nie znam pańskich możliwości. Jednak sędzę, że wiek tu nie odgrywa roli. Zacząć trzeba od uznania swoich braków... Napije się pan herbaty?

— Z przyjemnością.

Pani Szczerkowska znikła za drzwiami, a Józef zaczął chodzić po pokoju.

— Absurd — wybuchnął — każdy człowiek ma swój charakter, ja mam swój. Jak można od kogokolwiek wymagać, by zmienił charakter?... Absurd.

Właśnie charakter stanowi o indywidualności człowieka. Jeżeli zatem Lusi jego charakter nie odpowiada, wtedy w ogóle nie może go kochać.

Gdy wróciła pani Szczerkowska, rozpoczął z nią rozmowę o tejże sprawie, lecz z odwrotnej strony.

Czy nie byłaby tak dobra i nie spróbowała pomówić na serio z Lusią? Przecie łatwiej Lusi pogodzić się z rzeczywistością, niż jemu zmieniać tę rzeczywistość. Lusia jest dość rozsądna, by jej to trafiło do przekonania.

— Bo gdybym nawet włożył najwięcej dobrej woli w zastosowanie rady wujenki, gdybym wyrzekł się, jak tego chce wujenka, siebie, gdybym nawet potrafił to zrobić, czy w rezultacie nie byłoby to tylko pozą, nieszczerą grą, komedianctwem? Czy sama Lusia nie wolałaby wyrzec się tego rodzaju przemiany męża?

Pani Szczerkowska obiecała, że zaraz jutro rano wstąpi do Lusi i postara się otwarcie postawić kwestię.

Z tym Józef wrócił do domu.

Pomimo bardzo wczesnej pory Lusia już była w łóżku i udawała (na pewno udawała!) śpiącą.

Samotnie zjadł kolację, wstał wcześniej niż zwykle i poszedł do biura. Około pierwszej zatelefonował na Wilczą, lecz powiedziano mu, że pani Szczerkowskiej jeszcze nie ma. Zastał ją dopiero po drugiej.

— Tu Józef, dzień dobry, wujenko.

— Jak się pan ma. Jest pan pewno ciekaw, czy byłam u Lusi?

— Tak, wujenko.

— Otóż Lusia powiedziała mi, że czuje się szczęśliwa.

— Tak powiedziała? — krzyknął.

— Tak.

— Więc już teraz nic nie rozumiem.

— Właśnie, mój drogi, pan tego nie rozumie, że Lusia za żadne skarby nie będzie się starała dzielić, chociażby ze mną, swoimi zmartwieniami. Owszem, przyznała, że doznała pewnych rozczarowań, ale nie wątpi, iż wkrótce zdoła się pogodzić z istniejącym stanem rzeczy.

— A nic nie mówiła o mnie?...

— Oświadczyła, że nic panu nie ma do zarzucenia.

— Absolutnie nic?  
 Podziękował pani Szczerkowskiej i położył słuchawkę:  
 — Panna z zasadami — zaśmiał się gorzko — woli sobie i mnie, woli nam obojgu zatruć życie swymi histerycznymi zasadami niż...  
 Ale właśnie żadnego „niż” nie umiał znaleźć i to go rozraziło jeszcze bardziej. W gruncie rzeczy to on jej nie mógł postawić żadnego zarzutu.  
 Był jeszcze jeden sposób — rozmówić się z nią samą. Szczerze, po prostu, otwarcie...  
 Przez szereg dni nosił się z tym zamiarem. Wreszcie pewnej niedzieli zdecydował się po śniadaniu na tę przykrą rozmowę.  
 — Czy możesz mi poświęcić kwadrans czasu? — zapytał.  
 — Owszem — odłożyła dzienniki i spojrzała nań zdziwiona — słucham...  
 — Prawdopodobnie przypominasz sobie rozmowę, jaką miałaś z wujenką. Otóż to ja prosiłem wujenkę, by z tobą pomówiła.  
 — Domyśliłam się tego już wtedy.  
 — Tak? Domyśliłaś się i nic mi nie mówiłaś?  
 — Zdawało mi się, że tobie raczej wypadło powiedzieć mi o tym.  
 Zastanowił się i skinął głową.  
 — Więc mniejsza o ten szczegół. Chodzi o istotę kwestii.  
 — Słucham więc?  
 — Otóż... jakby to powiedzieć... odnoszę wrażenie, że od pewnego czasu jesteś przygnębiona, że... zdaje się, nie odpowiadam twoim życzeniom...  
 — Pod jakim względem?  
 Rozłożył ręce:  
 — Tego już nie wiem. I o to właśnie chciałem cię zapytać.  
 Luscia spojrzała mu w oczy.  
 — Józku — powiedziała łagodnie — doszłam do przekonania, że za mało znaliśmy się, kiedyśmy się pobierali.  
 — Ja ciebie znałem tak dobrze, jak dziś — wyrzucił z emfazą.  
 — Tak, ty tak.  
 — Ale ty mnie nie znałaś? Czy chcesz przez to zrobić aluzję, że się maskowałem, że coś udawałem? Że nie byłem szczerzy?  
 Głos jego drżał.  
 — Nie, Józku, bynajmniej, byłeś sobą. Tylko ja nie umiałam na ciebie patrzeć inaczej niż przez pryzmat uczucia, które inaczej zabarwia rzeczywistość.  
 — Aha, więc teraz już nie patrzysz przez ten pryzmat. Rozumiem. Przestałaś mnie kochać.  
 — Józku — westchnęła — chciałabym, byś mówił spokojnie i nie stawiał akcentów na twierdzeniach, które nie są niczym innym poza retorycznym chwytem.  
 — Lusu, bo ja ciebie wciąż kocham, wciąż!  
 — Widzę to, Józku. Tylko nie kochasz mnie tak, jak bym może pragnęła. Nie umiem tego wyrazić jaśniej, ale wiem, że czułabym się szczęśliwa, gdybyś był bardziej... stanowczy, gdybyś miał więcej własnego zdania, gdybyś bardziej był... czy ja wiem... panem naszego domu.  
 Józef uśmiechnął się blade:  
 — Tak samo powiedziała mi wujenka Szczerkowska... O, dziwne są kobiety! Więc byłabyś szczęśliwa z upartym, brutalnym despota, a nie... Zresztą... Cóż ja na to poradzę? Przecież nie będę grał farsy i udawał kogoś, kim nie jestem, co nie leży w mojej naturze.  
 Wstał i zaczął chodzić z kąta w kąt.  
 Luscia siedziała milcząca.  
 — Nic mi na to nie odpowiesz? — zapytał zbolalym głosem.  
 — Cóż ci odpowiedzieć mogę?  
 — Nie kochasz mnie? — stanął przed nią w tragicznej pozie.  
 — Owszem, kocham cię, Józku. Jestem twoją żoną i nigdy kochać cię nie przestanę.  
 — Z zasady? — załamał ręce — święty obowiązek?  
 — Józku, czym zasłużyłam sobie na ten ironiczny ton? — odezwała się z wyrzutem.  
 — Przepraszam cię — opanował się — byłem przed chwilą nieprzyzwoity. Daruj. Ale widzisz, ja tak cierpię nad tym, że nie mogę ci dać pełnego szczęścia.

Lusia uśmiechnęła się.

— Pozostawmy to wszystko czasowi.

Od tej rozmowy wprawdzie nic się nie zmieniło na lepsze w ich wzajemnym stosunku, jednakże Lusia robiła wszystko, by ukryć swój smutek, by nie okazywać zdenerwowania jego sposobem bycia.

„Przyzwyczaję się — mówiła sobie — muszę się przyzwyczać”.

I wiedziała, że nic innego jej nie pozostaje.

Józef zaczął nudzić się w domu. Jak zarazy unikał rozmów z żoną na wszelkie oderwane tematy, gdyż z góry wiedział, że skończą się obustronną urazą. Jego interesami znowuż Lusia nie lubiła się zajmować, a sprawy domowe od dawna stały się jej wyłączną dziedziną.

Tak było we dnie.

Noce też stały się inne. Józef wprawdzie teraz nie spotykał się nigdy ze sprzeciwem Lusi, lecz z biegiem czasu nabrał jakiejś tremy. Wydawało mu się, że Lusia traktuje te uściski jako pewien serwitut, jako wypełnienie obowiązku. A chociaż miał dowody jej zmysłowości, zaczął się nawet bać, czy są one prawdziwe, czy to też nie wypływa z zasad, z tych zasad, które — sam nie wiedział dlaczego — stały się jego zmorą.

Coraz częściej bywał w kawiarni, gdzie spotykał się ze Swojskim, z którym czuł się najswobodniej i najlepiej.

Swojski, wobec przedłużającej się nieobecności pani Krotyszowej, zaprzyjaźnił się z miłą i wesołą panienką, ekspedientką z jakiejś firmy radiowej. Toteż najczęściej spędzali czas we trójkę.

Trwało to do pewnego piątku, kiedy depesza z Gdańska zawiadomiła Swojskiego o przyjeździe pani Barbary. Pociąg przychodził o dziesiątej wieczór, a pech chciał, że akurat były to imieniny owej ekspedientki i Swojski musiał z nią spędzić wieczór. Już przed południem zatelefonował do Józefa z rozpaczliwym wołaniem o ratunek.

— Jeżeli pan nie pójdzie na dworzec i nie usprawiedliwi mojej nieobecności, zginę marnie.

Józef starał się wykręcić, ale w końcu nie mógł odmówić. Ułożyli, że powie pani Krotyszowej, iż Swojski zmuszony był w interesach Ligi wyjechać do Łodzi i uprosił Józefa, by go wytłumaczył.

Okazało się jednak, że pani Barbara wcale nie czuła się dotknięta nieobecnością Buby, a wprost przeciwnie, ucieszyła się, że pierwszym znajomym, jakiego spotyka, jest Domaszko.

Oczywiście odwiózł ją do domu, pomógł wnieść walizy i zabierał się do odejścia, gdy go zatrzymała:

— Musi pan ze mną zostać. Jestem tak pełna wrażeń i tak wyspana, że nie wiedziałabym, co mam począć, gdybym była teraz skazana na samotność. Nawet mojej małej nie ma i pewno wróci późno.

Józef został.

Pani Krotyszowa opowiadała entuzjastycznie o swojej podróży, lecz jej entuzjazm miał dziwnie spokojny timbre. Później zaczęła wypytywać Józefa o jego małżeństwo, a jej sposób pytań był taki jakiś bezosobisty, taki jakby teoretyczny, że Józef, sam nie wiedząc kiedy, zaczął się zwierzać ze swoich trosk i ze swego nieszczęścia.

Ponieważ zaś umysł pani Barbary należał do umysłów niedoścignionych w psychologii, zrozumiała od razu Józefa, a co więcej — odczuła istotę jego tragedii.

— Widzi pani — zakończył — jak to źle być dobrym, przeciętnym człowiekiem, jak to źle związać swoje życie z życiem istoty z... zasadami.

— Bardzo lubię Lusię — powiedziała pani Krotyszowa — ona jest fizycznie niesłychanie apetyczna, ale... o ile pan sobie przypomina, ostrzegałam pana przed jej charakterem.

— O, tak, tak! — potwierdził — dobrze to pamiętam.

— W pospolitym znaczeniu tego słowa Lusia jest oczywiście inteligentna — ciągnęła pani Barbara — ale brak jej tej subtelności, dzięki której można znaleźć tyle wdzięku w fakcie posiadania mężczyzny bez charakteru. Jakież bogactwo możliwości! Ileż w jej wyculonej i sugestionującej się psychice możemy odnaleźć odzwierciedleń własnych myśli, ile parafraz naszych nastrojów. Trzeba tylko mieć w sobie trochę wyrafinowania...

A pani Barbara Krotyszowa miała tego wyrafinowania aż tyle, by wystarczyło na zaspokojenie jej w tym względzie wymagań. Jeżeli tedy sama tak trafnie umiała ocenić walory Józefa, Józef nie mógł nie docenić walorów pani Barbary.

Toteż gdy jej bardzo pachnące ręce znalazły się w pobliżu rąk Józefa, nastąpił uścisk porozumienia duchowego. Porozumienie zaś w jednej dziedzinie zwykło rozszerzać się i na dalsze. W danym wypadku nie nastąpiło nic, co by temu naturalnemu biegowi rzeczy stanęło na przeszkodzie.

Józef o drugiej po północy wracał do domu z uczuciem człowieka, który nareszcie odnalazł na świecie bratnią duszę i wprowadził nie bratnie, lecz za to nie mniej bliskie ciało.

Lusia jeszcze czytała w łóżku. Pocałował ją na dobranoc, odnosząc fascynujące wrażenie popelnianego świętokradztwa.

Swojski nazajutrz „przyjechał” i zjawił się na Starym Mieście, lecz już od progu, już z minki pokojówki wyczuł, że wchodzi tu w całkiem innym charakterze. Zachowanie się pani Barbary potwierdziło to bez pozostawienia żadnych wątpliwości.

Oczywiście o jakimkolwiek dramacie w tym rozstaniu nie mogło być mowy. Zresztą pani Krotyszowa bynajmniej nie zamierzała wyrzekać się towarzystwa Swojskiego, a oboje mieli dość zalet na to, by stać się przyjaciółmi.

Gdy tedy o oznaczonej godzinie siódmej przyszedł Józef i był zażenowany obecnością i swobodą Swojskiego, usłyszał:

— Nie szokuj się tym, mój Pepi, pan Swojski składa mi właśnie „listy odwołujące” i pozostanie zawsze mile widzianym gościem, oczywiście, póki się nie znudzi.

Swojski jednak nie tylko nie nudził się, lecz był w doskonałym humorze. Ponieważ rozmowa zesłała na temat ogólnie zanikającego kulturalnego życia kraju, wysunął nawet projekt zorganizowania z salonu pani Barbary nowego, całkiem nowego ośrodka kultury.

— Organem tego nowego środowiska będzie „Tygodnik Niezależny”.

— Jest już organem Ligi Patriotyzmu Gospodarczego — zauważył Józef.

— Cóż to szkodzi? Jedno nie przeszkadza drugiemu. Zbierzemy grupę uczonych, artystów, pisarzy, a nawet dyletantów chodzących dotychczas luzem i pozbawionych wpływu na życie kulturalne. Każdy z nich chętnie do nas przystanie. Nazwiemy to — przypuśćmy — Zniczem Niezależnych...

— To źle brzmi — zauważyła pani Barbara.

— Więc Ogniskiem Wolnych, albo dla związania instytucji z pismem: Ogniskiem Niezależnych, co? Nikogo tu bowiem nic nie będzie obowiązywało, a będziemy mieli organizację, firmę, markę, głos! Co?

— Owszem, myśl jest słuszna — przyznał Józef.

— Otóż zgrupujemy kilkadziesiąt osób, wybierzemy nie zarząd, lecz, dajmy na to, Komitet Intelktualnej Więzi! Dobrze brzmi?

— Owszem.

— Otóż Komitet Intelktualnej Więzi Ogniska Niezależnych wybierze sobie prezesa i sekretarza, którymi powinni...

— Zaraz, zaraz — przerwał Józef — a jak będzie brzmiał skrót z inicjałów? To jest bardzo ważne, bo czasami...

— Skrót? — Swojski wyjął notes i szybko napisał — Komitet Intelktualnej Więzi Ogniska Niezależnych... KIWON.

— Kiwon?

— Tak. „Kiwon”. Dobre jest.

Okazało się nawet bardzo dobre. Już przed upływem dwóch tygodni Ognisko Niezależnych grupowało powyżej setki osób, samych przyzwoitych i statecznych ludzi. Akcja werbownicza „Tygodnika” i tym razem została poparta przez kilka wpływowych organów prasowych. Utworzono też komisję organizacyjną, która wybrała władze Ogniska. Prezesem „Kiwona” został senator Labuszkiewicz, wiceprezesem — Józef Domaszko, a sekretarzem — redaktor Swojski.

Próbowano z początku wysunąć żądanie ścisłego programu Ogniska i planów jego działalności, jednakże zaniechano tego, by nie krępować instytucji w jej działalności na niwie kultury, która przecież rozciąga się na wszystkie gałęzie życia publicznego i jednostkowego.

Działalność ta już wkrótce zaznaczyła się przy okazji rocznicy listopadowej. Do komitetu obchodu prezydent miasta zaprosił prezydium „Kiwona”, niedługo zaś potem w publicznym sporze o utworzeniu Akademii Literackiej głosy „Kiwonów” zaważyły dobitnie na szali, przechylając ją na korzyść tejże Akademii.

Wprawdzie w rosnących szeregach „Kiwona” przeważał element nie artystyczny lecz dyletancki, jednakże grupując mecenasów i znawców wszelkiej Sztuki, Wiedzy i Kultury „Kiwon” stanowił zbawczy element umiaru, ładu i rozwagi, co należycie zostało ocenione przez całe społeczeństwo.

Pierwszy w tym karnawale bal „Kiwona” zgromadził całą elitę stołeczną i dał prawie tysiąc złotych czystego zysku. Kwotę tę prezes Labuszkiewicz i wiceprezes Domaszko podczas specjalnej audjencji złożyli na ręce Prezydenta Rzeczypospolitej na budowę krężownika, który, jak to zauważyli, mógłby nosić nazwę „Kiwon”.

Następstwem tego obywatelskiego czynu było odznaczenie zarówno prezesa Labuszkiewicza jak i wiceprezesa Domaszki komandoriami orderu „Polonia Restituta”.

Józef był zachwycony i miał głęboki żal zarówno do Lusi jak i do pani Krotyszowej, że te nie umieją ocenić ani jego zasługi, ani pięknej kolorowej i błyszczącej nagrody, jaką otrzymał.

— Kobiety w ogóle są istotami aspołecznymi — mówił z pobłażliwą ironią, przyglądając się sobie w lustrze.

Istotnie pani Barbara, która początkowo bardzo pochwalała ideę stworzenia „Kiwona”, po pewnym czasie oświadczyła, że ją to nudzi i zażądała zaprzestania zebrań klubowych w jej mieszkaniu, wobec czego Józef przeniósł się do własnego.

Lusia nie sprzeciwiała się temu. W ogóle jej usposobienie poprawiło się na tyle, że Józef bez zastrzeżeń mógł uważać ją za bardzo dobrą żonę, za wzorową panią domu i miłą kobietę, która wyzbyła się dawnych niczym nieuzasadnionych chimer.

Zresztą Lusia była teraz wyłącznie niemal zajęta sobą, a raczej swym błogosławnym stanem i oczekiwaniem potomka.

Sprowadziła do domu mnóstwo książek o higienie i wychowaniu niemowląt i pograżona była w ich lekturze lub też szyła niezliczone ilości garderoby dla spodziewanego syna.

Z tego powodu mniej przyjmowali i mniej bywali u znajomych, a Józef więcej miał czasu na kawiarnię ze Swojskim i na długie wizyty u pani Krotyszowej. Od czasu, gdy się tam zadowił, musiał się też stopniowo pogodzić z dziwnym a wysoce krepującym zwyczajem pani Barbary sypiania w jednym łóżku z figlarną pokojówką i okazywania zupełnego braku zazdrości, gdy ta uważała się za równouprawnioną ze swą panią w pobieraniu świadczeń ze strony jej przyjaciela. Musiał też pogodzić się z tym, że pokojówka także nazywała go Pepi, a raczej po swojemu: Pepcius.

To wszystko gryzło Józefa przez pierwszych kilka tygodni, póki nie zwierzył się z tym w chwili szczerości redaktorowi Swojskiemu. Gdy jednak dowiedział się odeń, że wszystko to jest absolutnie zgodne z niezmienną tradycją domu pani Krotyszowej i że nawet ma swoje dobre strony — przestał się martwić, a nawet któregoś dnia przy goleniu się zauważył:

— Ja rzeczywiście mam w twarzy coś perwersyjnego.

Tymczasem z wiosną przystąpiono do dalszych robót w Terkaczach, gdzie mieli spędzić lato, i Józef kilkakrotnie tam jeździł, by — jak mówił Lusi — dopatrzeć tego Wiązgi.

Z wiosną również ruszyły się transakcje „Polimportu”, który rozwijał się wybornie, chociaż jeden ze współników, pan Mech, musiał w tym czasie wyjechać do Gdańska z powodu jakiegoś nieporozumienia z policją. Na szczęście, dzięki wpływowi Józefa, wszystko dało się ułożyć pomyślnie, a Mech miał odpowiadać przed sądem z wolnej stopy.

Pewnego dnia, pod koniec maja, w przedpokoju mieszkania prezesa Domaszki rozległ się nieśmiały, krótki dzwonek. Stary Piotr uchylił drzwi i zawołał:

— A, witam, witam panią, prosimy, prosimy, a to synek pani? — wskazał na chłopca w gimnazjalnym mundurku.

— A jakże, synek — odpowiedziała pani Natka Cześniakowa, właśnie wczoraj do drugiej klasy gimnazjum zdał egzamin i przyszliśmy podziękować. Czy aby tylko nie spóźniliśmy się, bo to z ulicy Freta kawał drogi. Czy jest pan Józef?

— Jest, jest, a jakże — dobrodusznie uśmiechnął się służący — zaraz zamelduję.

Usadowił ich w bocznym pokoju i wyszedł.

Na jego powrót czekali krótko, lecz dowiedzieli się, że „jaśnie pan poprosi za parę minut”.

— A w jakimż humorze jest pan Józef? — przyciszonym głosem dopytywała się pani Cześniakowa.

— Dzięki Bogu wrócił od ministra zadowolony, widać powiodło się. O, ja to zaraz wyrozumiem. Jak tylko pan w dobrym humorze, to chodzi po gabinecie, mruczy i te swoje kiwony w ruch puszcza.

Pani Cześniakowa nadstawiła uszu i obciągnąwszy kurtkę stojącego obok chłopca, zapytała:

— Że co puszcza?

— Te, no, kiwony. Te, co to po nieboszczyku świętej pamięci panu Cezarym. Takie znaczy się figurki, co to taki chińczyk czy inszy japoniec zrobiony, że jak tylko palcem dotknąć, to on głową kiwa i kiwa, bez końca.

— Aha — zdziwiła się pani Cześniakowa — i to pan Józef zajmuje się tym?

— Eeee tam, zaraz zajmuje się. Ot, po prostu chodzi, mruczy, a po drodze, przechodząc koło biurka palcem... mach!... i już kiwon głową o tak... tak... Sprytnie tak zmajstrowane.

Rozległy się dwa długie dzwonki i Piotr wstał:

— Jaśnie pan prosi.

Popychając przed sobą chłopca, weszła Natka do wielkiego gabinetu. Za wielkim jak ołtarz biurkiem siedział pan Józef.

— Proszę — odezwał się, nie wstając.

Natka, trzymając syna za rękę, drobnym krokiem przeszła przez pokój. Podał jej w milczeniu końce palców i wskazał krzesło, stojące dość daleko od biurka. Chłopak pocałował wujka w rękę i został poklepany po ramieniu:

— No, wiesz ci, chłopcze. Pokażże swoje świadectwo.

Rozwinął papier i przejrzał uważnie.

— Otrzymałeś dobre stopnie i mam nadzieję, że i dalej będziesz się pilnie uczył, byś wyrósł na pociechę rodzicom i na dobrego obywatela kraju.

— Tak jest, wujaszku — bąknął nieśmiało chłopiec — będę się starał.

— To chwali się. Póki będziesz dobrym uczniem, będę cię kształcił, nie żałując fundusów. Tylko pamiętaj, żebyś i w szkole zachowywał się przystojnie, byś nauczycieli słuchał i szanował, a z kolegami żył w zgodzie. Rozumiesz?

— Tak jest, wujaszku — skłonił się. Był bardzo zażenowany i przygnieciony wspaniałością tego gabinetu, pełnego brązów i ogromnych mebli, dostojnością tego poważnego wielkiego pana, który wsparty na biurku od niechcienia poruszał głowami dwóch porcelanowych chińczyków kłaniających się mu z szacunkiem i mówił:

— Pamiętaj zawsze z wszystkimi żyć w zgodzie, bo zgoda buduje a niezgoda rujnuje. Rozumiesz? A starszych należy słuchać. Że się to oplaca, najlepiej możesz widzieć po mnie. Zawsze taki byłem i dlatego, Bogu dzięki, mam teraz i znaczenie, i szacunek ludzki, i dobrze mi się wiedzie... Rozumiesz?

— Rozumiem, wujaszku.

Pan Józef sięgnął do portfela, wydobyl banknot dwudziestozłotowy i podał chłopcu.

— To masz na cukierki. Za każde dobre świadectwo będziesz dostawał tyle. Idź z Bogiem, chłopcze, a pamiętaj, co ci powiedziałem.

Podał mu rękę do pocałowania, Natce skinął głową. Audyencja była skończona.

Teraz wyjął grube cygaro i zostawszy sam, zapalił, patrząc przez misterne kółka dymu na dwa posążki chińskie kiwające mu z aprobatą porcelanowymi głowami.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/kiwony>

Tekst opracowany na podstawie: Tadeusz Dołęga-Mostowicz, *Kiwony*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Białystok 1987

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Martę Niedziałkowską.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-0192-9

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).